

# ROBIN COOK

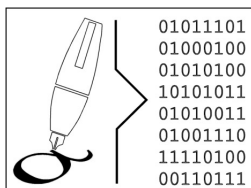
## WSTRZAŚ

Tytuł oryginału Shock

Przełożył : Norbert Radomski

Wydanie oryginalne: 2001

Wydanie polskie: 2002



*Pamięci mego przyjaciela*

Brunona D'Agostino

*Brakuje nam ciebie*

Mojej rozszczonej rodzinie nuklearnej

*Jean i Cameronowi*

z wyrazami miłości i uznania

*Ludzka komórka jajowa, czy też oocyt, delikatnie zassana w zaokrągloną końcówkę pipety, niczym nie wyróżniała się spośród jakichś pięciu tuzinów swych sióstr. Była po prostu najbliżej wylotu delikatnej szklanej rurki, gdy ta znalazła się w polu widzenia laboranta. Grupa oocytów pod obiektywem potężnego mikroskopu zawieszona była w kropli pożywki, pokrytej cienką warstwą oleju mineralnego. Olej miał zapobiegać parowaniu. Stabilność środowiska tych żywych komórek była sprawą o kluczowym znaczeniu.*

*Jak pozostałe, pochwycony oocyt wydawał się zdrowy, z prawidłową ziarnistością cytoplazmy, i jak u pozostałych, jego chromatyna, czyli DNA i białka, fosforyzowała w ultrafioletowym świetle niczym miniaturowe robaczki świętojańskie w gęstej jak grochówka mgle. O wcześniejszym brutalnym wyssaniu komórki z dojrzewającego pęcherzyka Graaфа świadczyły jedynie poszarpane pozostałości wieńca promienistego komórek pęcherzykowych, przylegające do stosunkowo zwartej osłonki, noszącej nazwę osłonki przejrzystej. Wszystkie oocyty zostały pobrane ze swej jajnikowej wylęgarni w stanie niedojrzałym, po czym pozwolono im rozwijać się dalej in vitro. W tej chwili były gotowe na przyjęcie plemnika, co jednak nie miało nastąpić. Te komórki jajowe nie miały zostać zapłodnione.*

*W polu widzenia pojawiła się kolejna pipeta. Tym razem był to instrument, który sprawiał wrażenie zwłaszcza pod silnym powiększeniem mikroskopu, bardziej śmiercionośnego przyrządu. Choć w rzeczywistości jego średnica wynosiła zaledwie jedną dwudziestopięciomilionową metra, wyglądał jak miecz z ukośnie ściętym ostrzem, o końcu cienkim niczym czubek igły. Nieubłagane zbliżył się do nieszczęsnej, unieruchomionej gamety i przebił jej osłonkę przejrzystą. Następnie, sterowany przez laboranta wprawnymi muśnięciami mikrometru, koniec pipety zagłębił się we wnętrzu komórki. Nakierowawszy końcówkę instrumentu ku fluoryzującemu DNA, w pipecie wytworzono lekkie podciśnienie i DNA zniknęło we wnętrzu szklanej rurki.*

*Potem, po upewnieniu się, że wyłuszczone gameta oraz jej siostry zniosły ten zabieg tak dobrze, jak można było oczekiwać, komórkę unieruchomiono ponownie. Pod obiektyw mikroskopu wprowadzono kolejną ostro ściętą pipetę, tym razem penetracja ograniczyła się do osłonki przejrzystej oocytu, bez naruszania jego błony komórkowej, i zamiast włączać ssanie, wprowadzono do obszaru noszącego nazwę przestrzeni okołozółtkowej odrobinę płynu. Wraz z płynem znalazła się tam pojedyncza, stosunkowo mała, wrzecionowata komórka, pobrana z jamy ustnej dorosłego człowieka.*

Następnym etapem było zawieszenie gamet, wraz z towarzyszącymi im komórkami nabłonka, w czterech mililitrach ułatwiającego fuzję odczynnika i umieszczenie ich między elektrodami aparatu do elektrofuzji. Gdy wszystkie gamety znalazły się w odpowiedniej pozycji, wciśnięto przełącznik, przesyłając przez preparat trwający piętnaście milionowych części sekundy impuls elektryczny o napięciu dziewięćdziesięciu wolt. Rezultat był jednaki dla wszystkich gamet. Wstrząs spowodował chwilowe rozerwanie błon między pozbawionymi jąder oocytami i odpowiednimi komórkami nabłonka, wywołując fuzję par komórek.

Po połączeniu komórki umieszczono w odczynniku umożliwiającym aktywację. Pod wpływem chemicznego pobudzenia każda z gamet, gotowa już do zapłodnienia, zanim usunięto jej własny materiał genetyczny, dokonywała teraz cudów z otrzymanym pełnym zestawem chromosomów. Kierując się tajemniczym mechanizmem molekularnym, jądra dorosłych komórek porzuciły swe dotychczasowe, wyspecjalizowane funkcje i powróciły do ról zarodkowych. Niedługo potem gamety zaczęły dzielić się, dając początek odrębnym zarodkom, które wkrótce już miały być gotowe do przeniesienia. Dawca komórek nabłonka został sklonowany. Ścisłej mówiąc, został sklonowany około sześćdziesięciu razy...

## PROLOG

6 kwietnia 1999

— Dobrze się pani czuje?

Doktor Paul Saunders zwrócił się z tym pytaniem do swej pacjentki, Kristin Overmeyer. Dziewczyna leżała na wiekowym stole operacyjnym, ubrana jedynie w szpitalną narzutkę bez pleców.

— Chyba tak — odparła Kristin, choć wcale nie czuła się dobrze. Szpitalne otoczenie nieodmiennie wzbudzało w niej pewien niepokój, znośny wprawdzie, ale niezbyt przyjemny, a miejsce, w którym znajdowała się obecnie, budziło szczególnie niemiłe skojarzenia. Była to staroświecka sala operacyjna, której wystrój stanowił zupełne przeciwieństwo sterylnej funkcjonalności, panującej we współczesnych obiektach medycznych. Jej ściany pokrywały żółtawozielone, popękane kafelki, z fugami upstrzonymi ciemnymi plamami, prawdopodobnie od zastarzałej krwi. Przypominała raczej scenę filmu grozy o akcji osadzonej w dziewiętnastym stuleciu niż aktualnie wykorzystywane pomieszczenie. Były tu nawet trybuny dla widzów, których górne rzędy nikły w mroku poza zasięgiem lamp operacyjnych. Na szczęście wszystkie były puste.

— „Chyba tak” nie brzmi zbyt przekonująco — odezwała się stojąca przy stole operacyjnym, naprzeciw Saundersa, doktor Sheila Donaldson. Uśmiechnęła się do pacjentki, choć jedyną widoczną oznaką tego uśmiechu były zmarszczki, które pojawiły się w kącikach jej oczu. Reszta twarzy lekarki ukryta była pod maską chirurgiczną i czepkiem.

— Chciałabym, żeby już było po wszystkim — powiedziała słabym głosem Kristin. W tej chwili żałowała, że w ogóle zdecydowała się zostać dawczynią komórek jajowych. Otrzymane pieniądze dałyby jej swobodę finansową, jaką cieszyło się niewielu studentów Harvardu, ale teraz wydawało się to jakby mniej istotne. Pocieszała ją jedynie myśl, że wkrótce zaśnie. Drobny zabieg, jaki ją czekał, miał być bezbolesny. Gdy zaproponowano jej wybór pomiędzy znieczuleniem ogólnym a miejscowym, bez chwili wahania wybrała to pierwsze. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, było być przytomną, kiedy będą wbijać jej w brzuch trzydziestocentymetrową igłę punkcyjną.

— Mam nadzieję, że uda nam się skończyć z tym do wieczoru — mruknął z przekąsem Paul do anestezjologa, doktora Carla Smitha. Miał tego dnia wiele zajęć i przeznaczył na obecny zabieg zaledwie czterdzieści minut. Biorąc pod uwagę swoje doświadczenie w tego typu operacjach i wprawę w posługiwaniu się instrumentami, uważał, że jest to i tak aż nadto. Jedynym słabym punktem był Carl. Paul nie mógł zacząć, dopóki pacjentka nie znajdzie się pod narkozą, a minuty miały nieubłaganie.

Anestezjolog nie odpowiedział. Paul zawsze się spieszył. Nie zwracając na niego uwagi, Carl spokojnie umocował plastrem na klatce piersiowej Kristin końcówkę stetoskopu przedsercowego. Wcześniej już założył dostęp żylny i mankiet do pomiaru ciśnienia krwi, podłączył kroplówkę, elektrody EKG i pulsoksymetr. Zadowolony z odgłosów, jakie słyszał w słuchawkach, wyciągnął rękę i przysunął aparat do znieczulenia bliżej głowy pacjentki. Wszystko było gotowe.

— W porządku, Kristin — odezwał się kojącym tonem. — Tak jak ci mówiłem, dostaniesz teraz odrobinę „mleka zapomnienia”. Jesteś gotowa?

— Tak — odparła Kristin. Jeżeli o nią chodziło, im szybciej miało się to stać, tym lepiej.

— Miłej drzemki — powiedział Carl. — Do zobaczenia na sali pooperacyjnej.

Były to słowa, jakimi zwykle zwracał się do pacjentów tuż przed podaniem narkozy, i istotnie taki właśnie był zwykły bieg wydarzeń. Ale tym razem miało być inaczej. W błogiej nieświadomości zbliżającej się katastrofy Carl sięgnął po przewód kroplówki z anestetykiem. Z rutynową pewnością podał pacjentce odpowiednią dawkę, ustaloną na podstawie wagi ciała, lecz mieszczącą się w dolnym przedziale zalecanych wartości. Stosowaną w Klinice Niepłodności Wingate’a praktyką było znieczulanie pacjentek ambulatoryjnych możliwie najmniejszymi dawkami poszczególnych środków. Chodziło o to, by móc po zabiegu jeszcze tego samego dnia odesłać je do domu, gdyż możliwości hospitalizacji w klinice były ograniczone.

Gdy dawka wprowadzająca propofolu dotarła do krwiobiegu Kristin, Carl uważnie skontrolował jej funkcje życiowe. Wszystko wydawało się w porządku.

Sheila roześmiała się cicho pod maską. „Mleko zapomnienia”, żartobliwe określenie, jakim Carl ochrzcił propofol, znieczulający środek, stosowany w postaci białego płynu, nieodmiennie pobudzało ją do śmiechu.

— Możemy zaczynać? — zapytał ostro Paul. Przesząpił z nogi na nogę. Wiedział, że jeszcze za wcześnie. Chciał po prostu dać wyraz swemu zniecierpliwieniu i niezadowoleniu. Nie powinni byli go wzywać, dopóki wszystko nie będzie gotowe. Zbyt cenił sobie swój czas, by stać beczynnym, kiedy Carl majstrował przy swoich zabawkach.

W dalszym ciągu ignorując narzekania Paula, anestezjolog sprawdził poziom świadomości Kristin. Uznawszy, że osiągnęła już odpowiedni stan, wstrzyknął jej miwakurium, lek zwiotczający mięśnie, który wolał od innych tego typu środków z powodu szybko przemijającego efektu. Gdy lek zaczął działać, Carl zręcznie wprowadził do tchawicy rurkę intubacyjną, by zapewnić sobie kontrolę nad drogami oddechowymi Kristin. Wreszcie usiadł, podłączył aparat do znieczulenia i dał Paulowi znak, że wszystko gotowe.

— Najwyższy czas — burknął Paul. Z pomocą Sheili szybko odsłonił pole operacyjne do laparoskopii. Ich celem był prawy jajnik.

Dokonawszy odpowiednich wpisów w protokole znieczulenia ogólnego, Carl oparł się wygodnie na krześle. Jego rola w tym momencie sprowadzała się do obserwowania funkcji życiowych pacjentki, przy jednoczesnym podtrzymywaniu znieczulenia starannie odmierzaniem dawkami propofolu.

Paul pracował szybko, wspomagany przez Sheilę, przewidującą każdy jego ruch. Cały zespół, wraz z Constance Bartolo, instrumentariuszką, i Marjorie Hickam, asystentką anestezjologa, funkcjonował sprawnie jak w zegarku. W tej chwili nie było miejsca na rozmowy.

Pierwszym celem Paula było wprowadzenie trójgrańca, za pomocą którego miał wypełnić jamę brzuszną pacjentki dwutlenkiem węgla. To właśnie wytworzenie wypełnionej gazem przestrzeni pozwalało prowadzić zabiegi z użyciem laparoskopu. Sheila ujęła klamerkami fałdy skóry po obu stronach pępka Kristin, naciągając rozluźnioną ścianę brzucha. Paul tymczasem wykonał małe nacięcie przy pępku, po czym zaczął wpychać do środka niemal trzydziestocentymetrowej długości igłę insuflatora Veressa. Jego doświadczone dłonie wyczuły dwa wyraźne puknięcia, gdy igła wniknęła do jamy brzusznej. Mocno przytrzymując igłę za ząbkowaną kryzę, Paul uruchomił pompkę. Natychmiast do jamy brzusznej Kristin zaczął napływać, w tempie jednego litra na minutę, dwutlenek węgla.

Gdy czekali, aż ciśnienie gazu osiągnie odpowiedni poziom, nastąpiła katastrofa. Carl, pochłonięty śledzeniem kardiomonitora i respiratora w poszukiwaniu oznak narastającego ciśnienia śródbrzusznego, nie dostrzegł dwóch pozornie niewinnych zdarzeń: trzepotu powiek Kristin i lekkiego ugięcia jej lewej nogi. Gdyby on lub ktokolwiek inny zauważył te ruchy, domyśliłby się, że efekt narkozy słabnie. Dziewczyna była wciąż nieprzytomna, ale bliska przebudzenia, a dyskomfort wywołany wzrastającym ciśnieniem w jamie brzusznej przyczynił się do jej ocucenia.

Nagle Kristin jęknęła i usiadła. Nie podniosła się całkowicie: Carl zareagował odruchowo, przytrzymując unoszące się ramiona i siłą kładąc dziewczynę z powrotem na stole. Ale było już za późno. Ruch spowodował, że igła insuflatora w dłoni Paula zagłębiła się mocniej w jej brzuch, przebijając żyłę główną dolną. Zanim Paul zdążył wyłączyć pompkę, do układu krążenia Kristin dostała się spora porcja gazu.

— O Boże! — krzyknął Carl, słysząc w słuchawkach pierwsze złowieszcze pomruki, głuchy łoskot przypominający odgłos pralki automatycznej podczas wirowania, gdy gaz dotarł do serca pacjentki. — To zator gazowy! — ryknął. — Przewróćcie ją na lewą stronę!

Paul wyszarpnął zakrwawioną igłę i cisnął ją na podłogę, gdzie upadła z brzękiem. Pomógł Carlowi obrócić Kristin na bok, w daremnej próbie odizolowania gazu w prawej części serca, po czym oparł się na niej całym ciężarem, aby ją unieruchomić. Choć wciąż nieprzytomna, dziewczyna szarpała się i wrywała.

Tymczasem Carl w pośpiechu usiłował wprowadzić, z zachowaniem możliwie największej aseptyki, cewnik do żyły szyjnej Kristin, szamocącej się pod przygniatającym ją ciężarem. Przypominało to próbę trafienia w ruchomy cel. Przyszło mu na myśl, że powinien może zwiększyć dawkę propofolu albo ponownie podać jej miwakurium, ale nie chciał tracić na to czasu. W końcu udało mu się wprowadzić cewnik, ale kiedy odciągnął tłoczek, strzykawkę wypełniła tylko krwawa piana. Spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Pokręcił głową w bezsilnym przerażeniu, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ciało Kristin zeszytywniało na moment, po czym drgnęło w konwulsjach, które przerodziły się w regularny atak padaczkowy.

Carl jak oszalały rzucił się na ratunek, usiłując nie zwracać uwagi na nieprzyjemny ucisk w dołku. Wiedział aż nadto dobrze, że praca anestezjologa to monotonna, otepiająca rutyna, przerywana od czasu do czasu chwilami najczystszonego przerażenia, a to, co stało się teraz, było najgorsze ze wszystkiego: poważne powikłanie podczas całkowicie dobrowolnego zabiegu na młodej, zupełnie zdrowej osobie.

Paul i Sheila odsunęli się w tył, przyciskając do piersi okryte sterylnymi rękawiczkami dłonie. Wraz z obiema pielęgniarkami przyglądali się zmaganiom Carla, usiłującego opanować drgawki Kristin. Gdy było już po wszystkim i dziewczyna znów leżała bez ruchu na plecach, nikt się nie odezwał. Jedynym odgłosem, poza stłumionym dźwiękiem radia, dobiegającym spoza zamkniętych drzwi sali sterylizacyjnej, był szum aparatu do znieczulenia, kierującego oddechem pacjentki.

— Jak brzmi orzeczenie? — zapytał wreszcie Paul. Jego pozbawiony emocji głos rozniósł się echem po wyłożonym kafelkami pomieszczeniu.

Carl westchnął głęboko, flaczejąc jak balon, z którego uszło powietrze. Niechętnym gestem odciągnął palcami wskazującymi powieki Kristin. Silnie rozszerzone źrenice nic zareagowały na światło podsufitowej lampy. Wyjął z kieszeni latarkę i skierował wiązkę światła w oczy pacjentki. Bez rezultatu.

— Nie wygląda to dobrze — wychrypiał. Zaszło mu w gardle. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z takim przypadkiem.

— To znaczy? — zapytał ostro Paul.

Carl z trudem przełknął ślinę.

— To znaczy, przypuszczam, że już po niej. Jakby to powiedzieć... Minutę temu była półprzytomna, a teraz jest wyłączona kompletnie. Nawet już sama nie oddycha.

Paul w zamyśleniu pokiwał głową, przetrawiając te wieści. Wreszcie szybkim ruchem ściągnął rękawiczki, cisnął je na podłogę i rozwiązał maseczkę, która opadła mu na pierś. Spojrzał na Sheilę.

— Może ty dokończysz? Przynajmniej nabierzesz trochę wprawy. I zrób obie strony.

— Mówisz serio? — zapytała z niedowierzaniem Sheila.

— Nie ma sensu, żeby się zmarnowało — odparł Paul.



— Co masz zamiar zrobić?

— Poszukam Kurta Hermanna i porozmawiam sobie z nim — powiedział, rozwiązując i ściągając kitel. — Jest to, co prawda, bardzo niefortunny incydent, ale nie można powiedzieć, żebyśmy nie przewidywali takiej katastrofy, i przynajmniej mamy przygotowany odpowiedni plan działania.

— Zawiadomisz Spencera Wingate'a? — zapytała Sheila. Doktor Wingate był założycielem i nominalnym szefem kliniki.

— Nie wiem jeszcze — odparł Paul. — To zależy. Wolę wstrzymać się z tym i zaczekać na dalszy rozwój wypadków. Co wiesz na temat dzisiejszej wizyty tej Overmeyer?

— Przyjechała własnym samochodem. Stoi na parkingu.

— Przyjechała sama?

— Nie. Tak jak jej radziliśmy, przywiozła koleżankę — odparła Sheila. — Nazywa się Rebecca Corey. Jest teraz w poczekalni.

Paul ruszył w stronę drzwi. Na odchodnym rzucił Carlowi lodowate spojrzenie.

— Przepraszam — powiedział Carl.

Paul zawahał się chwilę. Miał ochotę powiedzieć anestezjologowi, co o nim myśli, ale zmienił zamiar. Chciał zachować spokój, a dyskusja z Carlem w tym momencie zirykowałaby go tylko. Dość już zmarnował przez niego czasu.

Nie zaprzatając sobie nawet głowy przebieraniem się, Paul porwał z pokoju służącego za przedsionek sali operacyjnej długi fartuch lekarski, który naciągnął na siebie, kiedy zbiegał po metalowych schodach. Przemierzywszy parter, wyszedł na trawnik, na którym widać już było pierwsze oznaki wiosny. Otulił się ciasniej fartuchem dla ochrony przed porywistym, kwietniowym nowoangielskim wiatrem i pospieszył ku kamiennemu budynkowi wartowni. Zastał szefa ochrony przy jego starym, zniszczonym biurku, pochylonego nad majowym harmonogramem swego działu.

Jeśli nawet Kurt Hermann był zaskoczony tą niespodziewaną wizytą faktycznego zwierzchnika kliniki, nie dał tego po sobie poznać. Jedyńą, poza podniesieniem głowy, oznaką wskazującą, że dostrzega przybyłego, było lekkie, pytające uniesienie prawej brwi.

Paul sięgnął po jedno z prostych krzesel, stojących pod ścianami skąpo umeblowanego gabinetu, i usiadł przed szefem ochrony.

— Mamy problem — powiedział.

— Słucham — odparł Kurt. Jego krzesło zatrzeszczało, gdy oparł się plecami o poręcz.

— Mieliśmy poważny wypadek podczas zabiegu. Ścisłej mówiąc, śmiertelny.

— Gdzie jest pacjentka?

— Jeszcze na sali operacyjnej, ale już niedługo zostanie wywieziona.

— Jak się nazywa?

— Kristin Overmeyer.

— Przyjechała sama? — zapytał Kurt, zapisując nazwisko.

— Nie, z koleżanką. Koleżanka nazywa się Rebecca Corey. Doktor Donaldson powiedział, że siedzi w poczekalni. Przyjechały razem samochodem.

— Jakiej marki?

— Nie mam pojęcia — przyznał Paul.

— Dowiemy się — powiedział Kurt. Jego stalowoniebieskie oczy spotkały się z oczyma lekarza.

— Po to właśnie was zatrudniamy — stwierdził krótko Paul. — Chcę, żebyście zajęli się tą sprawą, i nie chcę o niczym wiedzieć.

— Nie ma problemu — odparł Kurt. Odłożył długopis ostrożnie, jak gdyby był ze szkła.

Przez chwilę dwaj mężczyźni spoglądali na siebie bez słowa. Wreszcie Paul wstał, odwrócił się i wyszedł w wietrzny, kwietniowy poranek.

## Rozdział 1

8 października 1999

3.15

— No dobrze. Postawmy sprawę jasno — odezwała się do Carltona Williamsa Joanna Meissner. Oboje siedzieli w pograżonym w mroku wnętrzu jeepa cherokee Carltona, zaparkowanego nieprzepisowo pod blokiem mieszkalnym Craigie Arms przy Craigie Street w Cambridge, stan Massachusetts. — Zdecydowałeś, że najlepiej będzie, jeśli zaczekamy ze ślubem, dopóki nie skończysz stażu w szpitalu, czyli jakieś trzy albo cztery lata.

— Niczego nie zdecydowałem — zaproponował Carlton. — Właśnie nad tym dyskutujemy.

Joanna i Carlton spędzili ten piątkowy wieczór na kolacji na Harvard Square, która mijiała im w przyjemnym nastroju, dopóki Joanna nie podjęła drażliwego tematu ich wspólnych planów na przyszłość. Jak zwykle, od tego momentu ton rozmowy pogorszył się. Poruszali tę delikatną kwestię już wiele razy od czasu swych zaręczyn. Ich związek zdecydowanie nie należał do przelotnych; znali się od przedszkola i chodzili ze sobą od dziewiątej klasy.

— Posłuchaj — powiedział uspokajająco Carlton. — Chcę po prostu się zastanowić, co będzie najlepsze dla nas obojga.

— Och, przestań! — wybuchnęła Joanna. Chociaż obiecywała sobie, że nie da się wyprowadzić z równowagi, czuła, jak narasta w niej gniew, niczym zbliżająca się eksplozja w reaktorze jądrowym.

— Mówię poważnie — ciągnął dalej Carlton. — Joanno, haruję jak wół. Sama wiesz, jak często mam dyżury. Wiesz, w jakich godzinach. Praca w Massachusetts General Hospital jest o wiele bardziej wymagająca, niż mi się zdawało.

— No i co z tego? — warknęła Joanna, nie panując już nad swym rozdrażnieniem. Czuła się zdradzona i odepchnięta.

— I dużo z tego — upierał się Carlton. — Jestem wykończony. Moje towarzystwo jest mało przyjemne. Nie potrafię normalnie rozmawiać o niczym, poza swoją pracą. To straszne. Nie wiem nawet, co się dzieje w Bostonie, a co dopiero na świecie.

— Taki argument byłby może wiarygodny, gdybyśmy spotykali się od przypadku do przypadku. Ale prawda jest taka, że widujemy się ze sobą od jedenastu lat. I dopóki nie poruszyłam dzisiaj tej delikatnej kwestii ustalenia daty ślubu, bawiłeś się znakomicie i byłeś zupełnie przyjemnym towarzyszem.

— Bardzo lubię spotykać się z tobą... — zaczął Carlton.

— Miło mi to słyszeć — przerwała mu uszczypliwym tonem Joanna.  
— Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że to ty zaproponowałeś małżeństwo, nie odwrotnie. Tyle tylko że od tamtej pory minęło już siedem lat. Odnoszę wrażenie, że twój zapał co nieco ostygł.

— Nie ostygł — zaprotestował Carlton. — Naprawdę chcę się z tobą ożenić.

— Przykro mi, ale nie brzmi to przekonująco. Po prostu za długo to trwa. Najpierw chciałeś skończyć college. W porządku. Nie ma problemu. Wydawało mi się to rozsądne. Potem uznałeś, że dobrze będzie mieć za sobą pierwsze dwa lata medycyny. Nawet to mi nie przeszkadzało, bo dzięki temu mogłam spokojnie zająć się własnym doktoratem. Ale później stwierdziłeś, że najlepiej się wstrzymać, dopóki nie przebrniesz przez całe studia. Dostrzegasz tu schemat, czy to tylko ponosi mnie wyobraźnia? Potem była mowa o tym, żeby przeczekać twój pierwszy rok stażu. Zgodziłam się, głupia, nawet na to, ale teraz chodzi już o cały staż. Co z umową koleżeńską, o której mówiłeś miesiąc temu? Zresztą potem kto wie, czy nie uznasz, że lepiej zaczekać, aż założysz własną praktykę.

— Próbuję podejść do tego racjonalnie — odparł Carlton. — To poważna decyzja i wymaga, żebyśmy starannie rozważyli wszystkie za i przeciw...

Joanna już nie słuchała. Odwróciła swe szmaragdowozielone oczy od twarzy narzeczonego, który, jak zauważyła, nie patrzył nawet w jej stronę, kiedy do niej mówił. Tak naprawdę unikał jej wzroku, odkąd tylko zaczęli tę rozmowę; podczas jej monologu chwilami tylko ośmielał się napotkać jej wściekłe spojrzenie. Wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem w dal. Nagle poczuła się, jakby spoliczkowała ją jakaś niewidzialna dłoń. Propozycja Carltona, aby jeszcze raz odwlec decyzję co do daty ślubu, otworzyła jej oczy i Joanna mimo woli wybuchnęła śmiechem — nie z rozbawienia, lecz z niedowierzania.

Carlton przerwał w pół słowa swoją wyliczankę dobrych i złych stron pobrania się raczej wcześniej niż później.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał. Oderwał wzrok od kluczyków, które obracał bezmyślnie w dłoniach, i spojrzał na dziewczynę. W ciemnym wnętrzu samochodu jej twarz, oświetlona sączącym się przez przednią szybę blaskiem odległej latarni ulicznej, odcinała się od czerni bocznego okna. Jej łagodny, delikatny profil okalała jarząca się w bladym świetle aureola bujnych, jasnych jak len włosów. Diamentowe błyski skrzyły się na jej olśniewająco białych zębach, ledwo widocznych pomiędzy lekko rozchyłonymi, pełnymi wargami. Dla Carltona Joanna była najpiękniejszą kobietą na świecie, nawet wtedy, gdy go dręczyła.

Ignorując pytanie, dziewczyna w dalszym ciągu zanosila się cichym, smętnym śmiechem, w miarę jak prawda docierała do niej z całą wyrazistością. Nagle zaczęła doceniać słuszność tego, co do znużenia powtarzała jej współlokatorka Deborah Cochrane

i inne koleżanki, mianowicie że małżeństwo jako takie i samo w sobie nie powinno być jej głównym celem życiowym. Więc jednak miały rację: dorastanie na przedmieściach Houston nałożyło jej klapki na oczy. Joanna nie mogła uwierzyć, że przez tyle czasu była aż tak głupia, by nigdy nie zakwestionować systemu wartości, który tak ślepo przyjęła za własny. Na szczęście, czekając nadaremnie na Carltona, miała dość rozsądku, by położyć fundamenty pod własną, satysfakcjonującą karierę zawodową. Jedyne prace dyplomowa dzieliła ją od tytułu doktora ekonomii na Harvardzie, uzupełnionego rozległą wiedzą na temat komputerów.

— Z czego się śmiejesz? — powtórzył Carlton. — Hej! Odezwij się do mnie!

— Z samej siebie się śmieję — powiedziała wreszcie. Odwróciła się, by spojrzeć na narzeczonego. Wydawał się zdezorientowany. Patrzył na nią ze ściągniętymi brwiami.

— Nie rozumiem — rzekł.

— To dziwne — stwierdziła Joanna. — Dla mnie wszystko jest dość oczywiste.

Spuściła wzrok ku pierścionkowi zaręczynowemu na palcu lewej dłoni. Samotny diament przyciągał ku sobie każdą odrobinę światła, odrzucając je ku niej z przedziwną intensywnością. Kamień należał niegdyś do babki Carltona i Joanna była nim zachwycona, przede wszystkim ze względu na jego wartość sentymentalną. Ale w tej chwili wydał jej się tylko wulgarną błyskotką, pamiątką jej własnej naiwności.

Nagle ogarnęła ją klaustrofobia. Bez ostrzeżenia otworzyła drzwi, wysliznęła się na zewnątrz i stanęła na krawężniku.

— Joanno! — krzyknął za nią Carlton. Przechylił się nad deską rozdzielczą, by móc dojrzeć jej twarz. Widniał na niej wyraz zawziętego zdecydowania. Jej zwykle tak miękko układające się wargi wykrzywiały grymas ponurej determinacji.

Mężczyzna otwierał już usta, by zapytać ją, o co chodzi, choć i tak wiedział to aż nadto dobrze. Zanim jednak zdążył się przemóc, drzwi samochodu zatrzasnęły mu się przed nosem. Podpierając się ręką, nacisnął po omacku przycisk otwierający okno od strony pasażera. Gdy szyba opuściła się, Joanna nachyliła się do otworu. Jej twarz nie złagodniała nawet odrobinę.

— Miej choć tyle taktu, żeby nie pytać mnie, o co chodzi — powiedziała.

— Nie zachowujesz się jak osoba dorosła — stwierdził dobitnie Carlton.

— Dziękuję ci za bezstronną ocenę — odparowała. — I dziękuję, że tak jasno przedstawiłeś mi całą sprawę. To z pewnością ułatwia mi podjęcie decyzji.

— Jakiej decyzji? — zapytał Carlton. Niedawna stanowczość w jego głosie zniknęła, ustępując miejsca wyraźnemu drżeniu. Niejasno domyślał się, co teraz nastąpi, i na myśl o tym czuł nieprzyjemny ucisk w dołku.

— Co do mojej przyszłości — odparła Joanna. — Masz! — wyciągnęła zaciśniętą pięść, wyraźnie zamierzając mu coś podać.

Z wahaniem nadstawił złożoną w miseczkę dłoń. Poczul, jak upada na nią coś chłodnego. Spojrzawszy w dół, stwierdził, że patrzy na diament swojej babki.

— Co to ma znaczyć? — wyjąkał.

— Myślę, że to zupełnie oczywiste — oświadczyła Joanna. — Możesz bez żadnych zobowiązań zakończyć swój staż i cokolwiek jeszcze przyjdzie ci do głowy. Nie chcę mieć poczucia, że jestem ci kulą u nogi.

— Chyba nie mówisz poważnie? — zapytał. Zaskoczony tym nieoczekiwanym obrotem wydarzeń, czuł się kompletnie oszołomiony i zdezorientowany.

— Najzupełniej poważnie — odparła Joanna. — Uważaj nasze zaręczyny za oficjalnie zerwane. Dobranoc, Carlton.

Odwróciła się i ruszyła przez Craigie Street w stronę Concord Avenue i wejścia do budynku Craigie Arms. Jej mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze.

Po krótkiej szamotaninie z klamką Carlton wyskoczył z samochodu i rzucił się pędem za Joanną, znikającą już za zakrętem. Kilka ciemnoczerwonych liści klonu, które tego samego dnia opadły z drzewa, uniosło się za nim w powietrze. Dogonił swą byłą narzeczoną tuż przy bramie budynku. Był zdyszany. W garści ścisnął pierścionek zaręczynowy.

— W porządku — wysapał. — Dopięłaś swego. Masz. Weź pierścionek z powrotem. — Wyciągnął dłoń.

Joanna pokręciła głową. Zawziętość już ją opuściła. W jej miejsce pojawił się słaby uśmiech.

— Nie oddałam ci go ot, tak sobie, ani nie po to, żeby cię do czegośkolwiek zmuszać. Poza tym właściwie wcale nie jestem na ciebie zła. Najwyraźniej nie masz teraz ochoty na ślub, i ni stąd, ni zowąd, ja też nie. Dajmy sobie spokój. Nadal jesteśmy przyjaciółmi.

— Ale ja cię kocham — wypalił Carlton.

— Pochlebia mi to — odparła Joanna. — I myślę, że ja też wciąż cię kocham, ale to wszystko ciągnie się zbyt długo. Idźmy każde w swoją stronę, przynajmniej na razie.

— Ale...

— Dobranoc, Carlton. — Joanna wspięła się na palce i musnęła wargami jego policzek. Chwilę później była już w windzie. Nie obejrzała się za siebie.

Przy drzwiach mieszkania, wkładając klucz do zamka, stwierdziła, że drży. Mimo pozornej beztroski, z jaką odprawiła Carltona, czuła kłębiące się tuż pod powierzchnią emocje.

— Oho! — wykrzyknęła znad komputera jej współlokatorka, Deborah Cochrane. Sprawdziła godzinę na pasku zadań. — Trochę wcześniej jak na piątkowy wieczór. Co się stało?

Deborah miała na sobie obszerną sportową bluzę z emblematem Harvardu. W porównaniu z delikatną, porcelanowo kobiecą urodą swej koleżanki wyglądała odrobinę chłopięco ze swymi krótko obciętymi, ciemnymi włosami, śródziemnomorsko oliwkową cerą i wysportowaną sylwetką. Wrażenia tego dopełniały rysy twarzy, wy-

razistsze i pełniejsze niż u Joanny, a jednak nie mniej kobiece. W sumie obie przyjaciółki dopełniały się wzajemnie, przez kontrast podkreślając swoją naturalną atrakcyjność.

Joanna nie odpowiedziała. W milczeniu odwiesiła płaszcz do szafy w przedpokoju. Czując na sobie uważne spojrzenie Deborah, weszła do skąpo umeblowanego pokoju, który służył im za salon, i opadła ciężko na kanapę. Podwinęła nogi pod siebie i dopiero wtedy spojrzała w pytające oczy przyjaciółki.

— Nie mów mi tylko, że się pokłóciliście — powiedziała Deborah.

— To właściwie nie była kłótnia — odparła Joanna. — Po prostu się rozstaliśmy.

Deborah z wrażenia otworzyła usta. Przez całe sześć lat ich znajomości, od pierwszego roku studiów, Carlton był stałym elementem życia Joanny. Na ile mogła to stwierdzić, w ich związku nie było najmniejszego śladu rozdźwięku.

— Co się stało? — zapytała ze zdumieniem.

— Nagle mnie olśniło — odparła Joanna. Głos drżał jej lekko, co nie uszło uwagi przyjaciółki. — Z naszymi zaręczynami koniec i powiem więcej: przestaję uwzględniać małżeństwo w swoich planach, kropka. Jeśli się trafi, to świetnie, ale jeśli nie, też dobrze.

— Co ja słyszę! — zawołała Deborah z ledwo powstrzymanym rozbawieniem. — To nie są słowa tego słodkiego dziewczątka, które tak uwielbiałam. Skąd ta zmiana? — Deborah uważała gorliwość, z jaką Joanna zmierzała ku małżeństwu, za niemal religijną w swej stałości i sile.

— Carlton chciał odłożyć ślub do czasu, kiedy skończy staż — wyjaśniła Joanna.

W krótkich słowach zrelacjonowała ostatnie piętnaście minut ich randki. Deborah słuchała w skupieniu.

— Dobrze się czujesz? — zapytała, kiedy opowieść dobiegła końca. Pochyliła się, by uważnie spojrzeć w oczy przyjaciółki.

— Lepiej, niż mogłabym się spodziewać — stwierdziła Joanna. — Jestem może trochę roztrzęsiona, ale ogólnie rzecz biorąc, czuję się świetnie.

— W takim razie trzeba to uczcić! — wykrzyknęła Deborah. Zerwała się z kanapy i popędziła w podskokach do kuchni. — Ta butelka szampana, którą trzymam w lodówce, już od paru miesięcy zabiera tylko miejsce — zawołała przez ramię. — Oto odpowiednia okazja, żeby ją otworzyć.

— Pewnie tak — mruknęła Joanna. Nie miała zbyt wielkiej ochoty na świętowanie, ale przeciwstawienie się entuzjazmowi Deborah wymagałoby zbyt wiele wysiłku.

— Już mam! — oznajmiła Deborah, wracając z butelką szampana w jednej ręce i dwoma wysmukłymi kieliszkami w drugiej. Uklękała przy niskim stoliku i zaatakowała butelkę. Korek wyskoczył z donośnym hukiem i odbił się od sufitu. Deborah wybuchnęła śmiechem, zauważyła jednak, że Joanna pozostała poważna.



— Na pewno wszystko w porządku? — zapytała.

— Cóż, muszę przyznać, że to ogromna zmiana.

— To za mało powiedziane — oświadczyła Deborah. — Na ile cię znam, to dla ciebie odpowiednik nawrócenia świętego Pawła na drodze do Damaszku. Byłaś przygotowywana przez houstońskie otoczenie do stanu małżeńskiego, zanim w ogóle przyszałaś na świat.

Joanna roześmiała się mimo woli.

Deborah rozlała szampana. Zrobiła to zbyt szybko i kieliszki wypełniły się niemal samą pianą, która przelała się na blat stolika. Nie zrażona tym Deborah pochwyciła je, podała jeden Joannie i trąciła się z nią szkłem.

— Witaj w dwudziestym pierwszym wieku — powiedziała.

Dziewczyny uniosły kieliszki do ust. Zakrztusiły się pianą i obie wybuchnęły śmiechem. Nie chcąc, by nastrój się ulotnił, Deborah szybko odniosła kieliszki do kuchni, opłukała je i przyniosła z powrotem. Tym razem nalewała ostrożniej, starając się, by szampan spływał po ściankach, tak że w naczyniach znalazł się głównie płyn.

— Nie jest to najlepszy trunek — stwierdziła. — Ale nic w tym dziwnego. Dostałam go wieki temu od Davida, a on, niestety, od samego początku był straszliwym sknerą.

Tydzień wcześniej Deborah zerwała ze swym ostatnim chłopakiem, Davidem Curtisem, z którym chodziła od czterech miesięcy. W przeciwieństwie do Joanny jej najdłuższy związek trwał niecałe dwa lata, a było to jeszcze w szkole średniej. Pod wieloma względami obie dziewczyny nie mogłyby bardziej różnić się od siebie. Zamiast zamożnych przedmieść południa Stanów Zjednoczonych, z nieodłącznymi balami debiutantek fundowanymi za pieniądze z ropy naftowej, które były udziałem Joanny, Deborah dorastała na Manhattanie, wychowywana przez prowadzącą cygańskie życie, pogrążoną w środowisku uczelnianym matkę. Deborah nigdy nie poznała swego ojca, gdyż właśnie to, że miała przyjść na świat, było przyczyną rozstania się jej rodziców. Jej matka żyła przez długi czas samotnie — wyszła za mąż dopiero wtedy, kiedy córka wyjechała na studia.

— I tak nie przepadam zbyttnio za szampanem — powiedziała Joanna. — Prawdę mówiąc, nie potrafiłabym nawet odróżnić dobrego od kiepskiego. — Zakręciła kieliszkiem w palcach, przez chwilę wpatrując się w ulatujące bąbelki.

— Co się stało z twoim pierścieniem? — zapytała Deborah, dopiero teraz spostrzegając jego brak.

— Oddałam go — odparła niedbale Joanna.

Deborah w osłupieniu pokręciła głową. Jej przyjaciółka uwielbiała ten diament i wszystko, co symbolizował. Rzadko zdejmowała go z palca.

— Traktuję tę sprawę poważnie — dodała Joanna.

— Takie właśnie odnoszę wrażenie — stwierdziła Deborah. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.



Krótką ciszę przerwał nagle dzwonek telefonu. Deborah wstała, żeby odebrać.

— To pewnie Carlton, ale nie chcę z nim rozmawiać — powiedziała Joanna.

Stanąwszy przy biurku, Deborah spojrzała na wyświetlacz aparatu.

— Masz rację, to Carlton.

— Zostaw, niech odbierze automatyczna sekretarka.

Deborah wróciła do stolika i opadła z powrotem na kanapę. Dziewczyny patrzyły na siebie bez słowa. Telefon brzęczał uparcie. Po czwartym sygnale włączył się automat. Nastąpiła chwila ciszy, kiedy odtwarzany był tekst powitania. Potem w ascetycznie urządzonym pokoju rozległ się wśród lekkich trzasków niespokojny głos Carltona:

— Masz rację, Joanno! To głupi pomysł, czekać, aż skończę staż.

— Wcale nie mówiłam, że to głupi pomysł — wtrąciła Joanna scenicznym szeptem, jak gdyby chłopak mógł ją usłyszeć.

— I wiesz co? — ciągnął Carlton. — Dlaczego nie mielibyśmy pójść na całość i nie zaplanować tego na najbliższy czerwiec? Pamiętam, jak zawsze mówiłaś, że chciała-byś, aby nasz ślub był w czerwcu. No więc, czerwiec mi odpowiada. Tak czy inaczej, zadzwoń do mnie, kiedy odsłuchasz tę wiadomość, żebyśmy mogli o tym porozmawiać. Zgoda?

Automatyczna sekretarka wydała jeszcze parę mechanicznych dźwięków, zanim zaczęła mrugać czerwona lampka z przodu aparatu.

— Teraz widzisz, jakie on ma o wszystkim pojęcie — odezwała się Joanna. — Nie ma szans, żeby moja matka zdążyła w ciągu ośmiu miesięcy przygotować przyzwoite ho-ustońskie wesele.

— Sprawiał wrażenie nieco zdesperowanego — zauważyła Deborah. — Jeśli chcesz oddzwonić do niego i porozmawiać na osobności, mogę się wynieść.

— Nie chcę z nim rozmawiać — odparła szybko Joanna. — Nie teraz.

Deborah przekrzywiła głowę, uważnie wpatrując się w twarz przyjaciółki. Chciała okazać jej wsparcie, ale chwilowo nie bardzo wiedziała, jak najlepiej odegrać tę rolę.

— To nie była zwykła sprzeczka — wyjaśniła Joanna — ani jakaś gra dwojga zakonanych. Nie próbuję nim manipulować i szczerze mówiąc, czułabym się niezręcznie, gdybyśmy rzeczywiście mieli się teraz pobrać.

— Zupełna odmiana.

— Otóż to — przyznała Joanna. — W tej chwili on próbuje przyspieszyć termin ślubu, a ja byłabym za tym, żeby go odwlec. Potrzebuję trochę czasu i przestrzeni.

— W pełni cię rozumiem — powiedziała Deborah. — I wiesz co? Myślę, że mądrze robisz, nie pozwalając, żeby ta sytuacja przerodziła się w zajadłą kłótnię.

— Problem w tym, że ja naprawdę go kocham — odparła Joanna, zmuszając się do uśmiechu. — Gdyby doszło do kłótni, mogłabym przegrać.

Deborah roześmiała się.

— To prawda. Tak niedawno nawróciłaś się na bardziej nowoczesny, rozsądny stosunek do małżeństwa, że w każdej chwili grozi ci cofnięcie się na drogę grzechu. Zdecydowanie potrzeba ci czasu i przestrzeni. I wiesz co? Myślę, że mam odpowiedź.

— Odpowiedź na co? — zapytała Joanna.

— Pokażę ci coś — odparła Deborah. Podniosła się na nogi i zdjęła z biurka najnowszy numer „Harvard Crimson”, złożony na dziale ogłoszeń. Podała gazetę przyjaciółce.

Przebiegłszy stroną wzrokiem, Joanna przeczytała zakreśloną notatkę. Spojrzała pytająco na Deborah.

— Chodzi ci o to ogłoszenie z Kliniki Wingate’a?

— Właśnie — przytaknęła z ożywieniem Deborah.

— To oferta dla dawczyń komórek jajowych — stwierdziła Joanna.

— Zgadza się.

— Więc co to za odpowiedź?

Deborah okrążyła stolik, by usiąść obok przyjaciółki. Wskazała palcem oferowane wynagrodzenie.

— Odpowiedź to pieniądze — powiedziała. — Czterdzieści pięć tysięcy dolarów na łebka!

— To ogłoszenie zostało opublikowane w „Crimson” już wiosną i wywołało wrzawę — zauważyła Joanna. — Potem nie ukazało się więcej. Sądysz, że to poważna oferta, czy może raczej tylko jakiś studencki żart?

— Myślę, że oferta jest poważna — odparła Deborah. — Wingate to klinika leczenia niepłodności w Bookford w stanie Massachusetts, niedaleko Concord. Tyle dowiedziałam się z ich strony internetowej.

— Dlaczego są gotowi płacić aż takie sumy?

— Z tego, co piszą na stronie internetowej, wynika, że miewają bogatych klientów, którzy są skłonni wyłożyć pieniądze na to, co uważają za najlepsze. Najwyraźniej ci klienci chcą mieć studentki Harvardu. To musi być coś w rodzaju tego banku nasienia w Kalifornii, gdzie dawcami są sami laureaci Nobla. Z genetycznego punktu widzenia to wariactwo, ale kim jesteśmy, żeby im to wytykać?

— My w każdym razie nie jesteśmy laureatkami Nobla — stwierdziła Joanna. — Jeśli chodzi o ścisłość, nie jesteśmy też studentkami. Dlaczego sądzisz, że byliby nami zainteresowani?

— Dlaczego mieliby nie być? — odparła Deborah. — Myślę, że jako doktorantki zaliczamy się do studentek Harvardu. Nie przypuszczam, żeby chodziło im tylko o osoby przed dyplomem. Zresztą na stronie internetowej precyzują, że interesują ich dziewczyny w wieku do dwudziestu pięciu lat. Mieścimy się w tym już ledwo, ledwo.

— Ale wspominają też, że kandydatki powinny być zrównoważone emocjonalnie, atrakcyjne, wysportowane i bez nadwagi. Czy nie naciągamy tu trochę faktów?

— Coś ty! Uważam, że jesteśmy idealne.

— Wysłuchaj? — Joanna uśmiechnęła się z powątpiewaniem. — Może ty, ale ja nie. I zrównoważone emocjonalnie. To już przesada, szczególnie jeśli chodzi o mnie w obecnej sytuacji.

— No cóż, nie zaszkodzi spróbować — powiedziała Deborah. — Może nie jesteś największą sportsmenką na uczelni, ale powiemy im, że będziemy dawczyniami jedynie jako para. Muszą przyjąć nas obie. Wszystko albo nic. A nasze wyniki SAT\* są odpowiednie.

— Naprawdę masz zamiar to zrobić? — zapytała Joanna. Przyjrzała się uważnie swej współlokatorce. Znała już jej skłonność do dziwnych żartów.

— Z początku nie myślałam o tym poważnie — przyznała Deborah. — Ale potem, pod wieczór, zaczęłam się zastanawiać. Wiesz, finansowo jest to kuszące. Wyobraź sobie tylko: czterdzieści pięć kawałków na rękę! Takie pieniądze mogłyby dać nam pierwszy raz w życiu trochę swobody, nawet jeśli mamy jeszcze na głowie nasze prace doktorskie. A teraz, kiedy, jak słyszę, zdecydowałaś się nie polegać na ekonomicznym bezpieczeństwie stanu małżeńskiego, ten pomysł powinien być dla ciebie jeszcze bardziej nęcący. Potrzebujesz więcej atutów niż samo wykształcenie, żeby wytrwać w swoim postanowieniu i, mówiąc bez ogródek, zacząć układać sobie życie jako osoba stanu wolnego. Taka suma zapewniłaby ci dobry początek.

Joanna rzuciła gazetę na stolik.

— Czasami nie wiem, kiedy mnie nabierasz.

— Słuchaj, ja nie żartuję. Powiedziałaś, że potrzebna ci czasu i przestrzeni. Takie pieniądze są w stanie zapewnić to i jeszcze więcej. Plan jest taki: jedziemy do tej Kliniki Wingate'a, dajemy im parę komórek jajowych i zgarniamy dziewięćdziesiąt kawałków. Z tego za jakieś pięćdziesiąt kawałków kupujemy trzypokojowe mieszkanie w Bostonie albo w Cambridge, które wynajmujemy, żeby spłacić hipotekę.

— Miałybyśmy kupować mieszkanie po to, żeby je wynajmować? — zapytała Joanna.

— Daj mi skończyć — upomniała ją Deborah.

— Ale czy nie lepiej byłoby po prostu mądrze zainwestować te pięćdziesiąt tysięcy? Pamiętaj: to ja jestem ekonomistką, a ty biologiem.

— Może i robisz doktorat z ekonomii, ale jesteś zupełnie zielona, jeśli chodzi o życie samotnej kobiety w dwudziestym pierwszym wieku. Zamknij więc buzię i słuchaj. Kupujemy mieszkanie, żeby zapewnić sobie jakąś stabilizację. W poprzednim pokoleniu kobiety szukały tego w małżeństwie, ale teraz musimy zatroszczyć się o to same. Mieszkanie będzie miłym pierwszym krokiem w życie, a przy tym dobrą inwestycją.

---

\*SAT (Scholastic Aptitude Test) — w szkolnictwie amerykańskim: egzamin zdawany w ostatniej klasie szkoły średniej, obejmujący test sprawności językowej i matematykę, którego wyniki stanowią jedno z kryteriów przyjęć na studia (przyp. tłum.)

— O rany! — wykrzyknęła Joanna. — Ledwo za tobą nadążam.

— No widzisz — powiedziała Deborah. — A to jeszcze nie wszystko. Oto najciekawsza część planu: bierzemy pozostałe czterdzieści kawałków i jedziemy do Wenecji, żeby tam pisać nasze prace doktorskie.

— Do Wenecji?! — jęknęła Joanna. — Oszalałaś, dziewczyno!

— Czyżby? — zadrwiła Deborah. — Zastanów się. Jeśli chcesz mieć trochę czasu i przestrzeni, cóż lepszego można by wymyślić? My będziemy w Wenecji, w jakimś przytulnym mieszkanku, a tutaj Carlton będzie odwalał swój staż. Napiszemy prace i przy okazji rozerwiemy się trochę, z daleka od twojego doktora.

Joanna zapatrzyła się przed siebie niewidzącym wzrokiem. W jej myślach przewijały się obrazy Wenecji. Kiedyś, jeszcze w średniej szkole, spędziła wraz z rodzicami i rodzeństwem kilka dni w tym magicznym mieście. Pamiętała migotanie światła na wodach Canale Grande i odbłaski pełzające po gotyckich fasadach budynków. Z równie zdumiewającą wyrazistością przypominała sobie gwar placu św. Marka, z zagłuszającymi się wzajemnie zespołami muzycznymi dwóch słynnych, rywalizujących ze sobą kawiarni. Obiecała sobie wtedy, że powróci kiedyś do tego najbardziej romantycznego z miast. Oczywiście wyobrażała sobie, że wróci tam z Carltonem, który jej wtedy nie towarzyszył, ale z którym już się widywała.

— I jeszcze jedno — powiedziała Deborah, wyrывая ją z zamyślenia. — Oddanie paru komórek jajowych, których, nawiasem mówiąc, mamy kilkaset tysięcy, więc nie odczujemy ich braku, pozwoli nam w pewnym stopniu zaspokoić nasze instynkty macierzyńskie.

— Teraz już widzę, że kpisz sobie ze mnie — stwierdziła Joanna.

— Wcale nie! — odparła stanowczo Deborah. — Dzięki naszemu wkładowi kilka bezdzietnych par doczeka się potomstwa, a ich dzieci będą miały połowę naszych genów. Na świecie pojawi się parę „pół-Joann” i „pół-Deborah”.

— Może to i prawda — przyznała Joanna. Oczywiście wyobraźni zobaczyła małą dziewczynkę, podobną trochę do niej samej. Była to przyjemna wizja, dopóki nie spostrzegła, że dziewczynce towarzyszą dwie zupełnie obce osoby.

— Oczywiście, że prawda — odparła Deborah. — A przy tym nie będziemy musiały zmieniać pieluszek ani zarywać snu. Więc co ty na to? Spróbujemy?

— Zaczekaj chwilę! — zawołała Joanna. Uniosła dłonie w obronnym geście. — Nie tak prędko! Zakładając, że zostaniemy przyjęte, co wcale nie jest takie pewne, wzięwszy pod uwagę wszystkie warunki, jakie podali w ogłoszeniu, mam parę zasadniczych pytań.

— Na przykład?

— Na przykład, jak właściwie oddaje się komórki jajowe? To znaczy, jak wygląda cała procedura? Wiesz, że nie przepadam za lekarzami i szpitalami.

— Zabawnie to brzmi w ustach kogoś, kto przez ostatnie pół wieku umawiał się z adeptem sztuki medycznej.

— Kłopoty zaczynają się dopiero wtedy, kiedy stają się pacjentką — stwierdziła Joanna.

— W ogłoszeniu jest mowa o minimalnej stymulacji — powiedziała Deborah.

— To dobrze?

— Jak najbardziej — odparła Deborah. — Zwykle trzeba silnie pobudzić jajniki, żeby skłonić je do wyprodukowania większej liczby komórek jajowych, a nadmierna stymulacja może u niektórych kobiet wywołać negatywne skutki, na przykład potworny zespół napięcia przedmiesiączkowego. Stymulację przeprowadza się przy użyciu silnych środków hormonalnych. Wierz mi lub nie, ale niektóre z tych hormonów są uzyskiwane od włoskich zakonnice po menopauzie.

— Och, przestań! — zaprotestowała Joanna. — W to już nie uwierzę.

— Jak babcię kocham! — przekonywała Deborah. — Te zakonnice wytwarzają w przysadkach mózgowych ogromne ilości hormonów pobudzających rozwój pęcherzyków Graafa. Uzyskuje się je z ich moczu. Uwierz mi!

— Wierzę ci na słowo — odparła Joanna, krzywiąc się z niesmakiem. — Ale wracając do naszej sprawy: dlaczego twoim zdaniem w Wingate nie przeprowadzają nadmiernej stymulacji?

— Przypuszczam, że zależy im bardziej na jakości niż ilości — orzekła Deborah. — Ale to tylko mój domysł. Dobrze byłoby ich o to zapytać.

— Jak konkretnie odbywa się pobranie komórek jajowych?

— Tu też mogę się tylko domyślać, ale wydaje mi się, że przez zassanie igłą. Przypuszczam, że do nakierowania igły wykorzystują ultrasonografie.

— Au! — jęknęła Joanna, wzdrygając się. — Nie cierpię igieł, a tu mówimy chyba o jakiejś wyjątkowo długasnej. Gdzie ją będą wkłuwać?

— Przypuszczam, że przez pochwę — odparła Deborah.

Joanna znów wyraźnie się wzdrygnęła.

— Och, przestań! — oburzyła się Deborah. — Zapewne nie będzie to spacerek po parku, ale też nie może to być nic straszego. Mnóstwo kobiet przechodzi przez to w ramach sztucznego zapłodnienia. I pamiętaj, że mówimy o czterdziestu pięciu tysiącach dolarów. To warte odrobiny przykrości.

— Dadzą nam narkozę?

— Nie mam pojęcia — przyznała Deborah. — To następna rzecz, o którą możemy zapytać.

— Nie mogę uwierzyć, że mówisz to wszystko poważnie.

— Ale przecież to jest układ, w którym wszyscy odnoszą korzyści. My dostaniemy poważne pieniądze, a kilka par będzie miało dziecko. To tak, jakby płacono nam za dobry uczynek.

— Może dobrze byłoby porozmawiać z kimś, kto przez to przeszedł — podsunęła Joanna.

— Wiesz, chyba da się to zrobić — odparła Deborah. — Kwestia oddawania komórek jajowych wypłynęła na dyskusji w grupie laboratoryjnej z biologii, z którą miałam zajęcia w ubiegłym semestrze. To było wtedy, kiedy Klinika Wingate'a zamieściła swoje pierwsze ogłoszenie w „Crimson”. Jedna z pierwszorocznych studentek powiedziała, że była tam na rozmowie, została zaakceptowana i właśnie czeka na zabieg.

— Jak się nazywała?

— Nie pamiętam, ale wiem, jak to sprawdzić. Ona i jej współlokatorka należały do tego samego zespołu i były jednymi z najlepszych studentek. Znajdę je w swoim notesie. Chwileczkę.

Kiedy Deborah zniknęła w swojej sypialni, Joanna usiłowała uporządkować sobie w myślach wszystko, co wydarzyło się w jej życiu w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Była oszołomiona i lekko skołowana. Wypadki następowały po sobie z zawrotną szybkością.

— Voilà! — zawołała Deborah z sypialni. Sekundę później pojawiła się w drzwiach z otwartym notatnikiem w dłoni i prosto jak strzała ruszyła do biurka. — Gdzie jest uczelniana książka telefoniczna?

— W drugiej szufladzie po prawej stronie — odparła Joanna. — Jak się nazywa ta dziewczyna?

— Kristin Overmeyer — powiedziała Deborah. — A jej współlokatorka to Jessica Detrick. Były partnerkami w laboratorium i postawiłam im najwyższe oceny w całej grupie. — Wyciągnęła książkę telefoniczną i odszukała właściwą stronę. — To dziwne! Nie ma jej tu. Jak to możliwe?

— Może wyleciała z uczelni — podsunęła Joanna.

— Nie wierzę w to — odparła Deborah. — Mówię ci, że była świetną studentką.

— Może oddanie komórek jajowych było dla niej zbyt wielkim przeżyciem.

— Żartujesz.

— Oczywiście, że żartuję — przyznała Joanna. — Ale to zastanawiające.

— Teraz nie mam wyjścia: muszę dowiedzieć się, o co chodzi, albo użyjesz tego jako wymówki — westchnęła Deborah. Szybko przekartkowała książkę telefoniczną i zaczęła wystukiwać numer.

— Do kogo dzwonisz?

— Do Jessiki Detrick — odparła Deborah. — Może ona powie nam, jak skontaktować się z Kristin, o ile spędza piątkowy wieczór w akademiku na nauce.

Joanna zamieniła się w słuch, gdy Deborah dała jej uniesionym kciukiem znak, że Jessica odebrała telefon. Kiedy Deborah spoważniała, a z jej ust zaczęły padać słowa w rodzaju: „Och, to straszne”, „Przykro mi to słyszeć” i „Co za tragedia!”, zainteresowanie Joanny wzrosło niepomierne.



Gdy dość długa rozmowa dobiegła końca, Deborah powoli odłożyła słuchawkę, po czym odwróciła się i spojrzała na przyjaciółkę. Głęboko zamyślona, w roztargnieniu przygryzała wewnątrz policzka.

— I co? — zapytała Joanna. — Nie zdradzisz mi tajemnicy? Co to za tragedia?

— Kristin Overmeyer zaginęła — wyjaśniła Deborah. — Ona i jej koleżanka z roku, Rebecca Corey. Ostatni raz widział je jeden z pracowników Kliniki Wingate'a. Tuż po opuszczeniu kliniki wzięły do samochodu jakiegoś autostopowicza.

— Słyszałam, że wiosną zaginęły jakieś dwie studentki — przyznała Joanna. — Ale nazwiska nie obity mi się o uszy.

— Co je, na Boga, skłoniło, żeby zabrać autostopowicza?

— Może go znały?

— Może — powiedziała Deborah. Tym razem to ona się zdrygnęła. — Skóra mi cierpnie, kiedy słyszę takie historie.

— Nie udało się odnaleźć tych dziewczyn? Może ich zwłoki?

— Tylko samochód. Należał do Rebecki Corey. Znaleziono go na postoju dla ciężarówek przy autostradzie do New Jersey. Samych dziewczyn nigdy więcej nie widziano. Ani żadnej z ich rzeczy, na przykład torebek albo ubrania.

— Czy od Kristin pobrano komórki jajowe?

— Sześć sztuk. Rodzina skierowała sprawę do sądu, żeby je odebrać, ale klinika zgodziła się oddać je dobrowolnie. Najwyraźniej jej krewni chcieli mieć coś do powiedzenia w kwestii ich dalszego losu. Co za smutna historia!

— I to by było na tyle, jeśli chodzi o zasięgnięcie języka na temat zabiegu — skwitowała Joanna.

— Zawsze możemy zadzwonić do kliniki i poprosić o nazwisko jakiejś dawczyni — odparła Deborah.

— Skoro mamy już dzwonić do kliniki, możemy od razu wypytać ich o wszystko — stwierdziła Joanna. — Jeśli rozmowa wypadnie dobrze, mogłybyśmy poprosić, żeby skontaktowali nas z osobą, która już przez to przeszła.

— Czyli zgadzasz się spróbować?

— Myślę, że nie zaszkodzi dowiedzieć się więcej — odparła Joanna. — W każdym razie nie obiecuję niczego, poza ewentualną wizytą w klinice.

— Świetnie! — wykrzyknęła Deborah. Podeszła do przyjaciółki i przybiła z nią piątkę. — Wenecjo, przybywamy!

## Rozdział 2

15 października 1999

7.05

Był piękny jesienny dzień, gdy Deborah i Joanna, opuściwszy Cambridge, w powodzi różnobarwnych liści mknęły autostradą nr 2 na północny zachód, w stronę Bookford. Słońce miały za sobą, więc nie raziło im oczu, i tylko od czasu do czasu oślepiął je refleks odbity od przedniej szyby któregoś z samochodów, tłumnie ciągnących do Bostonu. Obie dziewczyny miały na sobie okulary przeciwsłoneczne i czapeczki baseballowe.

Nie rozmawiały, odkąd minęły Fresh Pond. Każda pogrążyła się we własnych myślach. Deborah przede wszystkim nie mogła się nadziwić, jak szybko ich plany nabrały realnych kształtów, tak jakby kontakt z Kliniką Wingate'a i wszystko, co miało się z tym wiązać, były im od dawna pisane. Rozmyślenia Joanny koncentrowały się bardziej na jej przeżyciach wewnętrznych. Zdawało jej się niewiarygodne, jak wiele w jej życiu uległo zmianie w ciągu ostatniego tygodnia i jaki wielki spokój czuje pomimo tych zmian. W niedzielę, kiedy uznała wreszcie, że doszła do siebie na tyle, by porozmawiać z Carltonem i stawić czoło jego prawdopodobnym naleganiom, by ślub odbył się w czerwcu, on zaciął się w złości do tego stopnia, że nie raczył nawet odbierać telefonu. Przez kilka dni na próżno dzwoniła i zostawiała wiadomości. W efekcie nie rozmawiali ze sobą przez cały tydzień, co potwierdziło tylko w oczach Joanny słuszność jej nagłego olśnienia w stosunku do małżeństwa w ogóle i do Carltona w szczególności. Uwzględniwszy wszystkie jego dotychczasowe uniki, jego obecna negatywna postawa wydawała jej się nie na miejscu. W każdym razie nie wróżyło to dobrze. Komunikacja zajmowała wysoką pozycję w jej systemie wartości.

— Pamiętałaś, żeby zabrać tę listę pytań, którą przygotowałaś? — odezwała się Deborah.

— Oczywiście — odparła Joanna. Pytania dotyczyły głównie dolegliwości, jakich mogą spodziewać się po zabiegu, ograniczeń w uprawianiu sportu i tym podobnych spraw.

Deborah była mile zaskoczona sposobem, w jaki Klinika Wingate'a zareagowała na ich zgłoszenie. W poniedziałek rano zadzwoniły z Joanną na numer podany w „Harvard Crimson”, a kiedy przedstawiły się jako ewentualne kandydatki na dawczynie komórek jajowych, skontaktowano je z doktor Sheila Donaldson, która zaproponowała



im natychmiastowe spotkanie. Niecałą godzinę później pani doktor zjawiła się w ich mieszkaniu w Craigie Arms i zaimponowała im swoim profesjonalizmem. W krótkich słowach przedstawiła całe przedsięwzięcie i udzieliła wyczerpujących odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie do tej pory przysły im do głowy.

— Nie wydaje nam się, żeby stymulacja jajników była potrzebna — oświadczyła już na początku rozmowy. — Prawdę mówiąc, wcale jej nie przeprowadzamy. Nazywamy to „podejściem naturalnym”. Absolutnie nie zależy nam na przysparzaniu naszym dawkcy-niom jakichkolwiek problemów, jakie mogą wiązać się z użyciem syntetycznych albo skoncentrowanych hormonów.

— Ale jak w takim razie możecie mieć pewność, że uzyskacie choć jedno jajeczko? — zapytała Deborah.

— Czasami nie uzyskujemy nic — przyznała doktor Donaldson.

— Ale wtedy również płacicie, prawda?

— Jak najbardziej — uspokoiła ją lekarka.

— Jakiego rodzaju znieczulenia używacie? — zapytała Joanna. Ta kwestia interesowała ją najbardziej.

— Wybór będzie należał do was — odparła doktor Donaldson. — Ale doktor Paul Saunders, który wykonuje te zabiegi, najchętniej widziałby lekkie znieczulenie ogólne.

Joanna pokazała Deborah uniesiony kciuk.

Nazajutrz po tej rozmowie doktor Donaldson zadzwoniła z samego rana i poinformowała je, że obie zostały zaakceptowane i że w klinice chcieliby przeprowadzić zabiegi jak najszybciej, najlepiej przed końcem tygodnia, a w każdym razie jeszcze tego samego dnia oczekują odpowiedzi z ich strony. Przez kilka następnych godzin dziewczyny rozważały wszelkie za i przeciw. Deborah zdecydowanie skłaniała się do przyjęcia oferty. Jej entuzjazm przełamał wreszcie opory Joanny. Telefon do kliniki zaowocował wyznaczeniem zabiegu na piątek rano.

— Nie nachodzą cię jakieś wątpliwości? — zapytała nagle Joanna, przerywając piętnastominutową ciszę.

— Ani trochę — odparła Deborah. — Zwłaszcza kiedy pomyślę o tym mieszkaniu, które oglądałyśmy przy Louisburg Square. Mam nadzieję, że ktoś inny nie capnie go, zanim forsa trafi w nasze chciwe łapki.

— I tak nie wiadomo jeszcze, czy sprzedawca zgodzi się na drugą hipotekę — zauważyła Joanna. — Jeśli nie, możemy wybić je sobie z głowy.

Dziewczyny skontaktowały się z agencjami obrotu nieruchomościami w Cambridge i w Bostonie, i zdążyły już obejrzeć kilka oferowanych na sprzedaż mieszkań, jednak największe wrażenie zrobiło na nich to przy Louisburg Square w Beacon Hill. Był to jeden z najlepszych adresów w Bostonie, w centrum miasta, w pobliżu stacji metra, skąd błyskawicznie mogłyby dostać się na Harvard Square.

- Prawdę mówiąc, jestem zaskoczona, że cena jest tak rozsądna.
- Chyba dlatego, że to jest trzecie piętro bez windy — powiedziała Joanna.
- I dlatego, że jest tak małe, zwłaszcza ta druga sypialnia.
- Tak, ale za to jest tam najlepszy widok w całym mieszkaniu i potężna szafa wnekowa na dokładkę.
- Nie wydaje ci się, że przechodzenie przez kuchnię, żeby dostać się do łazienki, może być niewygodne?
- Mogłabym wędrować do łazienki przez cudze mieszkanie, byle tylko móc mieszkać przy Louisburg Square.
- Jak podzielimy się sypialniami? — zapytała Joanna.
- Ja zadowolę się tą mniejszą, jeżeli to właśnie cię gnębi.
- Poważnie?
- Jak najbardziej.
- Może będziemy się jakoś zamieniać — zaproponowała Joanna.
- Nie ma takiej potrzeby — odparła Deborah. — W zupełności wystarczy mi mniejszy pokój. Wierz mi!

Joanna odwróciła głowę i wyjrzała przez boczną szybę. W miarę jak jechały na północ, barwy jesieni stawały się coraz bardziej intensywne. Czerwień klonów, zwłaszcza na tle ciemnej zieleni sosen i świerków, była tak płomienna, że wydawała się niemal nieprawdziwa.

- Nie nachodzą cię chyba wątpliwości? — zapytała Deborah.
- Właściwie nie — odparła Joanna. — Jestem tylko oszołomiona. To wszystko dzieje się tak szybko. Sama pomyśl: jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za tydzień o tej porze mieszkanie będzie należało do nas, a my będziemy już w Wenecji. To jest jak sen.

Deborah znalazła za pośrednictwem Internetu zaskakująco tanie loty do Mediolanu przez Brukselę. Z Mediolanu miały dojechać do Wenecji pociągiem, przybywając na miejsce w środku popołudnia. Deborah znalazła także mały hotelik w *sestiere* San Polo, tuż przy moście Rialto, gdzie chciały się zatrzymać, dopóki nie znajdą innego lokum.

- Nie mogę się doczekać! — wykrzyknęła Deborah. — Aż mnie roznosi! *Benvenuto in Italia, signorina!*

Szybkim ruchem rozwichrzyła fryzurę Joanny, która uchyliła się i ze śmiechem odsunęła dłoń przyjaciółki.

- *Mille grazie, cara* — odparła z udawanym sarkazmem. Odchyliła głowę w tył, przeciągając palcami po długich do ramion włosach w nadziei doprowadzenia ich jako tako do ładu. — Chyba trochę zaskoczył mnie pośpiech, z jakim Klinika Wingate'a zabrała się do rzeczy — dodała, spoglądając we wsteczne lustro, by sprawdzić efekt swych zabiegów. Miała lekką obsesję na punkcie swej fryzury i ogólnego wyglądu, o wiele większą niż Deborah, która często dokuczała jej z tego powodu.

— Pewnie mają jakieś dwie klientki, którym się spieszy — stwierdziła Deborah. Poprawiła ustawienie lusterka.

— Czy wspomniała o tym doktor Donaldson? — zapytała Joanna.

— Nie — odparła Deborah. — Po prostu tak przypuszczam. Ale powiedziała za to, że potrzebne są im tylko dwie dawczynie, więc miałyśmy szczęście, że zadzwoniłyśmy w porę.

— Jest tablica! Następny zjazd jest do Bookford — zawołała Joanna, wskazując przed siebie. Niewielki znak był ledwo widoczny na tle kępy ogniste pomarańczowych dębów.

— Widzę go — odparła Deborah, włączając kierunkowskaz.

Po kolejnych dwudziestu minutach jazdy wąską, dwupasmową szosą, która wiła się wśród falujących wzgórz i rdzawych pól kukurydzianych, obrzeżona szpalerami jabłoni i kamiennymi murkami, dziewczyny dotarły do typowego nowoangielskiego miasteczka. Na rogatkach stała wielka tablica ogłoszeniowa z napisem: WITAMY W BOOKFORD, OJCZYSTYM MIEŚCIE BOOKFORD HIGH SCHOOL WILDCATS, STANOWYCH MISTRZÓW FUTBOLU DRUGIEJ GRUPY Z ROKU 1993. Dotychczasowa wiejska droga przeistoczyła się w Main Street i biegła dalej, przecinając miasteczko z południa na północ. Wzdłuż ulicy ciągnęły się rzędy ceglanych sklepików z przełomu wieków. Mniej więcej w połowie drogi granitowy budynek siedziby władz miejskich stał naprzeciwko otoczonego zielenią białego kościoła ze strzelistą wieżą. Chodnikami, niczym stado bezskrzydłych ptaków wędrownych, ciągnął coraz liczniejszy, hałaśliwy tłum dzieci z tornistrami na plecach.

— Śliczne miasteczko — zauważyła Deborah, nachylając się do przodu, by zyskać lepszy widok przez przednią szybę. Zwolniła poniżej dwudziestu mil na godzinę. — Powiedziałabym nawet, że zbyt śliczne, by mogło być prawdziwe. Wygląda raczej jak dekoracja z parku rozrywki.

— Nie widziałam żadnego drogowskazu do Kliniki Wingate'a — stwierdziła Joanna.

— Znasz ten kawał: dlaczego potrzeba stu milionów plemników, żeby zapłodnić jedną komórkę jajową?

— Chyba nie — przyznała Joanna.

— Dlatego że żaden nie zatrzyma się, by zapytać o drogę.

Joanna parsknęła śmiechem.

— Rozumiem z tego, że właśnie masz zamiar się zatrzymać.

— Otóż to — odparła Deborah, skręcając na parking przed drogerią RiteSmart. — Wejdiesz ze mną czy zaczekasz tutaj?

— Dlaczego miałybyś mieć całą przyjemność dla siebie? — powiedziała Joanna, wysiadając z samochodu.

Dziewczyny musiały uskoczyć przed ganiającą się po chodniku dzieciarnią. Od jej wrzasku i pisków pękały bębunki w uszach, więc przyjaciółki odetchnęły z ulgą, gdy zamknęły się za nimi drzwi drogerii. W przeciwieństwie do gwaru ulicy, we wnętrzu panowała względna cisza. Wrażenie spokoju pogłębiał fakt, że sklep był zupełnie pusty. Nie było widać ani klientów, ani obsługi.

Gdy nikt się nie pojawił, dziewczyny spojrzały po sobie, wzruszyły ramionami i ruszyły między półkami do działu aptecznego w głębi sklepu. Na ladzie leżał dzwonek, którym Deborah potrząsnęła zdecydowanie. Dźwięk zabrzmiał donośnie na tle dotychczasowej ciszy. Po paru chwilach zza wahadłowych drzwi, w rodzaju tych, jakie prowadziły do saloonów w hollywoodzkich westernach, wyszedł łysawy, korpulentny mężczyzna w aptekarskiej bluzie z rozpiętym kołnierzykiem. Choć w sklepie było stosunkowo chłodno, na jego czole lśniły krople potu.

— Czym mogę paniom służyć? — zapytał radośnie.

— Szukamy Kliniki Wingate'a — powiedziała Deborah.

— Żaden problem — odparł aptekarz. — To jest w Stanowym Szpitalu Psychiatrycznym Cabota.

— Słucham? — Deborah była zaskoczona. — W zakładzie psychiatrycznym?

— Tak jest — potwierdził aptekarz. — Stary doktorek Wingate kupił całe to cholerstwo, czy może wynajął je, nie mam pojęcia. Nikt tego tak naprawdę nie wie, zresztą to i tak bez znaczenia.

— Ach, rozumiem — domyśliła się Deborah. — Więc dawniej był tam zakład psychiatryczny.

— Tak jest — powtórzył aptekarz. — Przez jakieś sto lat. I jeszcze sanatorium dla chorych na gruźlicę. Wygląda na to, że bostończycy chętnie pozbywali się swoich wariatów i gruźlików. Tutaj mogli zamknąć ich jak w fortecy. Na zasadzie: co z oczu, to z serca. Sto lat temu Bookford uchodziło za zapadłą dziurę. Rany, czasy się zmieniły, nie ma co. Teraz jesteśmy sypialnią Bostonu.

— Po prostu zamykali tam tych ludzi? — zapytała Joanna. — Nie próbowali ich leczyć?

— Przypuszczam, że próbowali — przyznał aptekarz. — Ale cóż to mogło być za leczenie, w tamtych czasach? No, może to niezupełnie prawda. Robili tam sporo zabiegów. Wiecie, eksperymentalne metody, jak ucisk jam płucnych u gruźlików albo lobotomia u czubków.

— To brzmi okropnie — powiedziała Joanna. Wzdrygnęła się.

— I takie chyba było — zgodził się aptekarz.

— W każdym razie teraz nie ma tam już ani gruźlików, ani psychicznych — dodała Deborah.

— Oczywiście, że nie — stwierdził aptekarz. — Cabot, jak to tutaj nazywamy, stał zamknięty przez jakieś dwadzieścia czy trzydzieści lat. Jeśli się nie mylę, ostatnich pacjentów usunięto stąd w latach siedemdziesiątych. Pamiętacie: to właśnie wtedy politycy zaczęli na poważnie interesować się opieką zdrowotną. W pewnym sensie była to tragedia. Podejrzewam, że po prostu wywieźli tych pacjentów, którzy zostali, z powrotem do Bostonu i wypuścili ich w parku.

— Chyba nie było nas jeszcze wtedy na świecie — zauważyła Deborah.

— Święta prawda — przyznał aptekarz.

— Mógłby pan nam powiedzieć, jak dostać się do Cabota? — zapytała Deborah.

— Oczywiście — odparł aptekarz. — W którą stronę jechałyście?

— Na północ.

— Doskonale. Jedźcie prosto aż do następnych świateł i skręćcie w prawo. To będzie Pierce Street. Na rogu jest biblioteka publiczna. Ze skrzyżowania będziecie już widziały ceglana wieżę Cabota. To jakieś dwie mile na wschód od miasta, przy samej Pierce Street. Na pewno traficie. Podziękowawszy mu, dziewczyny wróciły do samochodu.

— Urocze otoczenie jak na klinikę niepłodności — zauważyła Joanna, zapinając pas bezpieczeństwa.

— Na szczęście sanatorium dla gruźlików połączone z zakładem dla obłąkanych należy już do przeszłości — odparła Deborah, cofając się na jezdnię. — Przez chwilę byłam gotowa zawrócić do Cambridge.

— Być może tak byłoby najlepiej — stwierdziła Joanna.

— Nie mówisz chyba poważnie?

— Nie, właściwie nie — przyznała Joanna. — Ale miejsca o takiej historii przyprawiają mnie o dreszcze. Wyobrażasz sobie okropności, jakie się tam działy?

— Nie — ucięła Deborah.

Paul Saunders odłożył notatkę, którą przygotowała dla niego Sheila Donaldson, i trzymając łokcie na biurku, mocno potarł oczy dłońmi. Zanim zasiadł w swym gabinecie na trzecim piętrze wieży, spędził kilka godzin w laboratorium, przyglądając się hodowli zarodków. W większości rozwijały się stosunkowo dobrze, choć nie tak, jakby sobie tego życzył. Podejrzewał, że przyczyną tego jest wiek i jakość komórek jajowych, problem, który już niedługo miał nadzieję rozwiązać.

Paul był rannym ptaszkiem. Z reguły wstawał z łóżka przed piątą i już przed szóstą zjawiał się w laboratorium. W ten sposób mógł uporać się z dużą częścią prac przed dziewiątą, kiedy to zwykle zaczynał się napływ pacjentek. Tym razem pojawił się w klinice wcześniej, gdyż w rozkładzie dnia zaplanowane były dwa zabiegi pobrania komórek jajowych. Wolał wykonywać te zabiegi o możliwie wczesnej porze, aby mieć pew-

ność, że dawczyni będą miały dość czasu na oprzytomnienie po narkozie i powrót do domu. Klinika przewidywała możliwość hospitalizacji jedynie w wypadku nagłych powikłań, a nawet wtedy Paul wolał kierować pacjentki do najbliższego pełniącego ostry dyżur szpitala.

Ponownie wzięwszy notatkę do ręki, Paul wstał od biurka i wolnym krokiem zbliżył się do okien. Były to monstra na potrójnych zawiasach, prawdziwe olbrzymy w porównaniu z jego drobną, mierzącą niespełna metr siedemdziesiąt sylwetką. Roztaczał się z nich widok na rozległy trawnik przed kliniką, ciągnący się aż do żeliwnego, zwieńczonego drutem kolczastym ogrodzenia, otaczającego cały teren. Nieco na lewo znajdował się kamienny budynek wartowni, od którego odchodził tłuczniowy podjazd. Biegł prosto w stronę wieży, po czym odbijał łukiem w lewo, znikając z pola widzenia, ku parkingowi po południowej stronie gmachu. W oddali, ponad koronami obleczonych w jesienne barwy drzew, widać było iglicę kościoła prezbiteriańskiego w Bookford oraz kominy najwyższych budynków miasteczka. Na horyzoncie, niczym poszarpana, sina smuga, majaczyły przedgórza Berkshire Mountains.

Paul jeszcze raz przebiegł wzrokiem notatkę, zastanowił się nad nią przez chwilę, po czym znów wyjrzał przez okno. Miał wszelkie powody do zadowolenia. Sprawy nie mogłyby układać się pomyślniej i świadomość tego przywołała uśmiech na jego nalaną twarz. Trudno byłoby uwierzyć, że zaledwie sześć lat wcześniej został praktycznie przepędzony z Illinois, tracąc przywileje lekarskie i cudem tylko zachowując prawo wykonywania zawodu. Jego ówczesny prawnik powiedział mu, że nie wygląda to dobrze, więc Paul wyjechał na wschód, a wszystko z powodu głupiej awantury o rozliczenie funduszy z ubezpieczenia zdrowotnego. To prawda, że przesadził, ale jego koledzy z oddziału ginekologiczno-położniczego robili dokładnie to samo. On sam, w gruncie rzeczy, jedynie skopiował, po czym udoskonalił praktykę, którą stosowali w najlepsze ludzie zajmujący inną część tego samego budynku. Dlaczego rząd zajął się akurat nim, pozostawało zagadką — zagadką, która doprowadzała go do szału, ilekroć o niej myślał. Ale teraz, odkąd wszystko ułożyło się tak różowo, nie musiał już o tym myśleć.

Po przybyciu do Massachusetts, obawiając się trudności z uzyskaniem licencji, które mogłyby się pojawić, jeśli komisja lekarska stanu Massachusetts słyszała o jego problemach w Illinois, Paul postanowił podjąć dodatkowe studia w zakresie leczenia niepłodności. Okazało się to najlepszą decyzją jego życia. Nie tylko pozwoliło mu uniknąć problemów z licencją, ale i wprowadziło go w dziedzinę praktycznie wolną od wszelkiego nadzoru, czy to zawodowego, czy finansowego — a co więcej, zdumiewająco lukratywną.

Nowa specjalność pozwoliła mu rozwinąć skrzydła, zwłaszcza odkąd zupełnie przypadkiem los zetknął go ze Spencerem Wingate'em, uznanym specjalistą od niepłodności, który wówczas marzył właśnie, by wycofać się z interesów, spocząć na laurach, korzystać z życia, prowadzić zbiórki pieniędzy i wygłaszać odczyty. Dziś Paul był faktycznym kierownikiem zarówno prac badawczych, jak i klinicznych.



Ironia losu, która uczyniła go naukowcem, nieodmiennie wywoływała uśmiech na jego twarzy. Nigdy nie wyobrażał sobie siebie w takiej roli. Na uczelni był najgorszym studentem w grupie i nie miał żadnego przygotowania do działalności naukowej. Zdołał nawet wymigać się od wykładów ze statystyki. Ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Pacjenci, leczeni z powodu niepłodności, byli wystarczająco zdesperowani, by spróbować wszystkiego. Z otwartymi ramionami witali wszelkie nowości. Paul był przekonany, że swój brak doświadczenia w pełni rekompensuje wyobraźnią. Wiedział, że dokonuje na wielu frontach prawdziwych postępów, które ostatecznie uczynią go sławnym i bogatym.

Gdy odwracał się od widoku na swoje udzielne księstwo, za jakie uważał Klinikę Wingate'a, mignęło mu w przelocie własne odbicie w lustrze o bogato zdobionych ramach, umieszczonym pomiędzy dwoma potężnymi oknami. Cofnąwszy się, by przyjrzeć się sobie dokładniej, Paul przeciągnął dłonią po policzkach. Był zaskoczony i z troskany niezdrową bladością swej cery, podkreśloną jeszcze przez niemal czarną barwę włosów, dopóki nie uświadomił sobie, że wywołało ją w znacznej mierze ostre światło świetlówek zamontowanych pod wysokim sufitem. Roześmiał się ze swego przelotnego niepokoju. Wiedział, że jest blady; przy trybie życia, jaki prowadził, jego skóra rzadko widywała światło dzienne, nie mówiąc już o prawdziwym słońcu, ale wiedział też, że nie wygląda aż tak źle, jak sugerowało odbicie. W lustrze jego cera miała taki sam odcień jak jego charakterystyczny kosmyk białych włosów nad czołem.

Wracając do biurka, Paul obiecał sobie, że zimą wybierze się na Florydę albo może znajdzie jakąś konferencję ginekologiczną w słonecznej okolicy, na której mógłby zaprezentować swoje dokonania. Przyszło mu też do głowy, że powinien wygospodarować trochę czasu na gimnastykę, gdyż zaczął nabierać tuszy — szczególnie wokół szyi. Od lat nie uprawiał żadnych ćwiczeń. Nigdy nie był specjalnym entuzjastą sportu, co przysparzało mu poważnych zmartwień w średniej szkole w South Side Chicago, gdzie sport był znaczącym elementem życia towarzyskiego. Kilka razy próbował przyłączyć się do tej czy innej drużyny, ale nic z tego nie wychodziło, a jego wysiłki czyniły go tylko pośmiewiskiem dla innych.

— Niechby teraz mnie zobaczyli — powiedział na głos, wspominając swoich ówczesnych dręczycieli. — Sami pewnie obrabiają sklepy spożywcze. — Wiedział, że w czerwcu następnego roku ma się odbyć dwudziesty zjazd absolwentów i zastanawiał się, czy nie pojawić się tam po to tylko, by pysznić się swoim sukcesem przed tymi sukinsynami, którzy tak zatruwali mu życie.

Zadzwoił do laboratorium i poprosił o rozmowę z doktor Donaldson. Czekając, aż podejdzie, jeszcze raz przebiegł wzrokiem papier, który trzymał w ręce.

— O co chodzi, Paul? — zapytała Sheila bez wstępów.

— Dostałem twoją notatkę — odparł. — O tych dwóch dziewczynach, które mają przyjechać. Sądzisz, że się nadają?

— Jak najbardziej — potwierdziła Sheila. — Obie są zdrowe, z normalnymi nawykami, nie mają żadnych problemów ginekologicznych, nie są w ciąży, nie biorą narkotyków ani jakichkolwiek leków i są mniej więcej w połowie cyklu.

— I rzeczywiście obie są doktorantkami?

— Tak jest.

— Więc muszą być bystre.

— Bez wątpienia.

— Ale dlaczego jedna z nich chce miejscowego znieczulenia?

— Robi doktorat z biologii — wyjaśniła Sheila. — Ma pewne pojęcie o znieczuleniu. Poczyła parę sugestii, ale nie dała się przekonać. Myślę, że może Carlowi uda się coś zdziałać.

— Ale próbowałaś? — dopytywał się Paul.

— Oczywiście, że próbowałam — odparła z rozdrażnieniem.

— W porządku, niech Carl z nią porozmawia — powiedział Paul. Odłożył słuchawkę bez słowa pożegnania. Sheila irytowała go czasem swą wyraźną zazdrością.

— To chyba jest ta wieża, o której mówił aptekarz — powiedziała Deborah, wskazując przez przednią szybę. Dziewczyny skręciły właśnie w Pierce Street i w oddali zamajaczył przed nimi zarys górującej nad okolicą, wysmukłej, ceglanej budowli.

— Jeśli to jest dwie albo trzy mile stąd, musi być wysoka jak diabli.

— Stąd jej sylwetka przypomina trochę wieżę galerii Uffizi we Florencji\* — zauważyła Deborah. — Wszystko pasuje.

Kiedy zostawiły miasteczko za sobą, przydrożne drzewa przesłoniły im dalszy widok na wieżę i inne zabudowania zakładu Cabota, dopóki nie minęły walącej się czerwonej stodoły po prawej stronie szosy. Za następnym zakrętem, po lewej stronie, ukazała się tablica Kliniki Wingate'a. Strzałka wskazywała odchodzącą w bok żwirową dróżkę. Skręciwszy na niebrukowany podjazd, dziewczyny dostrzegły ukrytą wśród drzew szarą, granitową wartownię. Był to masywny, przysadzisty, piętrowy budynek o małych okienkach z okiennicami i ciemnoszarym, łupkowym dachu z ozdobnymi zwieńczeniami na końcach kalenicy. Zdobienia pomalowane były na czarno. Z narożników sterowały kamienne rzygacze.

Gdy podjechały bliżej, okazało się, że podjazd prowadzi do tunelu pod wartownią, gdzie dalszą drogę przegradza solidna brama z metalowej siatki. Za bramą widać było świeżo skoszony trawnik, jedyną oznakę, która świadczyła, że miejsce to jest obecnie użytkowane. Od wartowni odbiegało w obie strony, znikając między drzewami, imponujące, żeliwne, zwieńczone drutem kolczastym ogrodzenie.

Deborah zatrzymała samochód.

---

\*Autor ma zapewne na myśli wieżę sąsiadującego z galerią Uffizi budynku Palazzo Vecchio (przyp. tłum.)



— Ja nie mogę! — zawołała. — Ten aptekarz wcale nie żartował, kiedy mówił, że pacjenci Cabota byli zamknięci w fortecy. To wygląda niemal jak więzienie.

— W każdym razie nie robi zbyt zachęcającego wrażenia — przyznała Joanna. — Jak mamy dostać się do środka? Widzisz gdzieś dzwonek, czy może powinniśmy zadzwonić z komórki?

— Przypuszczani, że mają tu jakiś podgląd — odparła niepewnie Deborah. — Podjadę bliżej.

Powoli wprowadziła samochód w tunel i zahamowała przed bramą. W tej samej chwili ciężkie, kasetonowe drzwi wartowni otworzyły się i wyszedł z nich umundurowany mężczyzna z notatnikiem w ręce. Zbliżył się do samochodu. Deborah opuściła szybę.

— Czym mogę służyć? — zapytał strażnik uprzejmym, ale rzeczowym tonem. Na głowie miał czapkę z lśniącym, czarnym daszkiem, jak policjant.

— Jesteśmy umówione z doktor Donaldson — odparła Deborah.

— Nazwiska pań?

— Deborah Cochrane i Joanna Meissner.

Strażnik przebiegł wzrokiem listę, odhaczył na niej dwa nazwiska, po czym wskazał długopisem za bramę.

— Proszę jechać w prawo, aż zobaczycie parking. Ktoś tam po was wyjdzie.

— Dziękuję — odparła Deborah.

W odpowiedzi mężczyzna zasalutował bez słowa. Ciężka brama z metalowej siatki zaczęła otwierać się ze zgrzytem.

— Widziałaś, jaką spluwę ma ten facet? — zapytała szeptem Deborah, gdy tylko z powrotem uniosła szybę. Strażnik wciąż stał obok samochodu.

— Trudno byłoby jej nie zauważyć — stwierdziła Joanna.

— Widywałam uzbrojonych policjantów w szpitalach w śródmieściu — powiedziała Deborah. — Ale w wiejskiej klinice jeszcze nigdy. Po co, na miłość boską, potrzebna im tu aż taka ochrona, do tego w zwykłej klinice niepłodności?

— Można by się zastanawiać, czy bardziej zależy im, żeby nikt nie dostał się do środka, czy raczej żeby nikt nie wydostał się na zewnątrz.

— Nie mów tak nawet w żartach — wzdrygnęła się Deborah. Ruszyła naprzód przez otwartą bramę. — Myślisz, że mogą wykonywać tu też aborcje? Kliniki aborcyjne w Massachusetts rzeczywiście zatrudniają strażników.

— Trudno byłoby wymyślić coś bardziej niestosownego dla kliniki niepłodności.

— Chyba masz rację — zgodziła się Deborah.

Gdy wynurzyły się z tunelu i okrążyły kępę wiecznie zielonych krzewów, ich oczom ukazał się pierwszy nie przesłonięty niczym widok na zakład Cabota. Był to potężny, trzypiętrowy budynek z czerwonej cegły, ze stromym, krytym łupkiem dachem wznoszący się nad

szącym się ponad zwieńczonym blankami gzymsem, małymi, zakratowanymi okienkami oraz strzelistą wieżą pośrodku. Okna wieży, znacznie większe, ale składające się z małych szyb, nie miały krat.

Deborah zwolniła.

— To szok, zobaczyć takie gmaszysko stojące ni stąd, ni zowąd w środku lasu. I co za dziwna architektura! Teraz, kiedy widzę tę wieżę z bliska, mogłabym się założyć, że umyślnie została zbudowana na wzór florenckiej. Jest tak podobna, że to nie może być przypadek. Jeśli mnie pamięć nie myli, nawet zegar ma identyczny, tyle tylko że ten we Florencji działa.

— Widziałam wiktoriańskie budynki w tym samym stylu w całym Massachusetts — odparła Joanna. — W Worcester jest jeden podobnej wielkości, ale kamienny, nie z cegły. Tyle tylko że stoi opuszczony. Ten jest przynajmniej wykorzystywany.

— Klinika Wingate'a musi działać pełną parą, jeśli potrzebuje aż takiej powierzchni. Joanna przytaknęła skinieniem głowy.

Na parkingu, ukrytym za prawym skrzydłem budynku, stało zaskakująco wiele samochodów. Dziewczyny szybko zauważyły, że w większości nie są to pospolite hondy civic albo chevrolety caprice. W gromadzie mercedesów, porsche'ów i lexusów jeden pojazd wyróżniał się szczególnie. Był to złocisty bentley ze składanym dachem.

— Ja cię kręcę! — jęknęła Joanna. — Widzisz tego bentleya?

— Tak jak ze spluwą strażnika, trudno byłoby go nie zauważyć — odparła Deborah. Metaliczny lakier lśnił w porannym słońcu.

— Masz pojęcie, ile kosztuje taki wóz? — zapytała Joanna.

— Najmniejszego.

— Przeszło trzysta tysięcy dolarów.

— Rany boskie! To nieprzyzwoite, szczególnie w placówce medycznej.

Deborah zaparkowała na wyraźnie oznakowanym miejscu dla gości. Kiedy dziewczyny wysiadły z samochodu, drzwi wychodzące na parking otworzyły się i na ganku stanęła wysoka, ubrana na biało kobieta o kasztanowych włosach. Pomachała do nich.

— To powitanie jest zupełnym przeciwieństwem tego, z czym miałyśmy do czynienia przy wartowni — zauważyła Deborah. Pomachała w odpowiedzi i obie z Joanną ruszyły w stronę odległych o jakieś pięćdziesiąt metrów drzwi.

— To chyba doktor Donaldson.

— Też mi się tak wydaje — odparła Deborah.

— Mam nadzieję, że nie będziemy tego żałować — powiedziała nagle Joanna. Szła ze spuszczoną głową, przyglądając się własnym stopom. — Coś mi mówi, że popełniamy wielki błąd.

Deborah zatrzymała się i chwyciła przyjaciółkę za ramię.

— O co chodzi? Nie masz na to ochoty? Jeśli tak, to robimy w tył zwrot i jedziemy z powrotem do Bostonu. Nie chcę, żebyś miała poczucie, że cię zmuszam, bo to nieprawda.

Joanna, mrużąc oczy przed blaskiem porannego słońca, spojrzała na smukłą postać w drzwiach kliniki. Były teraz na tyle blisko, by stwierdzić, że istotnie jest to doktor Donaldson, nie ulegało też wątpliwości, że lekarka cieszy się na ich widok. Na jej szczupłej twarzy malował się szeroki, promienny uśmiech.

— Odezwij się do mnie! — syknęła Deborah, ściskając mocniej ramię przyjaciółki.

Joanna znów zwróciła wzrok w jej stronę.

— Czy możesz z czystym sumieniem stwierdzić, że na pewno wszystko będzie w porządku? — spytała

— Jak najbardziej — odparła Deborah. — Powtarzam już po raz dziesiąty: jest to układ, w którym wszyscy odnoszą korzyści.

— Chodzi mi o ten zabieg — wyjaśniła Joanna.

— Och, rany boskie. Pobranie to małe piwo. Kobiety leczące się na niepłodność przechodzą to nie raz, w dodatku faszzerowane tonami hormonów. To, co nas czeka, to fraszka.

Joanna zawahała się. Jej zielone oczy spoglądały niepewnie to na Deborah, to na doktor Donaldson. Zżymała się w duchu na swoje nieszczęsne przewrażliwienie na punkcie wszelkich zabiegów. Nie lubiła nawet szczepień przeciwko grypie. Wreszcie westchnęła, odchrząknęła i uśmiechnęła się słabo.

— No dobrze. Chodźmy do środka.

— Jesteś pewna? To znaczy, nie robisz tego ze względu na mnie, prawda?

Joanna pokręciła głową.

— Wszystko w porządku — potwierdziła. — Chcę mieć to już za sobą.

Dziewczyny znów ruszyły w stronę drzwi.

— Przez chwilę napędziłaś mi stracha — powiedziała Deborah.

— Czasami sama jestem przerażona tym, co robię — odparła Joanna.

## Rozdział 3

15 października 1999

7.45

— Mam nadzieję, że podróż z Bostonu minęła wam bez przygód — powiedziała doktor Donaldson, zamykając za dziewczynami drzwi kliniki.

— Tak, jak najbardziej — odparła Deborah.

Rozejrzała się po obszernej, pustej poczekalni. Kosztowne, nowoczesne meble w skandynawskim stylu ostro kontrastowały z wiktoriańskimi detalami wnętrza. Środek pomieszczenia zajmowało, puste teraz, potężne biurko w kształcie podkowy — stanowisko recepcjonistki. Pod ścianami ustawiono skórzane fotele i kanapy. Na stolikach i ławach leżała bogata kolekcja najnowszych numerów czasopism.

— Uświadomiłam sobie dziś rano, że nie wytłumaczyłam wam, jak tu trafić — odezwała się doktor Donaldson. — Przepraszam.

— Nic nie szkodzi — odparła Deborah. — Powinam była sama się tym zainteresować. Ale nie miałyśmy kłopotów. Zatrzymałyśmy się w miejscowej aptece i zapytałyśmy o drogę.

— Bardzo sprytnie — przyznała doktor Donaldson. Klasnęła w dłonie. — No dobrze. Zaczniemy od sprawy najważniejszej. Mam nadzieję, że żadna z was nic nie jadła od północy.

Deborah i Joanna skinęły głowami.

— Znakomicie! — stwierdziła lekarka. — W takim razie zadzwonię po doktora Smitha. To nasz anestezjolog. Będzie chciał z wami porozmawiać. A póki co, zdejmijcie, proszę, płaszcze, rozgośćcie się i zaraz zabierzemy się do rzeczy.

Kiedy odeszła, by skorzystać z telefonu recepcjonistki, dziewczyny ściągnęły płaszcze i powiesiły je w szatni.

— Dobrze się czujesz? — szepnęła Deborah.

Z miejsca, gdzie stały, słychać było, jak doktor Donaldson rozmawia przez telefon.

— Tak, świetnie — odparła Joanna. — Dlaczego pytasz?

— Jesteś taka milcząca. Nie masz chyba zamiaru znowu się rozmyślić?

— Nie — uspokoiła ją Joanna. — Po prostu czuję się tu trochę nieswojo. Co krok pojawia się coś zaskakującego, na przykład ten uzbrojony strażnik. Nawet te meble w poczekalni działają mi na nerwy.

— Całkowicie cię rozumiem — zgodziła się Deborah. — Wyglądają, jakby kosztowały fortunę, ale zupełnie nie pasują do otoczenia.

— To dziwne. Takie rzeczy na ogół nie wyprowadzają mnie z równowagi. Przepraszam. Zachowuję się jak dziecko.

— Po prostu wyluzuj się i pomyśl, że już niedługo będziemy pić kawę na Piazza San Marco.

Kiedy wróciły do poczekalni, doktor Donaldson wskazała im miejsce na kanapie. Jak stwierdziła, doktor Smith już do nich schodzi. Potem zapytała, czy mają jakieś pytania.

— Ile czasu zajmie to wszystko? — odezwała się Joanna.

— Samo pobranie nie trwa dłużej niż jakieś czterdzieści minut — wyjaśniła doktor Donaldson. — Potem damy wam odpocząć przez parę godzin, dopóki w pełni nie dojdziecie do siebie po znieczuleniu. Nim się spostrzeżecie, będziecie już w drodze do domu.

— Czy będziemy miały zabieg w tym samym czasie? — zapytała Joanna.

— Nie — odparła lekarka. — Ponieważ pani, panno Meissner, dostanie lekkie znieczulenie ogólne, pójdzie pani jako pierwsza. Oczywiście gdyby panna Cochrane po namyśle również chciała zdecydować się na narkozę, wówczas kolejność możecie ustalić same.

— Wolę znieczulenie miejscowe — oświadczyła Deborah.

— Wedle uznania — odparła doktor Donaldson. Przesunęła wzrokiem po twarzach swych rozmówczyń. — Jakież inne pytania?

— Czy klinika zajmuje cały ten budynek? — odezwała się Deborah.

— Ależ nie! To gmazysko jest ogromne. Dawniej mieścił się tu zakład psychiatryczny i sanatorium dla gruźlików.

— Słyszałyśmy o tym — przyznała Deborah.

— Klinika niepłodności zajmuje tylko dwa piętra w tym skrzydle — wyjaśniła doktor Donaldson. — I jeszcze kilka pomieszczeń w wieży. Reszta stoi pusta, jeśli nie liczyć starych łóżek i mnóstwa rupieci. To niemal muzeum.

— Ile osób tu pracuje? — zainteresowała się Joanna.

— Obecnie mamy około czterdziestu pracowników, ale ich liczba stale wzrasta. Jeśli chodzi o dokładny stan, musiałabym zapytać Helen Masterson, która chwilowo kieruje naszym działem kadr.

— Czterdziestu pracowników to sporo — stwierdziła Joanna. — To musi być dar niebios dla takiej wiejskiej okolicy jak ta.

— Mogłoby się tak wydawać — powiedziała doktor Donaldson — ale prawda jest taka, że mamy chroniczny problem ze znalezieniem siły roboczej. Bez końca zamieszczamy oferty w bostońskich gazetach, głównie dla techników laboratoryjnych i doświadczanego personelu biurowego. A może wy szukacie pracy? — zapytała żartem.

— Raczej nie — odparła Deborah ze śmiechem.

— Jedyne dział, który nie cierpi na brak personelu, to farma — dodała doktor Donaldson. — Tu od samego początku nie mieliśmy najmniejszych kłopotów.

— Farma? — zapytała Joanna. — Co pani ma na myśli?

— Klinika Wingate'a prowadzi dużą hodowlę zwierząt — wyjaśniła doktor Donaldson. — To integralna część naszych prac badawczych. Interesujemy się zagadnieniami reprodukcji u gatunków innych niż homo sapiens.

— Naprawdę? — zaintrygowała się Joanna. — Jakimi gatunkami się zajmujecie?

— Wszystkimi, które mają znaczenie gospodarcze — odparła doktor Donaldson. — Bydłem, trzodą chlewną, drobiem, końmi. Poza tym oczywiście prowadzimy też obszerne badania nad rozmnażaniem zwierząt domowych, takich jak psy czy koty.

— Gdzie jest ta farma? — zapytała Joanna.

— Tuż za tym głównym budynkiem, który pieszczotliwie nazywamy „monstrum”. Trzeba tylko minąć sosnowy zagajnik. Sceneria jest dość idylliczna. Mamy tam staw, groblę, a nawet stary młyn, nie mówiąc już o stodołach, polach, łąkach i wygonach dla koni. Zakład Cabota zajmował przeszło dwieście akrów, z osiedlem dla pracowników i własnym gospodarstwem rolnym, dzięki któremu był w zasadzie samowystarczalny, jeśli chodzi o wyżywienie. Posiadanie farmy na własnym terenie było jednym z głównych powodów, dla których wydzierżawiliśmy ten obiekt. Bliskość farmy i laboratorium, nie mówiąc już o kwaterach mieszkalnych, znacznie usprawnia nasze badania.

— Macie tu laboratorium? — zainteresowała się Deborah.

— Jasne — odparła doktor Donaldson. — I to znakomicie wyposażone. Jestem z niego szczególnie dumna, może dlatego, że sama byłam odpowiedzialna za jego urządzenie.

— Możemy je zwiedzić? — zapytała Deborah.

— Sądzę, że dałoby się to załatwić — stwierdziła doktor Donaldson. — Ach, jest już doktor Smith.

Dziewczyny odwróciły się, by ujrzeć wchodzącego do poczekalni, wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę w chirurgicznym kitlu i z notatnikiem w ręce. W tej samej chwili drzwi frontowe otworzyły się i do środka wpadł tłum pracowników, wypełniając pomieszczenie gwarem rozmów. Jedna z kobiet skierowała się do biurka recepcji, a zbита w tłum reszta zniknęła w głębi korytarza, z którego dopiero co wyszedł Smith.

Joanna poczuła, że drętwieje. Operacyjny strój anestezjologa nie pozwalał jej dłużej odsuwać od siebie myśli o czekającym ją zabiegu.

Przedstawivszy się i uściskawszy dłonie obu dziewczynom, doktor Smith usiadł, łożył nogę na nogę i oparł notatnik na kolanach.

— No dobrze — powiedział, wyciągając z kieszonki na piersi jeden z licznych długopisów. — Panno Cochrane, rozumiem, że wybiera pani miejscowe znieczulenie.

— Zgadza się — odparła Deborah.

— Czy mogę zapytać dlaczego?

— Po prostu taka forma bardziej mi odpowiada.

— Przypuszczam, że poinformowano panią, że wolimy pobierać komórki jajowe przy lekkim znieczuleniu ogólnym.

— Doktor Donaldson wspomniała o tym — przyznała Deborah. — Powiedziała też, że decyzja należy do mnie.

— To oczywiście prawda — odparł doktor Smith. — Pozwolę sobie jednak wyjaśnić, dlaczego wolelibyśmy panią uśpić. Wykonując zabieg w lekkim znieczuleniu ogólnym, przeprowadzamy bezpośrednią obserwację przez wziernik brzuszny. Przy znieczuleniu miejscowym, okołoszyjkowym, zdajemy się na kontrolę ultrasonograficzną. Mówiąc obrazowo, przypomina to działanie w ciemno. — Urwał i uśmiechnął się. — Czy to wszystko jest jak na razie jasne?

— Tak — odparła po prostu Deborah.

— Jest jeszcze jedna sprawa — ciągnął dalej doktor Smith. — Przy znieczuleniu miejscowym nie panujemy nad bólem wywołanym manipulacjami we wnętrzu jamy brzusznej. Innymi słowy, jeśli będziemy mieli problemy z dotarciem do któregoś z jajników i będziemy musieli w tym celu wykonać jakieś manewry, może pani odczuć pewien dyskomfort.

— Zaryzykuję — stwierdziła Deborah.

— Nawet wiedząc, że naraża się pani na ból?

— Myślę, że jestem w stanie to wytrzymać — oświadczyła Deborah. — Wolę być przytomna.

Anestezjolog rzucił krótkie spojrzenie doktor Donaldson, która wzruszyła ramionami. Następnie przeprowadził z obiema dziewczynami szybki wywiad lekarski. Skończywszy, podniósł się z fotela.

— To na razie wszystko z mojej strony. Teraz przebierzcie się i do zobaczenia na górze.

— Czy dostanę środek uspokajający? — zapytała Joanna.

— Oczywiście — odparł doktor Smith. — Natychmiast po założeniu kroplówki. Jeszcze jakieś pytania?

Gdy żadna z dziewczyn nie odpowiedziała, anestezjolog uśmiechnął się i wyszedł. Doktor Donaldson zaprowadziła je głównym korytarzem do osobnej, mniejszej poczekalni. Wzdłuż jednej ze ścian pomieszczenia ciągnął się rząd kabiniek z żaluzjowymi drzwiami, po drugiej stronie zaś szereg zamykanych na klucz szafek. Na stojaku obok szafek leżał zapas szpitalnych narzutek, szlafroków i papierowych pantofli. Krzątała się



przy nim drobna pielęgniarka o sympatycznej twarzy. Przy dwuskrzydłowych, waha-  
dłowych drzwiach wejściowych stało kilka kozetek na kółkach. Środek pokoju zajmo-  
wało parę krzeseł, sofa i zasłany czasopismami stolik.

Doktor Donaldson przedstawiła dziewczyny pielęgniarce, która nazywała się Cynthia Carson. Ona z kolei dała im po komplecie odzieży szpitalnej oraz kluczyki do szafek, ra-  
dząc przy tym, by przypięły je sobie do narzutek, po czym otworzyła drzwi dwóch są-  
siednich kabinek. W tym momencie doktor Donaldson na razie się pożegnała. Zaraz  
potem Cynthia również wyszła, po kroplówkę. Powiedziała, że za chwilę wraca.

— Ostro cię przekonywał do tej narkozy — zawołała Joanna ze swojej kabinki.

— Trafnie to ujęłaś — przyznała Deborah.

Chwilę później dziewczyny wynurzyły się z przebieralni, każda jedną ręką przytrzy-  
mując na sobie cienki szlafrok, drugą zaś ściskając w garści własne ubrania. Na swój  
widok wybuchnęły śmiechem.

— Mam nadzieję, że nie wyglądam tak żałośnie jak ty — wykrztusiła Joanna.

— Nie chcę cię martwić — odparła Deborah — ale wyglądasz.

Podeszły do szafek, by schować swoje rzeczy.

— Dlaczego nie dałaś się namówić na znieczulenie ogólne? — zapytała Joanna.

— O rany, teraz ty zaczynasz? — jęknęła Deborah.

— To, co mówił anestezjolog, wydało mi się bardzo rozsądne — stwierdziła Joanna.

— Zwłaszcza kiedy wspomniał o bólu przy manipulacjach w jamie brzusznej. Samo to  
wystarczyło, żeby przyprawić mnie o mdłości. Może powinnaś się jeszcze zastanowić?

— Słuchaj! — Deborah gwałtownie zatrzaskała drzwi szafki i wyszarpnęła klucz.  
Odwróciła się do przyjaciółki. Jej policzki oblał nagły rumieniec. — Rozmawialiśmy  
już na ten temat. Mam coś na punkcie usypiania. Możesz to sobie nazwać fobią. Ty nie  
lubisz igieł, a ja nie lubię narkozy. Jasne?

— Jasne — odparła Joanna. — Jezu, uspokój się! Zdawało mi się, że tylko ja tak pa-  
nikuję.

Deborah odetchnęła głęboko. Zamknęła na chwilę oczy i pokręciła głową.

— Przepraszam. Nie miałam zamiaru na ciebie krzyżeć. Chyba też jestem podmi-  
nowana.

— Nie musisz przeproszać — powiedziała Joanna.

W tym momencie wróciła Cynthia, niosąc naręcze przyborów, które rzuciła bezład-  
nie na jedną z kozetek. W drugiej ręce miała butelkę kroplówki, którą powiesiła na wy-  
sięgniku przy kozetce.

— Która z was to panna Meissner? — zawołała.

Joanna uniosła dłoń.

Cynthia poklepała wyściełaną, przykrytą świeżym prześcieradłem powierzchnię kozetki.



— Proszę w takim razie wskoczyć na ten wynalazek, żebym mogła założyć kroplówkę. Zaraz dam ci koktajl, po którym poczujesz się jak na imprezie sylwestrowej.

Deborah ścisnęła przyjaciółkę za ramię. Spojrzały po sobie ze współczuciem, po czym Joanna zrobiła to, o co ją proszono. Deborah podeszła, by stanąć po drugiej stronie kozetki.

Cynthia sprawnie i szybko dopełniła przygotowań, podtrzymując jednocześnie, dla odwrócenia uwagi, rozmowę o pogodzie, i nim Joanna zdążyła się zorientować, co się dzieje, pielęgniarka zakładała jej już na lewej ręce, tuż poniżej łokcia, opaskę uciskową.

Joanna odwróciła głowę i skrzywiła się, kiedy igła przebijała skórę. Chwilę później opaska zniknęła, a Cynthia przyklejała plaster.

— No, najgorsze mamy już za sobą — powiedziała.

Joanna spojrzała na swoją rękę. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

— Już mam kroplówkę?

— Tak jest — oświadczyła wesoło Cynthia, wciągając lekarstwa do dwóch strzykawek. — Teraz będzie zabawa. Ale, tak dla pewności, nie jesteś uczulona na żadne leki, prawda?

— Nie, nie jestem — odparła Joanna.

Cynthia pochyliła się nad igłą kroplówki i zdjęła nasadkę z pierwszej strzykawki.

— Co to jest? — zapytała Joanna.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — Cynthia wprowadziła zawartość pierwszej strzykawki i założyła drugą.

— Tak!

— Diazepam i fentanyl.

— A po naszymu?

— Valium i opioid.

— O valium słyszałam. A co to jest to drugie?

— Coś w rodzaju morfiny — wyjaśniła Cynthia. Szybko uprzątnęła opakowania i inne odpadki, wrzucając wszystko do specjalnego pojemnika. Gdy robiła adnotację na karcie, którą wyciągnęła spod materaca kozetki, drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się i do poczekalni weszła kolejna pacjentka. Uśmiechnęła się do dziewczyn, wzięła ze stojaka komplet szpitalnych ubrań, po czym zniknęła w jednej z kabin.

— Myślisz, że to następna dawczyni? — szepnęła Joanna.

— Nie mam pojęcia — odparła Deborah.

— To Dorothy Stevens — powiedziała Cynthia ścisłym głosem, odblokowując koła z przodu kozetki. — Jest naszą klientką. Przyszła na kolejny transfer zarodka. Biedactwo, przeżyła już tyle rozczarowań.

— Już jadę? — zdziwiła się Joanna, gdy kozetka ruszyła z miejsca.

— Tak jest — odparła Cynthia. — Kiedy poszłam po kroplówkę, powiedziano mi, że oczekują cię z niecierpliwością.

— Mogę iść z nią? — zapytała Deborah. Ujęła dłoń Joanny.

— Przykro mi, ale nie — stwierdziła pielęgniarka. — Zostań tu i odpręż się. I tak pójdziesz na górę prędzej, niż się spodziewasz.

— Wszystko będzie dobrze — uspokoiła z uśmiechem przyjaciółkę Joanna. — Już czuję ten opioid. To nawet nie takie złe.

Deborah ostatni raz ścisnęła ją za rękę. Zanim wahadłowe drzwi się zamknęły, ujrzała jeszcze, jak Joanna wesoło macha do niej przez ramię.

Deborah odwróciła się z powrotem w stronę poczekalni. Podeszła do sofy i opadła na nią ciężko. Była głodna, od poprzedniego wieczoru nie miała nic w ustach. Podniosła ze stolika kilka czasopism, jednak grające marsza kiszki nie pozwalały skupić się na lekturze. Jej myśli krążyły uparcie przy Joannie, wiezionej nie wiadomo dokąd w tym potężnym, starym gmaszysku. Odłożyła czasopisma i rozejrzała się po pomieszczeniu. Podobnie jak w głównej poczekalni, dało się tu zauważyć ten sam rażący dysonans między bogactwem sztukaterii a surowością mebli. Joanna miała rację. Klinika Wingate'a była miejscem pełnym kontrastów, które, nie wiedzieć czemu, wprawiały w dziwny niepokój. Tak samo jak jej przyjaciółka, Deborah nie mogła się doczekać, kiedy będzie miała zabieg za sobą.

Drzwi jednej z kabin otworzyły się i Dorothy Stevens pojawiła się ponownie, z ubra- niem w rękach. Zanim ruszyła w stronę szafek, by je schować, uśmiechnęła się do Deborah. Dziewczyna przyglądała się jej, zastanawiając się, co ta kobieta czuje, kiedy tak poddaje się leczeniu niepłodności i raz za razem doznaje jedynie rozczarowań.

Dorothy zamknęła szafkę i skierowała się w stronę krzeseł, po drodze przypina- jąc kluczyk do swej narzutki. Podniosła ze stolika jedno z czasopism, usiadła i zaczęła przerzucać strony. Po chwili, najwyraźniej wyczuwając spojrzenie Deborah, uniosła swe zdumiewająco błękitne oczy. Tym razem Deborah się uśmiechnęła. Przedstawiła się, na co Dorothy zrewanżowała się tym samym. Przez parę minut wymieniały zdawkowe uwagi. Wreszcie, po chwili milczenia, Deborah zapytała, czy Dorothy od dawna jest pa- cjentką Kliniki Wingate'a.

— Niestety tak — przyznała Dorothy.

— Jesteś zadowolona?

— Nie wydaje mi się, żeby „zadowolona” było tu odpowiednim słowem — stwier- dziła Dorothy. — Nie jest to miłe przeżycie, jak by na to nie spojrzeć. Ale trzeba im przyznać, że mnie ostrzegali. Tak czy inaczej, mój mąż i ja nie zamierzamy rezygnować, przynajmniej na razie. Albo przynajmniej dopóki zupełnie nie stracimy wiary.

— Będziesz miała dzisiaj transfer zarodka? — zapytała Deborah. Nie chciała zdra- dzać, że już to wie.

— Już dziewiąty — westchnęła Dorothy. Uniosła skrzyżowane palce.  
— Powodzenia — odparła z głębi serca Deborah.  
— Przydałoby mi się.  
Deborah powtórzyła jej gest.  
— A ty pierwszy raz jesteś u Wingate'a? — zapytała Dorothy.  
— Tak — przyznała Deborah. — I ja, i moja koleżanka.  
— Jestem pewna, że będziecie zadowolone z wyboru — powiedziała Dorothy.  
— Obie robicie in vitro?  
— Nie — odparła Deborah. — Oddajemy komórki jajowe. Odpowiedziałśmy na ogłoszenie w „Harvard Crimson”.  
— To cudowne — stwierdziła Dorothy ze szczerym podziwem. — Co za życzliwy gest! Dzięki wam kilka zrozpaczonych par odzyska nadzieję. Jestem pełna uznania dla waszej wspałałomyślności.  
Deborah nagle poczuła się obrzydliwie sprzedajna. Miała nadzieję zmienić temat, zanim wyjdzie na jaw, co naprawdę skłoniło ją do tej ofiarności. Z kłopotu wybawił ją nagły powrót Cynthii. Pielęgniarka bez ostrzeżenia wkroczyła przez wahadłowe drzwi.  
— No dobrze, Dorothy! — zawołała entuzjastycznie. — Pora na ciebie! Zejdź na dół do sali transferów. Wszyscy już tam na ciebie czekają.  
Dorothy wstała, wzięła głęboki oddech i skierowała się do wyjścia.  
— To prawdziwa weteranka — odezwała się Cynthia, gdy drzwi się zamknęły.  
— Mam szczerą nadzieję, że tym razem jej się uda. Jeśli ktokolwiek na to zasługuje, to na pewno ona.  
— Ile kosztuje taka operacja? — zapytała Deborah. Zakłopotanie własną sprzedajnością wysunęło kwestię ekonomiczną na plan pierwszy.  
— To zależy od tego, jakie zabiegi wchodzi w grę — odparła Cynthia. — Ale przeciętnie cena wynosi od ośmiu do dziesięciu tysięcy dolarów.  
— O Boże! — jęknęła Deborah. — To znaczy, że Dorothy i jej mąż wydali niemal dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów!  
— Prawdopodobnie więcej — stwierdziła Cynthia. — Trzeba jeszcze uwzględnić wstępne badania i różne dodatkowe zabiegi, jakie mogły być potrzebne. Leczenie niepłodności jest kosztownym przedsięwzięciem, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że ubezpieczenie z reguły tego nie pokrywa. Większość par musi sama zdobyć jakoś te pieniądze.  
Do poczekalni weszły dwie następne pacjentki i uwaga Cynthii natychmiast skierowała się ku nim. Pielęgniarka przebiegła wzrokiem dokumenty obu kobiet, podała im stroje szpitalne, po czym skierowała je do przebieralni. Deborah z zaskoczeniem stwierdziła, że jedna z tych pacjentek wygląda bardzo staro. Nie mogła być pewna, ale odniosła wrażenie, że kobieta zbliża się już do sześćdziesiątki.

Zbyt niespokojna, by móc usiedzieć w miejscu, dziewczyna podniosła się z sofy.

— Przepraszam, Cynthia — odezwała się. Pielęgniarka przeglądała właśnie dokładniej dokumenty nowo przybyłych pacjentek. — Doktor Donaldson wspomniała, że mogłabym zwiedzić wasze laboratorium. Do kogo powinnam się z tym zgłosić?

— Pierwszy raz mam do czynienia z podobną prośbą — odparła Cynthia. Zastanowiła się chwilę. — Myślę, że mogłabyś porozmawiać w tej sprawie z Claire Harlow z działu public relations. Oprowadza po klinice przyszłe pacjentki, chociaż nie wiem, czy obejmuje to też laboratorium. Jeśli nie masz nic przeciwko paradowaniu w szlafroku, możesz przejść się do głównej poczekalni i poprosić recepcjonistkę, żeby skontaktowała cię z panną Harlow. Nie masz zbyt wiele czasu, więc radzę ci nie odchodzić daleko. Przypuszczam, że będą cię wzywać za jakieś piętnaście minut.

Choć czas naglił, Deborah musiała się czymś zająć. Kierując się sugestią Cynthia, wróciła do głównej poczekalni i poprosiła o spotkanie z osobą od public relations. W trakcie oczekiwania zauważyła, że odkąd przechodziła tędy z Joanną, pojawiło się sporo pacjentek. Nie było słyhać zbyt wielu rozmów. Większość kobiet czytała czasopisma. Inne patrzyły przed siebie obojętnym wzrokiem.

Claire Harlow była miłą, usłużną kobietą o łagodnym głosie, która chętnie zgodziła się zabrać Deborah piętro wyżej i oprowadzić ją po głównym laboratorium. Jak wspominała doktor Donaldson, było ono ogromne. Znajdowało się w tylnej części budynku i ciągnęło niemal przez całą długość zajmowanego przez klinikę skrzydła.

Wyposażenie zrobiło na Deborah duże wrażenie. Spędziwszy wiele godzin w pracowniach biologicznych, na ogół wiedziała, na co patrzy. Sprzęt był najnowocześniejszy i najlepszy z dostępnych, a obejmował nawet instrumenty tak nieoczekiwane, jak automatyczne sekwenatory DNA. Zaskakujące było także to, jak niewiele osób pracowało w tym olbrzymim pomieszczeniu.

— Gdzie są wszyscy? — zapytała Deborah.

— Lekarze są w tej chwili zajęci w klinice — wyjaśniła Claire.

Deborah ruszyła wolnym krokiem wzdłuż długiego blatu, na którym stało więcej mikroskopów, niż kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć w jednym miejscu. Były też o wiele potężniejsze od tych, których sama miała przyjemność używać.

— Mogłaby tu pracować armia ludzi — zauważyła.

— Zawsze szukamy wykwalifikowanego personelu — odparła Claire.

Deborah dotarła do końca blatu i wyjrzała przez okno. Wychodziło na tyły budynku i roztaczał się z niego imponujący widok, tym rozleglejszy, że gmach kliniki usytuowany był na wzniesieniu, z trawnikiem opadającym łagodnie zarówno od frontu, jak i od tyłu. Na północy, za płataniną pomarańczowych dębów i czerwonych klonów, widać było kamienne domki, podobne do wartowni, ale z białymi zdobieniami.

— Czy tamte budynki należą do farmy? — zapytała Deborah.

— Nie, to część osiedla dla pracowników — wyjaśniła Claire. Wskazując na prawo, na południowy wschód, gdzie pochyłość terenu zaznaczała się jeszcze wyraźniej niż w innych miejscach, zwróciła uwagę Deborah na migotanie światła, ledwo widoczne spoza sędziwych sosen. — Ten błysk to słońce odbijające się od powierzchni stawu młyńskiego. Zabudowania farmy są zgrupowane wokół niego.

— A ten dymiący ceglany komin? — zapytała Deborah, wskazując wysmukłą sylwetkę sterczącą ponad drzewami jeszcze dalej na prawo. — Czy to też część kompleksu Wingate'a? — Dym wydobywający się z komina był biały, jednak sunąc w dal, ku wschodowi, blakł coraz bardziej i nabierał odcienia sinej szarości.

— Oczywiście — odparła Claire. — To stara kotłownia, dostarczająca nam ciepła i gorącej wody. Dość interesująca budowla zresztą. Zakład Cabota wykorzystywał ją również jako krematorium.

— Krematorium? — wykrztusiła Deborah. — Po co, na miłość boską?

— Z konieczności, jak sądzę — stwierdziła Claire. — Przypuszczam, że w tamtych czasach nagminne było porzucanie pacjentów przez rodziny.

Deborah wzdrygnęła się na myśl o odciętych od świata szpitalu psychiatrycznym z własnym krematorium, ale nim zdążyła zadać kolejne pytanie, włączył się pager Claire. Kobieta zerknęła na wyświetlacz.

— To do pani, panno Cochrane. Wzywają panią na zabieg.

Deborah przyjęła to z ulgą. Nie mogła się doczekać, kiedy będzie już po wszystkim i razem z Joanną opuści to miejsce.

## Rozdział 4

15 października 1999

9.05

Nie było okresu przejściowego. W jednej chwili Joanna ocknęła się z najgłębszego snu do pełnej świadomości. Wpatrywała się w wysoki, obcy sufit z gofrowanej blachy.

— No, no, śpiąca królewna się obudziła — odezwał się ktoś.

Joanna odwróciła się w stronę, z której dobiegł głos, by ujrzeć przed sobą równie obcą twarz. Miała właśnie zapytać, co się stało, gdy chwilowa dezorientacja ustąpiła miejsca pełnemu zrozumieniu sytuacji.

— Zmierzę ciśnienie — powiedział pielęgniarz, wkładając do uszu końcówki stetoskopu. Był to schludny młody człowiek, mniej więcej w wieku Joanny. Na plakietce przypiętej do jego operacyjnego kitla widniało nazwisko MYRON HANNA. Zaczął pompować powietrze do mankietu, który już wcześniej zdążył nałożyć na jej lewe ramię.

Joanna przyglądała się jego twarzy, gdy ze wzrokiem utkwionym we wskazówce ciśnieniomierza przyciskał lejek stetoskopu do zgięcia jej łokcia. Kiedy z mankietu uchodziło powietrze, poczuła, jak krew falami przepływa ku dłoni. Pielęgniarz uśmiechnął się i usunął aparat.

— Ciśnienie jest w porządku — powiedział. Następnie ujął ją za nadgarstek, żeby zmierzyć tętno.

Joanna zaczekała, dopóki nie skończył.

— A co z moim zabiegiem? — zapytała.

— Już jest po wszystkim — odparł Myron, zapisując odczyty na karcie.

— Niemożliwe — stwierdziła Joanna. Kompletnie straciła poczucie czasu.

— Nie, naprawdę już jest po wszystkim — powtórzył Myron. — I udało się, jak sądzę. Doktor Saunders musi być zadowolony.

— Nie wierzę — powiedziała Joanna. — Koleżanka mówiła mi, że kiedy człowiek budzi się po narkozie, jest mu niedobrze.

— To się dzisiaj już rzadko zdarza — odparł Myron. — Nie przy propofolu. To świetny środek, nieprawdaż?

— Czy to właśnie dostałam?

— Zgadza się!

— Która godzina?

— Nieco po dziewiątej.



— Nie wiesz, czy moja koleżanka, Deborah Cochrane, jest już po zabiegu?

— Jeszcze z nią nie skończyli — odparł Myron. — Możesz zrobić mi przysługę i usiąść na brzegu łóżka?

Joanna zrobiła, o co prosił. Jej ruchliwość była nieco ograniczona przez kroplówkę, wciąż podłączoną do jej prawej ręki.

— Jak się czujesz? — zapytał Myron. — Nie masz zawrotów głowy? Nic cię nie boli?

— Czuję się świetnie — odparła Joanna. — Najzupełniej normalnie. — Była zaskoczona, szczególnie brakiem bólu.

— Posiedź sobie jeszcze parę minut — zaproponował Myron. — Potem, jeśli wszystko będzie w porządku, zdejmemy kroplówkę i będziesz mogła pójść na dół, przebrać się z powrotem we własne rzeczy.

— Znakomicie — ucieszyła się Joanna.

Gdy Myron notował jej ciśnienie i tętno, rozejrzała się dookoła. Znajdowały się tu jeszcze trzy inne łóżka oprócz tego, na którym siedziała. Wszystkie były wolne. Wnętrze wyglądało jak z innej epoki; najwyraźniej kosmetyka, jakiej poddano inne pomieszczenia kliniki, tutaj nie sięgała. Ściany i podłogę pokrywały wiekowe kafelki, okna swoje najlepsze lata miały już za sobą, a umywalki wykonano ze steatytu.

Ta prowizoryczna sala pooperacyjna przypominała jej przedpotopową salę operacyjną, w której miała zabieg, a myśl ta przyprawiła ją o dreszcze. Było to wnętrze, w jakim bez trudu mogła wyobrazić sobie lobotomie, wykonywane wbrew woli bezradnych pacjentów. Gdy tylko tam ją przywieziono, momentalnie stanęło jej przed oczyma widziane niegdyś makabryczne malowidło sprzed paru wieków, przedstawiające lekcję anatomii. Ale na obrazie wznoszące się amfiteatralnie, niknące w ciemnościach rzędy siedzeń zapelniali widzowie, spoglądający w dół na obdarte ze skóry, upiornie blade zwłoki.

Drzwi pomieszczenia otworzyły się. Odwróciwszy się, Joanna ujrzała niskiego mężczyznę z burzą ciemnych włosów. Jego blada cera znów przywiodła jej na myśl lekcję anatomii z obrazu. Zauważyła, że przystanął jak wryty, a wyraz zaskoczenia na jego twarzy szybko ustąpił miejsca rozdrażnieniu. Mężczyzna miał na sobie długi, biały fartuch lekarski, narzucony na zielony strój chirurga.

— Dzień dobry, panie doktorze — powiedział Myron, unosząc wzrok znad biurka.

— Panie Hanna, zdawało mi się, że powiedział pan, że pacjentka jeszcze śpi — warknął doktor Paul Saunders, świdrując Joannę spojrzeniem.

— Było tak, kiedy rozmawialiśmy, panie doktorze — odparł Myron. — Obudziła się dopiero przed chwilą. Jej stan jest dobry.

Pod nieruchomym spojrzeniem lekarza Joanna poczuła się wybitnie nieswojo. Osoby obdarzone władzą zawsze wyzwalaly w niej instynktowny lęk, za co po części przynajmniej odpowiedzialny był jej własny ojciec, wyobcowany emocjonalnie, wymagający bezwzględного posłuchu dyrektor przedsiębiorstwa naftowego.

— Ciśnienie i tętno są w normie — ciągnął Myron. Wstał i zrobił parę kroków, Saunders powstrzymał go jednak uniesieniem dłoni.

Lekarz z zaciśniętymi ustami zbliżył się do Joanny. Jego szeroki u nasady nos sprawiał, że oczy wydawały się położone zbyt blisko siebie. Jednak najbardziej niesamowite w jego wyglądzie były tęczówki, każda o nieco innej barwie, i kosmyk białych włosów nad czołem, ginący w jego lekko rozwichrzonej fryzurze.

— Jak się pani czuje, panno Meissner? — zapytał Paul.

Jego wyprany z emocji głos przypominał Joannie ton, jakim niegdyś, gdy była w szkole podstawowej, ojciec zwykł ją pytać, jak minął jej dzień.

— W porządku — powiedziała, nie wiedząc właściwie, czy rzeczywiście go to obchodzi, albo czy w ogóle chce, żeby odpowiadała. Zdobywszy się na odwagę, zapytała: — Czy to pan robił zabieg? — Dostała narkozę, zanim Paul pojawił się na sali operacyjnej.

— Tak — przyznał Paul tonem, który nie zachęcał do dalszych pytań. — Czy mógłbym rzucić okiem na pani brzuch?

— Oczywiście — odparła Joanna. Zerknęła na Myrona, który natychmiast podszedł i stanął po drugiej stronie łóżka. Pomógł jej z powrotem położyć się na plecach, po czym naciągnął na nią prześcieradło, okrywając nogi.

Paul delikatnie odsunął narzutkę, starając się nie poruszyć prześcieradła zakrywającego dolne partie ciała Joanny, po czym uważnie przyjrzał się jej śródbrzuszu. Dziewczyna uniosła głowę, aby również zerknąć. Znajdowały się tam trzy opatrunki: jeden bezpośrednio pod pępkiem, pozostałe dwa niżej, symetrycznie po obu stronach, co razem tworzyło trójkąt równoboczny.

— Nie ma śladów krwawienia — oświadczył Myron — a gaz został wchłonięty.

Paul skinął głową. Z powrotem osłonił narzutką brzuch Joanny, po czym skierował się do wyjścia.

— Doktorze Saunders! — zawołała nagle Joanna.

Paul przystanął i znów odwrócił się w jej stronę.

— Ile komórek udało się uzyskać?

— Nie pamiętam dokładnie — odparł. — Pięć albo sześć.

— Czy to dobrze?

— Wystarczy aż nadto — stwierdził. Lekki uśmiech nawiedził jego jak dotąd śmiertelnie poważną twarz. Potem Paul wyszedł.

— Nie jest zbyt rozmowny — zauważyła Joanna.

— Ma bardzo dużo pracy — odparł Myron. Odciągnął prześcieradło z jej nóg. — Proponuję, żebyś spróbowała teraz wstać. Myślę, że już można zdjąć ci tę kroplówkę.

— Czy doktor Saunders wykonuje wszystkie pobrania? — zapytała Joanna, siadając na łóżku i spuszcżając nogi przez jego krawędź. Zsunęła się, by dotknąć stopami podłogi, lewą ręką przytrzymując na plecach końce narzutki.

— Tak, razem z doktor Donaldson.

— Myślisz, że skoro pojawił się tutaj, to moja koleżanka jest już po zabiegu?

— Na to wygląda — odparł Myron. — Jak się czujesz? Nie kręci ci się w głowie?  
Joanna zaprzeczyła.

— W takim razie zdejmuję kroplówkę i możesz ruszać w drogę.

Piętnaście minut później dziewczyna była już przy szafce i wyjmowała ze środka swoje ubranie, buty i torebkę. W poczekalni siedziały, kartkując czasopisma, cztery inne pacjentki w szpitalnych szlafrokach. Żadna nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Szafka Deborah wciąż była zamknięta.

Gdy Joanna otwierała drzwi przebieralni, tej samej, z której korzystała poprzednio, do poczekalni weszła Cynthia, a tuż za nią Deborah. Na widok przyjaciółki uśmiechnęła się szeroko i w jednej chwili podbiegła, aby wcisnąć się wraz z nią do kabinki. Zamknęła za sobą drzwi.

— Jak było? — zapytała szeptem.

— Nie tak źle — odparła Joanna, sama nie wiedząc, dlaczego właściwie szepczą.  
— Anestezjolog uprzedzał, że mogę czuć lekkie pieczenie w ręce, kiedy podawał mi „mleko zapomnienia”, ale niczego nie czułam. Nie zauważyłam nawet, kiedy zasnęłam.

— „Mleko zapomnienia”? — zdziwiła się Deborah. — Co to jest, u diabła?

— Tak nazywał ten środek, który mi podał — wyjaśniła Joanna. — Zadziałał momentalnie. Tak jakby ktoś po prostu zgasił światło. Nie czułam kompletnie nic przez cały zabieg. A na dokładkę muszę ci z radością oznajmić, że po przebudzeniu nie miałam żadnych mdłości.

— Nawet lekkich?

— Nic a nic. I obudziłam się tak samo, jak zasnęłam: zupełnie zniecka.  
— Pstryknęła palcami dla podkreślenia swych słów. — To wszystko wcale nie było takie straszne. A jak u ciebie?

— Bułka z masłem — odparła Deborah. — Nie gorsze niż zwykły wymaz z pochwy.

— Nie bolało?

— Może trochę, kiedy robili mi miejscowe znieczulenie, ale to wszystko. Najgorsze było to głupie uczucie, że zagładają mi do środka.

— Ile komórek uzyskali?

— Nie mam zielonego pojęcia — przyznała Deborah. — Przypuszczam, że tylko jedną. Tyle właśnie my, kobiety, produkujemy każdego miesiąca bez stymulacji hormonalnej.

— Ode mnie pobrali pięć albo sześć.

— No, no, jestem pod wrażeniem — stwierdziła Deborah z udawanym sarkazmem.  
— Skąd wiesz?

— Pytałam — odparła Joanna. — Doktor wpadł do mnie na chwilę, gdy byłam w sali pooperacyjnej. Nazywa się Saunders. Musiałś go widzieć, bo to właśnie on razem z doktor Donaldson wykonuje zabiegi.

— Taki nieduży facet z dziwnymi oczami?

— Tak. Myślę, że on sam też jest dość dziwny, a do tego wybitnie małomówny. W dodatku nie wiem czemu, ale odniosłam wrażenie, że był wściekły, kiedy zobaczył, że już nie śpię.

— Daj spokój! — prychnęła Deborah.

— Mówię poważnie.

— Jestem zaskoczona, bo przy mnie też zachowywał się, jakby był wściekły.

— Nie żartuj! — powiedziała Joanna. — W takim razie on naprawdę ma jakiś problem. To pocieszające, bo obawiałam się, że może wmówiłam to sobie. Wiesz, jak się odnoszę do władczych typów.

— Aż za dobrze — przyznała Deborah. — I myślisz, że zdenerwował się, bo byłaś już przytomna?

— Tak — odparła Joanna. — Warknął na pielęgniarkę, bo ten powiedział mu parę minut wcześniej przez telefon, że jeszcze śpię. Przypuszczam, że miał zamiar po prostu wpaść i wypaść, a okazało się, że tak czy owak musi nawiązać ze mną kontakt.

— Przecież to absurd — stwierdziła Deborah.

— Pielęgniarkę tłumaczył to jego zapracowaniem.

— Wobec mnie zachowywał się równie nieodpowiednio. Najpierw, tak jak tamci, zaczął gadać, że wolałby znieczulenie ogólne i że byłoby o wiele lepiej, gdybym się na nie zgodziła. Ale ja powiedziałam, że nie ma mowy. A on się wkurzył. I wiesz co? Wtedy zrozumiałam, dlaczego kazali mi nic nie jeść i nie pić od północy. Mieli nadzieję, że jednak uda im się mnie namówić.

— Nie zgodziłaś się, prawda?

— Jasne, że nie! — odparła Deborah. — Powiedziałam im, że zaraz wstanę i pójde do siebie, i naprawdę byłam tego bliska. Gdyby nie doktor Donaldson, która załagodziła sprawę, chyba bym to zrobiła. Ale tak czy inaczej, wszystko poszło dobrze.

— Wyośmy się stąd — powiedziała Joanna.

— Popieram — stwierdziła Deborah. Otworzyła żaluzjowe drzwi kabinki i mru-gnąwszy porozumiewawczo do przyjaciółki, wysliznęła się na zewnątrz. Po chwili z poczekalni dobiegł odgłos otwieranej z łomotem szafki.

Joanna zdjęła z siebie szpitalne ubranie i wrzuciła je do stojącego obok kubła z pokrywą. Przez chwilę przyglądała się sobie w wiszącym na ścianie lustrze. Na myśl o ukrytych pod trzema plasterkami maleńkich nacięciach wzdrygnęła się. Ich widok uprzytomnił jej raz jeszcze, że ktoś niedawno zaglądał w jej wnętrzości.

Trzask zamykanych drzwi sąsiedniej kabinki wyrwał ją z zadumy. Nie chcąc, by Deborah, która z reguły ubierała się bardzo szybko, musiała na nią czekać, Joanna skupiła się na własnej garderobie. Ubrawszy się, zaczęła szcztokować włosy, niemiłosiernie splątane, choć do zabiegu związała je na plecach w koński ogon. Zanim skończyła, usłyszała, jak Deborah wychodzi ze swojej przebieralni.

— Jak ci idzie? — zawołała Deborah przez drzwi.

— Jestem już prawie gotowa — odparła Joanna. Włosy sprawiały jej więcej kłopotów niż zwykle. W średniej szkole nosiła grzywkę, której pozwoliła odrosnąć w college'u, i teraz luźne pasma uparcie opadały jej na twarz. Wreszcie po ostatnim kontrolnym spojrzeniu w lustro otworzyła drzwi. Deborah powitała ją zirytowanym wyrazem twarzy.

— Śpieszyłam się jak mogłam — powiedziała Joanna.

— Nie wątpię — stwierdziła Deborah, podnosząc się z krzesła. — Powinnaś zacząć nosić krótkie włosy, jak ja. Zaoszczędziłabyś sobie mnóstwo kłopotu. Tak jest o wiele wygodniej.

— Nigdy! — odparła Joanna żartobliwym tonem, ale naprawdę tak uważała. Mimo problemów była dumna ze swych długich włosów.

Dziewczyny zawołały „dziękujemy” do Cynthii, która w odpowiedzi pomachała im ręką. Kobiety siedzące na sofie i krzesłach uniosły wzrok, kilka z nich uśmiechnęło się, ale wszystkie powróciły do lektury, nim Joanna i Deborah zdążyły zniknąć za wahadłowymi drzwiami.

— Właśnie sobie uświadomiłam, że zapomnieliśmy zapytać o jedną rzecz — oświadczyła Deborah, gdy szły przez główny korytarz.

— Mam się domyślać, czy sama powiesz mi jaką? — po chwili milczenia zapytała z westchnieniem Joanna. Deborah miała lekko irytujący zwyczaj nie kończenia zaczętej myśli, dopóki nie pociągnęło się jej za język.

— Zapomnieliśmy zapytać, kiedy i w jaki sposób nam zapłacą.

— Na pewno nie gotówką — odparła Joanna.

— Tyle to sama wiem! — mruknęła Deborah.

— Czekać albo przekazem — stwierdziła Joanna.

— W porządku, ale kiedy?

— W umowach, które podpisałyśmy, był zapis, że otrzymamy zapłatę po wykonaniu usługi. Właśnie ją wykonałyśmy, tak więc zapłacą nam zaraz.

— Najwyraźniej masz do nich więcej zaufania niż ja — orzekła Deborah. — Myślę, że dobrze byłoby wyjaśnić tę sprawę, zanim stąd wyjdziemy.

— Co do tego nie ma dwóch zdań — zgodziła się Joanna. — Najlepiej każmy wezwać doktor Donaldson, o ile nie zastaniemy jej w głównej poczekalni.

Dziewczyny dotarły do poczekalni i przystanąły w drzwiach, rozglądając się po obszernym pomieszczeniu. Niemal wszystkie miejsca były zajęte. Tu i tam toczyły się ściszone rozmowy, ogólnie jednak, wzięwszy pod uwagę liczbę osób, we wnętrzu panowała zdumiewająca cisza.

— Cóż, nie ma jej tutaj — stwierdziła Deborah. Jeszcze raz dla pewności omiotła wzrokiem salę.

— Więc każmy ją wezwać — powiedziała Joanna.

Ruszyły w stronę wielkiego biurka. Siedziała za nim atrakcyjna, hojnie obdarzona przez naturę dziewczyna o płomiennie rudych włosach. Miała wydęte, pełne wargi, jakie widuje się zwykle u modelek zdobiących okładki popularnych czasopism. Na jej identyfikatorze widniało nazwisko ROCHELLE MILLARD.

— Przepraszam — odezwała się Joanna, by przyciągnąć jej uwagę. Dziewczyna czytała ukradkiem trzymaną na kolanach książkę.

Książka zniknęła jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— W czym mogę pomóc? — zapytała Rochelle.

Joanna poprosiła o kontakt jej z doktor Donaldson.

— Czy pani nazywa się Joanna Meissner? — zapytała recepcjonistka.

Joanna skinęła głową.

Rochelle przeniosła wzrok na Deborah.

— A to panna Cochrane?

— Zgadza się — odparła Deborah.

— Mam coś dla pań od Margaret Lambert, naszej księgowej.

Rochelle otworzyła szufladę z prawej strony biurka i wyciągnęła z niej dwie nie zaklejone koperty z celofanowymi okienkami. Wręczyła je zaskoczonym dziewczynom.

Wymieniwszy ukradkowe, konspiracyjne uśmiechy, Deborah i Joanna zajrzały do swoich kopert. Chwilę później ich oczy spotkały się ponownie.

— Bingo! — wykrzyknęła Deborah ze śmiechem. Odwróciła się do recepcjonistki. — *Mille grazie, signorina. Partiamo in Italia* — powiedziała.

— To pierwsze znaczy po włosku: tysięczne dzięki — wyjaśniła Joanna. — Co do reszty, nie jestem pewna. I proszę już nie wzywać doktor Donaldson. Nie ma potrzeby.

Zostawiając za sobą zdezorientowaną recepcjonistkę, dziewczyny skierowały się do wyjścia.

— Czuję się trochę jak złodziejka, wychodząc stąd z taką forszą — powiedziała półgłosem Deborah, kiedy lawirowały przez zatłoczoną poczekalnię. Tak jak Joanna, ścisnęła swoją kopertę w dłoni. Starannie omijała wzrokiem siedzące kobiety, bojąc się spojrzeć w twarz jakiejś osobie, która musiała zastawić swój dom, by zapłacić za leczenie niepłodności.



— Biorąc pod uwagę liczbę pacjentek, sądzę, że Wingate może sobie na to pozwolić — odparła Joanna. — Coraz bardziej nabieram przekonania, że ten biznes jest prawdziwą żyłą złota. Poza tym tak naprawdę płacą nam przyszłe klientki, nie klinika.

— O to właśnie mi chodzi — przyznała Deborah. — Chociaż przypuszczam, że ludzie wybredni do tego stopnia, by życzyć sobie komórek jajowych od studentek Harvardu, raczej nie cierpią na brak kasy.

— Otóż to — stwierdziła Joanna. — Spójrz na to tak: my pomagamy komuś, a ten ktoś, z wdzięczności, pomaga nam.

— Trudno jest uważać się za altruistkę, kiedy dostaje się czek na czterdzieści pięć tysięcy dolarów — zauważyła Deborah. — Może zresztą czuję się bardziej jak jakaś prostytutka niż jak złodziejka. Ale nie zrozum mnie źle. Ja wcale nie narzekam.

— Kiedy te pary doczekają się dzieci, będą uważały, że i tak zrobiły doskonały interes.

— Wiesz, chyba masz rację — zgodziła się Deborah. — Przeszanę czuć się winna.

Wyszły na rześkie poranne powietrze. Deborah miała właśnie ruszyć w dół po schodach, kiedy uświadomiła sobie, że Joanna przystanąła. Spojrzawszy na przyjaciółkę, dostrzegła na jej twarzy grymas bólu.

— Co się stało? — zapytała zaniepokojona.

— Coś mnie zakłuło w dole brzucha — odparła Joanna, przeciągając lewą dłoń nad bolącym miejscem. — Poczułam to aż w ramieniu, i wszędzie.

— Dalej cię boli?

— Tak, ale już jest trochę lepiej.

— Chcesz wrócić i zobaczyć się z doktor Donaldson?

Joanna niepewnie przycisnęła dłoń do podbrzusza tuż nad lewą kością biodrową. Poczula lekki dyskomfort, który ustąpił, gdy zwolniła nacisk. Potem nastąpiło kolejne ukłucie bólu. Z jej warg wymknął się cichy jęk.

— Wszystko w porządku, Joanno?

Pokiwała głową. Podobnie jak za pierwszym razem, ból minął szybko, pozostawiając po sobie jedynie wrażenie tępego ucisku.

— Wezwijmy doktor Donaldson — powiedziała Deborah. Ujęła przyjaciółkę za ramię, by zaprowadzić ją z powrotem do kliniki, ale Joanna nie ruszyła się z miejsca.

— Nie czuję się aż tak źle — oświadczyła. — Chodźmy do samochodu.

— Jesteś pewna?

Joanna jeszcze raz skinęła głową, łagodnie uwolniła ramię z uścisku Deborah i ruszyła w dół schodów. Z początku czuła się zdecydowanie lepiej, kiedy szła lekko zgięta wpół, ale już po kilku krokach była w stanie wyprostować się i iść względnie normalnie.

— Jak tam? — zapytała Deborah.

— Całkiem nieźle — zapewniła ją Joanna.

— Nie uważasz, że lepiej byłoby wrócić i powiedzieć o tym doktor Donaldson, choćby tylko dla upewnienia się, że to nic groźnego?

— Chcę jechać do domu — odparła Joanna. — Poza tym doktor Smith uprzedzał mnie, że po zabiegu mogę odczuwać podobne bóle, więc nie jest to nic niespodziewanego.

— Uprzedzał cię o bólach? — W głosie Deborah pobrzmiewało zaskoczenie.

Joanna skinęła głową i wyjaśniła:

— Nie był pewien, po której stronie mogą się pojawić, ale powiedział, że będzie to tępy ucisk z paroma ukłuciami ostrego bólu, a więc wszystko się zgadza. Jestem tylko zaskoczona, bo zaczęłam je odczuwać dopiero teraz.

— Poradził ci, co z tym zrobić?

— Jego zdaniem powinien wystarczyć ibuprofen, ale gdyby nie poskutkował, to mogę poprosić aptekarza, żeby zadzwonił do niego na numer kliniki. Mówił, że jest uchwytny dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— To dziwne, że uprzedzili cię o bólach — stwierdziła Deborah. — Mnie nic nie powiedzieli, ani też nic nie czuję. Może źle zrobiłaś, że nie upierałaś się przy miejscowym znieczuleniu, tak jak ja.

— Żartujesz sobie — odparła Joanna. — Jestem zadowolona, że przespałam to wszystko, nawet jeśli ceną jest odrobina bólu i przykra konieczność usunięcia trzech szwów.

— Gdzie masz te szwy?

— Na nacięciach, którymi wprowadzano wzierniki.

— Będziesz musiała wrócić tutaj, żeby je ściągnęli? — zaniepokoiła się Deborah.

— Powiedzieli mi, że może to zrobić każdy lekarz albo pielęgniarka — odparła Joanna. — Jeżeli do tego czasu dojdę do ładu z Carltonem, mogę jego o to poprosić. Jeśli nie, po prostu pójdę do przychodni.

Dotarły do samochodu. Deborah obeszła wóz dookoła, by otworzyć przyjaciółce drzwi od strony pasażera. Podtrzymała ją nawet za ramię, gdy Joanna wsiadała do środka.

— Nadal myślę, że powinnaś była wybrać miejscowe znieczulenie — powiedziała.

— Nigdy mnie nie przekonasz — oświadczyła stanowczo Joanna. Co do tego nie miała cienia wątpliwości.

## Rozdział 5

7 maja 2001

13.50

Przez kadłub samolotu przetoczyło się drżenie, sygnalizując początek okresu lekkich turbulencji. Joanna uniosła oczy znad książki i rozejrzała się po kabinie, by się upewnić, że inni pasażerowie przyjęli to spokojnie. Nie lubiła turbulencji. Przypominały jej, że unosi się wysoko ponad ziemią, a nie mając naukowego zacięcia, uważała za sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, że coś tak ciężkiego jak samolot naprawdę jest w stanie latać.

Kilka wstrząsów i stęknień nie zrobiło na nikim specjalnego wrażenia, a już na pewno nie na Deborah, która na sąsiednim siedzeniu chrapała w najlepsze. Nie wyglądała najpiękniej. Jej sięgająca ramion grzywa ciemnych, niemal czarnych włosów była zmierzwiona, a usta lekko otwarte. Joanna znała Deborah wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że jej przyjaciółka umarłaby ze wstydu, gdyby mogła się teraz zobaczyć. Przemknęło jej przez myśl, czy nie powinna jej obudzić, ale nie zrobiła tego. Przyłapała się natomiast na tym, że nie może się nadziwić, jak bardzo obie zmieniły styl uczesania. Włosy Deborah były teraz długie, podczas gdy sama Joanna od pół roku obcinała je krótko, krócej nawet niż Deborah w czasach, kiedy mieszkały w Cambridge.

Odwróciła się w stronę okna. Przyciskając nos do szyby, mogła zobaczyć w dole odległą o miliony stóp ziemię. Podobnie jak piętnaście czy dwadzieścia minut wcześniej, roztaczała się tam monotonna, upstrzona plamkami jezior tundra. Z mapki w informatorze linii lotniczych Joanna wiedziała, że przelatują właśnie nad Labradorem, kierując się w stronę lotniska Logan w Bostonie. Podróż zdawała się nie mieć końca i dziewczyna siedziała jak na szpilkach. Po niemal półtorarocznej nieobecności w kraju nie mogła się już doczekać, kiedy znów postawi nogę na starej dobrej amerykańskiej ziemi. Pomimo ciągłych nalegań matki, przybierających na sile zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia, przez cały ten czas ani razu nie przyjechała do Stanów. Święta były w domu Meissnerów wielkim wydarzeniem i Joannie było ich brak, szczególnie gdy Deborah wyjechała do Nowego Jorku, by spędzić je ze swoją matką i ojczymem. Ale nie miała ochoty wysłuchiwać nie kończących się kazań na temat straszliwej katastrofy towarzyskiej, jaką wywołała, zrywając zaręczyny z Carltonem Williamsem.

Tak jak planowały, dziewczyny wybrały się do Wenecji, by uciec przed monotonią studenckiego życia, a jednocześnie ustrzec Joannę przed powrotem do dawnego przekonania, że małżeństwo jest koniecznością. Początkowo mieszkały niemal przez tydzień

w dzielnicy San Polo, niedaleko mostu Rialto, w pensjonacie, który Deborah znalazła za pośrednictwem Internetu. Potem przeniosły się do *sestiere* Dorsoduro, poleconej im przez dwóch studentów, których poznały drugiego dnia pobytu, pijąc kawę na Piazza San Marco. Odrobina szczęścia i spora doza cierpliwości pozwoliły im znaleźć małe, niedrogie, dwupokojowe mieszkanie na najwyższym piętrze skromnego, czternastowiecznego budynku przy placu o nazwie Campo Santa Margherita.

Jako poważne doktorantki, dziewczyny dla wygody już wkrótce wypracowały sobie precyzyjny rozkład dnia. Każdego ranka, bez względu na to, jak balowały poprzedniego wieczoru, wstawały z łóżka o siódmej, brały prysznic i schodziły na *campo*, do jednej z pobliskich knajpek w tradycyjnym włoskim stylu, na świeże cappuccino, co było szczególnie przyjemne latem, kiedy porastające plac platany dawały miły cień. Potem ruszały na Rio di San Bamaba, by dopełnić swoje *colazione* świeżymi owocami kupionymi od zieleniarzy, *verdurieri*, sprzedających swoje towary wprost z barki na wodzie. Pół godziny później były z powrotem w domu i zasiadały do pracy.

Pisały sumiennie do pierwszej po południu. Dopiero wtedy wyłączały laptopy. Po krótkiej toalecie i przebraniu się udawały się do restauracji, którą wybrały danego dnia na lunch, nierzadko obejmujący także parę kieliszków białego wina z Friuli. Następnie ambitne doktorantki przeistaczały się w rasowe turystki. Uzbrojone w przewodniki, wyruszały na zwiedzanie zabytków. Trzy razy w tygodniu odwiedzały też uniwersytet, gdzie zapisały się na lekcje włoskiego i cykl wykładów na temat sztuki weneckiej.

Ale ich pobyt w Wenecji nie był wypełniony wyłącznie pracą i zwiedzaniem. Udzielały się też towarzysko, obracając się niemal wyłącznie wśród Włochów ze środowiska akademickiego. Pierwszym adoratorem Deborah był doktorant z wydziału historii sztuki, w sezonie pracujący jako gondolier. Joanna zaczęła spotykać się z wykładowcą z tego samego wydziału. Jednak żadna z nich nie pozwoliła sobie na głębszy związek, utrzymując, jak określiła to Deborah, zdecydowanie męskie podejście do romansów: mianowicie traktując je jak sport.

Joanna westchnęła na wspomnienie wszystkich tych wspaniałych widoków i cudownych przeżyć, które były ich udziałem. Minione półtora roku było doprawdy niezwykle pod każdym względem, nie pomijając zawodowego. W schowku pod sufitem, upchnięte w bagażu podręcznym, spoczywały dwie ukończone prace doktorskie. Dzięki poczcie elektronicznej, która ułatwiła przesyłanie tam i z powrotem poszczególnych rozdziałów i uwag, prace zostały już zatwierdzone. Pozostała jedynie ich obrona, co do której obie były zupełnie spokojne. Tydzień po powrocie miały już wyznaczone terminy rozmów kwalifikacyjnych: Joanna w Harvard Business School, a Deborah w Genzyme.

Nawet Carlton odwiedził je kilkakrotnie. Za pierwszym razem zwałił im się na głowy bez zapowiedzi, co doprowadziło Joannę do pasji. Przed wyjazdem do Europy próbowała raz po raz się z nim skontaktować, ale on unikał jej jak mógł i twardo ignorował

wiadomości, które mu zostawiała. Kiedy znalazły mieszkanie w Wenecji, wysłała mu adres, żeby mógł do niej napisać, jeśli kiedyś przyjdzie mu na to ochota. A tymczasem on jak gdyby nigdy nic przyjechał i pewnego mglistego, deszczowego, zimowego ranka zastukał do ich drzwi.

Gdyby nie wyrzuty sumienia z powodu podróży, jaką musiał odbyć, żeby się z nią spotkać, Joanna odesłałaby go z kwitkiem. Jednak w tej sytuacji pozwoliła mu przez parę dni kisać w hotelu Gritti Pałace, nim zdecydowała się wreszcie do niego zadzwonić. Umówili się na lunch w Harrys Bar, lokalu wybranym przez Carltona, i chociaż rozmowa była z początku bolesna, udało im się dojść do jako takiego porozumienia, które otworzyło drogę dla korespondencji. Wymiana listów zaowocowała dwiema następnymi wizytami Carltona w Serenissimie, jak dawni Wenecjanie nazywali swe piękne miasto. Każda z nich, choć nie należała do najprzyjemniejszych doświadczeń, zostawiała po sobie miłsze wrażenie niż poprzednia. Z perspektywy roku spędzonego za granicą Joanna wyraźnie dostrzegała u Carltona zgubny wpływ poświęceń, jakich wymaga zawód lekarza. Niemniej ostatecznym efektem tych spotkań było zawieszenie broni: oboje przyznali, że czują do siebie sympatię, ale obecny stan „niezaręczonych” najzupełniej im odpowiada, pozwalając każdemu iść torem własnych zainteresowań.

Kolejna seria podrzutów i stęknień kazała Joannie jeszcze raz rozejrzeć się po wnętrzu samolotu. Ku jej zdumieniu nikt z pasażerów nie zdradzał zaniepokojenia. Potem turbulencje ustały równie nagle, jak się zaczęły. Dziewczyna znowu spojrzała w okno, ale widok był wciąż ten sam. Zastanawiała się, jak to możliwe, że samolot w przejrzystym powietrzu podskakuje jak samochód na wyboistej drodze.

Gdy maszyna się uspokoiła, Joannę niespodziewanie ogarnęło nieodparte, dokuczliwe uczucie, że mimo wszystkich uciech, podróży i stymulacji intelektualnych, w jej życiu wciąż czegoś brakuje.

Deborah twierdziła, że niepokój przyjaciółki bierze się z odrzucenia przez nią tradycyjnych kobiecych celów: domu, męża i dzieci. Ale sama Joanna wykryła inne źródło. Widok niezmierzonej miłości Włochów do dzieci nieustannie przypominał jej o oddanych w Klinice Wingate'a komórkach jajowych.

Z dnia na dzień pokusa odkrycia ich dalszych losów stawała się coraz silniejsza. Przez długi czas Deborah drwiła sobie z ciekawości Joanny, aż nagle, w przeddzień powrotu do kraju, zaskoczyła ją zupełną zmianą frontu.

— Nie sądzisz, że dobrze byłoby dowiedzieć się, jakie dzieci urodziły się z naszych komórek jajowych? — zagadnęła podczas ostatniej kolacji w Wenecji.

Joanna odstawiła kieliszek z winem i spojrzała w ciemne oczy przyjaciółki, jak gdyby szukając w nich wyjaśnienia. Była zaskoczona. Gdy przed miesiącem sama zadała to pytanie, Deborah wpadła w złość i zarzuciła jej obsesję.

— Jakie twoim zdaniem mamy szansę czegoś się dowiedzieć? — zapytała Deborah, nie dostrzegając lub nie chcąc dostrzec reakcji przyjaciółki.

— Raczej niewielkie, biorąc pod uwagę umowę, jaką podpisałyśmy — odparła Joanna.

— No tak, ale tam chodziło raczej o naszą anonimowość — zaproponowała Deborah. — Żeby nikt nie nachodził nas z żądaniami wsparcia dla dziecka czy czegoś w tym rodzaju.

— Myślę, że to działa w obie strony — stwierdziła Joanna. — Klinika Wingate'a chce mieć z kolei pewność, że nie zaczniemy dochodzić praw macierzyńskich do tych dzieci.

— Chyba masz rację — przyznała Deborah. — A jednak szkoda. To byłoby ciekawe, choćby tylko dla upewnienia się, że w ogóle możemy mieć dzieci. Wiesz, w dzisiejszych czasach nie ma żadnych gwarancji płodności. Założę się, że te wszystkie osoby, które widziałyśmy w klinice, mogłyby to potwierdzić.

— Też tak myślę — odparła Joanna, wciąż jeszcze zbita z tropu nieoczekiwaną odmianą. — Sama jestem ciekawa. Może zadzwonimy do kliniki po powrocie i zobaczymy, co nam powiedzą? W końcu nic nie szkodzi zapytać.

— Świetny pomysł — oświadczyła Deborah.

Teraz od tamtej rozmowy dzielił je dzień i ocean. Dobiegające z głośników pokładowych trzaski przywróciły Joannie poczucie rzeczywistości. Kapitan oznajmił, że samolot wkrótce zacznie schodzić do lądowania w Bostonie. Pasażerowie, dodał, proszeni są o zapięcie pasów.

Joanna dla pewności zerknęła na swój pas bezpieczeństwa. Z zasady nie rozpięła go podczas całego lotu, bez względu na to, czy lampka sygnalizacyjna świeciła się, czy nie. Rzut oka na Deborah upewnił ją, że jej pas również jest zapięty. Znow się odwróciła w stronę okna. Krajobraz w dole odmienił się. Tundra ustąpiła miejsca gęstym lasom, z rzadka przecinanym terenami odosobnionych gospodarstw rolnych. Domyśliła się, że są nad Maine, co, przynajmniej jeśli o nią chodziło, stanowiło dobry znak. Do Massachusetts było już niedaleko.

— Jedzie moja ostatnia torba! — wykrzyknęła Deborah, podbiegając do ruchomej taśmy, na której obie z Joanną wypatrywały swoich rzeczy w stertach waliz. Wygrzebała pękającą w szwach torbę i przytaszczyła ją tam, gdzie złożyły resztę bagaży. Załadowawszy wszystko na dwa wózki, dziewczyny stanęły w kolejce do odprawy celnej.

— A więc znow jesteśmy w Bostonie — odezwała się Deborah, przeciągając dłonią po długich, gęstych włosach. — Lot był wspaniały. Minał o wiele szybciej, niż się spodziewałam.

— Nie powiedziałabym — odparła Joanna. — Niestety, ja nie przespałam nawet połowy tego czasu co ty.



— Samoloty mnie usypiają — przyznała Deborah.

— Nie da się ukryć — mruknęła z zazdrością Joanna.

Godzinę później obie przyjaciółki były już w swoim mieszkaniu na Beacon Hill, świeżo opuszczonym przez lokatora, któremu wynajęły je na czas pobytu we Włoszech.

— Może rzucimy monetę, żeby ustalić, jak się dzielimy pokojami? — zaproponowała Joanna.

— Nie ma mowy — odparła Deborah. — Powiedziałam, że biorę ten mniejszy, i ani myślę zmienić zdania.

— Jesteś pewna?

— Jak najbardziej. Obszerna szafa i widok za oknem są dla mnie ważniejsze niż przestrzeń.

— Chodzi mi o łazienkę — wyjaśniła Joanna. Łazienka miała dwa wejścia: jedno z przedpokoju, drugie z większego z pokoi, dzięki czemu, jej zdaniem, ten większy pokój był o niebo lepszy.

— Mniejszy pokój w zupełności mi odpowiada. Wierz mi!

— W porządku — odparła Joanna. — Nie będę się spierać.

W ciągu następnej godziny dziewczyny rozdzieliły między siebie meble, częściowo rozpakowały bagaże i zdążyły nawet zaścielić łóżka, kiedy wreszcie, jak określiła to Deborah, „straciły parę”. Uświadomiwszy sobie, że we Włoszech minęła już dziesiąta wieczorem, padły na kanapę w salonie. Jaskrawy blask wiosennego, popołudniowego słońca wciąż jeszcze sączył się przez okna, na przekór ich wyczerpaniu i rozkojarzeniu po zmianie stref czasowych.

— Jakie masz plany co do obiadu? — zapytała sennie Deborah.

— Zanim pomyślę o jedzeniu, chcę zrobić jeszcze jedną rzecz — odparła Joanna. Usiadła prosto i przeciągnęła się.

— Zdrzemnąć się? — zapytała Deborah.

— Nie — odparła Joanna. — Zadzwoń. — Wstała i przeszła przez pokój, by podnieść telefon z podłogi. Nie miały stolika obok gniazdka. Mogły wprawdzie postawić tam biurko, ale wołały umieścić je po przeciwnej stronie, tak by światło z okna nic padało na ekran komputera.

— Jeżeli dzwonisz do Carltona, to się zaraz porzygam.

Joanna spojrzała na przyjaciółkę jak na szaloną.

— Nie dzwonię do Carltona. Skąd ci to przyszło do głowy?

Wróciła z telefonem na kanapę. Aparat był podłączony do gniazdka ośmiometrowym kablem.

— Zaniepokoiłam się, czy nie wracasz do dawnych nawyków — wyjaśniła Deborah.

— Zauważyłam, jak wiele listów dostawałaś ostatnio od tego nudnego doktorzyny, i martwi mnie to, szczególnie teraz, kiedy znowu jesteśmy w Bostonie, o rzut beretem od jego szpitala.

Joanna parsknęła śmiechem.

— Przyznaj się. Ty naprawdę myślisz, że nie mam za grosz charakteru? — zapytała.

— Myślę, że jesteś jeszcze nie dość uzbrojona wobec dwudziestu pięciu lat matczynej indoktrynacji.

— No cóż. — Joanna zachichotała. — Dla twojej wiadomości: nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby dzwonić do Carltona. Dzwonię do Kliniki Wingate'a. Masz numer?

— Chcesz to zrobić już teraz? Dopiero co wróciliśmy do domu.

— Czemu nie? Od miesiący chodzi mi to po głowie. Tobie zresztą też, w każdym razie tak powiedziałas.

— Rzuć mi książkę telefoniczną — stęknęła Deborah, nie ruszając się z miejsca. — Leży na biurku.

Joanna wypełniła prośbę i podczas gdy Deborah wertowała strony, znów usiadła obok niej. Deborah odszukała właściwy numer i wskazała go palcem, a Joanna wystukała cyfry.

Połączenie zostało szybko odebrane. Joanna przedstawiła się jako dawna dawczyni komórek jajowych i poprosiła o rozmowę z osobą zorientowaną w sprawach tego programu. W słuchawce zapadła cisza.

— Słyszysz mnie pani? — zapytała Joanna.

— Słyszę — odezwała się telefonistka. — Ale nie spodziewałam się takiej prośby. Nie bardzo rozumiem, o co pani chodzi. Czy jest pani zainteresowana ponownym oddaniem gamet?

— Być może — odparła Joanna. Zerknęła na Deborah i wzruszyła ramionami. — Ale w tej chwili chciałabym tylko porozmawiać z kimś na temat tych, które oddałam poprzednio. Czy to możliwe?

— Coś się stało? — zapytała telefonistka. — Ma pani jakiś problem?

— Nie, właściwie nie — stwierdziła Joanna. — Chciałabym tylko uzyskać odpowiedź na parę pytań.

— W takim razie powinnam chyba wezwać doktor Sheilę Donaldson.

Joanna poprosiła kobietę, żeby została na linii, i nacisnęła klawisz zawieszania rozmowy. Spojrzała znacząco na Deborah.

— Co ty na to? Chodziło mi raczej o jakąś sekretarkę, nie lekarkę.

— Przypuszczam, że sekretarka i tak odesłałaby cię do doktor Donaldson, więc możemy równie dobrze od razu z nią porozmawiać. W ten sposób przeskoczmy jeden etap.

— Chyba masz rację — stwierdziła Joanna. Wyciągnęła rękę do telefonu.

— Zaczekaj! — powstrzymała ją Deborah. — Naprawdę myślisz o ponownym oddaniu jajeczek?

— Nigdy w życiu — odparła Joanna. — Ale przyszło mi do głowy, że możemy równie dobrze pozwolić im tak sądzić. Kto wie, może nam to pomóc.

Deborah skinęła głową. Joanna przywróciła połączenie i poprosiła telefonistkę o kontakt z doktor Donaldson.

— Zaczeka pani na linii, czy doktor Donaldson ma do pani oddzwonić?

— Zaczekam na linii — odparła Joanna. Chwilę później z telefonu popłynęła melodyjka.

— Może naprawdę powinniśmy się zastanowić, czy jeszcze raz nie oddać komórek jajowych — zauważyła Deborah. — Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby móc dalej prowadzić życie, do jakiego zdążyłam już przywyknąć. — Uśmiechnęła się figlarnie.

— Żartujesz — odparła Joanna.

— Niekoniecznie — stwierdziła Deborah.

— Ja nie zrobiłabym tego po raz drugi — oświadczyła Joanna. — Cieszę się ze wszystkiego, co nam dały te pieniądze, ale emocjonalna cena była zbyt wielka. Może byłabym gotowa przemyśleć tę propozycję, kiedy będę już miała własne dzieci, o ile do tego dojdzie. Ale oczywiście wtedy będę już prawdopodobnie na to za stara.

Zanim Deborah zdążyła odpowiedzieć, muzyka umilkła i na linii pojawiła się doktor Donaldson. Przedstawiła się nieco nerwowym tonem i spytała, w czym może pomóc.

— Byłam kiedyś u was dawczynią komórek jajowych — powiedziała Joanna. — To było dość dawno temu, ale chciałabym zadać jedno pytanie...

— Na czym polega problem? — zapytała niecierpliwie doktor Donaldson.

— Telefonistka dała mi do zrozumienia, że ma pani jakiś problem.

— Wyraźnie powiedziałam jej, że nie mam żadnego problemu.

— Kiedy odbył się zabieg?

— Mniej więcej półtora roku temu.

— Jak się pani nazywa? — zapytała lekarka. Jej głos stał się wyraźnie spokojniejszy.

— Joanna Meissner. Byłam razem z koleżanką.

— Pamiętam was — odparła doktor Donaldson. — Odwiedziłam was w Cambridge. Jak sobie przypominam, miała pani długie jasne włosy, a pani koleżanka krótkie i ciemne, prawie czarne. Obie byłyście na studiach doktoranckich.

— Jestem pod wrażeniem — stwierdziła Joanna. — Widuje pani przecież tylu ludzi.

— O co chciała pani zapytać?

Joanna odchrząknęła, po czym wyłożyła swą prośbę.

— Chciałybyśmy dowiedzieć się, co się stało z naszymi komórkami jajowymi. Wie pani, ile dzieci się z nich urodziło i może też jakiej są płci.

— Przykro mi, ale te informacje są poufne.

— Nie chodzi nam o nazwiska ani nic z tych rzeczy — nalegała Joanna.

— Naprawdę mi przykro, ale wszelkie informacje, nawet tego rodzaju, są trzymane w najgłębszej tajemnicy.

— Czy może pani przynajmniej nam powiedzieć, czy w ogóle urodziły się jakieś dzieci? — zapytała Joanna. — Czulybyśmy się lepiej, wiedząc, że nasze jajeczka są zdrowe.

— Przykro mi, ale mamy surowe reguły, które nie pozwalają na udzielanie jakichkolwiek informacji. Nie wiem, jak mam wyrazić się jaśniej.

Joanna skrzywiła się z irytacją.

— Witam, doktor Donaldson! — zawołała Deborah. Nachyliła się do mikrofonu. — Mówi Deborah Cochrane. Jestem tu razem z Joanną. Proszę powiedzieć: a gdyby te dzieci potrzebowały z jakiegoś powodu informacji genetycznej od biologicznej matki, albo gdyby wymagały przeszczepu, na przykład szpiku kostnego albo nerki?

Joanna wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

— Prowadzimy komputerowy rejestr — odparła doktor Donaldson. — Gdyby rzeczywiście, co mało prawdopodobne, wystąpiła sytuacja, o jakiej pani wspomniała, możemy się z wami skontaktować. Ale byłby to jedyny wyjątek, a jego prawdopodobieństwo jest znikome. Zresztą nawet i wtedy zaangażowane strony miałyby możliwość zachowania anonimowości. My nie udostępnilibyśmy na zewnątrz żadnych informacji.

Deborah wyrzuciła w górę ręce.

— Jedynie wtedy nie obowiązują nas te zasady, gdy któraś z naszych klientek sama znajduje dawczynię — ciągnęła doktor Donaldson. — Ale wówczas mamy zupełnie inną sytuację. Jest to tak zwana „jawna donacja”.

— No cóż, dziękuję pani — powiedziała Joanna.

— Przykro mi.

Joanna wdusiła przycisk słuchawki, przerywając połączenie.

— I to by było na tyle — stwierdziła z westchnieniem Deborah.

— Nie zamierzam poddać się tak łatwo — oświadczyła Joanna. — Myśl, że gdzieś na świecie żyje moje potomstwo, za bardzo mnie dręczy, żebym miała po prostu dać sobie spokój. — Wyciągnęła kabel z telefonu, położyła aparat na podłodze i podeszła do komputera na biurku.

— Co ci chodzi po głowie?

Joanna pochyliła się nad obudową komputera i podłączyła kabel telefoniczny do modemu.

— Wspominałaś kiedyś, że Klinika Wingate’a ma witrynę w sieci i że uzyskałaś stamtąd pewne informacje. Sprawdzimy, jaką mają zaporę. Masz jeszcze ich adres internetowy?

— Tak, umieściłam go w Ulubionych — odparła Deborah. Wstała z kanapy i podeszła, by przyglądać się poczynaniom Joanny. Jej przyjaciółka była o wiele bardziej od niej biegła we wszystkich sprawach związanych z komputerami. — Co to jest zapora?

— To oprogramowanie chroniące przed niepowołanym dostępem — wyjaśniła Joanna. Błyskawicznie weszła do Internetu i odszukała adres Kliniki Wingate’a. Chwilę później była już na ich stronie. Usadowiwszy się wygodniej na krześle, próbowała dostać się do plików kliniki.

— Nie wychodzi, co? — pół godziny później odezwała się ponad jej ramieniem Deborah.

— Niestety nie — odparła Joanna. — Oczywiście nie mam nawet pewności, że utrzymują stronę internetową na własnym serwerze.

— Nie zamierzam nawet pytać, co to znaczy — stwierdziła Deborah. Ziewnęła, po czym powlokła się ku kanapie i wyciągnęła się na niej jak długa.

Nagle Joanna wyszła z Internetu, wyciągnęła kabel z modemu i wróciła do telefonu, wciąż leżącego na podłodze przed kanapą. Podłączywszy aparat, zadzwoniła na informację i poprosiła o numer Davida Washburna.

— Kto to jest, u diabła? — zapytała Deborah.

— Kolega — wyjaśniła Joanna. — Byliśmy w jednej grupie na zajęciach z obsługi komputera. Bardzo miły facet, muszę dodać, który zresztą parę razy próbował się ze mną umówić.

— Co cię napadło, żeby dzwonić do niego akurat teraz?

— Ma łeb do komputerów — odparła Joanna. — A rozbieranie zabezpieczeń było na studiach jedną z jego ulubionych rozrywek.

— Wzywasz siły fachowe — zauważyła Deborah z kwaśnym uśmiechem.

— Można tak to określić — przyznała Joanna. Wróciła do biurka po papier i ołówek, by zanotować numer. Kiedy skończyła, niezwłocznie wystukała cyfry.

Deborah założyła ręce za głowę, przyglądając się przyjaciółce, gdy ta ze zdecydowanym wyrazem twarzy czekała na odzew.

— Skąd bierzesz tyle energii? — zapytała. — Jesteś cała podkręcona, a ja czuję się jak podgrzany trup.

— Ta cała sprawa zbyt długo już mnie dręczy — odparła Joanna. — Chcę ją wreszcie rozwiązać.

## Rozdział 6

7 maja 2001

20.55

— Która godzina? — zapytała sennie Deborah.

— Dochodzi dziewiąta — odparła Joanna, zerkając na zegarek. — Gdzie on jest, u licha?

Rozmowa z Davidem Washburnem przebiegła pomyślnie. Kiedy Joanna wyjaśniła mu, o co chodzi, chłopak z entuzjazmem zgodził się im pomóc, oświadczył jednak, że będzie musiał skorzystać w tym celu z ich komputera.

— Nie mogę sobie pozwolić na żaden elektroniczny ślad prowadzący do mojego sprzętu — wyjaśnił. — Odkąd przemyciłem na stronę internetową Departamentu Obrony parę zdjęć porno z nagłówkiem „Make love not war” jestem pod nieformalnym nadzorem. FBI niestety nie wykazało się poczuciem humoru.

Deborah ziewnęła głośno.

— Jesteś pewna, że miał na myśli dzisiejszy wieczór?

— Jak najbardziej — odparła Joanna. — Uprzedziłam go, że wyskoczymy na chwilę coś przekąsić, ale potem będziemy w domu, a on powiedział, że to się dobrze składa, bo przez ten czas skończy to, co akurat robi.

— Obawiam się, że nie wysiedzę już dłużej — stwierdziła Deborah. — Zdajesz sobie sprawę, że we Włoszech, gdzie według naszych ciał wciąż jesteśmy, jest teraz trzecia nad ranem?

— Czemu nie położysz się spać? — zaproponowała Joanna. — Ja jeszcze zaczekam.

— Nie jesteś zmęczona?

— Jestem wykończona — przyznała Joanna.

Deborah opuściła stopy na podłogę, podźwignęła się do pozycji siedzącej, ale zanim zdążyła wstać, pokój wypełniło chrapliwe brzęczenie. Dziewczyny podskoczyły z wrażenia. Pierwszy raz miały okazję usłyszeć dzwonek domofonu i nie spodziewały się, że dźwięk jest aż tak głośny.

— Nie ma obawy, że kiedykolwiek to przegapimy — stwierdziła Deborah, opadając z powrotem na kanapę.

Joanna podniosła się i szybko podeszła do pulpitu domofonu.

— Co mam zrobić? — zapytała, lekko przerażona. Na pulpicie znajdowało się kilka przycisków oraz okrągłe dziurkowane pole.



— Ty jesteś tu panią.

Dziewczyna wcisnęła pierwszy przycisk. Dał się słyszeć cichy trzask.

— Halo, halo! — zawołała, zbliżając usta do perforacji.

— To ja, David! — odezwał się odległy głos.

— W porządku — odparła Joanna. Nadal przytrzymując pierwszy przycisk, wcisnęła następny. W oddali rozległo się brzęczenie, po którym nastąpił ledwo słyszalny dźwięk otwierającej się i zamykającej bramy.

— No cóż, nie było to takie trudne — powiedziała. Otworzyła drzwi mieszkania, wyszła na korytarz i przechyliwszy się przez poręcz, spojrzała w dół. Ciągące się aż do poziomu ulicy spiralne skręty schodów wyglądały stąd niczym podzielone na komory wnętrze muszli łodzika.

David, wysoki, atletycznie zbudowany Afroamerykanin, wskakiwał po schodach z przyklejonym do twarzy szerokim uśmiechem. Ujrawszy Joannę, zawahał się chwilę, po czym objął ją ramionami.

— Jak się masz, małeńka? — powiedział.

— Świetnie — odparła Joanna, odwzajemniając uścisk. Choć nie widziała go od przeszło dwóch lat, wyglądał dokładnie tak, jak go pamiętała: miał wciąż ten sam krótki, niechlujny zarost, te same nonszalanckie maniery i ten sam niedbały strój.

— Rany, jak się cieszę, że się odezwałaś. Wyglądasz świetnie, naprawdę świetnie!

— Ty też — odparła Joanna. — Nie zmieniłeś się ani odrobinę.

— Jestem może tylko trochę starszy i mądrzejszy — roześmiał się David. — W każdym razie informuję, że stary skok do kosza wciąż jeszcze nieźle mi wychodzi. Ale ty wyglądasz jakoś inaczej. Powiedziałbym, że odmłodniałaś. Jak to możliwe?

— Tylko chcesz mi pochlebić.

— Nie, naprawdę! — upierał się David. Przesunął się w lewo i w prawo, by przyjrzeć się dziewczynie pod nieco innym kątem.

— Przestań! — zaprotestowała Joanna. — Zawstydzasz mnie.

— Nie ma się czego wstydzić — powiedział David. — Wyglądasz wspaniale. I wiem już, o co chodzi. Obcięłaś włosy. Nie jestem pewien, czy poznałbym cię, gdybym wpadł na ciebie na ulicy. Wyglądasz jak szesnastka.

— Daj spokój! — upomniała go Joanna. — Wejdz do środka i poznaj moją koleżankę.

Ujęła go za ramię i wprowadziła do mieszkania. Przedstawiła go Deborah, która zdołała na tę okazję przyjąć pozycję pionową, po czym przeprosiła, że nie mają czym go poczęstować.

— Nic nie szkodzi — odparł David. — Nadrobimy to przy innej okazji. Wiem, że musicie być zmęczone, skoro dopiero co wróciłyście z Włoch i w ogóle, więc może od razu przejdźmy do rzeczy. — Zdjął czarną brezentową kurtkę, wyciągnął z kieszeni garść dyskietek i uniósł je w górę. — Przyniosłem ze sobą trochę narzędzi, w tym także mój brutalny program do odgadywania haseł. Gdzie jest wasz sprzęt?

Parę chwil później, odpaliwszy komputer, wszedł na stronę internetową Kliniki Wingate'a. Buszował po witrynie z szybkością, od której Deborah migotało w oczach. Jego palce poruszały się po klawiaturze jak u pianisty podczas koncertu.

— Jak na razie, jest nieźle — oświadczył.

— Możesz mi powiedzieć, co robisz? — zapytała Deborah.

— Jeszcze nic — odparł David, nie przerywając surfowania. — Tylko się rozglądam i szukam wyraźnych luk w ich zaporze.

— Widzisz jakieś?

— Jeszcze nie, ale muszą tu być.

— Skąd możesz to wiedzieć?

— Jednym z zadań witryny internetowej jest umożliwienie światu dostępu do sieci danej instytucji. Tutaj widzisz, że Klinika Wingate'a zorganizowała to tak, że ludzie mogą przysyłać dane na temat stanu zdrowia i uzyskiwać informację zwrotną. Zawsze kiedy ma miejsce taka wymiana, istnieje możliwość nieupoważnionego dostępu. Ogólnie rzecz biorąc, im bardziej interaktywna jest strona, tym łatwiej jest się włamać. Innymi słowy, im większy ruch, tym więcej szczelin.

Deborah pokiwała głową, ale niewiele z tego wszystkiego zrozumiała. Jej kontakt z komputerami ograniczał się do tego, co potrzebne biologowi, wykorzystującemu Internet jako źródło informacji i pocztę elektroniczną do korespondencji.

— A hasła? — zapytała. Ilekroć używała komputera w laboratorium, musiała wprowadzić hasło, znane tylko jej. — Czy one nie chronią przed dostępem?

— I tak, i nie — odparł David. — Tak właśnie miało być w zamierzeniu, ale to nie zawsze działa. Administratorzy sieci są często leniwi i nie chce im się zmieniać fabrycznie ustawionych haseł, a wtedy liczba kombinacji jest o wiele mniejsza. Poza tym serwery WWW nie wprowadzają ograniczeń co do liczby prób, więc można się posłużyć programem szukającym hasła metodą ataku brutalnego, jak ten, który przyniosłem ze sobą.

Deborah spojrzała na Joannę i przewróciła oczami.

— Tak naprawdę jest to świetna zabawa — oświadczył David, wyczuwając jej niedowierzanie. — Coś w rodzaju inteligentnej gry komputerowej.

— Nie wydaje mi się, żeby ludzie, do których się włamano, uważali to za zabawę — wtrąciła Joanna.

— Oni z reguły wcale o tym nie wiedzą — odparł David. — Większość hakerów, jakich znam, nie robi tego w złych zamiarach. To raczej nieustanna sportowa rywalizacja między nimi a projektantami zabezpieczeń. Albo po prostu wyświadczają komuś przysługę, jak ja wam. Nie chodzi wam o nic więcej poza uzyskaniem informacji, do której uważam, że macie pełne prawo.

— Byłoby o wiele łatwiej, gdyby w klinice też zapatrywano się na to w ten sposób — mruknęła Joanna.

Nagle David przestał stukać w klawisze. W zamyśleniu poglądził się po brodzie.

— Cóż, muszę oddać im sprawiedliwość. To miejsce wygląda na naprawdę niezłe zabezpieczone. O żadnych wyraźnych lukach nie ma mowy. Prawdę mówiąc, wydaje mi się to dość zmyślne. Mają serwer uwierzytelniania. Czyżby cierpieli na nadmiar pieniędzy?

— Prawdopodobnie tak — odparła Joanna.

— Wszystko wskazuje na to, że ci goście poważnie traktują ochronę danych — stwierdził David — co oznacza, że sami też będziemy musieli być bardziej wyrafinowani.

— Do czego właściwie zmierzasz? — zainteresowała się Deborah.

— Serwer sieciowy musi nas rozpoznać jako legalnych użytkowników — wyjaśnił David. — Wtedy mielibyśmy dostęp do wszystkich ich plików. Na razie spróbuję zapełnić bufor formularza nowego pacjenta i sprawdzę, czy uda mi się wrzucić parę instrukcji w assemblerze w obszar za buforem, żeby obejść identyfikację. Mówiąc obrazowo, chcę przemknąć przez wspólny interfejs bramy na ogonie formularza pacjenta.

— Możesz wytłumaczyć mi to jeszcze raz po ludzku? — zapytała Deborah.

David uniósł wzrok i przyjrzał się jej badawczo. Dziewczyna spoglądała przez jego lewe ramię.

— Prawdę mówiąc, i tak opisałem ten proces w dużym uproszczeniu.

— Świetnie! — odparła Deborah, udając rozdrażnienie. — Skoro tak, to idę się położyć na kanapie, a wy, magicy, zróbcie tu, co trzeba.

David obejrzał się przez drugie ramię ku Joannie.

— Rozumiesz zapewne, że jeśli to zrobię i sztuczka zadziała, będzie istniał ślad prowadzący poprzez twojego usługodawcę Internetu do tego komputera. Jeśli włamanie zostanie wykryte, mogą cię zgarnąć. Nie przeszkadza ci to?

Joanna zastanowiła się chwilę. Miała świadomość, że to, co robią, jest tak naprawdę łamaniem prawa, a jednak informacja, której poszukiwała, była dla niej ważna, wręcz konieczna dla spokoju umysłu w świetle zmian, jakie zaszły w jej życiu. A jakie było ryzyko, że wtargnięcie zostanie zauważone, jeśli zamierzali tylko prześledzić los jej własnych komórek jajowych? Uznała, że raczej minimalne.

— Deborah, co o tym sądzisz? — zapytała.

— Zostawiam to tobie — odparła Deborah. — Jestem ciekawa, owszem, ale nie aż do tego stopnia co ty.

— Więc zaczynajmy — zdecydowała Joanna.

— Świetnie, maleńka! — wykrzyknął radośnie David, z entuzjazmem zacierając ręce. Wyłamał z trzaskiem palce i natychmiast zabrał się do dzieła. Jeszcze raz jego dłonie popłynęły nad klawiaturą, tak szybko, że odgłosy poszczególnych uderzeń zlewały się w ciągły stukot. Obrazy przemykały przez ekran w zawrotnym tempie.

Po przeszło pół godziny wytężonej pracy David sapnął z irytacją i zaczął gimnastykować palce, wyginając je i prostując w powietrzu.

— Nie wychodzi, co? — domyśliła się Joanna.

— Niestety — odparł. — To nie jest konfiguracja, którą da się rozwalić raz-dwa, tego możesz być pewna.

— Co proponujesz?

David spojrział na zegarek.

— To może zająć jeszcze dużo czasu. Zabezpieczenia są solidniejsze, niż sądziłem. Nie jestem w stanie przemycić żadnej komendy. Myślałem, że mam do czynienia ze środowiskiem Windows NT, ale teraz wygląda mi to raczej na Windows 2000 z Kerberosem.

— Czy Kerberos to ten system identyfikacji, który opracowano w M.I.T.? — zapytała Joanna.

— Właśnie.

— Więc w sumie jaki widzisz najprostszy sposób dotarcia do tych informacji?

David parsknął śmiechem.

— Pozwól mi zostać tu przez tydzień, a spróbuję rozpracować to jakimś narzędziem w rodzaju LophtCracka. Albo znajdź w Klinice Wingate'a kogoś, kto ma dostęp do danych i kto zechce ci pomóc.

— To są jedyne możliwości?

— Nie, jest jeszcze jedna. Osobiście usiąść przy serwerze. — Znów się roześmiał. — Prawdę mówiąc, to byłoby najbardziej niezawodne rozwiązanie. Do diabła, wystarczyłoby pewnie niecałe dziesięć minut, żeby utworzyć własną ścieżkę dostępu. Reszta poszłaby już potem jak z płotka, czy to ze stacji roboczej wewnątrz sieci, czy nawet z zewnątrz, gdyby to zrobić jak należy.

Joanna, kiwając głową, rozważyła te propozycje. Cała sprawa wciągała ją coraz bardziej, jak gdyby każda kolejna przeszkoda, na jaką natrafiła, kazała jej tym uporczywiej dążyć do celu, zwłaszcza gdy stawał jej przed oczyma obraz żyjącej gdzieś dziewczynki, przypominającej ją samą ze zdjęć z okresu niemowlęctwa.

David zerknął na zegarek, po czym znów spojrział na Joannę.

— Jest po dziesiątej. Chcesz, żebym ciągnął to dalej? Jeśli tak, nie ma problemu, tyle że, jak powiedziałem, nie mogę obiecać nic więcej niż to, że na pewno w końcu przełamie te zabezpieczenia. Nie wiem tylko, ile czasu mi to zajmie.

— Już dość się napracowałeś — odparła Joanna. — Dziękuję. — Zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w dal, pogrążona w myślach.

David zauważył nieobecny wyraz jej zielonych, nieruchomych oczu. Odczekał parę chwil, wreszcie pomachał dłonią przed jej twarzą.

— Jesteś tu, małeńka?

Joanna potrząsnęła głową, jak gdyby budząc się z transu, i uśmiechnęła się.

— Przepraszam — powiedziała. — Po prostu zastanawiałam się nad tym, co powiedziałeś o wejściu na ich serwer. Jak trudne by to było, gdybyśmy już znaleźli się w budynku?

— To zależy — odparł David. — Oczywiście jeżeli dbają o bezpieczeństwo, nie można raczej kręcić się tam, jak się komu żywnie podoba.

— Ale serwer jest w jakimś fizycznym pomieszczeniu? — dopytywała się Joanna. — To nie jest jakieś żargonowe określenie czegoś istniejącego w cyberprzestrzeni?

— To realne pomieszczenie, oczywiście — odparł David. — Z najzupełniej realnym sprzętem, łącznie z klawiaturą i monitorem, umożliwiającymi dostęp do centralnego procesora.

— Jakie zabezpieczenia może mieć, według ciebie, takie pomieszczenie?

— Drzwi z zamkiem — stwierdził David. — Wszystkie, jakie widziałem, były otwierane kartą magnetyczną. Wiesz: coś takiego jak karta kredytowa.

— To ciekawe — powiedziała Joanna. — A gdybym już dostała się do środka, co konkretnie musiałabym zrobić?

— To już pestka — odparł David. — Masz tu gdzieś jakąś kartkę papieru?

Joanna wyciągnęła z jednej z szuflad biurka nowy, żółty blok i podała go Davidowi, po czym śledziła w skupieniu, gdy krok po kroku przedstawiał jej całą procedurę. W kilku punktach poprosiła o dodatkowe wyjaśnienia, których on o choczko udzielił.

— I to by było na tyle — powiedział wreszcie. Oderwał stronę i wręczył ją Joannie.

Dziewczyna jeszcze raz przebiegła ją wzrokiem. Uznawszy, że wszystko jest już jasne, poskładała ją i wsunęła do kieszeni.

— Ogromnie ci dziękuję, że przyszedłeś — powiedziała.

— Nie ma za co — odparł David. Wstał, odsuwając z chrobotem krzesło. — Czego się nie robi dla starej znajomej.

— A przy okazji, jak tam twój doktorat? — zagadnęła Joanna.

— Rany, teraz mówisz zupełnie jak moja matka — roześmiał się David. Zebrał dyskietki w schludny stosik. — Niestety, przy drugim rozdziale ogarnęła mnie mała niemoc twórcza. A jak z tobą?

— Świetnie — odparła Joanna. — Już skończyłam.

— Skończyłaś! — jęknął David. Wypuścił cały zapas powietrza przez wydęte wargi. Wyraźnie oklapł. — Umiesz zwalić człowieka z nóg.

— Przepraszam.

— W porządku, nie twoja wina.

— Może powinieneś pomyśleć o zmianie otoczenia — podsunęła Joanna. — My z Deborah tak właśnie zrobiłyśmy. Ona też już skończyła.

— Może problem polega na tym, że nie jestem już tak zafascynowany procesami stochastycznymi na rynkach towarowych państw Trzeciego Świata. Zresztą kto byłby? Ale zostawmy to. Jeśli nie wtrącam się za bardzo do twoich osobistych spraw, jak układa ci się z narzeczonym?

— Nie jestem już zaręczona — odparła Joanna.

David wyprostował się.

— Naprawdę? Od kiedy?

— Od półtora roku.

— Jak się z tym czujesz?

— To był mój pomysł.

— Świetnie! Może umówilibyśmy się kiedyś na kolację?

— Bardzo chętnie — odparła Joanna.

— Będę w kontakcie — powiedział David. Naciągnął kurtkę, schował dyskietki do kieszeni i ruszył ku drzwiom. Po drodze obejrzał się na wyciągniętą na kanapie Deborah. — Pożegnaj w moim imieniu swoją koleżankę.

— Nie śpię — odezwała się Deborah. Podźwignęła się do pozycji siedzącej i zamrugała.

Po kolejnej rundce błahej pogawędki David pożegnał się ostatecznie i wyszedł. Deborah, wciąż siedząc na kanapie, przyglądała się, jak Joanna podchodzi do biurka, by wyłączyć komputer.

— Nie udało się wam? — zapytała. Ziewnęła szeroko.

— Jeszcze nie — odparła Joanna. Monitor zgasł i szum wentylatora umilkł.

— David będzie jeszcze próbował?

— Nie, ja spróbuję. — Joanna minęła przyjaciółkę i zniknęła w łazience.

— Nic nie rozumiem — zawołała Deborah. — Wezwałeś go, bo sama nie mogłaś dać sobie rady. Podpowiedział ci coś, dzięki czemu nagle nabrałaś optymizmu?

— Przechodzimy do planu B — odparła Joanna, przekrzykując szum wody z kranu.

Deborah podniosła się z kanapy. Poczekała chwilę, aż minie fala zawrotów głowy, po czym, ślaniając się ze zmęczenia, podeszła do otwartych drzwi łazienki i oparła się o futrynę. Joanna szorowała właśnie zęby.

— Boję się pytać, ale co to, na miłość boską, jest plan B?

— Chcę znaleźć pracę dorywczą w Klinice Wingate'a — wybełkotała Joanna przez pianę.

— Chyba żartujesz — stwierdziła Deborah.

Joanna wypluła głośno wodę do umywalki, po czym spojrzała na Deborah w lustrze.

— Mówię poważnie. Jedynym pewnym, rozsądnym sposobem dostania się do plików kliniki, przynajmniej według Davida, jest wejście na ich serwer.



— To wariactwo — oświadczyła Deborah. Senność zniknęła z jej głosu. — Po pierwsze, nie wydaje mi się, żeby David był nieomylny. Kiedy przyszedł tutaj, był pewien, że potrafi włamać się do komputera Wingate’a, a nie udało mu się.

— Udałoby mu się, tyle że musiałby poświęcić na to więcej czasu. On wie, co mówi. Wytłumaczył mi bardzo konkretnie, co mam zrobić, kiedy już dostanę się do pomieszczenia z serwerem. — Joanna znów zajęła się szczotkowaniem zębów.

Deborah z irytacją machnęła dłońmi. Wziąwszy się pod boki, przez kilka minut przyglądała się przyjaciółce w milczeniu.

— Czy to pomieszczenie nie będzie zamknięte? — zapytała wreszcie.

— Prawdopodobnie będzie — odparła Joanna. Wypluknęła usta i energicznie wrzuciła szczoteczkę, włosiem do góry, do kubka. — Będę musiała coś wykombinować. David przypuszcza, że drzwi otwierają się na kartę magnetyczną. Muszę tylko zdobyć taką kartę. — Zabrała się do mycia twarzy.

— Zdajesz sobie sprawę, jak szaleńczo to brzmi? — zapytała Deborah.

— Nie wydaje mi się, żeby było w tym cokolwiek szalonego — odparła Joanna. — Chcę wiedzieć, czy z moich komórek jajowych urodziły się jakieś dzieci, i sądziłam, że ciebie też to interesuje.

— Oczywiście, że mnie interesuje, ale nie o to chodzi.

— Myślę, że właśnie o to chodzi.

— Spójrzmy na to realistycznie — powiedziała Deborah, starając się panować nad głosem. — Jak zamierzasz dostać pracę w Klinice Wingate’a?

— To powinno być łatwe — odparła Joanna. — Pamiętasz, że kiedy tam byliśmy, wspominali, że wciąż szukają ludzi do pracy. Skarżyli się, że ujemną stroną lokalizacji w wiejskiej okolicy są kłopoty ze znalezieniem pracowników. No więc ja znam się na przetwarzaniu tekstów. Na pewno będzie tam dla mnie coś do roboty.

— Ale oni cię rozpoznają — oświadczyła gwałtownie, niemal z gniewem Deborah.

— Uspokój się! — krzyknęła Joanna, spoglądając na poczerwieniałą twarz przyjaciółki.

— Czy ty nie rozumiesz? Oni cię rozpoznają — powtórzyła Deborah. — Prawdopodobnie większość osób, z którymi miałyśmy do czynienia, od recepcjonistki aż po lekarzy, nadal tam pracuje.

— Nie przypuszczam, żeby mogli mnie rozpoznać — odparła Joanna. — Spędziłyśmy tam tylko kilka godzin półtora roku temu. Dzisiaj David powiedział, że nie poznałby mnie w tej fryzurze, gdyby natknął się na mnie na ulicy, a widywał mnie co najmniej trzy razy w tygodniu przez parę lat. I nie będę używać swojego prawdziwego nazwiska.

— Żeby dostać pracę, musisz podać swój numer ubezpieczenia społecznego — stwierdziła Deborah. — A numer i nazwisko muszą się zgadzać. To nie wypali.

Joanna skończyła wycierać twarz i przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Deborah miała rację. Ta kwestia umknęła jej uwagi. Potrzebowałyby nazwiska i odpowiadającego mu numeru ubezpieczenia. Zastanowiła się, czy nie poprosić którejś ze swych koleżanek o użyczenie jej tożsamości, ale natychmiast odrzuciła ten pomysł. Nie mogłaby świadomie wpłacać znajomej osoby w przedsięwzięcie, które formalnie rzecz biorąc, było łamaniem prawa.

— No i? — zapytała Deborah.

— Wezmę nazwisko i numer ubezpieczenia kogoś, kto niedawno umarł — oświadczyła Joanna. Niejasno przypominała sobie, że czytała o czymś takim w jakiejś powieści. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że to może się udać.

Deborah ze zdumienia otworzyła usta. Szybko się jednak opanowała.

— Nie wierzę w to. Ty naprawdę dostałaś bzika.

— Wolałabym określić to jako oddanie sprawie — powiedziała Joanna. Przecisnęła się obok Deborah i zniknęła w swojej sypialni. Deborah weszła tam za nią.

— Myślę, że trafisz prosto do więzienia Walpole — oświadczyła. — Albo do domu wariatów. Do tego właśnie prowadzi takie oddanie sprawie.

— Nie napadam na bank — upomniała ją Joanna. Rozpięła pasek i zsunęła dzinsy. — Po prostu zdobywam informację na temat własnego potomstwa.

— Nie wiem, jak prawo traktuje wcielanie się w zmarłą osobę — stwierdziła Deborah — ale wiem, że nieuprawnione odczytywanie cudzych plików komputerowych to poważne przestępstwo.

— Zdaję sobie z tego sprawę — przyznała Joanna. — Ale mimo wszystko mam zamiar to zrobić.

Kiedy skończyła się rozbierać, wciągnęła przez głowę koszulę nocną i wyrównała na sobie jej fałdy. Następnie odwiesiła ubrania do szafy. Wreszcie obejrzała się na stojącą wciąż w drzwiach Deborah. Jediną reakcją przyjaciółki na jej ostatnie słowa było pełne irytacji i niedowierzania spojrzenie.

— No i co? — odezwała się Joanna, przerywając ciszę. — Masz zamiar tak tu stać, czy może chcesz jeszcze coś powiedzieć? Jeśli tak, wal. Jeśli nie, idę do łóżka. Jutro będzie pracowity dzień.

— W porządku — oświadczyła ze złością Deborah. Wycelowała palec w przyjaciółkę. — Skoro tak upierasz się przy tym szalonym, kretyńskim planie, to ja też w to wchodzę.

— Co? — wyrwało się Joannie.

— Nie pozwolę, żebyś tam poszła i wpakowała się w jakiejkolwiek kłopoty beze mnie. Ostatecznie to był mój pomysł, żeby oddać komórki jajowe. Nie ty jedna potrafisz odczuwać wyrzuty sumienia. Nigdy więcej nie mogłabym spojrzeć sobie w oczy, gdyby przytrafiło ci się coś, czemu mogłabym zapobiec.

— Nie potrzebuję twojej opieki — odparła Joanna, czerwieniejąc.

Deborah zamknęła oczy i wyciągnęła przed siebie obie dłonie grzbietami do dołu.

— Nie spierajmy się. Kości zostały rzucone. Najwyraźniej traktujesz poważnie tę kruczatę, więc ja zrobię to samo. — Zatrzepotała powiekami, jak gdyby nie była w stanie ich otworzyć.

Joanna podeszła bliżej i spojrzała przyjaciółce głęboko w oczy.

— Teraz ja muszę cię zapytać, czy mówisz serio.

— Absolutnie — potwierdziła Deborah ze skinieniem głową. — Ja też się tam zatrudnię. Biorąc pod uwagę to ich olbrzymie laboratorium, jestem pewna, że techników laboratoryjnych przyjmują z równie otwartymi ramionami jak sekretarki.

— A więc do dzieła! — oświadczyła Joanna, unosząc dłoń, i obie przypieczętowały swoje postanowienie, przybijając piątki.

## Rozdział 7

8 maja 2001

6.10

Wciąż jeszcze dostrojone do włoskiego czasu, dziewczyny mimo wyczerpania obudziły się wcześniej. Deborah pierwsza wstała z łóżka. Sądząc, że Joanna jeszcze śpi, ci-chutko przemknęła się przez kuchnię do łazienki. W chwili, gdy spuszczała wodę w to-alecie, otworzyły się drzwi do sypialni Joanny.

— Wyglądasz jak półtora nieszczęścia — oświadczyła Deborah, zmierzwszy swą współlokatorkę wzrokiem.

— Ty też nie jesteś w najlepszej formie — odparła Joanna. — Która godzina?

— Piętnaście po szóstej, ale moja przysadka mózgowa sądzi, że jest południe.

— Oszczędź mi szczegółów — powiedziała Joanna. — Wiem tylko, że miałam za-miar spać do późna, a jednak nie śpię już co najmniej od godziny.

— Ja też — przyznała Deborah. — Co powiesz na to, żebyśmy zeszły na Charles Street na śniadanie? Umieram z tęsknoty za kawą.

— W kredensie jest pusto, więc nie mamy zbyt wielkiego wyboru.

Trzy kwadranse później przyjaciółki były już na dole i ruszyły ulicą Mt. Vernon ku Charles Street. Był piękny, wiosenny poranek. Ze skrzynek okiennych wychylały się barwne kwiaty. Choć aż do Charles Street dziewczyny nie napotykały zbyt wielu prze-chodniów, ptaki urzędowały już na całego. Na końcu Charles Street, tuż przy parku Boston Common, znalazły otwarty lokal sieci Starbucks. Weszły do środka i zamówiły cappuccino i słodkie bułki, po czym zaniósły je na mały marmurowy stół przy oknie. Z początku jadły i piły w milczeniu.

— Kawa jest świetna — odezwała się po dłuższej chwili Joanna. — Ale muszę przy-znać, że na Campo Santa Margherita smakowała lepiej.

— To prawda — przyznała Deborah. — Ale mimo wszystko postawiła mnie na nogi.

— Więc nadal chcesz się zatrudnić w Klinice Wingate'a? — zapytała Joanna.

— Jak najbardziej — odparła Deborah. — Jestem zdecydowana. Ale teraz zabierzmy się lepiej do omawiania szczegółów. Jak zdobędziemy nazwiska i numery ubezpiecze-nia zmarłych osób?

— To dobre pytanie — stwierdziła Joanna. — Myślałam nad tym dziś rano, leżąc w łóżku. Parę lat temu czytałam książkę, w której jedna z bohaterek zrobiła coś takiego.

— W jaki sposób?

— Miała dojscie. Pracowała w szpitalu i zdobyła te informacje z karty pacjenta.

— I co z tym zrobiła?

— Chodziło o jakąś machlojkę z funduszem Medicare.

— Rany boskie! — jęknęła Deborah. — To interesujące, ale nic nam z tego nie przyjdzie. Chyba że masz zamiar skorzystać z pomocy Carltona.

— Myślę, że lepiej go do tego nie mieszać — odparła Joanna. — Gdyby wiedział, co zamierzamy zrobić, prawdopodobnie oddałby nas w ręce FBI.

Deborah upiła kolejny łyk kawy i powiedziała:

— Uważam, że problem trzeba rozbić na dwie części. Najpierw zdobywamy nazwiska. Kiedy już je mamy, zaczynamy martwić się o numery ubezpieczenia i całą resztę, jak data urodzenia, i może też nazwisko panięskie matki.

— Zdobicie nazwisk to żaden problem — odparła Joanna. — Przynajmniej tyle wymyśliłam, kiedy leżałam w łóżku. Musimy jedynie przejść się do biblioteki i przejrzeć nekrologi w „Globe”.

— Świetny pomysł! — stwierdziła Deborah. Z zapalem pochyliła się do przodu.

— Dlaczego sama na to nie wpadłam? To doskonały sposób. W nekrologach zazwyczaj podaje się wiek, a może nawet datę urodzenia. To pomoże nam wybrać odpowiednie nazwiska, bo powinniśmy szukać kobiet mniej więcej w naszym wieku, jakkolwiek dziwacznie to brzmi.

— Wiem — przyznała Joanna. — Nieprzyjemnie mi się robi na samą myśl o tym. Poza tym muszą to być kobiety, które zmarły stosunkowo niedawno.

— Zdobicie numeru ubezpieczenia będzie trudniejsze — zauważyła Deborah.

— Może jednak będę musiała przełamać się i poprosić Carltona o pomoc — stwierdziła Joanna. — Można przypuszczać, że każda kobieta, która zmarła w młodym wieku, była pacjentką miejscowego szpitala. Jeśli leczyła się w MGH i jeśli uda nam się wymyślić jakiś sensowny i nie budzący podejrzeń powód, dla którego potrzebujemy jej numeru ubezpieczenia, być może Carlton zgodziłby się nam pomóc.

— „Może” jest głębokie i szerokie — zauważyła Deborah.

— To prawda — zgodziła się Joanna.

— Już wiem — oświadczyła Deborah. Klepnęła dłonią o blat stolika. — Kiedy parę lat temu umarł mój dziadek, babcia musiała wziąć akt zgonu, żeby wykreślić jego nazwisko z aktu własności domu.

— No i co z tego?

— Akt zgonu jest dokumentem jawnym — odparła Deborah. Roześmiała się z siebie samej. — Że też wcześniej na to nie wpadłam. W akcie zgonu jest numer ubezpieczenia.

— Rany Julek, to super!

— Pewnie — przytaknęła Deborah. — Więc najpierw walimy do biblioteki, a potem do ratusza.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała Joanna. Konspiracyjnie pochyliła się nad stołem. — Będziemy musiały się upewnić, że te numery ubezpieczenia nie zostały wycofane. Znając państwową biurokrację, przypuszczam, że trwa to dosyć długo, ale musimy mieć pewność.

— To prawda — przyznała Deborah. — Cały nasz kamuflaż wzięłby w łeb, gdybyśmy poszły do kliniki, a tam kontrola wykazałaby, że jesteśmy nieboszczkami. — Roześmiała się głucho.

— Wiem, co możemy zrobić — oświadczyła Joanna. — Po wizycie w ratuszu wstąpimy do Fleet Bank i otworzymy rachunki oszczędnościowe na oba nazwiska. Jako obywatelki Stanów Zjednoczonych będziemy musiały przedstawić numery ubezpieczenia, a oni zweryfikują je na miejscu, więc wszystko stanie się jasne.

— Brzmi to nieźle — przyznała Deborah. — Jak sądzisz, o której otwierają bibliotekę?

— Przypuszczam, że o dziewiątej albo dziesiątej — odparła Joanna. — Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą powinniśmy przedyskutować. Co powiesz na to, żebyśmy jeszcze trochę zmieniły swój wygląd? Myślę, że nasze nowe fryzury odmieniły nas dość mocno, i prawdopodobnie, wzięwszy pod uwagę okoliczności, to by wystarczyło, ale może byłoby dobrze, tak na wszelki wypadek, pójść jeszcze o krok dalej.

— Chodzi ci na przykład o kolor włosów?

— Kolor włosów to jedno, ale chodzi mi też o nasz ogólny styl. W tej chwili obie wyglądamy raczej na grzeczne studentki. Myślę, że powinniśmy to zmienić.

— Jeśli chodzi o zmianę koloru włosów, jestem całkowicie za — oświadczyła Deborah. — Zawsze chciałam być blondynką. Słyszałam, że macie o wiele więcej przyjemności.

— Mówiłam poważnie — upomniała ją Joanna.

— Dobrze już, dobrze — odparła Deborah. — Więc co jeszcze masz na myśli: kolczyki w różnych miejscach twarzy i parę szalonych tatuaży?

Joanna roześmiała się mimo woli.

— Spróbujmy przez chwilę być poważne. Chodziło mi o ubrania i makijaż. Wiele możemy tu zdziałać.

— Masz rację — przyznała Deborah. — Czasem nachodzi mnie ochota, żeby ubrać się jak dziwka. Mam chyba jakieś skłonności do ekshibicjonizmu. Po prostu nigdy dotąd nie dałam im dojść do głosu. To może być moja wielka szansa.

— Znów kpisz sobie ze mnie, czy mówisz poważnie?

— Mówię poważnie — odparła Deborah. — Czemu nie miałybyśmy się przy tym zabawić?



- Myślałam raczej, żeby pójść w przeciwnym kierunku — stwierdziła Joanna.
- Typ pruderyjnej bibliotekarki.
- To nie będzie trudne — zażartowała Deborah. — Właściwie już tak wyglądasz.
- Bardzo śmieszne — oburzyła się Joanna.
- Deborah otarła usta serwetką i rzuciła ją na swój talerz.
- Skończyłaś?
- Oczywiście — odparła Joanna.
- A więc ruszajmy do roboty — powiedziała Deborah. — Po drodze minęliśmy sklep spożywczy. Może wstąpiłybyśmy tam i kupiły trochę najpotrzebniejszych rzeczy, żebyśmy nie musiały jadać każdego posiłku na mieście? Do tego czasu powinni już otworzyć bibliotekę.
- To brzmi rozsądnie — zgodziła się Joanna.

Dziewczyny stały na frontowych schodach starego gmachu Biblioteki Bostońskiej, spoglądając na Trinity Church, wznoszący się po drugiej stronie ruchliwego Copley Square, gdy z wybiciem godziny dziewiątej dozorca otworzył drzwi. Żadna z nich nie była tu nigdy wcześniej, więc, wedle słów Deborah, monumentalna architektura i żywe malowidła ścienne Johna Singera Sargenta powaliły je na kolana.

— Nie mogę uwierzyć, że mieszkałam w Bostonie sześć lat i ani razu tu nie przyjechałam — stwierdziła Deborah, gdy szły przez dudniące echem, marmurowe korytarze. Jej głowa obracała się to w jedną, to w drugą stronę, jak na przegubie, by ogarnąć wzrokiem wszystkie szczegóły wnętrza.

— Święte słowa — zgodziła się Joanna.

Zasięgnąwszy informacji, gdzie mogą przejrzeć stare numery „Boston Globe”, dziewczyny skierowały się do sali mikrofilmów. Tam jednak powiedziano im, że gazety są przenoszone na mikrofilmy z opóźnieniem, niekiedy sięgającym nawet roku. Odesłano je więc do czytelnicy czasopism. Tam znalazły normalne gazety.

— Jak daleko powinnyśmy się cofnąć? — zapytała Deborah.

— Proponuję zacząć od zeszłego miesiąca i posuwać się wstecz — odparła Joanna.

Dziewczyny dostały stos gazet, obejmujący wydania z kilku tygodni, i poszły z nim do pustego stolika. Podzieliwszy stertę na dwie części, zabrały się do roboty.

— To jednak nie jest tak proste, jak mi się zdawało — odezwała się Deborah.

— Myślałam się co do wieku i daty urodzenia. Rzadko który nekrolog je podaje.

— Musimy po prostu przeglądać same wspomnienia pośmiertne — odparła Joanna.

— W nich zawsze jest podany wiek.

Przewertowawszy bez powodzenia pierwszą stertę gazet, przyjaciółki wróciły po następną.

— Nie ma zbyt wielu młodych kobiet — zauważyła Joanna.

— Ani młodych mężczyzn — dodała Deborah. — Ludzie w naszym wieku najwyraźniej nie umierają tak często. A nawet jeśli umierają, zazwyczaj nie są tak sławni, by pisać o nich wspomnienia pośmiertne. Zresztą nie chodzi nam bynajmniej o nazwisko jakiejś sławnej osoby, więc to też może stanowić problem. Ale nie poddawajmy się jeszcze.

Wreszcie, po trzech następnych wycieczkach po nowe stopy gazet, ich poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem.

— O, mam jedną! — zawołała Deborah. — Georgina Marks. Joanna zajrzała jej przez ramię.

— Ile miała lat?

— Dwadzieścia siedem — odparła Deborah. — Urodziła się dwudziestego ósmego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku.

— Przedział czasowy jest odpowiedni — stwierdziła Joanna. — Czy napisali, na co umarła?

— Tak, napisali. — Deborah w milczeniu przebiegła wzrokiem notatkę. — Zginęła zastrzelona przypadkowo na parkingu w centrum handlowym. Najwyraźniej znalazła się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie. Prawdopodobnie trafiła na strzelaninę między zwaśnionymi gangami i dostała zabłąkaną kulę. Wyobrazasz sobie, że ktoś dzwoni do ciebie i mówi, że twoja żona została zabita, kiedy robiła zakupy? — Dziewczyna wzdrygnęła się. — Na domiar złego tu jest napisane, że była matką czworga małych dzieci. Najmłodsze miało zaledwie sześć miesięcy.

— Lepiej nie zaprzatajmy sobie głowy smutnymi szczegółami — oświadczyła Joanna. — To powinny być dla nas tylko nazwiska, nie ludzie.

— Masz rację — przyznała Deborah. — W każdym razie nie była sławna, jeśli nie liczyć tragicznych okoliczności jej śmierci, więc powinno to być dobre nazwisko do naszych celów. Myślę, że ja zostanę Georginą Marks. — Zapisała nazwisko i datę urodzenia w notesie, który przyniosły ze sobą. — Teraz znajdziemy nazwisko dla ciebie — powiedziała.

Dziewczyny wróciły do przeglądania wspomnień. Zaledwie sześć tygodni dalej Deborah trafiła na następną kandydatkę.

— Prudence Heatherly, dwadzieścia cztery lata! — odczytała głośno. — Nazwisko brzmi interesująco. To coś w sam raz dla ciebie, Joanno. Jest tak bibliotekarskie, że będzie doskonale pasować do twojego przebrania.

— Nie widzę w tym nic zabawnego — oświadczyła Joanna. — Daj mi przeczytać tę notatkę. — Wyciągnęła rękę, lecz Deborah odsunęła gazetę poza jej zasięg.

— Podobno miałyśmy nie zaprzatać sobie głowy szczegółami — powiedziała, drażniąc się z przyjaciółką.

— Nie zaprzętałam sobie głowy — odparła Joanna. — Chcę się tylko upewnić, czy nie była jakąś lokalną znakomitością w Bookford. Poza tym wydaje mi się, że powinnam coś wiedzieć o tej dziewczynie, jeżeli mam pożyczyć sobie jej nazwisko.

— Sądziłam, że to dla nas tylko nazwiska, nie ludzie.

— Proszę! — wycedziła Joanna, zaczynając tracić cierpliwość.

Deborah podała jej gazetę. Przyglądała się, jak w miarę czytania twarz Joanny staje się coraz bardziej ponura.

— Coś niedobrego? — zapytała, gdy przyjaciółka uniosła wzrok.

— To chyba równie smutne jak historia Georginy — odparła Joanna. — Była doktorantką w Northeastern.

— To trochę za bardzo po sąsiedzku — stwierdziła Deborah. — Na co umarła, jeśli wolno spytać?

— Została wepchnięta pod pociąg metra na stacji Washington Street. — Tym razem to Joanna wzdrygnęła się. — Zrobił to jakiś bezdomny, bez żadnego powodu. Rany boskie! Co za tragedia dla rodziców, dowiedzieć się, że ich córka została wepchnięta pod pociąg przez włóczęgę.

— Tak czy owak, mamy już dwa nazwiska — skwitowała Deborah. Wyrwała Joannie gazetę z ręki i poskładała ją. Zapisała „Prudence Heatherly” w notesie pod danymi Georginy, po czym zajęła się układaniem gazet w schludny stosik. Joanna siedziała przez chwilę bez ruchu, wkrótce jednak otrząsnęła się i przyłączyła do niej. Wspólnie odniosły gazety z powrotem na miejsce.

Piętnaście minut później dziewczyny, Deborah przodem, a Joanna za nią, wyszły z biblioteki tymi samymi drzwiami, przez które weszły. Choć pogrążone w posępnych myślach, były zadowolone ze swych postępów. Zdobycie dwóch nazwisk zajęło im jedynie godzinę i trzy kwadranse.

— Pójdziemy pieszo czy pojedziemy metrem? — zapytała Deborah.

— Pojedźmy metrem — odparła Joanna.

Spod biblioteki spacerkiem podeszły do końcowej stacji przy Boylston Street. Zielona linia metra zawiozła je prosto do Centrum Rządowego. Gdy wynurzyły się z tunelu, na wprost przed sobą miały koszmarnie nowoczesny gmach ratusza, sterczący z wyłożonego cegłą deptaka niczym straszliwy anachronizm.

— Może pani mi powiedzieć, gdzie znajdę akty zgonu? — zwróciła się Joanna do recepcjonistki przy stanowisku informacyjnym w wysokim na kilka pięter holu budynku. Odczekała kilka minut, zanim się wreszcie odezwała. Kobieta prowadziła ożywioną, choć cichą dyskusję z sąsiadką.

— Na dole, w Wydziale Ewidencji — odparła, nie unosząc głowy i niemal nie przerywając rozmowy.

Joanna przewróciła oczami na użytek Deborah. Dziewczyny skierowały się ku szerokim, wiodącym w dół schodom. Piętro niżej bez trudu znalazły odpowiednie okienko. Niestety, nie widać było ani śladu personelu.

— Halo! — zawołała Deborah. — Jest tu kto?

Spoza rzędu regałów ukazała się głowa kobiety.

— W czym mogę pomóc? — odkrzyknęła urzędniczka.

— Chcemy prosić o akty zgonu — odparła Deborah.

Kobieta niespiesznym krokiem, kołysząc się z boku na bok, wyszła zza regałów. Ubrana była w czarną sukienkę, ściskającą jej obfite ciało w kaskadę obwisłych wałków. Zawieszane na łańcuszku okulary do czytania spoczywały na niemal poziomej wypukłości jej biustu. Podeszła do blatu okienka i ciężko się na nim oparła.

— Proszę podać nazwiska i rok — powiedziała znudzonym głosem.

— Georgina Marks i Prudence Heatherly — wyrecytowała Joanna. — Obie zmarły w tym roku, dwa tysiące pierwszym.

— Akt zgonu trafi do nas za tydzień do dziesięciu dni — oświadczyła urzędniczka.

— Tak długo musimy na nie czekać? — zapytała Joanna z przerażeniem.

— Nie, tyle czasu mija od śmierci danej osoby, zanim dokumenty dotrą tu, do ewidencji. Wspominam o tym tylko dlatego, że jeśli te kobiety, o które wam chodzi, zmarły niedawno, to ich aktów zgonu u nas nie znajdziecie.

— Obie nie żyją od przeszło miesiąca — powiedziała Joanna.

— W takim razie powinniśmy je mieć — oświadczyła urzędniczka. — To będzie kosztowało sześć dolarów od sztuki.

— Chcemy tylko na nie spojrzeć — zaprotestowała Joanna. — Nie będziemy ich stąd wynosić.

— Nie ma problemu, zapłacimy — wtrąciła się Deborah, uciszając ją dobrze wymierzonym kuksańcem.

Zmierzywszy Joannę podejrzliwym wzrokiem, urzędniczka zanotowała nazwiska, po czym leniwie zniknęła między regałami.

— Co ty wyprawiasz? — oburzyła się Joanna.

— Nie chciałam, żebyś popsowała wszystko dla głupich dwunastu dorców — szepnęła Deborah. — Gdyby ta kobieta domyśliła się, że chodzi nam tylko o numery ubezpieczenia, mogłaby nabrać podejrzeń. Mnie w każdym razie by to podpadło. Tak więc płacimy, bierzemy akty zgonu i zabieramy się stąd w cholerę.

— Chyba masz rację — przyznała niechętnie Joanna.

— Oczywiście że tak.

Po piętnastu minutach urzędniczka wróciła z dokumentami. Deborah i Joanna zdążyły już przygotować pieniądze i dokonano wymiany. Pięć minut później dziewczyny były znów na zewnątrz budynku. Uważnie przepisały numery ubezpieczenia na karteczki, po czym wetknęły akty zgonu do kieszeni.

— Proponuję, żebyśmy w drodze do banku nauczyły się tych numerów na pamięć — powiedziała Joanna. — Może wyglądać podejrzanie, jeśli tego nie zrobimy.

— Zwłaszcza gdybyśmy przez przypadek wyciągnęły w banku akty zgonu — dodała Deborah.

Joanna parsknęła śmiechem i zauważyła:

— Myślę też, że powinnyśmy zacząć zwracać się do siebie naszymi przybranymi imionami. W przeciwnym razie zapomnimy się przed ludźmi i będzie problem.

— Słuszna uwaga, Prudence — odparła, również ze śmiechem, Deborah.

Z ratusza do Charles River Plaza, gdzie znajdował się lokalny oddział Fleet Bank, było zaledwie dziesięć minut drogi. Większą jej część dziewczyny przeszły w milczeniu, wykuwając na pamięć swe numery ubezpieczenia. Gdy skręciły w Charles River Plaza, Joanna pociągnęła Deborah za ramię.

— Omówmy to sobie jeszcze, zanim wejdziemy do środka — powiedziała. — Powinnyśmy otworzyć te rachunki z symbolicznym wkładem, bo nigdy nie będziemy w stanie wybrać tych pieniędzy.

— Co proponujesz?

— Nie sądzę, żeby to miało jakieś większe znaczenie — odparła Joanna. — Może dwadzieścia dolarów?

— Może być — zgodziła się Deborah. — Ale nie miałabym nic przeciwko temu, żeby po drodze zahaczyć o bankomat.

— To też nie jest zły pomysł — przyznała Joanna.

Z bankomatu przy wejściu wyciągnęły po kilkaset dolarów, po czym skierowały się wprost do stanowiska obsługi. Ponieważ trafiły akurat na porę lunchu, w banku było tłoczno od pracowników pobliskiego szpitala, tak więc musiały czekać niemal dwadzieścia minut na swoją kolej. Samo założenie rachunków odbyło się jednak szybko, ponieważ urzędniczka, na którą trafiły, była wyjątkowo sprawna. Miała na imię Mary. Jedynym drobnym problemem był brak jakichkolwiek dokumentów tożsamości, jednak Mary stwierdziła, że wystarczy, jeśli przyniosą je następnego dnia. Nim wybiła pierwsza, urzędniczka opuściła je na chwilę, by uruchomić rachunki i wydać im potwierdzenia. Dziewczyny siedziały na plastikowych krzesłach przed biurkiem Mary.

— Co będzie, jeśli ona wróci i powie, że nie żyjemy? — szepnęła Deborah.

— Wtedy dowiemy się, że nie żyjemy — odparła Joanna. — W końcu właśnie po to tu jesteśmy.

— Ale co powiemy? Będziemy musiały coś powiedzieć.

— Tylko tyle, że musiałyśmy pomylić numery. Powiemy, że sprawdzimy je i wkrótce tu wrócimy.

— Jeszcze pół godziny temu traktowałam to jak zabawę — przyznała Deborah. — Teraz jestem cała w nerwach. Nie możemy wcisnąć im takiej naciąganej historii.

— Idzie! — szepnęła nerwowo Joanna.

Mary wróciła, niosąc potwierdzenia wpłaty.

— Załatwione — oświadczyła. — Wszystko jest w porządku. — Wręczyła im pokwitowania wraz z przygotowanym wcześniej pakietem materiałów. — To by było na tyle. Mają panie kwity parkingowe?

— Nie, przyszłyśmy piechotą — odparła Joanna. Jako miejsce zamieszkania podały Seven Hawthorne Place, część leżącego za szpitalem osiedla Charles River Park.

Kilka minut później dziewczyny znów wynurzyły się na zalaną majowym słońcem ulicę. Deborah ogarnęła euforia.

— Udało się! — zawołała, gdy szybkim krokiem oddalały się od banku. — Na chwilę zwątpiłam, ale najwyraźniej nasze nazwiska i numery ubezpieczenia są w porządku.

— Teraz są w porządku — przypomniała jej Joanna. — Ale to się zmieni, i to wkrótce. Wracajmy prosto do domu i zadzwońmy do Kliniki Wingate'a, żeby mieć za sobą kolejny etap.

— A lunch? — upomniała się Deborah. — Umieram z głodu. Po tej kawie i słodkich bułkach, które zjadłyśmy rano, nie zostało już nawet śladu.

— Też chętnie bym coś przegryzła — przyznała Joanna. — Ale załatwmy to szybko.

\*\*\*

— Klinika Wingate'a — odezwał się pogodny głos. Wydobywał się z głośnika telefonu w mieszkaniu Joanny i Deborah. Sam telefon spoczywał na kanapie między dziewczynami, które usadowiły się po obu jego stronach. Była druga trzydzieści pięć i słońce zaczynało właśnie wlewać się przez frontowe okna, kładąc na drewnianej podłodze świetliste plamy.

— Interesuje mnie praca w waszym zakładzie — powiedziała Joanna. — Z kim powinnam rozmawiać? — Dziewczyny rzuciły monetą, by ustalić, która z nich zadzwoni. Joanna wygrała.

— To będzie Helen Masterson, kierowniczka działu kadr — stwierdziła telefonistka. — Mam panią połączyć?

— Tak, proszę — odparła Joanna.

Z głośnika popłynęła ta sama melodyjka, którą słyszały poprzedniego dnia, ale nie trwało to długo. Już po chwili odezwał się tubalny kobiecy głos. Obie dziewczyny podskoczyły.

— Tu Helen Masterson. Rozumiem, że szuka pani pracy.

— Tak, razem z koleżanką — odparła Joanna, gdy tylko ochłonęła z wrażenia.

— Jakie mają panie kwalifikacje? — zapytała Helen.

— Jeśli chodzi o mnie, mam duże doświadczenie w przetwarzaniu tekstów.

— Ze studiów czy z pracy?



— Jedno i drugie — odparła Joanna. Jako studentka pracowała podczas wakacji w pewnej firmie prawniczej w Houston, z którą jej ojciec robił wiele interesów.

— Są panie absolwentkami college'u?

— Tak jest — potwierdziła Joanna. — Ja mam dyplom z ekonomii, a moja koleżanka, Georgina Marks, studiowała biologię. — Zerknęła na Deborah, która dała jej znak uniesionym kciukiem.

— Czy pani koleżanka ma doświadczenie w pracy laboratoryjnej?

Deborah zamaszycie pokiwała głową.

— Tak, owszem — odparła Joanna.

— Muszę przyznać, że obie wydajecie się znakomitymi kandydatkami — powiedziała Helen. — Jak się panie o nas dowiedziały?

— Słucham? — Joanna wykrzywiła się do przyjaciółki z zakłopotaniem. Nie spodziewała się takiego pytania. Deborah sięgnęła na podłogę po bloczek i ołówek. Gdy Helen powtarzała pytanie, nabazgrała w pośpiechu: „Znajoma widziała ogłoszenie”.

— Z drugiej ręki — odparła Joanna. — Jedna z naszych znajomych widziała ogłoszenie.

— To było ogłoszenie w gazecie czy w radiu?

Joanna zawahała się. Deborah wzruszyła ramionami.

— Nie jestem pewna — odparła Joanna.

— Cóż, to właściwie nie ma znaczenia, tyle tylko, że wiedzielibyśmy, które są bardziej skuteczne — stwierdziła Helen. — Mieszkacie tu, w Bookford?

— Obecnie mieszkamy w Bostonie.

— Więc macie zamiar dojeżdżać.

— Tak planujemy, przynajmniej na razie. Będziemy jeździć razem.

— Dlaczego chcecie pracować w Bookford? — zapytała Helen.

— Musimy szybko znaleźć jakąś pracę — wyjaśniła Joanna. — Słyszałyśmy, że wasza klinika poszukuje pracowników. Właśnie wróciliśmy z dość długiego pobytu w Europie i mówiąc szczerze, potrzebujemy pieniędzy.

— Wygląda na to, że możemy pomóc sobie nawzajem — ucieszyła się Helen.

— Prześlę wam faksem albo e-mailem kwestionariusze osobowe, które możecie wypełnić i odesłać z powrotem do mnie. Co wolicie?

— E-mail byłby najlepszy — odparła Joanna. Podała Helen swój adres e-mailowy, który szczęśliwie nie miał żadnego związku z jej nazwiskiem.

— Zaraz wysyłam — powiedziała Helen. — A póki co, myślę, że mogłybyśmy już teraz umówić się na rozmowę kwalifikacyjną. Jaki termin paniom odpowiada? Może być praktycznie dowolny dzień w tym lub w następnym tygodniu.

— Im szybciej, tym lepiej — stwierdziła Joanna. Deborah przytaknęła jej skinieniem głowy. — Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, najchętniej umówiłybyśmy się na jutro.

— Znakomicie — oświadczyła Helen. — Pochwalam wasz zapał. Czy może być dziesiąta rano?

— Jak najbardziej — odparła Joanna.

— Potrzebujecie wskazówek, jak się do nas dostać?

— Myślę, że to nie jest konieczne — stwierdziła Joanna. — Poradzimy sobie.

— Zatem do zobaczenia jutro — powiedziała Helen i odłożyła słuchawkę.

Joanna wyłączyła telefon.

— Poszło jak po maśle! — zauważyła Deborah. — Myślę, że jedną nogą już tam jesteśmy.

— Też mi się tak zdaje — przyznała Joanna. Wyciągnęła kabel od telefonu z gniazdka i podeszła do komputera. — Załogujmy się, żebyśmy mogły odebrać tego e-maila, kiedy tylko przyjdzie.

Zgodnie z obietnicą, Helen wysłała kwestionariusz tuż po zakończeniu rozmowy i komunikat o jego nadejściu pojawił się na monitorze komputera dziewczyn już po chwili od wejścia do sieci. Joanna i Deborah wypełniły formularze wprost na ekranie i nim minęło piętnaście minut, odesłały je z powrotem do Kliniki Wingate'a.

— To wydaje się niemal zbyt łatwe — zauważyła Deborah, wyłączając komputer.

— Bo zapeszysz — skarciła ją Joanna. — Możesz nazwać mnie przesadną, ale wolę nie mówić nic takiego, dopóki nie dostanę się na serwer Wingate'a. Za dużo jeszcze może tu nawalić.

— Chodzi ci na przykład o to, że nasze numery ubezpieczenia mogą nagle okazać się nieaktualne?

— Tak, albo że doktor Donaldson, czy ktoś inny, rozpozna nas jutro rano.

— Niech zgadnę — powiedziała Deborah. — Wracasz do pomysłu z przebraniem.

— Nigdy go nie porzuciłam — odparła Joanna. — A mamy przed sobą resztę popołudnia. Biermy się do roboty. Możemy pójść do Galleria Mali w Cambridge i tanim kosztem sprawić sobie jakieś nowe rzeczy.

— Ja jestem gotowa — oświadczyła Deborah. — Wystrzałowa laska... to będzie moje nowe wcielenie. Może uda mi się znaleźć jakiś ciuch z odsłoniętym brzuchem, do którego włożę stanik Miracle Bra. W drodze powrotnej możemy się zatrzymać w CVS i kupić jakąś farbę do włosów i kosmetyki. Pamiętasz tę recepcjonistkę, kiedy byliśmy w klinice na zabiegu?

— Trudno byłoby ją zapomnieć — przyznała Joanna.

— Mam zamiar ją zakasować — oświadczyła Deborah.

— Wydaje mi się, że nie powinniśmy z tym przesadzać — stwierdziła sceptycznie Joanna. — Nie chcemy niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi.

— Mów za siebie — odparła Deborah. — Nie chcesz, żeby nas rozpoznano, a ja zamierzam upewnić się, że do tego nie dojdzie, szczególnie jeśli chodzi o mnie.

— Ale chcemy przecież dostać tam pracę — jęknęła Joanna.

— Nie martw się — uspokoiła ją Deborah. — Nie zamierzam się posunąć aż tak daleko.

## Rozdział 8

9 maja 2001

8.45

Spencer Wingate odłożył na bok czasopismo i wyjrzał na płynący w dole krajobraz. Wiosna zawitała do Nowej Anglii ze zwykłą sobie opieszałością. Szachownica pól i łąk przybrała odcień głębokiej zieleni, choć w głębszych wąwozach i jarach nadal widać było odosobnione płaty lodu i śniegu. Drzewa, wciąż jeszcze bezlistne, obsypane były delikatnymi, żółtozielonymi, obrzmiałymi pączkami, co dawało falującym wzgórzom miękkość, jak gdyby okryto je prześwitującą zieloną materią.

— Daleko jeszcze do Hanscom Field? — zawołał Spencer, przekrzykując skowyt silników odrzutowych. Znajdował się na pokładzie leara 45; był właścicielem jednej czwartej akcji, chociaż nie tego akurat samolotu, w którym siedział. Przed dwoma laty wykupił udziały w jednym z tych opartych na cząstkowej własności towarzystw lotniczych, a świadczone przez nie usługi w pełni zaspokajały jego potrzeby.

— Niecałe dwadzieścia minut, proszę pana — odkrzyknął pilot przez ramię, — Nie ma ruchu, więc możemy lądować natychmiast.

Spencer skinął głową i przeciągnął się. Nie mógł się doczekać powrotu do Massachusetts, a widok sennych farm południowej Nowej Anglii wzmógł tylko jego niecierpliwość. Już drugi rok z rzędu spędzał zimę w Naples na Florydzie i strasznie się tam wynudził, zwłaszcza w ostatnich miesiącach. Teraz zaś wracał w pośpiechu, nie tylko dlatego, że zyski Kliniki Niepłodności zaczęły spadać.

Trzy lata wcześniej, gdy klinika nabierała rozpędu, a pieniądze napływały szybciej, niż kiedykolwiek ośmielał się spodziewać, marzył, by wycofać się z interesów, zacząć grać w golfa, napisać powieść, która zostanie przerobiona na film, umawiać się z pięknymi kobietami i w ogóle prowadzić beztroskie życie. W tym celu zaczął rozglądać się za kimś młodszym, kto przejąłby codzienne rządy nad jego rozkwitającym interesem. Zupełnie przypadkowo na uczelni, w której wykładał, spotkał pełnego zapału człowieka świeżo po kursie poświęconym niepłodności. Wydawał się zesłany przez niebo.

Pozostawiwszy klinikę w dobrych rękach, Spencer mógł wreszcie zająć się własnymi sprawami. Idąc za radą jednego z pacjentów, doskonale zaznajomionego z rynkiem nieruchomości na Florydzie, znalazł mieszkanie na zachodnim wybrzeżu półwyspu. Gdy tylko transakcja została zawarta, wyruszył w stronę słońca.

Niestety, rzeczywistość nie dorównała jego wyobrażeniom. Mógł wprawdzie spędzać wiele czasu na grze w golfa, ale jego niespokojny, nawykły do rywalizacji umysł uznał tę rozrywkę za zbyt mało satysfakcjonującą na dłuższą metę, zwłaszcza że Spencer nie był w stanie wznieść się ponad irytujący próg przeciętności. Uważał się za zwycięzcę i każda porażka była dla niego bolesnym ciosem. Ostatecznie uznał, że coś było nie tak z tym sportem.

Kariera pisarska okazała się jeszcze większym niewypałem. Spencer przekonał się, że praca była cięższa, niż mu się wydawało, i wymagała dyscypliny większej, niż potrafił sobie narzucić. A co najgorsze, brakowało mu natychmiastowego pozytywnego oddźwięku, do którego przywykł w kontaktach z pacjentami. W konsekwencji, i to dość szybko, porzucił pomysł powieści-filmu jako nie przystający do jego aktywnej osobowości.

Największe rozczarowanie zgotowało mu jednak życie towarzyskie. Aż dotąd był przeświadczony, że los zmusił go do rezygnacji ze stylu życia, do którego predestynował go jego wygląd i rozliczne talenty. Ożenił się, głównie z samotności, jeszcze w czasach studenckich, z kobietą, którą wkrótce uznał za nie dorównującą mu zarówno intelektualnie, jak i towarzysko. Gdy tylko dzieci, które przyszły na świat w pierwszych latach małżeństwa, poszły do college'u, Spencer rozwiódł się. Na szczęście było to jeszcze przed założeniem Kliniki Niepłodności Wingate'a. Żona dostała dom, który nie był zbyt wiele wart, i jednorazowe odszkodowanie.

— Doktorze Wingate — zawołał przez ramię pilot. — Czy mam załatwić panu przez radio jakiś transport?

— Powinien tam być mój samochód — odwrzasnął Spencer. — Niech podprowadzą go na pole startowe.

— Tak jest! — odparł pilot.

Spencer znów pogрузzył się w myślach. Chociaż w Naples nie brakowało pięknych kobiet, rzadko udawało mu się je spotkać, a tym, które spotykał, trudno było zaimponować. Choć sam uważał się za człowieka zamożnego, zawsze znalazł się ktoś odrobinę przewyższający go zarówno pod względem bogactwa, jak i wszystkiego, co idzie z nim w parze.

Tak więc jedynym dawnym marzeniem o emeryturze, jakie udało mu się zrealizować, było beztróskie życie. Ale nawet ono wkrótce straciło swój urok, a satysfakcja, jaką dawało, była niewielka. Potem nadszedł styczeń i z kliniki zaczęły napływać wieści o spadających zyskach. Z początku Spencer przypuszczał, że jest to chwilowe zaburzenie albo efekt zaksięgowania poważnych wydatków w jednym miesiącu, ale niestety sytuacja finansowa wciąż się pogarszała. Spencer przebadał sprawę najdokładniej jak mógł z takiej odległości. To nie dochody spadły. Wręcz przeciwnie. To koszty prac badawczych wzrosły do niebotycznych wartości, co wskazywało, że jego obecność na

miejscu jest nieodzowna. Kiedy Paul Saunders po raz pierwszy pojawił się na scenie, Spencer powiedział mu, że prace badawcze są mile widziane, ale najwyraźniej sprawy wymknęły się spod kontroli.

— Powiedzieli, że pański samochód już czeka przed budynkiem JetSmart Aviation — odkrzyknął pilot. — Proszę zapiąć pasy. Podchodzimy do lądowania.

Spencer pokazał mu uniesiony kciuk. Zapiął pas bezpieczeństwa już wcześniej. Wyjrzawszy przez okno, gdy samolot opadał ku ziemi, zobaczył swojego złocistego Bentleya ze składanym dachem. Metaliczny lakier lśnił w porannym słońcu. Spencer uwielbiał ten samochód. Przez głowę przemknęła mu myśl, czy nie powinien był zabrać go ze sobą do Naples. Być może z nim miałyby większe powodzenie u kobiet.

Wiosna, ze swymi kwiatami i obietnicą nadchodzących ciepłych, miłych, letnich wieczorów, była porą roku, którą Joanna zawsze uwielbiała. Do Houston wiosna przybywała wcześniej, w feerii barw, które z dnia na dzień przemieniały nudny, płaski krajobraz w baśniową krainę azalii, tulipanów i dereni. Jadąc na północny zachód z Bostonu w stronę Bookford, dziewczyna próbowała skupić się na tego rodzaju przyjemnych wspomnieniach i przywołać radosny nastrój, jaki zwykle wzbudzały. Jednak nie było to łatwe.

Po pierwsze, było tu niewiele kwiatów, a stąd i niewiele barw poza zielenią trawy i jaśniejszą zielenią obsypanych pączkami drzew. Po drugie, była wściekła na Deborah, która siedziała obok niej, bez troski nucąc do wtóru z radiem nastawionym na łagodnego rocka. Mimo zapewnień, że „nie zamierza się posunąć aż tak daleko” ze swym przebraniem, zdaniem Joanny jej przyjaciółka przekroczyła granice przyzwoitości. Włosy ufarbowała na rudawy blond, wargi i długie jak szpony paznokcie pomalowała jaskrawą czerwienią, a do tego włożyła szpilki i wydekoltowaną minisukienkę, pod którą miała stanik z wkładkami. Obrazu dopełniały zwisające kolczyki i małe, wysadzane sztucznymi brylancikami wisiołek w kształcie serduszka. W przeciwieństwie do niej Joanna miała na sobie granatową spódnicę do połowy łydki, grzecznie zapiętą pod szyję białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem, również zapiętą do samej góry blad różowy kardigan i okulary w oprawkach z przezroczystego plastiku. Jej włosy miały teraz nijaki, szarobrazowy odcień.

— Naprawdę wątpię, czy dostaniesz tę pracę — odezwała się nagle Joanna, przerywając długą ciszę. — A przez ciebie może i mnie nie przyjmą.

Deborah odwróciła wzrok od okna, by spojrzeć na profil koleżanki. Nic nie powiedziała, ale pochyliła się do przodu i wyłączyła radio.

Joanna rzuciła jej krótkie spojrzenie, po czym znów skupiła się na drodze.

— To dlatego jesteś taka milcząca? — zapytała Deborah. — Nie odezwałaś się praktycznie ani słowem, odkąd wyjechałyśmy z domu.

— Obiecałaś mi, że nie zmienisz tego w farsę.

Deborah zerknęła w dół na swe okryte rajstopami kolana.

— To nie jest farsa — powiedziała. — Po prostu korzystam z okazji, żeby się trochę zabawić.

— Ty nazywasz to zabawą, a dla mnie jest to po prostu studium złego smaku.

— To twoja opinia — odparła Deborah. — I, jak na ironię, moja także. Ale nie każdy zgodziłby się z tobą, zwłaszcza jeśli chodzi o męską część ludzkości.

— Nie myślisz chyba, że mężczyźni podniecać będzie twój wygląd?

— Prawdę mówiąc, przypuszczam, że będzie — stwierdziła Deborah. — Nie wszystkich, oczywiście, ale wielu. Widziałam, jak faceci reagują na tak ubrane kobiety. Zawsze zwracają na nie uwagę. Być może nie z powodów, na jakich by mi zależało, tym niemniej zwracają uwagę i ten jeden raz w życiu mam zamiar tego doświadczyć.

— Moim zdaniem to wymysł — powiedziała Joanna. — Kobięca mitologia, nie bardziej prawdziwa od męskiego przeświadczenia, że kobiety podniecają się tężyzną i dużymi mięśniami.

— A gdzie tam! To wcale nie to samo. — Deborah z oburzeniem machnęła dłonią. — Poza tym mówisz to jako osoba wychowywana w tradycyjnym kobiecym systemie wartości, gdzie randki służyły tylko jako preludeum do małżeństwa. Pozwól sobie przypomnieć, że mężczyźni mogą traktować umawianie się z kobietami jak grę albo wręcz jak sport. Dla nich jest to rozrywka, tak jak, to też chciałabym ci przypomnieć, może to być rozrywka dla nowoczesnej, żyjącej w dwudziestym pierwszym wieku kobiety.

— Nie zamierzam spierać się z tobą co do tej kwestii — oświadczyła Joanna. — Problem w tym, że jesteśmy umówione z kobietą, i nie sądzę, żeby twój wygląd przypadł jej do gustu. Skończy się na tym, że nie dostaniesz tej pracy, i tyle.

— Tu też się z tobą nie zgadzam — odparta Deborah. — Kadrowa jest kobietą, to prawda. Ale musi przyjąć realistyczne kryteria. Ubiegam się o pracę w laboratorium, nie na widoku i w kontakcie z pacjentami. Poza tym uznali przecież za stosowne zatrudnić tę rudowłosą recepcjonistkę, a ona była ubrana niemal równie prowokacyjnie jak ja.

— Ale po co w ogóle ryzykować? — nie mogła zrozumieć Joanna.

— Jak sama powiedziałaś, musimy się martwić przede wszystkim o to, czy nie zostaniemy rozpoznane — wyjaśniła Deborah. — Zaufaj mi! Nikt nas nie pozna, a na dodatek będziemy miały trochę zabawy. Muszę cię jakoś rozruszać i dopilnować, żebyś przypadkiem nie wróciła do dawnych poglądów na życie towarzyskie.

— Och, pewnie! — wybuchnęła Joanna. — Teraz próbujesz mi wmówić, że przebrałaś się jak lafirynda wyłącznie dla mojego dobra. Daj sobie spokój!

— No dobrze, zrobiłam to przede wszystkim dla siebie, ale ciebie też miałam na względzie.



Nim dojechały do Bookford, Joanna pogodziła się z wyglądem przyjaciółki. Doszła do wniosku, że w najgorszym razie Deborah nie dostanie pracy, ale nie widziała powodów, dla których miałyby to wpłynąć na jej własne szansę. Odrzucenie Deborah nie byłoby zaś żadną katastrofą. Ostatecznie, początkowo zamierzała zgłosić się do Kliniki Wingate'a sama. To Deborah uparła się, żeby jej towarzyszyć.

— Pamiętasz, gdzie był ten zjazd? — zapytała Joanna. Przy poprzedniej wizycie nie ona prowadziła, a kiedy była pasażerką, miała trudności z zapamiętywaniem punktów orientacyjnych.

— Powinien być po lewej, tuż za najbliższym zakrętem — odparła Deborah.  
— Pamiętam, że to było zaraz za tą stodołą po prawej.

— Masz rację. Widzę znak — powiedziała Joanna, prostując koła po skręcie. Przyhamowała i zjechała na żwirowy podjazd. Przed nimi ukazała się kamienna wartownia. U wylotu tunelu pod budynkiem stał, blokując im przejazd, sznur ciężarówek. Umundurowany strażnik z notatnikiem w dłoni dyskutował z siedzącym w kabinie kierowcą pierwszego wozu.

— Wygląda na to, że trafiłyśmy na dostawę dla farmy — stwierdziła Deborah. Na tyle ostatniej ciężarówki widniał napis: WEBSTER — PASZA DLA ZWIERZĄT.

— Która godzina? — zapytała Joanna. Była zaniepokojona, ponieważ wyruszyły w drogę dwadzieścia minut później, niż planowały. Musiały bowiem poczekać, aż wyschną paznokcie Deborah.

— Za pięć dziesiąta — odparła jej przyjaciółka.

— Rany boskie! — jęknęła Joanna. — Nie cierpię się spóźniać, szczególnie kiedy ubiegam się o pracę.

— Nie możemy przeskoczyć samych siebie — zauważyła Deborah.

Joanna skinęła głową. Nienawidziła takich protekcyjnych uwag i wiedziała, że Deborah dobrze o tym wie, ale nie odezwała się. Nie chciała dać przyjaciółce tej satysfakcji. Zamiast tego zaczęła bębnić palcami po kierownicy.

Mijały minuty. Bębnienie Joanny stawało się coraz szybsze. Wreszcie dziewczyna westchnęła i spojrzała we wsteczne lusterko, aby sprawdzić, jak zniosła podróż jej fryzura. Zanim jednak zdążyła obrócić głowę z powrotem, spostrzegła nadjeżdżający od Pierce Street i skręcający na żwirowy podjazd samochód. Wóz podjechał bliżej, zwolnił i zatrzymał się tuż za nimi.

— Pamiętasz tego bentleya ze składanym dachem, którego widziałyśmy na parkingu, kiedy byłyśmy tu poprzednio? — zapytała.

— Nie za bardzo — odparła Deborah. Samochody interesowały ją wyłącznie jako środek transportu i nie potrafiła odróżnić chevroleta od forda ani bmw od mercedesa.

— Właśnie podjechał i stanął za nami — oświadczyła Joanna.

— Aha — skwitowała Deborah. Odwróciła się i wyjrzała przez tylną szybę. — Ach, tak. Pamiętam go.

— Ciekawe, czy to któregoś z lekarzy — zastanawiała się Joanna, przyglądając się złocistemu pojazdowi w lusterku. Odblask światła na przedniej szybie nie pozwalał jej zobaczyć wnętrza.

Deborah ponownie spojrzała na zegarek.

— Rany, już po dziesiątej. Co tu jest grane? Ten dumny strażnik wciąż rozmawia z kierowcą. O czym oni mogą tak gadać, do diabła?

— Przypuszczam, że sprawdzają, kogo wpuszczają na swój teren.

— To możliwe, ale my jesteśmy umówione — stwierdziła Deborah. Otworzyła drzwi i wysiadła.

— Dokąd idziesz? — zapytała Joanna.

— Zobaczę, co się tam dzieje — odparła Deborah. — To niepoważne. — Zatrzasnęła drzwi i przedefilowała przed maską samochodu. Kołysząc się na czubkach palców, by cienkie obcasy nie zagłębiały się w żwir, ruszyła w stronę wartowni.

Mimo wcześniejszej irytacji Joanna odruchowo parsknęła śmiechem na widok ekwilibrystyki przyjaciółki, póki nie zauważyła, że krótka sukienka Deborah zadarła się w górę, przywierając do naelektryzowanych rajstop. Opuściwszy szybę, Joanna wytknęła głowę przez okno.

— Hej! Marilyn Monroe! Widać ci tyłek!

Spencer kostkami palców wskazujących potarł zmęczone oczy. Zatrzymał się za nieznanym mu chevroletem malibu, rozdrażniony, że teraz, kiedy jest już prawie na miejscu, drogę zablokował mu mały korek. Widział dwie głowy w samochodzie przed sobą, ale nie zainteresował się siedzącymi tam osobami, dopóki jedna z nich nie wyszła na zewnątrz.

Nagle wydało mu się, że śni. Oto zobaczył przed sobą kobietę, jakiej nadaremnie szukał przez cały czas spędzony w Naples. Była nie tylko atrakcyjna, szczupła i wysportowana, ale i ubrana w ponętym stylu, jaki zdarzało mu się widzieć jedynie podczas rzadkich wizyt na South Beach w Miami. Jakby tego było mało, pikanterii tej nieoczekiwanej sytuacji dodawał fakt, że sukienka dziewczyny zadarła się z tyłu, odsłaniając niemal goły, okryty rajstopami tyłeczek.

Ośmielony świadomością, że jest na własnym terenie, Spencer nie wahał się, tak jak zawahałby się w Naples. Otworzył drzwi i wysiadł z wozu. Usłyszał okrzyk drugiej dziewczyny i spódniczka natychmiast znalazła się tam, gdzie powinna, wciąż jednak unosiła się powyżej połowy uda, a ponieważ uszyto ją z syntetycznego, przylegającego materiału, falowała zmysłowo, gdy dziewczyna niepewnie kroczyła po żwirze.

Puściwszy się truchtem, Spencer popędził w stronę wartowni. Mijając chevroleta, zerknął w przelocie na towarzyszkę dziewczyny, co wystarczyło mu, by stwierdzić, że reprezentuje ona zupełnie odmienny typ. Zwolnił kroku, minął spacerkiem pierwszą ciężarówkę i stanął przy zwróconej do niego plecami dziewczynie. Podparta pod boki, spierała się ze strażnikiem.

— Cóż, no to niech pan każe im wycofać te przeklęte ciężarówki i przepuści nas — mówiła Deborah. — Mamy spotkanie z panią Masterson, szefową kadr, i jesteśmy już spóźnione.

Na strażniku nie zrobiło to żadnego wrażenia. Z uniesionymi brwiami i uśmiechem na twarzy przyglądał się Deborah spoza lotniczych okularów przeciwsłonecznych. Otworzył usta, by odpowiedzieć na jej sugestię, lecz w tym momencie do dyskusji włączył się Spencer.

— W czym jest problem? — zapytał najbardziej władczym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Nieświadomie naśladując postawę Deborah, oparł ręce na biodrach.

Strażnik zmierzył go wzrokiem, po czym bez ogródek oświadczył, że to nie jego sprawa, więc niech wraca do swojego samochodu. Użył słów „proszę” i „pan”, ale najwyraźniej traktował je jako czystą formalność.

— Tych ciężarówek z paszą nie ma na jego liście — wyjaśniła pogardliwym tonem Deborah. — Zachowują się jakby to był Fort Knox, rany boskie.

— Może telefon na farmę wyjaśniłby sprawę — podsunął Spencer.

— Niech pan słucha! — powiedział strażnik, wymawiając „pan” jakby to była obelga. Ręką z notatnikiem wskazał na bentleya, drugą dłoń położył na kolbie pistoletu. — Chcę pana w tej chwili widzieć w samochodzie.

— Nie waż się mnie straszyć — warknął Spencer. — Dla twojej wiadomości, jestem doktor Spencer Wingate.

Strażnik spojrzał na niego, wyraźnie zbity z tropu. Wydawało się, że gorączkowo rozważa, jak ma postąpić. Niespodziewane oświadczenie Spencera sprawiło, że Deborah zwróciła się w jego stronę i stwierdziła, że ma przed sobą stereotypowego lekarza z opery mydlanej: wysokiego, szczupłego, opalonego, o kanciastej twarzy i posrebrzonych siwizną włosach.

Zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć choć słowo, masywne, czarne drzwi wartowni otworzyły się i ukazał się w nich muskularny mężczyzna o krótko ostrzyżonych szaroblond włosach, ubrany w czarną trykotową koszulkę, czarne spodnie i czarne buty terenowe. Poruszając się jak na zwolnionym filmie, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

— Doktorze Wingate — powiedział spokojnie — powinien pan być uprzedzić nas o swoim przybyciu.

— Co to za sprawa z tymi ciężarówkami, Kurt? — zapytał ostro Spencer.

— Czekają na zgodę doktora Saundersa — wyjaśnił Kurt. — Nie ma ich w wykazie, a doktor Saunders chce być informowany o wszelkich nieregularnościach.

— To przecież tylko ciężarówki z paszą, na Boga! — oświadczył dobitnie Spencer. — Macie moją zgodę. Przepuście je na farmę, żebyśmy mogli wjechać.

— Jak pan sobie życzy — odparł Kurt. Wyjął z kieszeni plastikową kartę i przesunął ją przez szczelinę czytnika na słupku tuż przy kabinie pierwszej ciężarówki. W tej samej chwili ciężka brama zaczęła się ze zgrzytem otwierać.

Jakby na dany sygnał, kierowca ciężarówki uruchomił silnik, wypełniając ciasną przestrzeń tunelu pod wartownią rykiem diesla i kłębami spalin. Deborah szybko wycofała się na zewnątrz. Spencer zrobił to samo.

— Dziękuję panu za interwencję — powiedziała dziewczyna. Zauważyła, że oczy doktora, omiatające całą jej postać, są niemal tak samo błękitne, jak oczy ochroniarza w czerni.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Spencer. Ku jego rozpaczy załamał mu się głos, gdy za wszelką cenę starał się ukryć zdenerwowanie tym, że bezpośrednio rozmawia z Deborah. Z bliska mógł stwierdzić, że ciemnooliwkowy odcień jej skóry nie jest opalenizną, jak w pierwszej chwili sądził. Była to jej naturalna karnacja. Zauważył też, że jej oczy i brwi są ciemne, co w połączeniu z jasnymi włosami dało mu wrażenie natury wolnej i zmysłowej.

— Cóż, do zobaczenia, panie doktorze — powiedziała Deborah. Uśmiechnęła się i ruszyła z powrotem do samochodu.

— Chwileczkę — zawołał za nią.

Dziewczyna przystanąła i odwróciła się.

— Jak się pani nazywa, jeśli wolno spytać?

— Georgina Marks — odparła Deborah. Poczowała, jak przyspiesza jej tętno. Po raz pierwszy użyła swego przybranego nazwiska.

— Czy naprawdę jest pani umówiona z Helen Masterson?

— Dokładnie na dziesiątą — przyznała Deborah. — Niestety, dzięki temu gościowi z ochrony jesteśmy już spóźnione.

— Zadzwoń do niej i wytłumacz, że to nie wasza wina.

— Dziękuję. To bardzo miło z pana strony.

— Więc szuka pani pracy w naszej klinice?

— Tak — przyznała Deborah. — I moja koleżanka też. Mamy zamiar dojeżdżać razem.

— To ciekawe — powiedział Spencer. — W jakim charakterze chcą się panie zatrudnić?

— Ja mam dyplom z biologii molekularnej — odparła Deborah, celowo nie precyzując stopnia. — Chciałabym pracować w laboratorium.

— Z biologii molekularnej! Jestem pod wrażeniem — oświadczył szczerze Spencer. — Gdzie pani studiowała, jeśli można wiedzieć?

— Na Harvardzie — odparła Deborah. Przedyskutowały tę kwestię z Joanną, wypełniając przesłane im kwestionariusze osobowe. Bojąc się, że wzmianka o Harvardzie je zdradzi, zastanawiały się, czy nie wymienić innej uczelni. Zdecydowały się jednak wyjawiać prawdę, by móc sprostować bardziej konkretnym pytaniom na temat ich studiów.

— Na Harvardzie! — wykrzyknął Spencer. Przez chwilę był zakłopotany. Biologia molekularna była wystarczającą niespodzianką. Harvard pogarszał tylko sprawę, sugerując, że Deborah może wcale nie być tak wolnym duchem, jak mu się początkowo zdało, i że być może wcale nie tak łatwo będzie jej zaimponować. — A pani koleżanka? — zapytał, żeby zmienić temat. — Ona też szuka pracy w laboratorium?

— Nie. Prudence... Prudence Heatherly... chce się zatrudnić w biurze — odparła Deborah. — Zna się doskonale na przetwarzaniu tekstów i w ogóle na komputerach.

— Ach, tak. Jestem pewien, że znajdzie się u nas miejsce dla was obu — stwierdził Spencer. — Jeśli można, chciałbym coś zaproponować. Czy po rozmowie z Helen nie wstąpiłyby panie do mojego gabinetu?

Deborah spojrzała na niego z ukosa, jak gdyby próbując ocenić jego zamiary.

— Moglibyśmy napić się kawy albo coś w tym rodzaju — podsunął Spencer.

— Jak pana znajdę? — zapytała Deborah.

— Proszę po prostu zapytać Helen — odparł Spencer. — Jak powiedziałem, będę dzwonić do niej w waszej sprawie, więc przy okazji wspomnę, że chcemy się spotkać.

— Zrobię to — powiedziała Deborah. Uśmiechnęła się i ruszyła z powrotem do samochodu.

Spencer odprowadził ją wzrokiem. Choćby nie chciał, nie mógł nie dostrzec zmysłowego falowania jej pośladków pod połyskliwym, syntetycznym materiałem sukienki. Ubranie dziewczyny nie było w najlepszym gatunku, widział to, przyznał jednak, że doskonale podkreśla jej wdzięki. „Harvard” — powtórzył w duchu. Skłonny byłby uznać własną alma mater, Sommerville High, za bardziej prawdopodobną i zdecydowanie bardziej obiecującą.

— Jak można chodzić w takich butach przez cały dzień? — jęknęła Deborah, wsiadając z powrotem do samochodu.

— Szkoda, że siebie nie widzisz — parsknęła śmiechem Joanna. — Niezły ubaw!

— Uważaj! — ostrzegła Deborah. — Podkopiesz moją samoocenę.

Gdy ciężarówki przed nimi zaczęły posuwać się naprzód, Joanna uruchomiła silnik.

— Zauważyłam, że rozmawiałaś z tym dżentelmenem z bentleya — powiedziała.

— Nigdy nie zgadniesz, kto to taki — odparła tajemniczo Deborah.

Joanna wrzuciła bieg i powoli ruszyła do przodu. Ku jej utrapieniu Deborah jak zwykle kazała się ciągnąć za język. Dziewczyna opierała się przez chwilę, w końcu jednak ciekawość wzięła górę.

— W porządku. Kto to jest? — zapytała.

— Sam doktor Wingate! I wbrew twoim obawom, był podniecony moim strojem.

— Podniecony czy oburzony? To olbrzymia różnica, chociaż nie zawsze bywa oczywista.

— Bez wątplenia to pierwsze — odparła Deborah. — Mam na to dowód: zostaliśmy zaproszone na kawę po wizycie u kadrowej.

— Żartujesz?

— Ależ skąd — oświadczyła triumfalnie Deborah.

Joanna wjechała do tunelu. Spencer wciąż jeszcze stał między mężczyzną w czerni a uzbrojonym strażnikiem. Brama, dotąd otwarta, zaczęła się zamykać tuż za ostatnią ciężarówką. Spencer gestem dał Joannie znak, żeby zatrzymała samochód. Dziewczyna przystanęła i opuściła szybę.

— Czekam na panie z niecierpliwością — przypomniał szef kliniki. — Powodzenia na rozmowie kwalifikacyjnej. — Wyciągnął z portfela niebieską kartę magnetyczną, podobną do tej, jakiej wcześniej użył mężczyzna w czerni, i przesunął ją przez szczelinę czytnika. Brama zatrzymała się, zakołysała, po czym zaczęła rozchyłać się ponownie. Spencer wytwornym gestem zaprosił dziewczyny do środka.

— Wygląda dość dystyngowanie — zauważyła Joanna, wyjeżdżając z tunelu.

— Też tak sędzę — zgodziła się Deborah.

— To niesamowite, jak bardzo przypomina mojego ojca.

— Teraz to ty żartujesz — stwierdziła Deborah. Zerknęła na przyjaciółkę. — Nie widzę tu żadnego podobieństwa. Dla mnie on wygląda jak lekarz z opery mydlanej.

— Mówię poważnie — odparła Joanna. — Ma tę samą sylwetkę, ten sam kolor włosów i oczu. Nawet tę samą chłodną rezerwę.

— Chyba sama dopatrujesz się w nim rezerwy — oświadczyła Deborah. — W stosunku do mnie przejawiał wszystko, tylko nie rezerwę. Powinnaś była widzieć, jak skakały mu oczy, kiedy patrzył na to, co Miracle Bra zrobił z moim biustem.

— Nie uważasz, że on ma w sobie coś z mojego ojca?

— Ani trochę!

Joanna wzruszyła ramionami.

— To dziwne, bo ja tak. Może to coś podświadomego.

Samochód minął kępę wiecznie zielonych krzewów za wartownią i przed dziewczynami po raz pierwszy otworzył się pełny widok na stary budynek Cabota.

— To gmaszysko jest jeszcze bardziej ponure, niż zapamiętałam — stwierdziła Deborah. Nachyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć. — Umknęły mi z pamięci nawet te kamienne rzygacze na rynnach.

— Jest tu tyle wiktoriańskich ozdóbek, że trudno ogarnąć wszystko za jednym razem — zauważyła Joanna. — Nietrudno się domyślić, dlaczego pracownicy nazywają go monstrum.

Biegący łukiem podjazd doprowadził je na parking po południowej stronie budynku. Gdy przejechały przez wierzchołek wzgórza, w oddali na wschodzie ukazała się sylwetka komina. Podobnie jak podczas poprzedniej wizyty dziewczyn, buchały z niego kłęby dymu.



— Wiesz — odezwała się Deborah — ten komin przypomni mi pewną rzecz, o której zapomniałam ci powiedzieć.

Joanna znalazła wolne miejsce i zaparkowała samochód. Wyłączyła silnik. Cicho policzyła do dziesięciu, mając nadzieję, że choć raz Deborah bez pytania dokończy swą urwaną w połowie myśl.

— Poddaję się — powiedziała w końcu. — O czym to zapomniałaś mi powiedzieć?

— Zakład Cabota miał przy kotłowni własne krematorium. Ciarki mnie przeszły, kiedy się o tym dowiedziałam, i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem szczątki tu-  
tejszych pacjentów nie służyły do ogrzewania budynku.

— Co za upiorny pomysł — stwierdziła Joanna. — Dlaczego w ogóle przyszło ci to do głowy?

— Sama nie wiem — odparła Deborah. — Krematorium, ogrodzenie z drutu kolczastego, robotnicy, których musieli zatrudniać na farmie... wszystko to przywiodło mi na myśl hitlerowskie obozy koncentracyjne.

— Chodźmy do środka — powiedziała Joanna. Nie uważała za stosowne zaszczy-  
cić tej uwagi odpowiedzią. Otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Deborah zrobiła to samo.

— Krematorium byłoby też wygodne, jeśli chodzi o zatarcie śladów pomyłek i in-  
nych niedociągnięć — dodała.

— Jesteśmy spóźnione — ucięła Joanna. — Chodźmy już i bierzmy tę pracę.

## Rozdział 9

9 maja 2001

10.25

Powietrze było ciepłe, wilgotne i przesycone odpychająco zwierzęcą wonią. Paul Saunders miał na sobie maseczkę chirurgiczną, ale nie ze względu na aseptykę. Założył ją po prostu dlatego, że smród panujący w zagrodzie porodowej dla świń był dla niego nie do zniesienia. Stał tam wraz z Sheilą Donaldson i Gregiem Lynchem, potężnie zbudowanym weterynarzem, którego ściągnął z Uniwersytetu Tuftsa, przekupując wysoką pensją i możliwością zakupu akcji. On i Sheila ubrani byli w narzucone na zwykły strój kitle lekarskie oraz kalosze. Greg miał na sobie ciężki gumowy fartuch i grube gumowe rękawice.

— Zdawało mi się, że mówiłeś, że poród zaraz się zacznie — burknął Paul. Stał z założonymi rękami, w rękawiczkach chirurgicznych na dłoniach.

— Wszelkie oznaki na to wskazują — odparł Greg. — Poza tym to już dwieście osiemdziesiąty dziewiąty dzień tej ciąży. Jest dawno po terminie. — Pogłaskał maciorę po łbie. Świnia wydała przeciągły, żalony skowyt.

— Nie można by tego przyspieszyć? — zapytał Paul, krzywiąc się na rozdzierający uszy kwik. Spojrzał ponad ogrodzeniem na stojącego przy zakupionym dla potrzeb farmy aparacie do znieczulenia Carla Smitha, jakby chciał zapytać, czy nie wziął ze sobą oksytocyny lub innego leku na pobudzenie macicy. Carl przybył tu na wypadek, gdyby pojawiły się komplikacje.

— Najlepiej będzie zdać się na naturę — oświadczył Greg. — To już nie potrwa długo. Wierz mi.

Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, struga płynu owodniowego wytrysnęła na pokrytą słomą podłogę przy akompaniamencie kolejnego przeraźliwego kwiku. Paul i Sheila musieli uskoczyć, by uniknąć zamoczenia ciepłym płynem.

Odzyskawszy równowagę, Paul przewrócił oczami.

— Co za poniżenia jestem zmuszony znosić w imię nauki! — mruknął. — To niewiarygodne!

— Teraz to już pójdzie szybko — stwierdził Greg. Ustawił się za zwierzęciem, daremnie usiłując nie wdepnąć w odchody. Maciora leżała na boku.

— Najwyższy czas — zrzędził Paul. Spojrzał na Sheilę. — Kiedy było ostatnie badanie USG?

— Wczoraj — odparła Sheila. — I pępowiny na obrazie wydały mi się podejrzenie wielkie. Wspominałam ci o tym, pamiętasz?

— Tak, pamiętam — przyznał Paul, kręcąc głową ze zniechęceniem. — Niepowodzenia, które trzeba znosić w tym biznesie, działają mi czasem na nerwy, szczególnie jeśli chodzi o tę część badań. Jeżeli znowu dostaniemy same martwe płody, będę miał kłopot. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

— Moglibyśmy przynajmniej postarać się nie tracić ducha — podsunęła Sheila.

Zadzwonił telefon. Jeden z przyglądających się z boku pracowników pobiegł go odebrać.

Świnia znów zakwiczła żałośnie.

— Zaczynamy — powiedział Greg. Wepchnął okrytą rękawicą dłoń do wnętrza zwierzęcia. — Jest już pełne rozwarcie. Zróbcie mi trochę miejsca.

Paul i Sheila ochoczo odsunęli się tak daleko, jak tylko pozwalała ciasna przestrzeń zagrody.

— Doktorze Saunders, mam panu przekazać wiadomość — odezwał się pracownik, powróciwszy od telefonu.

Paul odpędził go machnięciem dłoni. Miot zaczął właśnie wysypywać się pośród kwików maciory. Chwilę później pierwsza sztuka była już na zewnątrz. Nie wyglądało to jednak dobrze. Ciemnosina istota praktycznie nie oddychała o własnych siłach. Pępowina była potężna, przeszło dwa razy grubsza niż normalnie. Greg podwiązał ją, po czym przygotował się do przyjęcia następnego płodu.

Poród, raz rozpoczęty, przebiegał już szybko. Po kilku minutach cały miot, okrwawiony i nieruchomy, leżał sztuka przy sztuce na zasłanej słomą podłodze zagrody. Carl schylił się nad pierwszym z brzegu noworodkiem, aby go podnieść i spróbować przywrócić do życia, ale Paul powiedział mu, że szkoda zadawać sobie trudu. Wrodzone zniekształcenia były aż nadto widoczne. Przez kilka minut grupa w milczeniu wpatrywała się w nieszczęsne stworzenia. Maciора instynktownie je ignorowała.

— Pomysł z wykorzystywaniem ludzkich mitochondriów najwyraźniej nie wypalił — odezwał się Paul, przerywając ciszę. — Mam już dość. Sądziłem, że udało mi się wreszcie znaleźć genialne rozwiązanie. Wydawało się całkiem sensowne, a jednak gołym okiem widać, że cały ten miot wykazuje te same anomalie sercowo-płucne, co ostatnia grupa.

— Ale przynajmniej potrafimy już skutecznie doprowadzać do donoszenia ciąży — zauważył Greg. — Kiedy zaczynaliśmy, za każdym razem kończyło się to poronieniem w pierwszym trymestrze.

Paul westchnął.

— Chcę zobaczyć normalne potomstwo, nie martwe noworodki. Już dawno przestałem uważać sam poród o czasie za sukces.

— Mamy zrobić sekcję zwłok? — zapytała Sheila.

— Myślę, że tak, choćby dla porządku — odparł Paul bez entuzjazmu. — Wiemy, co to za anomalie, bo najwyraźniej są takie same jak ostatnim razem, ale niech zostaną udokumentowane dla potomności. Nas interesuje, jak je wyeliminować, więc znów jesteśmy w punkcie wyjścia.

— Co z jajnikami? — odezwała się Sheila.

— To oczywiste — odparł Paul. — Trzeba to zrobić jak najprędzej, póki one jeszcze żyją. Sekcja zwłok może poczekać. W razie czego, możesz po pobraniu jajników włożyć te stworzenia do chłodni i zrobić sekcję zwłok w dogodnym czasie. Ale kiedy skończysz, spal trupy.

— A łożysko?

— Sfotografujcie je razem z maciorą — powiedział Paul. Szturchnął krwistą masę czubkiem kalosza. — Poza tym trzeba je zbadać. Ono też jest wyraźnie nieprawidłowe.

— Doktorze Saunders — wtrącił się pracownik. — Ten telefon...

— Rany boskie, niech pan przestanie zawracać mi głowę tym telefonem! — wrzasnął Paul. — Jeśli chodzi o te cholerne ciężarówki z paszą, mogą tam tkwić nawet przez całą dobę. Mieli przyjechać wczoraj, nie dzisiaj.

— Nie chodzi o ciężarówki — powiedział pracownik. — Prawdę mówiąc, ciężarówki są już tu, na farmie.

— Co? — ryknął Paul. — Wyraźnie powiedziałem, że nie mogą wjechać, dopóki nie wyrażę zgody, a nie wyraziłem jej.

— Dostali zgodę od doktora Wingate'a — wyjaśnił pracownik. — To właśnie w tej sprawie dzwonili. Doktor Wingate jest w klinice i chce się zobaczyć z panem w monstrem.

Przez chwilę jedynymi dźwiękami w rozległej oborze były rzadkie porykiwania krow, kwiki świń i szczekanie psów. Paul i Sheila spojrzeli po sobie z zaskoczeniem.

— Wiedziałaś, że on wraca? — zapytał wreszcie Paul.

— Pierwsze słyszę — odparła Sheila.

Paul spojrział na Carla.

— Nie patrz na mnie — powiedział anestezjolog. — Ja też nic nie wiedziałem.

Paul wzruszył ramionami.

— Jeszcze jedno wyzwanie, i tyle — stwierdził.

— No więc tak to wygląda, panno Heatherly i panno Marks — powiedziała Helen Masterson, kończąc swój standardowy monolog na temat warunków pracy w Klinice Wingate'a. Ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi odchyliła się na oparcie krzesła. Była krępką kobietą o rumianej, pełnej twarzy, z dołkiem w brodzie i krótką, bezpretensjonalną fryzurą. Gdy się uśmiechała, z oczu zostawały jej same szparki. Joanna i Debo-

rah siedziały przed nią po drugiej stronie zagraconego biurka. — Jeśli warunki, zasady i wynagrodzenie, które przedstawiłam, odpowiadają paniom, Klinika Wingate'a powita was z przyjemnością.

Joanna i Deborah spojrzały po sobie przelotnie i skinęły głowami.

— Mnie się to podoba — powiedziała Deborah.

— Mnie też — przytaknęła Joanna.

— Znakomicie — oświadczyła Helen z uśmiechem, przy którym jej oczy nieomal zniknęły. — Czy macie do mnie jakieś pytania?

— Tak — odparła Joanna. — Chciałybyśmy rozpocząć pracę jak najszybciej. Prawdę mówiąc, liczyłyśmy na to, że zaczniemy już od jutra. Czy to możliwe?

— Byłby z tym kłopot — powiedziała Helen. — Nie mielibyśmy czasu, żeby przeanalizować wasze podania. — Zawahała się przez chwilę. — Myślę jednak, że nie musimy tak sztywno trzymać się reguł, a mówiąc szczerze, rozwijamy się tak szybko, że pomoc zawsze się przyda. Tak więc, jeśli uda nam się jeszcze dziś zorganizować spotkanie z doktorem Saundersem, który chce osobiście rozmawiać ze wszystkimi nowymi pracownikami, i załatwić sprawy bezpieczeństwa, czemu nie?

— Co to znaczy: załatwić sprawy bezpieczeństwa? — zapytała Joanna. Zerknęła na Deborah.

— W gruncie rzeczy chodzi po prostu o wyrobienie wam kart magnetycznych — wyjaśniła Helen. — Taka karta pozwala wam otwierać bramę wjazdową i zalogować się do sieci na waszej stacji roboczej. Może oczywiście pełnić też więcej funkcji, zależnie od tego, jak jest zaprogramowana.

Na wzmiankę o sieci Joanna uniosła brwi. Kadrowa nie zwróciła uwagi na tę reakcję, ale dostrzegła ją Deborah.

— Interesuje mnie konfiguracja waszej sieci — oświadczyła Joanna. — Ponieważ, jak przypuszczam, moja praca będzie polegać głównie na przetwarzaniu tekstu, chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Na przykład domyślam się, że wasz system ma wiele poziomów autoryzacji.

— Nie jestem ekspertem, jeśli chodzi o komputery — stwierdziła Helen z nerwowym śmiechem. — Po konkretne odpowiedzi będę musiała panią odesłać do naszego administratora sieci, Randy'ego Portera. Ale jeśli dobrze rozumiem pani pytanie, odpowiedź bez wątpienia brzmi: tak. Nasza sieć lokalna jest skonfigurowana w ten sposób, że rozpoznaje różne grupy użytkowników, z których każda ma odrębnie zdefiniowane prawa dostępu. Ale proszę się nie martwić. Z całą pewnością obie otrzymacie uprawnienia odpowiednie do zakresu waszych obowiązków, jeśli to właśnie panią interesuje.

Joanna skinęła głową i potwierdziła.

— Interesuje mnie to, tym bardziej, że sądząc z opisu, system jest dość skomplikowany. Czy mogłabym zobaczyć, jak wygląda wasz sprzęt? Przypuszczam, że to dałoby mi lepsze pojęcie, czego oczekiwać.

— Nie widzę przeszkód — odparła Helen. — Jeszcze jakieś pytania?

— Ja mam pytanie — odezwała się Deborah. — Przy bramie wjazdowej spotkałyśmy przypadkowo doktora Wingate'a. Powiedział, że skontaktuje się z panią w naszej sprawie. Czy to zrobił?

— Tak, zrobił to — przyznała kadrowa. — Czym zresztą bardzo mnie zaskoczył. Po tej rozmowie mam zaprowadzić was do jego gabinetu. Jakies inne pytania?

Joanna i Deborah spojrzały na siebie nawzajem, po czym pokręciły głowami.

— W takim razie ja zadam parę pytań — oświadczyła Helen. — Wiem, że macie zamiar dojeżdżać z Bostonu, ale chciałabym, żebyście pomyślały o bardzo przyjemnych mieszkaniach, które mamy na terenie kliniki. Zachęcamy nasz personel do korzystania z nich, ponieważ wolimy, żeby nasi pracownicy mieszkali na miejscu. Czy miałybyście ochotę je obejrzeć? Podjedziemy tam wózkiem akumulatorowym, więc zajmie to zaledwie parę minut.

Joanna zaczęła się wykręcać, lecz Deborah zagłuszyła ją. Z przyjemnością obejrzą te mieszkania, oświadczyła, o ile tylko czas na to pozwoli.

— Cóż, pozostaje mi jeszcze jedno, ostateczne pytanie — powiedziała Helen. Spojrzała na Deborah. — Nie wiem, jak to wyrazić, panno Marks, ale czy zawsze ubiera się pani tak... tak efektownie?

Joanna stłumiła chichot, gdy Deborah, zacinając się, tłumaczyła się ze swojego wyglądu.

— Cóż, proponuję, żeby stonowała pani co nieco swój styl — odparła dyplomatycznie kadrowa. — Jesteśmy w końcu placówką medyczną. — Nie czekając na odpowiedź dziewczyny, podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer wewnętrzny. Rozmowa, która nastąpiła potem, była krótka. Helen zapytała po prostu, czy „Napoleon” jest u siebie, przez chwilę słuchała, kiwając głową, po czym oświadczyła, że już idzie z dwiema nowymi kandydatkami.

Wstała z krzesła, a dziewczyny poszły w jej ślady. Teraz mogły się rozejrzeć ponad górną krawędzią przepierzeń, dzielących niegdysiejszą wielką i wysoką salę szpitalną na oddzielne stanowiska pracy. Znajdowały się w części biurowej, zlokalizowanej na pierwszym piętrze, i tu właśnie została przydzielona do pracy Joanna. Okna tych przegródek, które były w nie wyposażone, wychodziły na front budynku, zapewniając imponujący widok na zachód. W labiryncie stanowisk widać było zaledwie kilka głów. Sprawiało to wrażenie, jakby niemal wszyscy wyszli właśnie na przerwę śniadaniową.

— Chodźcie ze mną — powiedziała Helen, wychodząc ze swojej kabinki. Ruszyła korytarzem między przepierzeniami, rzucając jednocześnie przez ramię: — Musicie spotkać się z doktorem Saundersem. To tylko formalność, ale powinniśmy uzyskać jego aprobatę, zanim przejdziemy do dalszych działań.



— Pamiętasz, kim on jest, prawda? — szepnęła Joanna do przyjaciółki. Dziewczyny trzymały się kilka kroków za kadrową. Helen kierowała się w stronę korytarza, oddzielającego strefę biurową od laboratorium znajdującego się po wschodniej stronie skrzydła.

— Oczywiście, że pamiętam — odparła Deborah. — To będzie pierwsza próba ogniowa naszego przedsięwzięcia.

— Ja się nim nie przejmuję — stwierdziła Joanna. — Bardziej martwi mnie doktor Donaldson. Doktor Saunders nie przyglądał mi się na tyle długo, żeby mnie zapamiętać. W każdym razie nie wtedy, kiedy byłam przytomna.

— Na mnie patrzył wystarczająco długo — oświadczyła Deborah — i jak już ci mówiłam, nie był z tego powodu szczęśliwy.

Helen zatrzymała się nagle przy drzwiach z tabliczką WSTĘP WZBRONIONY. Zapukawszy, mruknęła niespodziewanie:

— Czemu nie?

Otworzyła drzwi, które okazały się zamknięte jedynie na klamkę, i wkroczyła do środka. Dziewczyny podążyły za nią. Znalazły się w długim na sześć metrów korytarzyku, kończącym się następnymi drzwiami, tym razem bez żadnej wywieszki. Helen szarpnęła je na próbę. Gdy drzwi nie ustąpiły, wyciągnęła portmonetkę i wyjęła z niej niebieską plastikową kartę, podobną do tej, której Spencer użył do otwarcia bramy wjazdowej. Obróciwszy ją paskiem magnetycznym we właściwą stronę, energicznym ruchem przesunęła ją przez szczelinę zamontowanego na ścianie czytnika. Rozległo się ciche szcęknięcie. Gdy ponownie napała na drzwi, te otworzyły się.

Helen pchnięciem rozwarła drzwi na oścież i odsunęła się na bok. Spojrzała na Joannę.

— W tym pomieszczeniu znajduje się nasz serwer. Oto nasz sprzęt. Więcej niestety nie umiem pani powiedzieć.

Joanna omiotła wzrokiem pozbawione okien pomieszczenie. Podłoga była tu podwyższona o dwadzieścia centymetrów, aby ukryć płataninę przewodów. Pod ścianą stały cztery potężne jednostki centralne w pionowych obudowach oraz mały regał, wypełniony podręcznikami i instrukcjami obsługi. A co najważniejsze, znajdowała się tu konsola serwera, z klawiaturą, myszką i monitorem, wyświetlającym w tej chwili aktywny wygaszacz ekranu. Złote płaszczki i niebieskoszare rekiny pływały bez końca z jednej strony w drugą. Przed konsolą samotnie stał ergonomiczny fotel obrotowy. Był pusty.

— To imponujące — oświadczyła Joanna.

— Dobrze wiedzieć — przyznała Helen. — Napatrzyła się już pani?

Joanna skinęła głową.

— Czy moja karta zapewni mi dostęp do tego pomieszczenia? — zapytała.

Helen spojrzała na nią, jak gdyby dziewczyna palnęła coś niewiarygodnie głupiego.

— Oczywiście, że nie! Prawo wstępu do takich miejsc jak to mają jedynie kierownicy działów. Swoją drogą, po co w ogóle chciałyby pani tu wchodzić?

Joanna wzruszyła ramionami.

— Tylko w przypadku, gdybym trafiła na problem, którego nie byłabym w stanie skorygować z poziomu mojej stacji roboczej — wyjaśniła.

— Przy tego rodzaju problemach będzie pani musiała zwrócić się do Randy'ego Portera, o ile zdoła go pani odnaleźć. Muszę przyznać, że jeśli nie siedzi akurat w swojej przegródce, bywa dość nieuchwytny.

Helen zamknęła drzwi, które zatrzęsnęły się z donośnym szczęknięciem.

— Ruszajmy na spotkanie z naszym nieustraszonym przywódcą — oświadczyła, wracając na główny korytarz. Przyspieszyła kroku, jak gdyby krótka wizyta w pomieszczeniu z serwerem groziła im poważnym spóźnieniem. Dziewczyny musiały pędzić, by za nią nadążyć. Obcasy Deborah stuknęły o lastrykową podłogę niczym seria z karabinu maszynowego. Echo odbite od sklepionego sufitu potęgowało ów odgłos.

— Co o tym sądzisz? — szepnęła Deborah między jednym oddechem a drugim.

— Jeśli nie uda nam się w inny sposób dostać do naszych plików, będę musiała wejść do tego pomieszczenia na jakieś dziesięć czy piętnaście minut.

— Co oznacza, że będziemy potrzebowały niebieskiej karty, która otworzy drzwi. Nasze najwyraźniej nie będą się do tego nadawały. Jak z tego wybrniemy?

— Trzeba będzie użyć sprytu — stwierdziła Joanna.

— Przepraszam, że tak was popędzam — zawołała Helen, przytrzymując skrzydło ciężkich drzwi pożarowych, oddzielających południowe skrzydło budynku od centralnej wieży. — Doktora Saundersa trudno jest czasem przyszpilić. Jeśli wyjdzie z gabinetu przed naszym przyjściem, możemy mieć kłopot ze znalezieniem go, a jeżeli nie uda się wam dzisiaj z nim spotkać, nie zaczniecie pracy od jutra.

Puściła drzwi, gdy tylko dziewczyny przeszły na drugą stronę. Nagle znalazły się w zupełnie odmiennym otoczeniu. Zamiast lastryka była tu dębowa podłoga, a zamiast kafelków, tynku czy wręcz gołej cegły mahoniowa boazeria na ścianach. Nie brakowało nawet wyścielającego długi korytarz wytartego orientального chodnika.

— Chodźcie! — ponagliła Helen. Poprowadziła dziewczyny korytarzem do przed-sionka prywatnych gabinetów szefostwa. Za biurkiem sekretarki znajdowało się dwoje drzwi: jedno zamknięte, drugie uchylone. Umebłowanie stanowiło kilka kanap i niski stolik.

— Nie mów mi, że doktor Saunders zdążył uciec — zwróciła się Helen do sekretarki.

— Jeszcze jest — odparła kobieta, wskazując przez ramię na zamknięte drzwi. — Ale jest teraz zajęty.

Helen ze zrozumieniem skinęła głową. Wiedziała dobrze, czyj gabinet mieści się za zamkniętymi drzwiami. Zniżając głos, powiedziała:

— Byłam wstrząśnięta, kiedy się dowiedziałam, że przyjechał doktor Wingate.

— Nie ty jedna — odpowiedziała szeptem sekretarka. — Nikt się tego nie spodziewał. Przyleciał dziś rano bez uprzedzenia. Jak się pewnie domyślasz, jest niezła awantura.

Helen ponownie skinęła głową. Wzruszyła ramionami.

— Ciekawe, co z tego wyniknie.

— Właśnie — przytaknęła sekretarka. — Tak czy inaczej, doktor Saunders na pewno zaraz wyjdzie. Rozgoście się. — Uśmiechnęła się miło do Joanny i Deborah.

Zaledwie dziewczyny i kadrowa zdążyły usiąść, zamknięte drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając o blokadę i w progu ukazała się niska postać Paula Saundersa. Lekarz stał tyłem, zwrócony ku wnętrzu gabinetu Spencera. Twarz miał zaczerwienioną, a dłonie kurczowo zaciśnięte w pięści.

— Nie mogę tkwić tu i dyskutować przez cały dzień — wyrzucił nerwowo. — Ty może nie masz nic innego do roboty, ale ja mam własne obowiązki i pacjentów, którzy czekają na wizytę.

Spencer zmaterializował się przed nim, zmuszając go do cofnięcia się o krok w stronę sekretariatu. Był niemal o głowę wyższy, a jego opalona cera sprawiała, że Paul wyglądał na jeszcze bledszego niż zwykle. Oczy płonęły mu równie mocno jak oczy jego podwładnego.

— Wybaczam tę impertynencję jako efekt chwilowego wzburzenia — warknął.

— To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, zważywszy, że mówię prawdę.

— Odpowiadam finansowo wobec kliniki oraz jej udziałowców — wycedził Spencer. — I przyjmij do wiadomości, że zamierzam się z tego obowiązku wywiązać. Klinika Wingate'a jest przede wszystkim placówką medyczną, jak była nią od początku swojego istnienia. Nasze prace badawcze mają wspomagać działalność kliniczną, nie odwrotnie.

— To luddyzm w najczystszej postaci — odparł Paul. — Badania są inwestycją przyszłościową: doraźne poświęcenie w imię długofalowych korzyści. Mamy szansę odegrać kluczową rolę w pracach nad komórkami macierzystymi, które będą być może stanowiły podstawę medycyny dwudziestego pierwszego wieku, ale w tym celu musimy się pogodzić z chwilową utratą części zysków i zdobyć się na pewne ryzyko.

— Wrócimy do tej dyskusji, kiedy będziesz mniej zajęty — oświadczył stanowczo Spencer. — Proszę zgłosić się do mnie po ostatnim pacjencie! — Z tymi słowami wycofał się do gabinetu, uchwycił skraj drzwi i zatrzęsął je z donośnym hukiem.

Paul jeszcze raz cofnął się o krok, jakby pchnięty podmuchem zamykanych gwałtownie drzwi. Kipiąc z wściekłości, że go odprawiono, kiedy zamierzał sam oddalić się z godnością, obrócił się na pięcie i ruszył w stronę własnego gabinetu, lecz nagle zorien-

tował się, że ma widownię. Jego głowa obróciła się wkoło urywanym ruchem niczym wieżyczka na okręcie wojennym, a oczy niby lufy armatnie przesuwwały się od osoby do osoby. Zatrzymały się na Deborah. Twarz Paula złagodniała.

— Pani Masterson przyprowadziła nowe kandydatki — oznajmiła sekretarka.

— Właśnie widzę — odparł Paul. Jego zaciśnięte kurczowo dłonie rozluźniły się. Nie odrywając wzroku od niebotycznych obcasów, kusej spódniczki i głębokiego dekoltu Deborah, zapraszającym gestem wskazał uchylone drzwi. — Wejdźcie, wejdźcie! — powiedział. — Gładys, zaproponowałaś naszym gościom coś do picia?

— Nie przyszło mi to do głowy — przyznała sekretarka, marszcząc brwi.

— Musimy to naprawić — stwierdził Paul. — Co powiecie na kawę albo jakiś sok?

— Ja dziękuję — odparła Deborah, niezdarnie podnosząc się na nogi. W butach na szpilkach nie było to łatwe, gdyż kanapa, na której siedziała, była wyjątkowo głęboka. Dostrzegłszy jej kłopoty, Paul rzucił się na pomoc, nim jednak ominął biurko Gładys, Deborah udało się wstać o własnych siłach. Obciągnęła w dół swą krótką sukienkę, obniżając przy tym już i tak głęboki dekolt.

Paul spojrział na Joannę.

— Ja też dziękuję — odparła dziewczyna. Poczuli się jak uboga krewna, gdy Paul ponownie skupił całą uwagę na Deborah, a potem z galanterią poprowadził ją do swego gabinetu. Joanna i Helen ruszyły za nimi.

Paul przysunął trzecie krzesło do dwóch, które wcześniej już stały przed jego biurkiem, i gestem zaprosił kobiety, by usiadły, po czym sam usadowił się naprzeciwko. Helen przedstawiła dziewczyny, wymieniając ich przybrane nazwiska oraz wspominając o studiach na Harvardzie i działach, w których miały nadzieję pracować.

— Świetnie — oświadczył Paul z szerokim uśmiechem, który ukazał jego drobne, kwadratowe, szeroko rozstawione zęby, harmonizujące z szerokim, perkatym nosem. — Cholernie świetnie, jak mawiają w starej dobrej Anglii. — Roześmiał się. Nie odrywając oczu od Deborah, dodał: — Wygląda na to, panno Masterson, że znalazła pani dla nas następne znakomite kandydatki do pracy. Trzeba pani pogratulować.

— Więc możemy przejść do dalszych formalności? — zapytała Helen.

— Oczywiście! Jak najbardziej!

— Panie są zainteresowane rozpoczęciem pracy już od jutra — zaznaczyła Helen.

— To nawet lepiej — odparł Paul. — Takiemu zapałowi należy przyklasnąć, bo strasznie potrzeba nam rąk do pracy, szczególnie w laboratorium. Powitamy panią z otwartymi ramionami, panno Marks!

— Dziękuję — powiedziała Deborah, nieco skrępowana zainteresowaniem, jakim obdarzano ją kosztem Joanny. — Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę pracować na tym wspaniałym sprzęcie. — Ledwie wypowiedziała te słowa, poczuła, jak jej tętno przy-

spiesza, a twarz oblewa się rumieńcem. Poniewczasie zreflektowała się, że podczas tej wizyty nie miała jeszcze okazji obejrzeć laboratorium. Na szczęście wyglądało na to, że jedyną osobą, która dostrzegła ten lapsus, była Joanna. Paul kontynuował rozmowę, jak gdyby nigdy nic.

— Proszę pozwolić, że zapytam o pani doświadczenie laboratoryjne, panno Marks — powiedział. — Czy kiedykolwiek przeprowadzała pani transfer jądrowy?

— Nie — wyjąkała Deborah. — Ale z pewnością potrafię się tego nauczyć.

— U nas dokonuje się wiele transferów — oświadczył Paul. — To integralna część naszych prac badawczych. Ponieważ spędzam wiele czasu w laboratorium, z przyjemnością osobiście pokażę pani, na czym to polega.

— Przekona się pan, że jestem chętną i, mam nadzieję, pojętną uczennicą — odparła Deborah, odzyskując pewność siebie. Kątem oka dostrzegła, że Joanna przewraca oczami.

— No cóż — odezwała się Helen, gdy w pokoju na chwilę zapadła cisza. Podniosła się z krzesła. — Jeśli chcemy mieć jutro pannę Heatherly i pannę Marks w pracy, lepiej zabierzmy się do dzieła.

Dziewczyny wstały. Paul zrobił to samo.

— Przepraszam za tę wymianę zdań, na którą niechcący trafiłyście — powiedział. — Mamy od czasu do czasu drobne nieporozumienia z założycielem kliniki, ale dotyczą one bardziej stylu pracy niż istoty rzeczy. Mam nadzieję, że ten mały epizod nie przedstawił wam naszej instytucji w niekorzystnym świetle.

Pięć minut później Helen z powrotem prowadziła swe podopieczne przez drzwi pożarowe do południowego skrzydła budynku.

— Rozumiem, że doktor Wingate nie odwiedza kliniki zbyt często — odezwała się Joanna.

— Nie przez ostatnie półtora roku — odparła Helen. — Wszyscy myśleliśmy, że na stałe wycofał się z interesu i mieszka na Florydzie.

— Czy między nim a doktorem Saundersem coś się nie układa? — zapytała Deborah.

— Nic mi o tym nie wiadomo — stwierdziła wymijająco Helen. Tak jak poprzednio, gdy tylko znalazła się w długim jak boisko futbolowe korytarzu południowego skrzydła, przyspieszyła kroku. Dziewczyny, głównie z powodu wysokich obcasów Deborah, pozostały w tyle.

— Dziwna to była rozmowa — powiedziała Joanna ściszym głosem. — Ten facet jest szurnięty, co zresztą wiedziałyśmy już wcześniej.

— W każdym razie nie poznał nas.

— To prawda, ale dziękuję ci pięknie.

— Co to ma znaczyć? — szepnęła ostro Deborah między jednym oddechem a drugim.

— Uważam, że nie powinnaś tak podrywać mężczyzn.  
— Spadaj! Nikogo nie podrywam. To oni mnie podrywają!  
— Nie powiem, żeby to pomagało naszej sprawie. To miała być szybka, potajemna operacja, a nie cyrk.  
— Jesteś po prostu zazdrosna.  
— Akurat. Nie zależy mi, żeby faceci gapili się na mnie w taki sposób.  
— Powiem ci, czego to moim zdaniem dowodzi — oświadczyła Deborah, ale nie dokończyła swej myśli.  
— No powiedz — po chwili milczenia poprosiła Joanna żartobliwie błagalnym tonem.

— My, blondynki, mamy o wiele przyjemniejsze życie!  
Joanna na niby zamachnęła się na przyjaciółkę, ale ta uchyliła się przed ciosem. Obie parsknęły śmiechem. W głębi korytarza spostrzegły Helen stojącą w drzwiach i oglądającą się na nie ze zniecierpliwieniem.

— Co myślisz o tej drobnej utarczce słownej między dwoma szefami? — zapytała Deborah, gdy wciąż jeszcze były zbyt daleko, by kadrowa mogła je usłyszeć.

— Najwyraźniej układy w kierownictwie przedstawiają się tu dość ciekawie — stwierdziła Joanna. — Zauważyłam, jak Helen w rozmowie przez telefon określiła doktora Saundersa jako „Napoleona”, a potem, przy nas, nazwała go „naszym nieustraszoną przywódcą”. To nie świadczy o zbyt niskim szacunku.

— To prawda — przyznała Deborah. — Nie wierzę też w jej zapewnienia, że nic nie wie o jakichkolwiek konfliktach między nimi dwoma.

— Cóż, to nie nasz problem.

— I całe szczęście — zgodziła się Deborah.

Następną formalnością, jaka czekała dziewczyny, była wizyta w dziale ochrony. Wbrew wcześniejszym obawom Joanny, procedura była prosta. Zaprowadzono je do jednej z kabin w części biurowej, gdzie siedział pracownik ubrany w taki sam mundur jak strażnik przy bramie wjazdowej. Zrobił dziewczynom zdjęcia polaroidem, po czym sporządził laminowane identyfikatory, które kazał im nosić na ubraniu przez cały czas, kiedy będą na terenie kliniki.

Teraz przysła kolej na niebieskie karty magnetyczne. Strażnik przygotował je, wprowadzając do wyświetlonego na monitorze jego stacji roboczej formularza ustalony na podstawie dostarczonych przez Helen materiałów zakres uprawnień. Trwało to dość długo, gdyż posługiwał się przy tym tylko dwoma palcami. Kiedy skończył, karty wyskoczyły automatycznie. Strażnik wręczył je dziewczynom, przestrzegając, by obchodziły się z nimi ostrożnie.

Następny etap stanowiło przydzielenie dostępu do komputera. To wymagało przejścia do innej kabinki, gdzie dziewczyny zostały przedstawione Randy’emu Porterowi. Jak stwierdziła Helen, miały szczęście, że zastały go u siebie. Randy był drobnym, ru-



dawym blondynem o wyglądzie nastolatka. Wyjaśnił dziewczynom, że kiedy usiądą po raz pierwszy przy swoich stacjach roboczych i przesuną niebieską kartę przez szczeplinę w górnej części klawiatury, na ekranie pojawi się okienko z prośbą o podanie hasła. Wytłumaczył, że powinny wtedy wybrać opcję NOWE, po czym wpisać słowo, które będzie znane tylko im samym i które zdołają zapamiętać.

— Czy hasło powinno mieć określoną liczbę liter lub cyfr? — zapytała Joanna.

— To zależy od was — odparł Randy. — Ale najlepiej, żeby liczyło co najmniej sześć znaków alfanumerycznych. Najważniejsze, żeby było to coś, co zapamiętacie, bo jeśli zapomnicie swego hasła, będziecie musiały przyjść do mnie, a to może zająć trochę czasu.

Helen zaśmiała się na potwierdzenie tych słów.

— Jakies inne pytania? — zapytał Randy.

— Jaki to system? — zainteresowała się Joanna.

— Systemem operacyjnym jest Windows 2000 Data Center Server.

— A sprzęt?

— Serwer IBM xSeries 430 z zaporą Shiva — odparł Randy. — O to właśnie pani chodzi?

— Dziękuję — powiedziała po prostu Joanna.

— Dla mnie to wszystko chińszczyzna — stwierdziła Helen. — Czy to już wszystko?

— Z mojej strony tak — przyznał Randy. — Chyba że są jeszcze jakies pytania.

Gdy opuściły kabinę administratora sieci, Helen zerknęła na zegarek. Dochodziła pierwsza. Kadrowa przystanęła w przejściu.

— Chciałabym przedstawić was waszym przyszłym szefowym — powiedziała. — Ale jest właśnie pora lunchu. Jeśli można, zapraszam was do naszej stołówki. Sądząc z reakcji doktora Saundersa, jestem pewna, że nie chciałby, żebyście były głodne.

Joanna zaczęła się wymawiać, ale Deborah jej przerwała.

— Znakomity pomysł — oświadczyła.

— Cieszę się — odparła Helen. — Przyznam się, że umieram z głodu.

Stołówka mieściła się na pierwszym piętrze niskiego, biegnącego łukiem pawilonu, dobudowanego na tyłach centralnej części budynku. Helen poprowadziła dziewczyny z powrotem tą samą drogą, którą wcześniej szły do gabinetu Saundersa, ale za drzwiami pożarowymi skręciła nie w lewo, lecz w prawo.

— Do licha! Dlaczego zgodziłaś się na ten lunch? — szepnęła Joanna do przyjaciółki, gdy tylko uznała, iż kadrowa wysforowała się do przodu na tyle, że nie dosłyszcy ich rozmowy.

— Dlatego że jestem głodna — odparła nonszalancko Deborah.

— Im dłużej kręcimy się tu dzisiaj, tym większe jest ryzyko, że zostaniemy rozpoznane.

— Nie jestem tego aż tak pewna — stwierdziła Deborah. — Poza tym, im lepiej poznamy to miejsce, tym większe będziemy miały szansę powodzenia, kiedy jutro na serio zabierzemy się do roboty.

— Wolałabym, żebyś traktowała to poważniej.

— Traktuję to poważnie! — wypaliła Deborah.

Joanna kazała jej być cicho. Helen, która przystanęła w oczekiwaniu na nie, była już niedaleko.

Stołówka była półkolistym pomieszczeniem z oknami wychodzącymi na tył budynku. Opadający ku wschodowi teren zapewniał rozległy widok. Deborah przypomniawszy sobie, że podobna panorama roztaczała się z laboratorium, choć tam, z powodu mniejszych okien, efekt nie był aż tak imponujący. Spoza okrytych pąkami drzew sterczały szczyty dachów i kominy budynków mieszkalnych, a dalej znacznie potężniejszy komin kotłowni. Między kotłownią a zabudowaniami osiedla prześwitywał czerwony wierzchołek silosu.

Helen zatrzymała dziewczyny na progu i rozejrzała się po jedzących, najwyraźniej kogoś wypatrując. Sala była ogromna i jak reszta budynku upiękuszona mnóstwem wiktoriańskich ozdóbek, wliczając w to wiszący pod sufitem, stylowy, kryształowy żyrandol. Zważywszy jej rozmiary, nie była zbyt zatłoczona. Przy luźno rozstawionych stołach siedziało zaledwie trzydzieści, może czterdzieści osób. Ich głosy zlewały się w cichy pomruk.

Joanna zeszywniała, dostrzegając za jednym ze stołów doktor Donaldson w towarzystwie pięciu innych, wyglądających na pracowników osób. Odwracając się plecami w tamtą stronę, złapała przyjaciółkę za ramię i wykonała ruch głową. Deborah natychmiast zrozumiała, o co chodzi.

— Wyluzuj się, na miłość boską! — powiedziała. Paranoja Joanny zaczynała działać jej na nerwy.

— Coś nie tak? — zapytała Helen.

— Nie, nic — odparła z niewinną miną Joanna. Spojrzała wściekle na Deborah.

— Ach, są tam — powiedziała Helen, wskazując na prawo. — To Megan Finnigan, szefowa laboratorium, i Christine Parham, kierowniczka biura. Dobrze się składa, że siedzą przy jednym stole. Chodźmy, przedstawię was!

Joanna skuliła się i starając się zwracać wciąż plecami do doktor Donaldson, ruszyła za Deborah i Helen. Kadrowa prowadziła je ku jednemu ze stolików pod oknem. Ku przerażeniu Joanny, stukot obcasów przyjaciółki na wiekowym parkiecie, w połączeniu z jej wyzywającym strojem, przyciągnął uwagę wszystkich obecnych, z doktor Donaldson włącznie.

Deborah najzupełniej nie przejęła się zamieszaniem, jakie wywoływała. Zaabsorbował ją minięty przez nią przy wejściu stolik, zajęty przez grupę młodych, mówiących po

hiszpańsku kobiet. Ich krępe sylwetki i ciemna karnacja pozwalały się domyślać, że pochodzą z Ameryki Łacińskiej. Deborah zaintrygował jednak fakt, że najwyraźniej wszystkie były w ciąży — i to wszystkie w jednakowo zaawansowanej.

Przedstawiwszy dziewczyny kierowniczkom działów, które skończyły właśnie posiłek i zbierały się do odejścia, Helen zaprowadziła je do oddzielnego stolika. Tam obsłużyła je kelnerka, która podobnie jak kobiety, które Deborah widziała po drodze, wyglądała na Latynoskę. Ona też była w ciąży, równie zaawansowanej jak u tamtych.

Gdy lunch znalazł się na stole, Deborah nie wytrzymała i zagadnęła Helen na ich temat.

— Są z Nikaragui — odparła kadrowa, potwierdzając jej domysły. — To układ, jaki doktor Saunders zawarł z tamtejszym kolegą po fachu. Przyjeżdżają na kilka miesięcy z wizą zezwalającą na pracę, po czym wracają do domów. Muszę przyznać, że rozwiązały dla nas spory problem. Nie byliśmy w stanie znaleźć w tej okolicy pracowników do pomocy w kuchni, podawania posiłków i sprzątanania.

— Przyjeżdżają tu z rodzinami?

— Nie, same. To dla nich szansa na zarobienie poważnych sum, które wysyłają do domu.

— Ale wszystkie wyglądają, jakby były w ciąży — zauważyła Deborah. — To jakiś zbieg okoliczności?

— Ależ skąd — odparła Helen. — W ten sposób zarabiają dodatkowe pieniądze. Ale słuchajcie, jedzcie! Naprawdę chciałabym pokazać wam nasze osiedle dla pracowników. Mam nadzieję, że uda mi się nakłonić was do zamieszkania tu, na miejscu. Opłaty z pewnością przypadną wam do gustu. Są zabójczo rozsądne, zwłaszcza w porównaniu z czynszami w Bostonie.

Deborah zerknęła na przyjaciółkę, by przekonać się, czy dotarła do niej ta wymiana zdań. Przez większą część posiłku Joanna była zbyt przejęta obecnością doktor Donaldson i domniemaną koniecznością ukrywania twarzy przed lekarką, by zwracać uwagę na cokolwiek innego, ale teraz doktor Donaldson wyszła już i Deborah bez trudu odgadła, że przyjaciółka słyszała, co Helen mówiła na temat Nikaraguanek. Joanna odwzajemniła jej spojrzenie wzrokiem, w którym malowały się odraza i niedowierzenie.

## Rozdział 10

9 maja 2001

14.10

Po lunchu, mimo oporów Joanny, Helen Masterson udało się namówić dziewczyny na przejażdżkę. Gdy były już w drodze, nawet Joanna nie żałowała tej decyzji. Rozmiary posiadłości były imponujące, a większą jej część pokrywał gęsty, stary las. Rezydencje przedstawicieli wyższego szczebla, jak Wingate, Saunders, Donaldson i parę innych osób, były wolno stojącymi domami podobnymi w stylu do wartowni, chociaż białe, a nie czarne, zdobienia nadawały im znacznie przyjemniejszy wygląd.

Osiedle zwykłych pracowników też okazało się urocze. Piętrowe szeregowce tworzyły układ przywodzący na myśl typową angielską wioskę. Dwupokojowy moduł, który Helen pokazała dziewczynom, był całkiem przytulny. Jego frontowe okna wychodziły na mały, brukowany plac, a tylne, większe, zwrócone były na południe, co zapewniało widok na staw młyński. Równie atrakcyjny był czynsz: osiemset dolarów miesięcznie.

Na usilne prośby Deborah, po obejrzeniu mieszkania, Helen zrobiła krótki objazd wokół farmy, zahaczając także o kotłownię, nim wreszcie wróciła do głównego gmachu kliniki. Jedyną ujemną stroną wycieczki było to, że dziewczyny przez cały czas znajdowały się w zasięgu słuchu kadrowej i nie miały szans porozmawiać ze sobą. Dopiero gdy Helen zostawiła je w przedsionku dyrektorskich gabinetów, gdzie miały czekać na doktora Wingate'a, mogły wreszcie podzielić się spostrzeżeniami.

— Co sądzisz na temat tych ciężarnych pracownic w stołówce? — zapytała Deborah szeptem, tak by nie słyszała tego sekretarka.

— Aż mnie zatkało — odparła Joanna. — Nie mogę uwierzyć, że mają całą grupę emigrantek, którym płacą za to, żeby zaszły w ciążę!

— Myślisz, że to jakiś eksperyment?

— Bóg raczy wiedzieć — stwierdziła Joanna, wzdrygając się.

— Pytanie brzmi: co robią z dziećmi?

— Mam nadzieję, że odsyłają je razem z matkami do Nikaragui — odparła Joanna.

— Nie chcę nawet myśleć o jakiegokolwiek innej możliwości.

— Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to to, że oni je sprzedają — stwierdziła Deborah. — Cięższe zastępcze wydają mi się niezbyt prawdopodobne, bo wszystkie są jednakowo zaawansowane. Handel dziećmi mógłby być całkiem lukratywnym inte-

resem na boku. Jako klinika niepłodności z pewnością mają odpowiednią klientelę, a kiedy byliśmy tu półtora roku temu, sama stwierdziłaś, że zgarniają niewiarygodne pieniądze.

— Zgarniają niewiarygodne pieniądze na leczeniu bezpłodności — odparła Joanna. — Przy kwotach, jakie wchodzi przy tym w grę, nie muszą zajmować się handlem dziećmi, żeby związać koniec z końcem. To się nie trzyma kupy! Sprzedawanie dzieci jest sprzeczne z prawem, koniec, kropka, a Helen Masterson wspomniała o tym zupełnie otwarcie. Gdyby chodziło o jakąś nielegalną działalność, na pewno nie byłyby tak szczerą.

— Chyba masz rację — przyznała Deborah. — Musi być jakieś rozsądne wytłumaczenie. Może te kobiety same cierpią na bezpłodność. Może umożliwienie im zajścia w ciążę jest jednym z warunków umowy, na podstawie której tu przyjeżdżają.

Joanna spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— To jeszcze mniej prawdopodobne niż ciąża zastępcza, i to z tych samych powodów.

— Tak? W porządku, ale nie mam już więcej pomysłów.

— Ja też nie — przyznała Joanna. — Chcę się dowiedzieć czegoś na temat moich komórek jajowych, a potem odwracam się do tej instytucji plecami. To miejsce nie podobało mi się już wtedy, kiedy przyszedliśmy tu na zabieg, a dzisiejszy dzień tylko wzmocnił tamto wrażenie.

Drzwi gabinetu Wingate'a otworzyły się i doktor wszedł do sekretariatu. Na czubku nosa miał okulary do czytania w cieniutkich oprawkach. W dłoni ścisnął zestawienia bilansowe, nie przestając wertować ich aż do chwili, gdy położył je na biurku sekretarki. Nie wyglądał na zadowolonego.

— Proszę zadzwonić do księgowości — mruknął do Gladys. — Proszę powiedzieć im, że chcę przejrzeć wszystkie kwartały ubiegłego roku.

— Dobrze, panie doktorze — odparła Gladys.

Spencer postukał w papiery zgiętym palcem, jak gdyby wciąż rozmyślając nad ich zawartością, nim wreszcie spojrzał w stronę dziewczyn. Zaczerpnął powietrza dla dodania sobie otuchy, po czym ruszył ku nim. Stopniowo wyraz jego twarzy łagodniał i pojawił się na niej niezobowiązujący uśmiech.

— Witam, panno Marks — przemówił, wyciągając rękę do Deborah. Uścisnął jej dłoń i przytrzymał przez chwilę, patrząc dziewczynie w oczy. Potem odwrócił się do Joanny. — Przepraszam, ale nie pamiętam pani nazwiska. Georgina je wymieniła, ale uniknęło mi z pamięci.

— Prudence Heatherly — odparła Joanna. Podając Spencerowi dłoń, przyjrzała się jego twarzy. Deborah miała rację: nie przypominał jej ojca, a jednak podobnie jak on miał w sobie coś pociągającego.

— Przepraszam, że kazałem paniom czekać — powiedział, na powrót kierując całą uwagę ku Deborah.

— Miło było posiedzieć sobie i odpocząć — odparła dziewczyna. Zauważyła, że doktor ma problemy z oderwaniem oczu od jej skrzyżowanych nóg. — Panna Masterson dała nam wycisk.

— Mam nadzieję, że wasza wizyta była udana.

— Jak najbardziej — przyznała Deborah. — Od jutra zaczynamy pracę.

— To wspaniale — oświadczył Spencer. — Naprawdę wspaniale. — Niespokojnie zatarł dłonie, spoglądając to na jedną dziewczynę, to na drugą, jak gdyby musiał podjąć jakąś trudną decyzję. Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw nich. — No cóż — odezwał się. — Czego się napijecie: kawy, herbaty, soku?

— Ja proszę o wodę mineralną — odparła Deborah.

— Ja też — powiedziała niechętnie Joanna. Czuła się jak intruz. Nie była wcale zachwycona zaproszeniem Wingate'a, a teraz, kiedy już tu przyszła, było boleśnie oczywiste, że facet jest zainteresowany wyłącznie Deborah. Sposób, w jaki patrzył na jej przyjaciółkę, przyprawiał ją o mdłości.

Spencer wydał sekretarce odpowiednie polecenia, a gdy wyszła, żeby przynieść wodę, rozpoczął błahą rozmowę na temat kliniki. Sekretarka wróciła z dwiema małymi butelkami San Pellegrino.

— Pan nic nie pije? — zdziwiła się Deborah.

— Nie, w porządku — odparł Spencer. Ale jego zachowanie przeczyło tym słowom. Raz po raz krzyżował i rozkrzyżowywał nogi, gdy dziewczyny nalewały sobie wodę do szklanek. Najwyraźniej coś go dręczyło.

— Czy nie zabieramy panu zbyt wiele czasu? — zapytała Joanna. — Może lepiej pójdziemy już, żeby mógł pan wrócić do pracy.

— Nie, nie odchodźcie — powiedział Spencer. — Czasu mam pod dostatkiem. Chciałbym tylko, panno Marks, porozmawiać z panią na osobności.

Deborah odjęła szklankę od warg i przyjrzała mu się uważnie. Prośba była tak nieoczekiwana, że nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

Spencer wskazał na swój gabinet.

— Byłbym wdzięczny, gdybyśmy mogli tylko wstąpić tam na chwilkę.

Deborah spojrzała na Joannę, ale ta wzruszyła ramionami na znak, że jest jej wszystko jedno, choć widać było, że nie jest zachwycona całą sytuacją.

— W porządku — powiedziała Deborah, odwracając się znów do Spencera. Odstawiła szklankę na stolik i ze stłumionym stęknieniem podniosła się na nogi. Ruszyła za doktorem do gabinetu. Spencer przepuścił ją w drzwiach, po czym zamknął je za sobą.

— Przejdę od razu do rzeczy, panno Marks — oświadczył. Po raz pierwszy oderwał od niej wzrok, gdyż skierował uwagę na widok roztaczający się z olbrzymiego okna. — Zawsze popierałem panujący tu niepisany obyczaj, zabraniający bliższych stosun-



ków towarzyskich między kierownictwem a pracownikami. A ponieważ formalnie będzie pani naszym pracownikiem dopiero od jutra, zastanawiałem się, czy nie poszłaby pani ze mną na kolację dziś wieczorem. — Z tymi słowami odwrócił się od okna i spojrział na nią wyczekująco.

Deborah zaniemówiła. Bawiła ją rola, którą odgrywała, ale nie spodziewała się efektów większych niż przyciągnięcie ponownego spojrzenia. A już z pewnością nie oczekiwała zaproszenia od szefa kliniki — człowieka, który, jak przypuszczała, był żonaty, a w dodatku co najmniej dwa razy od niej starszy.

— Niedaleko za miastem jest niezła restauracja — dodał Spencer, dostrzegając jej wahanie. — Nie wiem, czy miała już pani okazję tam być. Nazywa się Stodoła.

— Z pewnością jest tam uroczo — wyjąkała Deborah, odzyskawszy głos. — I bardzo mi miło, że pomyślał pan o mnie, ale są pewne problemy natury logistycznej. Widzi pan, moja koleżanka i ja nie jesteśmy stąd. Mieszkamy w Bostonie.

— Rozumiem — odparł Spencer. — Cóż, w takim razie może uda mi się namówić panią na wczesną kolację. Wydaje mi się, że otwierają o wpół do szóstej, czyli już niedługo. W ten sposób mogłaby pani wyruszyć do Bostonu już o siódmej czy ósmej.

Deborah odruchowo zerknęła na zegarek. Dochodziła czwarta.

— Nasza mała pogawędka dziś rano sprawiła mi naprawdę wielką przyjemność — dodał zachęcająco Spencer. — Z chęcią porozmawiałbym z panią dłużej i dowiedział się dokładniej, jakie zagadnienia biologii molekularnej szczególnie panią fascynują. To znaczy, wszystko wskazuje na to, że łączą nas wspólne zainteresowania.

„Wspólne zainteresowania, akurat” — prychnęła w duchu Deborah, wpatrując się w niebieskie oczy doktora. Wyczuwała u tego wiodącego udane życie — i dość atrakcyjnego — mężczyzny nieco desperacji. Postanowiła wysondować teren.

— A co powiedziała by na ten pomysł pańska żona?

— Nie mam żony — wyjaśnił Spencer. — Niestety, rozwiedliśmy się parę lat temu. To spadło na mnie tak niespodziewanie. Spoglądając wstecz, myślę, że byłem zbyt oddany swojej pracy i zaniedbywałem rodzinę.

— Przykro mi — stwierdziła Deborah.

— Wszystko w porządku — odparł Spencer, spuszczać wzrok. — Każdy musi dźwigać swój krzyż. Najważniejsze, że pogodziłem się wreszcie z tą sytuacją i mogę znów udzielać się towarzysko, przynajmniej do pewnego stopnia.

— Cóż, pochlebia mi, że pomyślał pan o mnie. Ale przyjechałam do Bookford z koleżanką i mamy tylko jeden samochód.

— Czy ona nie mogłaby się czymś zająć przez te parę godzin?

Deborah nie wierzyła własnym uszom. Czy ten facet naprawdę spodziewał się, że powie swej najlepszej przyjaciółce, by przez dwie godziny kręciła młynka palcami, kiedy oni będą jeść kolację? Było to tak absurdalnie egoistyczne, że przez chwilę nie była w stanie udzielić odpowiedzi.

— Na pewno znajdzie w miasteczku coś dla siebie — dodał Spencer. — Jest tam mały, sympatyczny bar i zaskakująco dobra pizzeria. Powodzeniem cieszy się też kawiarenka w tutejszej księgarni.

Deborah miała już powiedzieć doktorkowi, żeby utopił się w stawie młyńskim, gdy nagle ugryzła się w język. Jak grom z jasnego nieba olśniła ją myśl, że tę nieoczekiwaną sytuację da się obrócić na ich własną korzyść. Zamiast spławić Spencera, powiedziała więc:

— Wie pan, ta propozycja zaczyna mnie bardzo kusić!

Twarz doktora rozpromieniła się.

— Cieszę się. Jestem pewien, że Penelope, czy jak ona tam ma na imię, przyjemnie spędzi czas w miasteczku. Co do pani, nie wątpię, że Stodoła mile panią zaskoczy. Jedzenie jest w wiejskim stylu, ale smaczne, a karta win też wygląda nie najgorzej.

— Ona ma na imię Prudence — sprostowała Deborah. — Układ jest taki, że Prudence idzie do restauracji razem z nami.

Spencer spochmurniał. Zaczął protestować, ale Deborah mu przerwała.

— To miła dziewczyna — powiedziała. — Niech pan nie ocenia jej zbyt pochopnie po wyglądzie. Być może sprawia wrażenie nieco staroświeckiej, ale mówię panu, że po paru drinkach robi się z niej szatan.

— Jestem pewien, że jest urocza — przyznał Spencer. — Ale miałem nadzieję spędzić z panią trochę czasu sam na sam.

— Pewnie pan nie uwierzy — oświadczyła Deborah — ale my dwie często chodzimy razem na randki z jednym facetem, oczywiście jeśli tylko jest to facet o wystarczająco otwartym umyśle. — By zrobić wrażenie zalotnej kokietki, mrugnęła i musnęła górną wargę koniuszkiem języka.

— Naprawdę? — ożywił się Spencer, puszczając wodze fantazji. Nigdy dotąd nie był z dwiema kobietami równocześnie, widywał jednak takie sceny na filmach wideo tylko dla dorosłych.

— Naprawdę! — odparła Deborah, starając się nadać głosowi bardziej ochryple niż normalnie brzmienie.

Spencer uniósł w górę rozpostarte dłonie.

— Ja na pewno mam otwarty umysł! Do dzieła!

— Znakomicie — stwierdziła Deborah. — Spotkamy się w Stodole o wpół do szóstej. I proszę wyświadczyć mi przysługę.

— Oczywiście — odparł Spencer. — Słucham?

— Niech pan nie pracuje zbyt ciężko przez resztę popołudnia. Nie chciałabym, żeby był pan przemęczony.

— Ma pani moje słowo — oświadczył Spencer, unosząc dłonie w geście poddania.

Joanna zatrzasnęła drzwi samochodu i włożyła kluczyk do stacyjki, nie przekręciła go jednak. Z czołem opartym na kierownicy czekała, aż Deborah zajmie miejsce po swojej stronie.

— Powtórz mi to jeszcze raz — wypaliła wreszcie. — Powiedziałaś, że przyjął w imieniu nas obu zaproszenie na kolację od tego obrzydliwego lubieżnika, któremu, jak sama przyznałaś, chodzą po głowie jakieś fantazje seksualne? Powiedz, że po prostu przyśniło mi się to wszystko!

— Nie, to prawda — przyznała Deborah. — Ale zaskakuje mnie twoja opinia na temat naszego doktora. Rano twierdziłaś, że to dystyngowany facet.

— Miałam na myśli jego wygląd, a nie zachowanie. Poza tym to było dziś rano, nie dziś po południu.

— No cóż — stwierdziła Deborah. — Powinnaś była dać mi znać, że tak to przeżywasz, zanim zostałam uprowadzona do jego gabinetu.

Wiedziała, że żartuje sobie z Joanny, ale przyjaciółka nie dała jej szansy wyjaśnienia sytuacji. Ledwie po wyjściu z gabinetu Wingate'a wspomniała o planach na wieczór, Joanna wybuchnęła gniewnym monologiem i nim Deborah zdążyła odezwać się słowem, wypadła jak burza z budynku.

— Ten samochód jedzie prosto do Bostonu — oświadczyła Joanna. — Jeśli chcesz tutaj zostać i iść do łóżka z tym rozpustnikiem, to twoja sprawa, ale osobiście uważam, że ci odbiło.

— Uspokój się wreszcie! — wrzasnęła Deborah.

— Jestem najzupełniej spokojna — odparła Joanna. — No więc, wysiadasz czy nie?

— Zamknij się i słuchaj! — powiedziała ostro Deborah. — Kiedy facet napomknął o kolacji, w pierwszej chwili zareagowałam tak samo jak ty. Ale potem uświadomiłam sobie, że on ma coś, czego potrzebujemy: coś niezwykle istotnego!

Joanna wzięła głęboki oddech, by powstrzymać się przed ponownym zwymyśleniem przyjaciółki. Deborah jak zwykle kazała ciągnąć się za język.

— W porządku — odezwała się po dłuższej chwili Joanna. — Więc cóż on takiego ma?

— Niebieską kartę magnetyczną! — oświadczyła triumfalnie Deborah. — Jako założyciel jest kimś więcej niż kierownikiem działu! Jego karta na pewno otworzy drzwi do pomieszczenia z serwerem i prawdopodobnie każde inne drzwi w całym budynku.

Joanna uniosła głowę znad kierownicy. To, co mówiła Deborah, było niewątpliwie prawdą, ale jakie to miało znaczenie? Spojrzała na przyjaciółkę.

— On nie da nam swojej karty tylko dlatego, że idziemy z nim na kolację.

— Oczywiście, że nie — przyznała Deborah. — Same mu ją zabierzemy! Musimy tylko go upić, a kiedy jedna z nas będzie go zabawiać, druga zwędzi kartę.

Z początku Joanna sądziła, że jej przyjaciółka jest po prostu w swym zwykłym wesołym nastroju i za chwilę się roześmieje, obracając wszystko w żart. Ale tak się nie stało. Deborah odwzajemniła spojrzenie Joanny z wyrazem samozadowolenia na twarzy.

— No, nie wiem — odparła Joanna. — To wydaje się łatwe w planach, ale trudne w realizacji.

— Sama mówiłaś, że aby dostać się do pomieszczenia z serwerem, musimy użyć sprytu — przypomniała jej Deborah. — To jest sprytne.

— Zbyt wiele tu założeń — stwierdziła Joanna. — Skąd wiesz, że on pije? Może jest abstynentem.

— Nie sądzę — odparła Deborah. — Wspominał, że restauracja, w której mamy się z nim spotkać, ma dobry wybór win. Wino i kobiety, oto co najwyraźniej mu się marzy.

— Nie wiem, co o tym myśleć — mruknęła niechętnie Joanna.

— Och, przestań! — zawołała Deborah. — Przyznaj, że to dobry pomysł! Masz jakiś inny plan, jak dostać się do tego pomieszczenia?

— Nie, ale...

— Ale nic — przerwała jej Deborah. — Co mamy do stracenia?

— Naszą godność.

— Och, proszę! Daj sobie spokój!

W tym momencie z budynku wyszły doktor Donaldson i Cynthia Carson. Joanna natychmiast skuliła się na fotelu i kazała przyjaciółce zrobić to samo.

— A teraz o co ci chodzi? — zapytała Deborah, w ślad za Joanną rozplaszczając się poniżej poziomu szyby.

— Doktor Donaldson i Cynthia Carson właśnie wyszły z kliniki — szepnęła Joanna. Mijały minuty. Dziewczyny usłyszały szcęk otwieranych i zatraskiwanych drzwi samochodu, a potem chrobot opon na żwirowej nawierzchni podjazdu. Dopiero wtedy wyprostowały się z powrotem.

— Wynoszę się stąd — oświadczyła Joanna, upewniwszy się najpierw, że droga jest wolna. Uruchomiła samochód, wrzuciła bieg i wyjechała tyłem z parkingu.

— No i jak? — zapytała Deborah. — Jesteś ze mną, czy nie?

Joanna westchnęła.

— W porządku — powiedziała. — Spróbujemy. Ale żeby zdobyć tę niebieską kartę, trzeba będzie czegoś więcej niż kolacji. Będziemy musiały go skłonić, żeby zabrał nas do siebie.

— Prawdopodobnie tak — przyznała Deborah. — Ale może będziemy miały szczęście.

— Jeśli chodzi o podział pracy, chcę postawić sprawę jasno. Ty zajmiesz się zabawianiem, a ja wydobyciem.

— Myślę, że będziemy musiały trochę improwizować. Jak już mówiłam, on oczekuje czegoś w rodzaju trójkąta.

— Rany boskie! — wykrzyknęła Joanna, podjeżdżając powoli do bramy, by ją otworono. — Nikt z moich dawnych znajomych w Houston by w to nie uwierzył!

Dziewczyny pojechały do miasta i ponownie wstąpiły do drogerii RiteSmart, by zapytać o drogę do Stodoły. Aptekarz przytył parę kilogramów, był jednak tak samo pogodny, jak półtora rok temu.

— Stodoła jest mniej więcej dwie mile na północ od miasta — wyjaśnił, wskazując gestem Main Street w kierunku, z którego przyjechały. — To dobra restauracja. Polecam duszoną wołowinę z pieczonymi ziemniakami i sernik z sosem czekoladowym.

— Smakowita, lekka kuchnia — zauważyła z przekąsem Joanna, gdy znów znalazły się na ulicy.

Dziewczyny dla zabicia czasu przez pół godziny oglądały wystawy sklepowe, nim wreszcie wsiadły do samochodu i udały się na spotkanie. Restauracja, jak wskazywała nazwa, mieściła się w autentycznej dawnej stodole i jej wystrój utrzymany był w wiejskim stylu. Wokół budynku i na jego zewnętrznych ścianach zgromadzono liczną kolekcję staroświeckich narzędzi rolniczych. W środku lokalu dawne przegrody dla zwierząt przerobiono na osobne kąciki ze stołami i ławami do siedzenia. Jedyne okna znajdowały się od frontu, co sprawiało, że we wnętrzu panowała mroczna, przytulna atmosfera.

— Panna Marks i panna Heatherly? — zapytała hostessa, nim dziewczyny zdążyły odezwać się słowem. Kiedy potwierdziły, dała im znak, by szły za nią. Ściskając w dłoni kilka kart menu, zaprowadziła je na sam koniec sali. Tam, w ciemnym, oświetlonym przez świece zakątku, siedział Spencer Wingate, wystrojony w marynarkę klubową z apaszką i starannie dobraną chusteczką w kieszonce. Na widok Joanny i Deborah wyskoczył zza stołu, szarmancko pocałował je obie w dłonie, po czym wytwornym gestem zaprosił je, by usiadły. Hostessa położyła przed każdą z dziewczyn menu, uśmiechnęła się i zniknęła.

— Mam nadzieję, że mi wybaczycie — odezwał się Spencer. — Przed waszym przyjściem pozwoliłem sobie zamówić wino. — Wyciągnął rękę i odwrócił etykietkami w ich stronę dwie stojące na stole butelki. — Orzeźwiająca biała i treściwa czerwona! Lubię czerwone, które uderza do głowy. — Parsknął śmiechem.

Deborah mrugnęła do Joanny. Wieczór zapowiadał się dobrze.

— Ale może zamówimy oprócz tego jakiś koktajl? — zaproponował Spencer.

— Nie pijamy zbyt wiele alkoholu — odparła Deborah. — Ale proszę się nami nie przejmować.

— Martini byłoby znakomite na początek — ocenił doktor. — Naprawdę żadna z was nie zechce się do mnie przyłączyć?

Obie dziewczyny odmówiły.

Wieczór przebiegał gładko. Rozmowa toczyła się sama, gdyż Spencer z łatwością dał się nakłonić do mówienia o Spencerze. Zanim podano deser, dziewczyny zdążyły już usłyszeć długą i szczegółową historię kliniki oraz jej sukcesu. Im więcej Spencer mówił, tym częściej sięgał po kieliszek. Jedynym drobnym problemem było to, że nie wykazywał żadnych widocznych oznak wpływu alkoholu, który w siebie wlewał.

— Mam pewne pytanie — odezwała się Deborah, gdy Spencer wreszcie przerwał swój monolog, by zaatakować unurzany w sosie czekoladowym sernik. — O co chodzi z tymi ciężarnymi Nikaraguankami?

— Czyżby niektóre z Nikaraguanek były w ciąży? — zdziwił się Spencer.

— Odniosłyśmy wrażenie, że wszystkie — odparła Deborah. — I wszystkie mniej więcej w tym samym stadium, jak gdyby zaszły w ciążę przez jakąś roznoszona w powietrzu infekcję.

Spencer roześmiał się.

— Ciąża przez infekcję! To dobre! Ale wcale nie dalekie od prawdy. Zapłodnienie nie jest w końcu niczym innym, jak inwazją paru milionów mikroorganizmów. — Roześmiał się znów ze swojego dowcipu.

— Chce pan powiedzieć, że nic panu nie wiadomo o ich stanie? — zapytała Deborah.

— Nie mam o niczym pojęcia — zapewnił ją Spencer. — To, co te panie robią w swoim wolnym czasie, jest ich prywatną sprawą.

— Pytam dlatego — wyjaśniła Deborah — że powiedziano nam, iż ciąża jest dla nich sposobem zarobienia dodatkowych pieniędzy.

— Naprawdę? — zdziwił się Spencer. — Kto tak powiedział?

— Pani Masterson — odparła Deborah. — Pytałyśmy ją o to przy lunchu.

— Będę musiał sam ją zapytać — oświadczył Spencer. Na jego twarzy pojawił się przelotny, niepewny uśmiech. — Przez ostatnie dwa lata nie zajmowałem się sprawami kliniki tak aktywnie, jak by należało, są więc pewne kwestie, o których nie mam pojęcia. Oczywiście wiedziałem, że pracują u nas Nikaraguanki. To jest układ, jaki doktor Saunders zawarł z zaprzyjaźnionym lekarzem z Nikaragui, by rozwiązać nasz chroniczny problem z siłą roboczą.

— Jakimi badaniami zajmuje się doktor Saunders? — zainteresowała się Deborah.

— Rozmaitymi — odparł wymijająco Spencer. — To bardzo kreatywny umysł. Leczenie niepłodności jest błyskawicznie rozwijającą się dziedziną, której dokonania już niedługo zrewolucjonizują całą medycynę. Ale słuchajcie! Ta dyskusja robi się o wiele za poważna. — Roześmiał się i po raz pierwszy zakołysał się lekko, nim odzyskał równowagę. — Rozluźnijmy ją. Proponuję, żebyśmy pojechali do mnie i spustoszyli moją piwniczkę z winem. Co panie na to?



— Im szybciej, tym lepiej — oświadczyła Deborah, ukradkiem szturchając przyjaciółkę, zbyt jej zdaniem milczącą i sztywną.

— Myślę, że wino to świetny pomysł — powiedziała Joanna.

Gdy przyniesiono rachunek, dziewczyny z zainteresowaniem przyglądały się, gdzie Spencer trzyma portfel. Obie miały cichą nadzieję, że będzie to kieszeń marynarki. Niestety, ku ich zmartwieniu portfel znajdował się w tylnej kieszeni spodni, gdzie powędrował z powrotem, gdy tylko karta kredytowa wróciła na miejsce.

Kiedy dotarli do przedniej części sali i mieli już opuścić lokal, Spencer przeprosił dziewczyny i udał się do toalety.

— Będziesz musiała użyć sprytu, żeby ściągnąć mu spodnie — szepnęła Joanna.

Stały obok podestu hostessy. Kiedy przybyły, restauracja była prawie pusta, teraz jednak była już wypełniona po brzegi.

— Zdjęcie mu spodni wcale nie będzie wymagało sprytu — odparła również szepem Deborah. — Spryt będzie potrzebny, żeby sprostać jego oczekiwaniom. Jestem zdużmiona, jak wiele wypił i jak słabo to na niego działa. Wydoił dwa martini i dwie butelki wina, jeśli nie liczyć tej odrobiny, która przypadła na nas.

— Mówił trochę niewyraźnie podczas deseru — zauważyła Joanna.

— I trochę się kołosał — przyznała Deborah. — Ale to niewiele, jak na taką ilość alkoholu. Żeby mieć taką odporność, musi być większym opojem, niż wygląda. Gdybym ja wypila tyle co on, byłabym nieprzytomna przez trzy dni.

Spencer wynurzył się z toalety, na widok dziewczyn uśmiechnął się, po czym zataczając się, pohalsował prosto na podest hostessy. Uchwycił się go dla zachowania równowagi. Skonsternowana hostessa ruszyła mu na pomoc.

— W porządku! — szepnęła triumfalnie Deborah do Joanny. — To dobry znak. Najwyraźniej po prostu reaguje z opóźnieniem.

— Czy on dobrze się czuje? — zapytała hostessa, gdy dziewczyny podeszły z obu stron, by podtrzymać Spencera.

— Nic mu nie będzie — uspokoiła ją Deborah. — Po prostu trochę się wyluzował.

— Czy moje ślicznotki wiedzą, gdzie mieszkam? — zapytał Spencer, znów nieco bełkotliwie.

— Oczywiście — odparła Deborah. — Panna Masterson pokazała nam dzisiaj.

— W takim razie ścigamy się — oświadczył.

Zanim Deborah zdążyła wybić mu ten pomysł z głowy, doktor strząsnął z siebie podtrzymujące go dłonie i wybiegł z restauracji.

Wymieniwszy przerażone spojrzenia, dziewczyny rzuciły się w pościg. Gdy wynurzyły się w gasnącym świetle wieczoru, Spencer wsiadał już do swego bentleya. Z daleka słyszały jego śmiech.

— Proszę poczekać! — krzyknęła Deborah.

Pobiegły w stronę samochodu, nim jednak zdążyły tam dotrzeć, Spencer uruchomił już z rykiem potężny silnik. Deborah położyła dłoń na klamce od strony kierowcy, ale drzwi były zablokowane. Postukała w szybę. Zaczęła wołać, że ona poprowadzi, ale Spencer tylko roześmiał się jeszcze głośniejszym głosem, wskazał na ucho, by dać do zrozumienia, że nic nie słyszy, po czym na pełnym gazie wyjechał z parkingu.

— A niech to! — krzyknęła Deborah, przyglądając się, jak czerwone tylne światła nikną w gęstniejącym mroku.

— On nie powinien prowadzić w takim stanie — zauważyła Joanna.

— Racja, ale co mogłyśmy na to poradzić? — odparła Deborah. — Mam nadzieję, że dojedzie na miejsce. Jeśli nie, lepiej, żebyśmy to my znalazły go pierwsze. Do diabła, nie w ten sposób planowałam zdobyć tę przeklętą kartę!

Dziewczyny pobiegły do swego chevroleta malibu. Joanna, najszybciej jak mogła, wyprowadziła wóz na szosę. Za każdym zakrętem na poły spodziewały się ujrzeć bentleya leżącego na jednym z pokrytych ściernią pól. Kiedy dotarły do światła na skrzyżowaniu Pierce i Main Street, zaczęły oddychać swobodniej, uświadomiwszy sobie, że jeśli doktor zjechał aż tak daleko, to według wszelkiego prawdopodobieństwa da sobie radę.

— Co sądzisz o odpowiedzi Spencera na temat tych Nikaraguanek? — zapytała Deborah, kiedy skręciły w Pierce Street i skierowały się na wschód.

— Wydawał się szczerze zaskoczony ich ciążą — stwierdziła Joanna.

— Też to zauważyłam — przyznała Deborah. — Odnoszę wrażenie, że w Klinice Wingate'a dzieją się rzeczy, o których jej założyciel nie ma zbyt wielkiego pojęcia.

— To prawda — zgodziła się Joanna. — Ale w końcu sam przyznał, że przez ostatnie lata nie był tak zaangażowany w sprawy kliniki, jak by należało.

Zjechały z głównej drogi na żwirowy podjazd i zbliżyły się do wartowni. Była ciemna, jeśli nie liczyć ledwo dostrzegalnej poświaty w jednym z małych, zaopatrzonych w okiennice, okien. Kiedy wjechały do tunelu pod budynkiem, przednie reflektory wozu oświetliły ciężką bramę i słupek z czytnikiem kart.

— Myślisz, że wyjdzie do nas strażnik? — zapytała Joanna, wyhamowując do żółtego tempa.

Deborah wzruszyła ramionami.

— Nie sądzę, skoro jest już po godzinach — odparła. — Podjedźmy do czytnika i wypróbujmy jedną z naszych nowych kart.

Wyciągnęła kartę z torebki i podała ją przyjaciółce. Joanna opuściła szybę, wychyliła się i przesunęła kartę przez czytnik. Brama natychmiast zaczęła się otwierać.

— Voilà — powiedziała Deborah, chowając kartę z powrotem.

Joanna ruszyła podjazdem, mijając łukiem kępę wiecznie zielonych krzewów. Przed nimi ukazał się główny gmach kliniki. Jeśli nie liczyć kilku rozjaśnionych okien na parterze i piętrze południowego skrzydła, budynek wyglądał jak czarna, najeżona blankami bryła piętrząca się na tle ciemniejszego, fioletowego nieba.

— To miejsce nocą sprawia jeszcze bardziej niesamowite wrażenie — zauważyła Joanna.

— Święte słowa — przyznała Deborah. — Myślę, że hrabia Dracula czułby się tu jak w domu.

Joanna minęła parking i wjechała do ciągnącego się za nim lasku. Parę chwil później w pogłębiającym się mroku dziewczyny zaczęły dostrzegać pośród drzew światła domów należących do kierownictwa Kliniki Wingate'a. Odnalazły ten, który według ich szacunków był własnością Spencera, i wjechały na podjazd. Wystający ukosem z garażu tył bentleya powiedział im, że miały rację. Joanna zgasiła silnik.

— Masz jakiś pomysł, co powinniśmy robić dalej? — zapytała.

— Poza namawianiem do picia, nie bardzo — przyznała Deborah. — Ale skoro już o tym mowa, może dobrze byłoby odnaleźć i schować jego kluczyki od samochodu.

— Niezła myśl! — stwierdziła Joanna, wysiadając z wozu.

Idąc pogrążoną w ciemności alejką, dziewczyny słyszały dobiegające z wnętrza dźwięki rocka. Im bliżej były, tym głośniejsza stawała się muzyka, jednak mimo hałasu Spencer usłyszał dzwonek i otworzył drzwi. Miał wypieki na policzkach i zaczerwienione oczy. Przebrał się i na miejsce marynarki klubowej włożył elegancką, ciemnozieloną aksamitną bonzurkę. Z przesadnie wytwornym gestem, przy którym musiał dla zachowania równowagi uchwycić się futryny drzwi, zaprosił dziewczyny do środka.

— Czy można odrobinę ściszyć tę muzykę? — wrzasnęła Deborah.

Spencer niepewnym krokiem skierował się w stronę sprzętu grającego. Dziewczyny wykorzystały okazję, by się rozejrzeć. Wnętrze urządzone było w stylu angielskiej wiejskiej rezydencji, z ciemnozielonymi ścianami, czerwonymi orientalnymi dywanami i potężnym, ciemnobrązowym, skórzanym kompletem wypoczynkowym. Na ścianach wisiały podświetlone, każdy z osobna, olejne obrazy przedstawiające konie i polowania na lisy. Dekorację stanowiły głównie akcesoria jeździeckie.

— No dobrze — odezwał się Spencer, wracając do nich. — Na co miałyby panie ochotę, zanim przejdziemy do rzeczy?

Joanna przewróciła oczami na użytek przyjaciółki.

— Zbadajmy tę piwniczkę z winem, o której pan wspomniał — podsunęła Deborah.

— Świetny pomysł — odparł Spencer, połykając spółgłoski.

Jeśli nie liczyć dodatku paru gołych żarówek o małej mocy, piwnica sprawiała wrażenie, jakby od połowy dziewiętnastego wieku nie tknięto jej palcem. Odślonięte granitowe bloki, z których zbudowane były fundamenty, pokrywał ciemny nalot. Ścianki działowe wykonano z nie heblowanych dębowych desek, połączonych wielkimi, topornymi, żelaznymi gwoźdźmi. Podłogę stanowiła ubita ziemia. Liczne błotniste kałuże przesyciły powietrze wilgocią.

— Może lepiej zaczekam na schodach — powiedziała Joanna, rozejrzawszy się po słabo oświetlonym lochu, lecz Deborah, mimo wysokich obcasów, śmiało ruszyła naprzód. Obawiała się, że Spencer, w swoim zamroczeniu, nie poradzi sobie, i istotnie przy paru okazjach musiała go podeprzeć, by nie upadł.

Piwniczka z winem okazała się jednym z wielu boksów, którego surowe, nie wykonane drzwi zabezpieczone były potężną, starą kłódką. Spencer wydobył z kieszeni marynarki klucz wielkości kciuka i odblokował skobel. W środku znajdowało się pół tuzina skrzynek z winem, upchniętych na chybił trafił na prowizorycznych półkach. Spencer nie zastanawiał się długo. Otworzył pierwszą z brzegu skrzynkę i wyciągnął z niej trzy butelki.

— To nam wystarczy — oświadczył. Nie kłopotał się ponownym nakładaniem kłódki i chwiejnym krokiem ruszył z powrotem ku schodom, ściskając butelki pod pachą.

— Moje buty od Fayvy zostały zrujnowane — żartobliwie poskarżyła się przyjaciółce Deborah, gdy wspinali się znów na górę.

W kuchni Spencer wyciągnął korkociąg i otworzył wszystkie trzy butelki. Był to kalifornijski cabernet. Doktor wyszukał w kredensie trzy szerokie kieliszki, a Deborah zaproponowała, że je weźmie. Wrócili do salonu. Spencer zajął miejsce pośrodku kanapy i gestem zaprosił dziewczyny, by usiadły po obu stronach. Rozlał wino i podał im kieliszki. — Niezłe. Zupełnie niezłe — stwierdził, upiwszy łyk. — No więc, od czego zaczynamy? — Roześmiał się krótko. — Jestem zielony, jeśli chodzi o te zabawy we troje.

— Myślę, że powinniśmy zacząć od wina — odparła Deborah. — Noc jest jeszcze młoda.

— Wypiję za to — powiedziała Joanna, unosząc kieliszek. Pozostali poszli w jej ślady.

I znów dziewczyny zdołały skłonić Spencera do mówienia, tym razem zagadnąwszy go od niechcienia o dzieciństwo. To proste pytanie wyzwoliło długi monolog w stylu Horatio Algera\*. Snując swą opowieść, doktor szczerze raczył się winem. Podobnie jak w restauracji, zdawał się nie zwracać uwagi na to, że dziewczyny niemal w ogóle nie piły.

Kiedy osuszono już półtorej butelki, a młodzieńcze dzieje Spencera zostały doprowadzone do etapu college'u, Deborah przerwała mu, by zapytać Joannę, czy może porozmawiać z nią przez chwilę. Joanna zgodziła się i dziewczyny odeszły na bok. Błękitne oczy doktora śledziły je z wielkim zainteresowaniem i nadzieją.

— Masz jakieś propozycje? — zapytała półgłosem Deborah. Była pewna, że przy grającej wciąż muzyce Spencer nie ma szans nic usłyszeć. — Ten facet wchłania alkohol jak gąbka. Jeśli nie liczyć oczu i policzków, wino zupełnie na niego nie działa.

---

\*Horatio Alger (1832-1899) — pastor i pisarz amerykański, twórca powieści propagujących typ ubożego młodego bohatera, który dzięki cnotliwemu życiu i pracowitości osiąga bogactwo i wysoką pozycję społeczną (przyp. tłum.).

— Nic mi nie przychodzi do głowy. Chyba że...

— Chyba że co? — zapytała Deborah. Zaczynała wpadać w desperację. Dochodziła dziewiąta i dziewczyna chciała już iść spać. Była wyczerpana, a nazajutrz czekał je ciężki dzień.

— Poproś go, żeby przebrał się w coś wygodniejszego, jakąś jedwabną pidżamę czy co tam ma. To stary chwyt, ale może wypali, a skutek będzie taki, że jego spodnie i portfel zostaną w sypialni, gdzie będę mogła się do nich dostać.

— Co znaczy, że będę musiała zająć się nim, kiedy nie będzie miał spodni — jęknęła Deborah.

— Czy muszę ci przypominać, że to wszystko był twój pomysł? — wypaliła Joanna.

— Dobrze już, dobrze — mruknęła pojednawczo Deborah. — Uspokój się! Ale jeśli zacznę krzyczeć, lepiej wal na dół jak najprędzej.

Gdy dziewczyny wróciły, Spencer wyczekująco uniósł ku nim wzrok. Deborah wypróbowała tekst, który podsunęła Joanna. Odpowiedzią doktora był lubieżny uśmiech. Spencer skinął głową i zaczął niezadarnie gramolić się z kanapy. Dziewczyny natychmiast rzuciły się na pomoc.

— Wszystko w porządku — zaprotestował. Podniósł się o własnych siłach i przez chwilę chwiał się w miejscu, wreszcie wziął głęboki oddech, wbił spojrzenie w schody i ruszył naprzód. Dziewczyny przyglądały się, jak zatacza się bezwładnie przez salon, jak gdyby nie bardzo zdawał sobie sprawę, gdzie znajdują się poszczególne części jego ciała.

— Odwołuję to, co powiedziałam przed chwilą — oświadczyła Deborah. — Wino podziałało jednak na niego jak należy.

Obie dziewczyny skrzywiły się, gdy Spencer wpadł na stolik pod ścianą, strącając przy tym na podłogę oddział malowanych żołnierzyków. Mimo zderzenia zdołał jednak utrzymać się na nogach i dotrzeć do schodów. Tam, z obiema rękami na poręczach, radził sobie znacznie lepiej niż na otwartej płaszczyźnie podłogi. Zniknął na piętrze.

— Zastanówmy się, co zrobimy, kiedy on zejdzie — odezwała się niespokojnie Deborah. — Niezależnie od tego, co będzie miał, a czego nie będzie miał na sobie, może być zbyt rozochocony, by znów rozmawiać na swój ulubiony temat.

— Kiedy tylko się pojawi, ja powiem, że idę skorzystać z toalety — odparła Joanna. — Ty będziesz odwracać jego uwagę.

— Z tyłu kuchni są schody — zauważyła Deborah. — Myślę, że tamtędy powinnaś się dostać do sypialni.

— Widziałam je — potwierdziła Joanna. — Postaram się uwinąć z tym jak najszybciej.

— Mam nadzieję — mruknęła Deborah. Odruchowo obciągnęła w dół swoją minisukienkę, aby zakryć większą część ud, ale jedynym efektem jej wysiłków było odsłonięcie większej części dekoltu. — Jak możesz się domyślić, w tym stroju czuję się dość bezbronna.

— Ani myślę ci współczuć.

— Dzięki — oburzyła się Deborah. — Usiądźmy, stopy bolą mnie jak diabli.

Dziewczyny opadły na kanapę i omówiły koleje życia swego gospodarza. Wyczerpawszy ten temat, zaczęły się zastanawiać, co zrobią następnego dnia, kiedy będą już miały niebieską kartę Spencera.

— Przynajmniej muszę jak najszybciej dostać się na serwer, żeby uzyskać dostęp do ich zastrzeżonych plików — stwierdziła Joanna. — David powiedział, że to nie zajmie więcej niż piętnaście minut. Kiedy się z tym uporam, możemy ściągnąć dane o naszych komórkach jajowych ze stacji roboczej albo nawet z naszego domowego komputera.

— Weźmiemy ze sobą telefony komórkowe — powiedziała Deborah. — W ten sposób będę mogła stać na straży, kiedy ty będziesz w pomieszczeniu z serwerem, i ostrzec cię, gdyby ktoś nadchodził.

— To niezły pomysł — przyznała Joanna.

Deborah spojrzała na zegarek.

— Jak długo nasz Casanova się przebiera?

Joanna wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Pięć, dziesięć minut.

— Wolałabym, żeby się pospieszył — stwierdziła Deborah. — Jestem tak zmęczona, że mogłabym położyć się tu, na kanapie, i zasnąć w ciągu dwóch sekund.

— Ja tak samo — odparła Joanna. — To przez tę zmianę stref czasowych. Wciąż jeszcze jesteśmy przyzwyczajone do włoskiego czasu.

— Poza tym jesteśmy na nogach już od szóstej.

— Też prawda — przyznała Joanna. — Powiedz, co masz zamiar robić jutro w laboratorium, kiedy będziesz czekać, aż dobiórę się do serwera?

— Ciekawi mnie, do czego właściwie służą im ten cały wymyślny sprzęt — odparła Deborah. — Mam nadzieję dowiedzieć się czegoś konkretnego na temat badań. Może przy okazji rozgryzę, o co naprawdę chodzi z tymi Nikaraguankami.

— Ale będziesz ostrożna, prawda? — zaniepokoiła się Joanna. — Cokolwiek robisz, nie narażaj nas na zdemaskowanie, dopóki nie dowiemy się tego, po co naprawdę przyszliśmy.

— Będę ostrożna — zapewniła ją Deborah. Znowu spojrzała na zegarek. — Dobry Boże! Co on tam na siebie wkłada, kostium Supermana?

— Trochę długo to trwa — zgodziła się Joanna.

— Co robimy?

Dziewczyna znowu wzruszyła ramionami.

— Odważymy się pójść na górę i sprawdzić, co się dzieje? A jeśli on tam leży kompletnie goły i czeka na nas?



— Rany Julek! Co za wyobraźnia! — zawołała Deborah. — Naprawdę się boisz? Co on może zrobić? Wskoczy i wrzaśnie „buuu”? Facet miał nogi jak z waty, kiedy stąd wychodził.

— Wiesz — powiedziała nagle Joanna — on mógł zemdleć.

— Dobrze by było, a myślę, że jest to całkiem możliwe. Wlał w siebie w ciągu trzech godzin dwa martini i trzy i pół butelki wina.

— Wejdźmy na górę i sprawdźmy, ale ty pierwsza!

— Dzięki, stara.

Dziewczyny stanęły u podnóża schodów. Dudniąca nawet po ściszeniu muzyka nie pozwalała wyłowić uchem jakiegokolwiek hałasu z góry. Trzymając się blisko siebie, wspięły się na stopnie. Na piętrze znów zastygły. Znajdowało się tam wiele drzwi, ale wszystkie były zamknięte. Tylko jedne, w głębi korytarza, były lekko uchylone. Sączyła się przez nie na dywan smuga nikłego światła. Poza dobiegającą z dołu muzyką nie było słychać żadnych dźwięków.

Deborah gestem kazała Joannie iść za sobą. Czując się jak intruzi, dziewczyny podeszły na palcach do otwartych drzwi i przystanęły w progu. Ich oczom ukazało się nie-nagannie zasłane, królewskich rozmiarów łóżko. Jedyne światło wpadało przez otwarte drzwi łazienki. Spencera nigdzie nie było.

— Gdzie on, u diabła, jest? — szepnęła gniewnie Deborah. — Bawi się z nami w chowanego czy co? — Przyszło jej na myśl, że podejrzenia przyjaciółki mogły być jednak trafne.

— Może powinniśmy zajrzeć do innych pokoi? — podsunęła Joanna.

— Sprawdźmy łazienkę — odparła Deborah.

Zdażyły zrobić może trzy kroki w głąb pokoju, gdy nagle Joanna mocniej ścisnęła ją za ramię.

— Nie strasz mnie tak! — ofuknęła ją Deborah.

Joanna wskazała na łóżko. Wystawały zza niego zaplątane w nogawki stopy Spencera. Z biciem serca dziewczyny okrążyły mebel i spojrzały w dół. Spencer leżał na brzuchu, w ściągniętej na wpół koszuli, ze spodniami skłębionymi wokół kostek. Oddychał ciężko. Sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim śnie.

— Wygląda, jakby upadł — zauważyła Joanna.

Deborah skinęła głową i powiedziała:

— Chyba w pośpiechu potknął się o własne spodnie, a kiedy był już w pozycji horyzontalnej, po prostu odpłynął.

— Myślisz, że zrobił sobie krzywdę?

— Nie sądzę — odparła Deborah. — Nie ma tu nic, o co mógłby uderzyć głową, a ta wykładzina ma prawie dwa cale grubości.

— Odważymy się?

— Kpisz sobie ze mnie? — prychnęła Deborah. — Oczywiście, że się odważymy. On się nie obudzi. — Pochyliła się i po krótkim szukaniu i szarpaninie wydobyła portfel. Spencer nawet nie drgnął.

Portfel był niezwykle gruby. Dziewczyna otworzyła go i zaczęła przetrząsać zawartość. Niebieska karta magnetyczna nie znajdowała się w widocznym miejscu, Deborah natknęła się na nią jednak w jednej z przegródek za kartami kredytowymi.

— To dobrze, że była schowana — oświadczyła. Podała ją Joannie, ponownie pochyliła się nad Spencerem i wsunęła portfel z powrotem do kieszeni, w której go znalazła.

— Co za różnica? — zdziwiła się Joanna.

— Bo to oznacza, że nie używa jej zbyt często — wyjaśniła Deborah. — Niedobrze byłoby, gdyby zauważył jej brak, zanim same zdążymy zrobić z niej użytek. Chodź! Poszukajmy tych kluczyków od samochodu, schowajmy je i uciekajmy stąd w diabły.

— To ostatnie jest najlepszą propozycją, jaką usłyszałam dziś z twoich ust — stwierdziła Joanna. — A jeśli chodzi o kluczyki, dajmy sobie spokój. On będzie spał przez co najmniej dwanaście godzin, a kiedy już się obudzi, i tak nie będzie miał ochoty na jazdę.

Kurt Hermann wpatrywał się w zrobione polaroidem zdjęcie nowej pracownicy, Georginy Marks. Trzymał je w nieruchomej jak skała dłoni pod lampą biurową z abażurem z zielonego szkła. Studiując twarz kobiety, przywoływał w pamięci obraz jej bujnego ciała, z piersiami przelewającymi się niemal przez dekolt sukienki i spódnicy, która ledwie zakrywała jej tyłek. Georgina Marks była dla niego ohydą, jawną obrazą jego fundamentalistycznej mentalności.

Powoli, z namysłem, położył zdjęcie na blacie biurka, obok fotografii drugiej nowo przyjętej pracownicy, Prudence Heatherly. Ta była inna — na pierwszy rzut oka poznał w niej prawdziwie bogobojną niewiastę.

Kurt siedział w swoim pokoju w opustoszałej wartowni. Często spędzał tu wieczory. W sąsiednim pomieszczeniu urządził prowizoryczną siłownię, gdzie mógł doskonalić swą muskularną, wytrenowaną sylwetkę. Jako zdeklarowany samotnik unikał życia towarzyskiego, a mieszkanie na terenie kliniki ułatwiało to, zwłaszcza że instytucja zlokalizowana była w małej miejscinie, która, jeśli o niego chodziło, nie miała kompletnie nic do zaoferowania.

Kurt pracował w Klinice Wingate'a od nieco ponad trzech lat. Czuł się tu znakomicie. Praca zapewniała mu akurat tyle komplikacji i wyzwań, by nie mógł się nudzić, a przy tym nie była aż tak absorbująca, by musiał się przemęczać. Jego wojskowe doświadczenie stanowiło ogromny atut w zawodzie ochroniarza. Wstąpił do wojska zaraz po szkole średniej i został przyjęty do oddziałów specjalnych, gdzie wyszkolono go do tajnych akcji. Nauczył się zabijać gołymi rękoma, a także za pomocą dowolnej broni, nigdy nie miał z tym najmniejszych problemów.

Jego kontakty z wojskiem nie rozpoczęły się zresztą od wstąpienia do armii. Dorastając jako syn pułku, Kurt nigdy nie znał innego stylu życia. Jego ojciec służył w oddziałach specjalnych. Był surowym człowiekiem, wymagającym od swej żony i dziecka całkowitego posłuszeństwa i doskonałości. We wczesnej młodości Kurt przeszedł okres buntu, opanował się jednak dość szybko. Potem, w ostatnich dniach wojny wietnamskiej, jego ojciec zginął w jakiejś do tej pory nie odtajnionej operacji w Kambodży. Ku zgrozie Kurta matka po śmierci ojca zaczęła wdawać się w jeden romans za drugim, a wreszcie ponownie wyszła za mąż za pedantycznego agenta ubezpieczeniowego.

Armia dobrze traktowała Kurta. Doceniając jego umiejętności i postawę, niezawodnie łagodziła drobne starcia z prawem, jakie czasem wywoływało jego agresywne zachowanie. Wiele było rzeczy, których Kurt absolutnie nie tolerował, ale prostytutka i homoseksualizm w jakiegokolwiek formie znajdowały się na czele tej listy, a nie należał on do ludzi, którzy wzdraliby się przed wprowadzeniem swych zasad w czyn.

Wszystko w jego życiu układało się dobrze, dopóki nie oddelegowano go na Okinawę. Na tej zakazanej wyspie, sam Kurt to przyznał, sprawy wymknęły się spod kontroli.

Powoli pochylił się i jeszcze raz spojrzął w oczy Georginy. Na Okinawie spotkał wiele takich kobiet jak ona. Tak wiele, prawdę mówiąc, że poczuł religijne powołanie do zmniejszenia ich liczby. Było to tak, jak gdyby sam Bóg wskazał mu drogę. Usuwanie ich nie nastęczało żadnych trudności. Uprawiał z nimi seks w jakimś odludnym zakątku, a potem, gdy okazywały się na tyle zdeprawowane, by domagać się pieniędzy, zabijał je.

Nigdy go nie przyłapano ani nie oskarżono, ale ostatecznie wskazały na niego poszlaki. Armia rozwiązała problem, wydalając Kurta w ramach wdrożonego przez prezydenta Clintona planu redukcji pracowników rządowych, który, jak się okazało, dotyczył głównie wojskowych, a nie biurokratów. Kilka miesięcy później Kurt odpowiedział na ogłoszenie zamieszczone przez Klinikę Wingate'a, gdzie przyjęto go z otwartymi ramionami.

Do jego uszu dobiegł zgrzyt otwieranej bramy, a chwilę później warkot przejeżdżającego przez tunel samochodu. Odsunąwszy się od biurka, podszedł do okna i otworzył okiennice. Dostrzegł jeszcze tylne światła starego modelu chevroleta, znikającego za zakrętem zwirowej drogi. Zerknął na zegarek.

Zamknąwszy okiennice, powrócił do biurka. Spojrzął w dół na znajomą już teraz twarz kobiety. Nie uszło jego uwagi, że ten samochód nadjechał krótko po samochodzie Wingate'a i skierował się wprost do willi szefa kliniki. Nie trzeba było genialnego naukowca, by zrozumieć, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. Odpowiednie ustępy Biblii natychmiast stanęły Kurtowi przed oczyma. Recytował je, zaciskając dłonie w pięści. Bóg znów wskazywał mu drogę.

## Rozdział 11

10 maja 2001

7.10

Był kolejny cudowny, jasny, wiosenny ranek. Dziewczyny znów mknęły szosą na północny zachód w stronę Bookford, które opuściły przed zaledwie dziewięcioma godzinami. Obie były wykończone. W przeciwieństwie do poprzedniego dnia nie obudziły się same i dopiero dzwonek budzika wyrwał je z łóżek.

Po powrocie do domu, choć obie tęskniły za miękką poduszką, nie od razu położyły się spać. Deborah uznała, że musi wyczyścić zabłocone w piwnicy Spencera buty. Sporo czasu zajęło jej też kompletowanie stroju na następny dzień; ponieważ uświadomiła sobie, że będzie musiała znów wystąpić w tej samej sukience, gdyż wszystkie ubrania, jakie miała, były w zupełnie odmiennym stylu, a to, jak sądziła, zdradziłoby, że nie jest osobą, za jaką się podaje.

Joanna natomiast zadzwoniła do Davida Washburna, żeby raz jeszcze powtórzyć dokładnie kroki, jakie ma wykonać, gdy dostanie się na serwer kliniki. Na jego nalegania musiała nawet pójść do niego po parę hakerskich programów. David wyjaśnił jej, że po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że nawet konsolę serwera trzeba będzie uruchomić hasłem. Pokazał Joannie, jak posługiwać się oprogramowaniem, i polecił jej wypróbować je kilka razy, aż upewnił się, że dziewczyna da sobie radę. Gdy wróciła do domu, było dobrze po północy i Deborah twardo już spała.

Śmiertelnie zmęczone przyjaciółki jechały w milczeniu, bezmyślnie przysłuchując się porannej audycji radiowej. Gdy dotarły do bramy kliniki, Deborah, która tym razem prowadziła, przesunęła swą kartę przez czytnik. Brama otworzyła się gładko i dziewczyny wjechały do środka. Ponieważ przybyły do pracy jako jedne z pierwszych, na parkingu było sporo wolnych miejsc. Deborah stanęła tuż przy wejściu do budynku.

— Boisz się, że natkniemy się na Spencera? — zapytała Joanna.

— Właściwie nie. Biorąc pod uwagę, jakiego kaca musi mieć po wczorajszych wycieczkach, nie sądzę, żeby dzisiaj miał ochotę pokazywać się ludziom na oczy.

— Może i racja. Poza tym tak czy inaczej nie będzie chyba zbyt wiele pamiętała z ostatniej nocy.

— No cóż, powodzenia, współniczko — rzuciła Deborah.

— Nawzajem — odparła Joanna.

— Zapomniałam zapytać, czy wzięłaś swoją komórkę.

— Oczywiście, że wzięłam. A ty?

— No jasne! Pamiętałam nawet, żeby naładować baterię. A więc do dzieła!

Zdecydowanie, choć z szybko bijącym sercem, przyjaciółki wysiadły z samochodu i weszły do budynku. Zgodnie z instrukcjami, jakie dostały poprzedniego dnia, udały się najpierw do kabinki Helen Masterson, gdzie wypełniły jeszcze kilka formularzy. Z ulgą stwierdziły, że ich oszustwo z numerami ubezpieczenia nie zostało jak dotąd zauważone.

Po wizycie u Helen rozdzieliły się. Joanna skierowała się do kabinki Christine Parham, oddalonej zaledwie o trzy przegrody od Helen, Deborah zaś ruszyła głównym korytarzem na poszukiwanie gabinetu Megan Finnigan.

Joanna nie wiedziała, jak zwrócić na siebie uwagę Christine. Kobieta siedziała przy biurku, odwrócona tyłem do pozbawionego drzwi wejścia do kabinki. Dziewczyna zastukała najpierw w ściankę działową, ale ponieważ wykonano ją z dźwiękochłonnego materiału, odgłos był zbyt słaby, by wyrwać szefową biura z zamyślenia. Wreszcie zdecydowała się po prostu odezwać.

Christine pamiętała Joannę z prezentacji w stołówce. Miała też na skraju biurka kopię jej kwestionariusza osobowego.

— Wejdz i usiądź, Prudence! — powiedziała. Podniosła stos skoroszytów z krzesła przysuniętego do boku biurka. — Witaj w Klinice Wingate'a.

Joanna usiadła i przyjrzała się kierownicze działu. Była to kobieta odłana z podobnej formy, co Helen Masterson, z taką samą solidną budową i szerokimi jak łopaty dłońmi sugerującymi, że jej bezpośredni przodkowie byli rolnikami. Miała życzliwą twarz o naturalnych rumieńcach, które wyglądały jak maźnięcia różu na jej szerokich kościach policzkowych.

W rzeczowy sposób Christine poinformowała dziewczynę o stawianych jej wymaganiach i początkowych obowiązkach. Zgodnie ze swymi oczekiwaniami, Joanna miała wprowadzać dane do rozliczeń świadczonych przez klinikę usług. Kierowniczka napomknęła też, że jeśli praca w Klinice Wingate'a okaże się satysfakcjonująca dla obu stron, Joanna może się spodziewać w najbliższej przyszłości bardziej odpowiedzialnych zajęć.

— Jakies pytania? — zapytała na koniec Christine.

— Jak tu wyglądają przerwy na kawę? — zainteresowała się Joanna. Uśmiechnęła się. — Przypuszczam, że zabrzmiało to jak prośba o urlop pierwszego dnia pracy, ale myślę, że powinnam to wiedzieć.

— To bardzo rozsądne pytanie — zapewniła Christine. — Nie jesteśmy rygorystyczni, jeśli chodzi o przerwy na kawę, i pozwalamy pracownikom swobodnie gospodarować swoim czasem, byle tylko robota została wykonana. Mówiąc ogólnie, większość ludzi bierze pół godziny rano i kolejne pół godziny po południu, albo w jednym kawałku, albo rozbite na kilka krótszych przerw. Lunch również trwa pół godziny, ale tu też nie jesteśmy pedantami.

Joanna skinęła głową. Perspektywa półgodzinnej przerwy przypadła jej do gustu, szczególnie gdyby udało się to skoordynować z Deborah. Wykorzysta ten czas na włamanie się do pomieszczenia z serwerem. Jeśli jej się nie uda, zrobi to w porze lunchu.

— Powinnam jeszcze przypomnieć ci, że obowiązuje tu zakaz palenia — dodała Christine. — Jeśli palisz, będziesz musiała pójść do swojego samochodu.

— Nie palę — odparła Joanna. — Nie ma problemu.

— W twoim podaniu wyczytałam, że masz duże doświadczenie w pracy na komputerze — powiedziała Christine. — Sądzę więc, że nie musimy zaczynać od omawiania naszego systemu. Jest dość prosty, a wiem, że rozmawiałas już z Randym Porterem.

— Myślę, że dam sobie radę — zapewniła Joanna.

— A więc chodźmy do pracy — oświadczyła Christine. — Przygotowałam dla ciebie pustą kabinę i pełną tackę spraw do załatwienia.

Zaprowadziła Joannę do przegródki przytulonej do ściany sąsiadującej z głównym korytarzem, w najbardziej oddalonej od okien części pomieszczenia. Było tu standardowe metalowe biurko, regał, fotel obrotowy, krzesło oraz kosz na śmieci. Na biurku znajdowały się dwie tacki na dokumenty: jedna wypełniona po brzegi, druga pusta, klawiatura z monitorem i myszką oraz telefon. Ścianki działowe były zupełnie gołe.

— Obawiam się, że nie jest tu zbyt przytulnie, Prudence — przyznała Christine. — Ale jeśli chcesz, możesz ozdobić to miejsce według swojego gustu.

— Podoba mi się tu — odparła Joanna. Położyła torebkę na biurku i uśmiechnęła się do szefowej.

Następnie Christine przedstawiła dziewczynę pracownikom z sąsiednich kabin. Robili wrażenie miłej i gościnnej grupy. Ochoczo wyciągali ręce ponad wysokimi do piersi przepierzeniami, by ucisnąć dłoń Joanny.

— No dobrze — oświadczyła Christine. — Myślę, że to by było na tyle, jeśli chodzi o sprawy zasadnicze. Pamiętaj! Służę pomocą, więc jeśli czegoś potrzebujesz, po prostu zawołaj.

Joanna podziękowała i pomachała szefowej na pożegnanie. Odwróciwszy się do biurka, wyjęła z torebki telefon komórkowy i natychmiast wystukała numer Deborah. Usłyszała sygnał poczty głosowej i domyśliła się, że przyjaciółka wciąż jeszcze zapoznaje się z miejscem pracy, zostawiła więc wiadomość, żeby oddzwoniła do niej, gdy tylko znajdzie wolną chwilę.

Wreszcie usiadła przy klawiaturze. Po przesunięciu niebieskiej karty przez szczelinę czytnika na ekranie pojawiło się okienko, proszące o podanie nowego hasła. Joanna wpisała słowo „Anago”; była to jej ulubiona restauracja w Bostonie. Kiedy weszła do sieci, spędziła kwadrans na sprawdzaniu zakresu swych uprawnień. Jak się spodziewała, był bardzo ograniczony, a interesujące ją wykazy dawczyń były niedostępne.



Teraz dopiero zajęła się przygotowaną dla niej tacką dokumentów. Postanowiła zabrać się ostro do dzieła i w miarę szybko uporać się z jak największą częścią roboty. Nie chciała, żeby, gdy uda jej się wreszcie dobrać do serwera, ktoś jej szukał z jakichś przyziemnych, zawodowych powodów.

Nie musiała pracować długo, by uświadomić sobie, jak wielkie sumy była w stanie zarobić klinika, a miała przecież przed sobą tylko mały fragment przychodów z jednego ranka. Nawet bez wiedzy o kosztach było dla niej oczywiste, że leczenie niepłodności to niezwykle lukratywna działalność.

Deborah od czasu do czasu kiwała głową, aby sprawić wrażenie, że słucha. Siedziała w miniaturowym pokoiku Megan Finnigan, tuż obok głównej sali laboratoryjnej. Wzdłuż wszystkich czterech ścian ciągnęły się rzędy regałów wypełnionych podręcznikami, dokumentacją laboratoryjną i stosami luźnych kartek. Szefowa laboratorium była chudą jak szczapa kobietą o przetykanych siwizną włosach nieokreślonej barwy, które nieustannie opadały jej na oczy. Co półtorej minuty, z regularnością metronomu, potrząsała głową, by odrzucić z twarzy zabłąkane kosmyki. Deborah z trudem się powstrzymywała, by nie chwycić jej za ramiona i nie wrzasnąć, żeby przestała.

Mimo szczerych chęci nie była w stanie skupić się na monologu szefowej na temat stosowanych w Klinice Wingate'a technik laboratoryjnych. Zastanawiała się, jak radzi sobie Joanna.

— Ma pani jakieś pytania? — zapytała nagle Megan.

Deborah wyprostowała się na krześle, jak gdyby przyłapano ją na drzemce.

— Raczej nie — odparła prędko.

— Świetnie — stwierdziła Megan. — Gdyby coś przyszło pani do głowy, wie pani, gdzie mnie szukać. Teraz oddam panią w ręce jednej z naszych bardziej doświadczonych laborantek. Nazywa się Maureen Jefferson. Ona nauczy panią wykonywać transfer jądrowy.

— Znakomicie — powiedziała Deborah.

— Na koniec — dodała Megan — chciałabym zaproponować, żeby nosiła pani bardziej rozsądne obuwie.

— Och? — Deborah z niewinną miną spojrzała na swe niebotyczne szpilki, prezentujące się zupełnie niezłe mimo ciężkich przeżyć poprzedniego wieczoru. — Ma pani coś przeciwko tym butom?

— Powiedzmy po prostu, że są nieodpowiednie — oświadczyła Megan. — Nie chciałabym, żeby poślizgnęła się pani na kafelkach i złamała nogę.

— Ja też bym tego nie chciała — przyznała Deborah.

— Widzę, że zgadzamy się ze sobą — stwierdziła Megan. Obrzuciła krótkim spojrzeniem kusą sukienkę dziewczyny, ale nie powiedziała nic więcej. Wstała, a Deborah zrobiła to samo.

Maureen Jefferson okazała się dwudziestodwuletnią Afro-amerykanką o skórze koloru kawy z dużą ilością śmietanki. Grzbiet jej nosa był usiany piegami. Ścięte na pazia włosy ukazywały w całej okazałości imponującą kolekcję kolczyków w uszach. Wygięte w łuk brwi nadawały jej twarzy wyraz nieustannego zdumienia.

Dokonawszy prezentacji, Megan zostawiła dziewczyny same. Maureen przez chwilę milczała. Stała tylko, kręcąc głową, gdy szefowa szła przez salę laboratoryjną do wyjścia. Dopiero kiedy zniknęła w swoim gabinecie, Maureen odwróciła się do Deborah.

— Trudny przypadek, nie uważasz?

— Niezła z niej katarynka — przyznała Deborah.

— Poczęstowała cię pewnie gadką na temat czystości w laboratorium?

— Nie jestem pewna — stwierdziła Deborah. — Nie przysłuchiwałam się zbytnio.

Maureen parsknęła śmiechem.

— Myślę, że świetnie się dogadamy, stara. Jak mam do ciebie mówić, Georgina czy inaczej?

— Georgina — odparła Deborah. Posługiwanie się przybranym imieniem za każdym razem wywoływało u niej przyspieszone bicie serca.

— Moi przyjaciele nazywają mnie Mare — powiedziała Maureen.

— Więc niech będzie Mare — podchwyciła Deborah. — Dziękuję.

— Przejdźmy do rzeczy. Mam tu przygotowany mikroskop z dwiema nasadkami okularowymi, więc obie będziemy patrzeć na ten sam obszar. Muszę tylko przynieść z inkubatora komórki jajowe. Zaczekaj chwilę.

Gdy Mare oddaliła się, Deborah włączyła swój telefon komórkowy. Zobaczyła, że ma wiadomość, ale zamiast odsłuchać ją, zadzwoniła do Joanny. Ta odebrała natychmiast.

— Dzwoniłaś do mnie? — zapytała Deborah.

— Tak, ale nagrałam się tylko, żebyś oddzwoniła.

— Jak idzie?

— Nudno, ale znośnie — odparła Joanna. — Próbowałam dostać się do plików z wykazami dawczyń, ale nie da rady.

— Tego należało się spodziewać.

— Planuję zrobić sobie półgodzinną przerwę o jedenastej. Możesz się ze mną spotkać?

— Gdzie?

— Powiedzmy, że przy fontannie w głównym korytarzu, obok drzwi do pomieszczenia z serwerem.

— Dobra — odparła Deborah. Wyłączyła telefon i wsunęła go z powrotem do torebki. Podczas rozmowy rozglądała się po laboratorium. W przestrzeni, gdzie swobodnie mogłoby pracować pięćdziesiąt osób, widać było zaledwie pięć. Najwyraźniej klinika przewidywała rozwój wykładniczy.

Mare wróciła po chwili, niosąc przykrytą płytkę Petriego z niewielką ilością cieczy. Nieuzbrojonemu oku ciecz wydawała się przejrzysta i jednorodna, w rzeczywistości jednak składała się z dwóch warstw. Na wierzchu znajdowała się cieniutka powłoka oleju mineralnego, pod nią zaś pożywka, w której zawieszonych było mniej więcej sześćdziesiąt żeńskich gamet.

Mare usiadła przy jednym z okularów mikroskopu i gestem wskazała Deborah taboret po drugiej stronie. Włączyła lampkę i światło ultrafioletowe. Obie dziewczyny pochyliły się nad preparatem.

Przez następną godzinę Deborah ćwiczyła pod czujnym okiem Mare przeprowadzanie transferu jądrowego przy użyciu mikropipet. W pierwszym etapie tego procesu komórki jajowe pozbawiane były jąder. Etap drugi polegał na wprowadzeniu znacznie mniejszych komórek dorosłych ssaków tuż pod zewnętrzną powłokę każdej z gamet. Wymagało to pewnej zręczności, ale Deborah szybko pojęła, o co chodzi, i przed upływem godziny robiła to niemal tak dobrze, jak jej nauczycielka.

— No i tę partię mamy z głowy — oświadczyła Mare. Odsunęła się od mikroskopu i rozciągnęła napięte mięśnie ramion. — Muszę przyznać, że załapałaś to szybciej, niż się spodziewałam.

— Dzięki znakomitej instruktorce — odparła Deborah. Również się przeciągnęła. Delikatne operowanie mikropipetami wymagało tak precyzyjnych manipulacji, że wszystkie mięśnie mimowolnie się naprężyły.

— Zaniosę tę serię ludziom od fuzji, a przy okazji przyniosę ci następną płytkę — powiedziała Mare. — Nie widzę powodu, dla którego nie mogłabyś już zacząć pracować sama. Zwykle trzeba na to jednego albo dwóch dni, ale ty już teraz robisz to jak zawodowiec.

— Chyba przesadzasz — stwierdziła Deborah. — Ale powiedz mi coś! Z jakimi gametami tu pracujemy? Krowimi czy świńskimi? — Miała okazję widzieć komórki jajowe różnych gatunków albo na zdjęciach mikroskopowych, albo bezpośrednio w laboratorium na Harvardzie. Wiedziała, że wszystkie wyglądają zadziwiająco podobnie, nie uwzględniając wymiarów, które mogły się dość znacząco różnić. Z rozmiarów komórek, nad którymi tu pracowały, domyślała się, że mogły pochodzić od świń, ponieważ miała wrażenie, że krowie są większe, ale były to jedynie domysły.

— Ani takimi, ani takimi — odparła Mare. — To ludzkie gamety.

Choć odpowiedź była zupełnie rzeczowa, podziałała na Deborah jak grom. Przez całą tę godzinę nawet w głowie nie powstała jej myśl, że może mieć przed sobą ludzkie komórki jajowe. Świadomość tego przyprawiła ją o dreszcz, tym bardziej, że ona sama otrzymała swego czasu czterdzieści pięć tysięcy dolarów za jedno jajeczko!

— Jesteś pewna, że to ludzkie gamety? — wykrztusiła.

— Jasne — odparła Mare. — Przynajmniej na ile się orientuję.

— Ale co my tu robimy? — wyjąkała dziewczyna. — Czyje to komórki?

— Nie do nas należy pytać o takie sprawy — oświadczyła Mare. — Jesteśmy prężnie działającą kliniką niepłodności. Pomagamy klientkom zająć w ciążę. — Wzruszyła ramionami. — Gamety i komórki należą do naszych klientów.

— Ale przez transfer jądrowy przeprowadza się klonowanie — zauważyła Deborah. — Jeżeli to są ludzkie komórki, to znaczy, że klonujemy ludzi!

— Technicznie, być może — zgodziła się Mare. — Ale robimy to w ramach badań nad macierzystymi komórkami zarodkowymi. Prywatne kliniki, takie jak nasza, mają prawo prowadzić takie badania na nadliczbowym materiale, który nie został wykorzystany do sztucznego zapłodnienia i w przeciwnym razie musiałby być zniszczony. Nie otrzymujemy subwencji rządowych, więc ktoś, kto sprzeciwia się tego rodzaju badaniom, nie może mieć poczucia, że je finansuje, kiedy płaci podatki. Zresztą pamiętaj: to są nadliczbowe gamety, a klientki, które je dostarczyły, zgodziły się na ich wykorzystanie. I co najważniejsze, nie dopuszczamy do przekształcenia się komórek po fuzji w prawdziwe embriony. Macierzyste komórki zarodkowe są pozyskiwane w stadium blastocysty, przed procesem różnicowania.

— Rozumiem — odparła Deborah, kiwając głową, choć wcale nie była pewna, czy rzeczywiście rozumie. Nie była przygotowana na coś takiego i w głowie miała mętlik.

— Hej, uspokój się! — zawołała Mare. — To nic takiego. Robimy to już od kilku lat. Wszystko jest w porządku! Wierz mi!

Deborah jeszcze raz skinęła głową, nie wiedziała jednak sama, co o tym myśleć.

— Nie jesteś chyba jedną z tych religijnych maniaczek, co? — zapytała podejrzliwie Mare. Pochyliła się, żeby spojrzeć jej w oczy.

Deborah pokręciła głową. Tego w każdym razie była pewna.

— Bogu dzięki — odetchnęła z ulgą Mare. — Bo te badania macierzystych komórek zarodkowych są przyszłością medycyny. Ale tego na pewno nie muszę ci tłumaczyć. — Zsunęła się ze stołka. — Pójdę po następną porcję — dodała. — Jeśli chcesz, możemy jeszcze porozmawiać o tym, kiedy wrócę.

— Świetnie — odparła Deborah, wdzięczna za tę chwilę na zebranie myśli. Oparłszy łokcie na stole laboratoryjnym, ukryła twarz w dłoniach. Z zamkniętymi oczyma próbowała odgadnąć, w jaki sposób Klinika Wingate'a zdołała uzyskać tak wiele nadliczbowych gamet. Oceniała, że przerobiły już z Mare jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt sztuk, a był to przecież dopiero początek dnia. Z tego, co wiedziała na temat stymulacji hormonalnej, wytworzenie tak wielkiej nadwyżki komórek było rzeczą niezwykłą. W większości przypadków stymulowany cykl przynosił w efekcie około dziesięciu komórek jajowych, z których większość zużywano na zapłodnienie in vitro.

— Ach, panna Marks — usłyszała za sobą. Jednocześnie ktoś klepnął ją w ramię. Uniosła wzrok i choć siedziała, znalazła się oko w oko z doktorem Saundersem. — Cieszę się, że panią widzę. Wygląda pani tak samo uroczo, jak wczoraj.

Deborah zmusiła się do uśmiechu.

— Jak podoba się pani praca w laboratorium?

— Jest ciekawa — odparła Deborah.

— Rozumiem, że panna Jefferson wprowadza panią w tajniki naszych prac — stwierdził Paul. — To bez wątplenia jedna z naszych najlepszych laborantek, tak więc jest pani w niemal tak dobrych rękach, jak gdyby mnie samemu udało się przyjść tu z samego rana, co początkowo planowałem.

Deborah skinęła głową. Taka zarozumiałość przypomniła jej Spencera i dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy jest to nieodłączny rys charakteru specjalistów od niepłodności.

— Przypuszczam — ciągnął Paul — że nie muszę pani wyjaśniać, jak ważna jest ta praca dla naszych klientów i dla przyszłości medycyny w ogóle.

— Panna Jefferson powiedziała mi, że komórki jajowe, z którymi pracowałyśmy, są ludzkimi komórkami — oznajmiła Deborah. — Nie muszę dodawać, że byłam tym zaszokowana, wiedząc, jak trudno jest je uzyskać.

— Powiedziała pani, że jest tego pewna? — zapytał Paul. Jego blada twarz pociemniała.

— O ile pamiętam, jej słowa brzmiały: „na ile się orientuję” — odparła Deborah.

— To są świńskie komórki! — oświadczył Paul. Machinalnie przeciągnął palcami po włosach. — Wykonujemy ostatnio wiele prac na świniach. Wie pani, jaki jest aktualnie główny kierunek naszych badań?

— Panna Jefferson wspomniała o macierzystych komórkach zarodkowych — odparła Deborah.

— To część badań — zgodził się Paul. — Bez wątplenia ważna część, lecz niekoniecznie najbardziej istotna. W tej chwili zajmuję się przede wszystkim zjawiskiem przeprogramowywania jądra komórki dorosłego zwierzęcia przez cytoplazmę oocytu. To podstawa obecnie stosowanych technik klonowania. Wie pani: w ten właśnie sposób sklonowano owcę Dolly.

— Słyszałam o Dolly — odparła Deborah. Odchyliła się do tyłu. W miarę mówienia, Paul coraz bardziej się zapalał, o czym świadczyły wypieki na jego zazwyczaj bladych policzkach. Coraz bliżej przysuwał twarz do Deborah, tak że czuła podmuch, kiedy wyrzucał z siebie twarde spółgłoski.

— Stoimy w obliczu niesłychanego przełomu w naukach biologicznych — powiedział Paul, zniżając głos, jak gdyby zdradzał jej służbową tajemnicę. — Ma pani szczęście, panno Marks! Przyłączyła się pani do nas w najbardziej ekscytującym, rewolucyjnym okresie. Jesteśmy u progu wielu doniosłych zmian. Proszę mi powiedzieć! Czy Helen Masterson zapoznała panią z naszym planem akcjonariatu pracowniczego?

— Chyba nie — odparła Deborah. Odchyliła się już od niego tak daleko, jak tylko mogła, nie ryzykując utraty równowagi na taborecie.

— Jako kierownictwo kliniki pragniemy, aby wszyscy mieli swój udział w żyłce złota, jaką wkrótce stanie się ta dziedzina — wyjaśnił Paul. — Tak więc naszym wartościowym pracownikom, a zwłaszcza członkom zespołu laboratoryjnego, oferujemy możliwość zakupu akcji. Kiedy tylko dokonamy pierwszego przełomowego odkrycia i opublikujemy je, prawdopodobnie na łamach „Nature”, wejdziemy na giełdę. Klinika Wingate’a przeistoczy się z prywatnej, znajdującej się w rękach małej grupy osób firmy w publiczną spółkę akcyjną. Sądzę, że domyśla się pani, jak ten fakt wpłynie na wartość pakietów akcji.

— Przypuszczam, że pójdą w górę — podsunęła Deborah. Paul stał teraz tak blisko, że mogła zajrzeć wprost w czarne głębie jego źrenic. Nagle uświadomiła sobie, dlaczego jego oczy wyglądają tak dziwnie. Wrażenie to wywoływały nie tylko tęczęwki, każda nieco odmiennej barwy, ale i wewnętrzne kąciaki oczu, które tak nachodziły na twar-dówki, że Paul zdawał się mieć lekkiego zeza.

— Aż pod niebo! — oświadczył doktor, robiąc krótkie pauzy między słowami. — Co oznacza, że wszyscy staniemy się milionerami; to znaczy wszyscy posiadacze akcji. Tak więc istotne jest, aby pozostało to w tajemnicy. — Na podkreślenie swych słów przyłożył w klasycznym geście palec do warg. — Dyskrecja jest sprawą najwyższej wagi. To dlatego zachęcamy pracowników, a zwłaszcza personel laboratoryjny, by zamieszkali na miejscu, i dlatego niechętnie patrzymy na zbyt swobodne rozmowy z osobami z zewnątrz. To, co robimy, można by porównać do programu Manhattan, kiedy to powstała bomba atomowa. Czy wyrażam się jasno?

Deborah skinęła głową. Paul odsunął się nieco, choć nadal nie spuszczał z niej swych nieruchomych, nie mrugających oczu. Nareszcie mogła usiąść prosto.

— Mamy nadzieję, że nie będzie pani z nikim rozmawiać na temat prac, jakie tu prowadzimy — ciągnął Paul. — Dla pani własnego dobra. — Zawiesił głos.

— Można na mnie polegać — odparła Deborah, kiedy uświadomiła sobie, że doktor czeka na jej odpowiedź.

— Nie chcemy, żeby prześcignęła nas jakaś inna placówka — dodał Paul. — Nie po tych wszystkich wysiłkach, jakie w to włożyliśmy. A właśnie tu, w okolicach Bostonu, jest wiele instytucji, które pracują nad tymi samymi zagadnieniami.

Deborah skinęła głową. Miejscowy przemysł biotechnologiczny był jej dobrze znany, zresztą już wkrótce czekała ją rozmowa kwalifikacyjna w Genzyme.

— Czy mogę o coś zapytać? — odezwała się.

— Jak najbardziej — odparł Paul. Oparł ręce na biodrach i zakotłosał się na piętach. Ta poza, w połączeniu z ciemną czupryną, przypomniała Deborah przezwisko, jakie nadała mu Helen Masterson: Napoleon.

— Zaintrygowały mnie pracownice z Nikaragui. Odniosłam wrażenie, że wszystkie są w jednakowo zaawansowanej ciąży. O co tu chodzi?



— Na razie zadowolmy się stwierdzeniem, że te kobiety nam pomagają — odparł Paul. — To nic wielkiego i z przyjemnością opowiem pani kiedyś o tym dokładnie.

Oderwał wzrok od oczu Deborah i szybko rozejrzał się po sali. Kiedy upewnił się, że reszta zajęta jest wlanymi sprawami, na powrót zwrócił uwagę ku rozmówczyni. Nim jednak jego spojrzenie spoczęło na jej twarzy, ukradkiem prześliznęło się po długich, okrytych rajstopami nogach i głębokim dekolcie. Nie uszło to uwagi dziewczyny.

— Naprawdę miło było mi z panią pogawędzić — powiedział Paul, zniżając głos. — Lubię rozmawiać z kimś, kto dorównuje mi inteligencją i z kim łączą mnie wspólne zainteresowania.

Deborah o mało co nie parsknęła sardonicznym śmiechem. Przypomniała sobie tę samą idiotyczną uwagę o „wspólnych zainteresowaniach” z ust Spencera i intuicja podpowiadała jej, że wszystko zmierza do tego samego celu. Nie omyliła się. Już za chwilę Paul dodał:

— Z wielką ochotą opowiedziałbym pani o wszystkich ekscytujących badaniach, jakie prowadzę, wyjaśniając przy okazji rolę Nikaraguanek, ale najlepiej byłoby zrobić to na osobności. Może pozwoli pani zaprosić się na kolację dziś wieczorem? Choć klinika leży w takim ustroniu, jest tu w pobliżu niezła restauracja, która mogłaby przypaść pani do gustu.

— Czy przypadkiem nie mówi pan o Stodole? — zapytała kwaśno Deborah.

Jeśli nawet Paul był zaskoczony, że dziewczyna zna nazwę restauracji, nie dał tego po sobie poznać. Z zapałem zaczął opisywać jej kuchnię i romantyczny wystrój, nie przestając zapewniać, jaką radość sprawiłoby mu towarzystwo Deborah. Na koniec zasugerował, że po kolacji mogliby wrócić do jego mieszkania, gdzie pokazałby jej sprawozdania z co ważniejszych przełomowych eksperymentów, którymi aktualnie kierował.

Deborah jeszcze raz stłumiła śmiech. Zaproszenie na oglądanie sprawozdań z badań brzmiało jak wariant gry „chodź obejrzyć moje znaczki”. Mimo żywego zainteresowania prowadzonymi w klinice eksperymentami, dziewczyna nie miała zupełnie ochoty umawiać się z tym pajacem. Odrzuciła jego zaproszenie ze względu na Joannę, podobnie jak poprzedniego dnia po propozycji Spencera. Ku jej zaskoczeniu Paul zareagował niemal identycznie jak jego szef i zaproponował, by Joanna sama zajęła się sobą, gdy oni będą na kolacji. Deborah zaczęła się zastanawiać, czy megalomania jest niezbędnym warunkiem, by stać się specjalistą od niepłodności, czy też skutkiem ubocznym tego zawodu. Jeszcze raz stanowczo odmówiła.

— Więc może w inny dzień? — nalegał Paul. — Albo nawet w weekend. Mógłbym przyjechać do Bostonu.

Powrót Mare wybawił Deborah z opresji. Dziewczyna umieściła przyniesioną płytkę Petriego na stoliku mikroskopu i z szacunkiem przywitała się z doktorem Saundersem.

— No i jak sobie radzi nasza nowa pracownica? — zapytał Paul, z zadziwiającą zręcznością wracając do zwykłego sobie protekcjonalnego sposobu bycia.

— Znakomicie, panie doktorze — odparła Mare. — Jakby była do tego stworzona. Jeśli o mnie chodzi, może już spokojnie zacząć pracować samodzielnie.

— Miło mi to słyszeć — oświadczył Paul. Potem zapytał Mare, czy mógłby zamienić z nią parę słów w cztery oczy. Odeszli o kilka stołów laboratoryjnych dalej, by znaleźć się poza zasięgiem słuchu Deborah.

Udając, że z zainteresowaniem przygląda się nowej porcji preparatu, dziewczyna kątem oka obserwowała rozmawiających. Mówił tylko Paul. Był wyraźnie wzburzony, o czym świadczyła jego dobitna gestykulacja.

Monolog trwał niecałą minutę, po której oboje podeszli z powrotem do Deborah.

— Wrócimy do naszej rozmowy później, panno Marks — powiedział sztywno Paul na odchodnym. — Tymczasem, do roboty!

— Pomogę ci zacząć z tą nową grupą — odezwała się Mare, siadając naprzeciw Deborah.

Deborah pochyliła się nad mikroskopem i przez następnych parę minut dziewczyny pracowały razem, przygotowując oocyty do wydobycia DNA. Jak poprzednio, zaczęły od przesunięcia wszystkich komórek na jedną stronę płytki. Wcześniej już Mare wyjaśniła, że miało to zapobiec pominięciu którejś z nich. Gdy skończyły, Mare wyprostowała się.

— Dobra — powiedziała. Były to jej pierwsze słowa po wyjściu Paula. — Powodzenia! Gdybyś miała jakieś pytania, po prostu mnie zawołaj. Będę pracować przy sąsiednim stole.

Deborah nie mogła nie zauważyć chłodu, który zajął miejsce poprzedniej życzliwości Mare. Gdy laborantka wstała, żeby odejść, dziewczyna odchrząknęła.

— Przepraszam. Nie wiem, jak to powiedzieć...

— W takim razie nie mów — odparła Mare. — Muszę iść do pracy. — Ruszyła w stronę sąsiedniego stołu.

— Czy naraziłam cię na jakieś przykrości? — zawołała za nią Deborah. — Bo jeśli tak, to przepraszam.

Mare odwróciła się. Jej twarz odrobinę złagodniała.

— To nie twoja wina. Po prostu się pomyliłam.

— W czym się pomyliłaś?

— Co do tych komórek — odparła Mare. — To oocyty świń.

— Ach, prawda — przyznała Deborah. — Doktor Saunders już mi to powiedział.

— To dobrze! Cóż, muszę iść do pracy. — Mare wskazała na drugi mikroskop. Uśmiechnęła się słabo i ruszyła dalej.

Deborah patrzyła przez chwilę, jak dziewczyna sadowi się przy stanowisku. Wreszcie pochyliła się nad okularzem własnego mikroskopu. Wpatrywała się w pole, którego lewą część wypełniały drobne, ziarniste kręgi, z których każdy zawierał fluoryzującą grudkę

DNA, nie myślała jednak w tej chwili o zadaniu, które miała do wykonania. Głowę zaprzętało jej pytanie, do jakiego gatunku należały znajdujące się przed nią komórki. Mimo twierdzeń Paula i Mare, nie mogła pozbyć się przekonania, że patrzy na masę ludzkich oocytów.

W ciągu następnej pół godziny pozbawiła jąder przeszło połowę umieszczonych pod mikroskopem komórek. Aby trochę odpocząć od wytężonej pracy, wyprostowała się i mocno potarła oczy. Kiedy je otworzyła, drgnęła z zaskoczenia. Skoncentrowana na swym zadaniu nie dosłyszała odgłosu kroków i teraz ze zdumieniem ujrzała przed sobą skruszoną twarz Spencera Wingate'a. Kątem oka spostrzegła, że Mare także unosi wzrok, a na jej twarzy odmalowuje się podobne zaskoczenie.

— Dzień dobry, panno Marks — zaczął Spencer. Jego głos był dziś bardziej ochryply niż wczoraj. Szef kliniki miał na sobie długi, biały fartuch lekarski, śnieżnobiałą koszulę i poważny jedwabny krawat. Jediną widoczną oznaką wczorajszego pijaństwa były zaczerwienione, podkrążone oczy.

— Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? — zapytał.

— Oczywiście — odparła Deborah z lekkim zakłopotaniem. W pierwszej chwili przeraziła się, że przyszedł zapytać o swoją kartę magnetyczną, szybko jednak uznała to za nieprawdopodobne. Zsunęła się z taboretu, zgadując, że Spencer chce odejść z nią w ustronne miejsce. Rzut oka w stronę Mare ujawnił, że laborantka przygląda się im z napiętą uwagą.

Spencer wskazał gestem jedno z okien, po czym ruszył za dziewczyną.

— Chciałbym przeprosić za wczorajszy wieczór — powiedział. — Mam nadzieję, że nie byłem zbyt wielkim nudziarzem. Obawiam się, że nie pamiętam za dobrze, co się działo po przyjeździe do mnie.

— Zapewniam, że nie był pan nudziarzem — oświadczyła Deborah z wymuszonym śmiechem, usiłując obrócić sprawę w żart. — Był pan bardzo zabawny.

— Nie jestem pewien, czy to komplement — odparł Spencer. — Oczywiście z mojego punktu widzenia najbardziej bolesna jest stracona okazja.

— Nie bardzo rozumiem.

— Wie pani — powiedział Spencer, jeszcze bardziej zniżając głos — straconej okazji z panią i pani koleżanką, Penelope. — Mrugnął porozumiewawczo.

— Ach, racja! — wykrzyknęła Deborah, uświadamiając sobie, że chodzi mu o ów kretyński „trójkąt”. W jednej chwili poczuła do niego taką samą niechęć, jak przedtem do Paula, powstrzymała się jednak od kąśliwych uwag. — Ona ma na imię Prudence — powiedziała tylko.

— Oczywiście — przyznał Spencer, klepiąc się dłonią w czoło. — Sam nie wiem, dlaczego wciąż nie mogę zapamiętać jej imienia.

— Ja też nie wiem — odparła Deborah. — Ale dziękuję za przeprosiny za wczorajszy wieczór, chociaż wcale nie były konieczne. A teraz powinnam chyba wrócić do pracy. — Zrobiła krok w stronę stołów, jednak Spencer zagroził jej drogę.

— Pomyślałem, że moglibyśmy spróbować jeszcze raz dziś wieczorem — powiedział. — Obiecuję, że będę bardziej rozsądny z winem. Co pani na to?

Deborah uniosła wzrok, by spojrzeć w niebieskie oczy mężczyzny. Szukała odpowiedniej odpowiedzi, co było trudne, wzięwszy pod uwagę, że nie darzyła go szacunkiem. Przypomniawszy sobie wymianę zdań między Spencerem a Paulem, której świadkiem była poprzedniego dnia, miała ochotę dolać oliwy do ognia i oświadczyć mu, że została już zaproszona przez jego, jak się zdaje, rywala. W takich okolicznościach byłaby to odprawa w pełnym znaczeniu tego słowa. Powstrzymała się jednak. Zważywszy, jakie miały z Joanną zamiary, robienie sobie wroga z założyciela kliniki nie byłoby zbyt rozsądne.

— Nie ma sensu brać dwóch samochodów — dodał Spencer, gdy dziewczyna wahała się z odpowiedzią. — Moglibyśmy wszyscy spotkać się na parkingu około piątej piętnaście.

— Dziś wieczorem nie da rady — odparła Deborah głosem tak słodkim, na jaki mogła się zdobyć.

— A więc jutro? — podsunął Spencer.

— Może później ustalimy termin — zaproponowała Deborah. — Joanna... to znaczy Prudence i ja musimy nadrobić zaległości ze snem. — Poczowała, jak zalewa ją fala gorąca, i wiedziała, że się rumieni. Pierwszy raz pomyliła się co do imienia, ale musiało jej się to zdarzyć akurat teraz, przed założycielem kliniki.

— Może w weekend? — podsunął Spencer, który najwyraźniej nie zauważył jej przejęzyczenia. — Co pani na to?

— Myślę, że to da się zrobić — odparła szybko Deborah, starając się nadać głosowi entuzjastyczne brzmienie. — Obie z Prudence wolimy bawić się w te wieczory, kiedy następnego dnia nie musimy zrywać się do pracy.

— W zupełności się z tym zgadzam — przyznał Spencer. — W ten sposób wszyscy moglibyśmy to odespać.

— Otóż to — przytaknęła Deborah.

— Bezpośredni numer do mnie to osiem osiem osiem — powiedział Spencer z lubieżnym mrugnięciem. — Będę czekał na wiadomość od pani.

— Zadzwoń — odparła Deborah, choć wcale nie zamierzała dotrzymać słowa.

Spencer wyszedł z laboratorium. Deborah patrzyła, jak odchodzi, po czym przeniosła wzrok na Mare. Laborantka wciąż przyglądała się jej szeroko otwartymi oczami. Deborah wzruszyła ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć, że nie odpowiada za zachowanie kierownictwa. Wracając do mikroskopu, zerknęła na zegarek. Dzięki Bogu zbliżała się już pora spotkania z Joanną i wkrótce obie zajmą się ważniejszymi sprawami.

## Rozdział 12

10 maja 2001

10.55

W miarę jak zbliżała się jedenasta, Joanna nabierała coraz więcej szacunku dla pracowników biurowych. Trzeba przyznać, że pracowała wyjątkowo intensywnie, żeby zrobić możliwie jak najwięcej, ale i tak wprowadzanie danych okazało się bardziej męczące, niż sądziła. Do ustrzeżenia się przed błędami potrzebna była niezwykła koncentracja, a wykonywanie tego codziennie przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku było rzeczą trudną do wyobrażenia.

Dokładnie za pięć jedenasta dziewczyna wstała i przeciągnęła się. Uśmiechnęła się do sąsiadki z kabinki od południa, która uniosła się na odgłos odsuwanego krzesła. Była to dość wścibska osobka, która najwyraźniej postawiła sobie za punkt honoru przez cały ranek zaglądać co chwilę do Joanny. Nazywała się — *nomen omen* — Gale Overlook\*.

Joanna starannie przemyślała swój plan. Wiedziała, od czego zacząć. Teraz, gdy umówiona pora spotkania z Deborah była już bliska, chwyciła torebkę, w której miała hackerskie oprogramowanie, telefon komórkowy i niebieską kartę Wingate'a, po czym ruszyła korytarzykiem między kabinami. Jej celem była przegródka administratora sieci komputerowej. Miała nadzieję, że go tam zastanie, a to z jednego prostego powodu: jeśli będzie w swojej kabinie, nie będzie go w pomieszczeniu z serwerem.

Wcześniej, kiedy ogarnął ją lęk, że zostanie przyłapaną w pomieszczeniu z serwerem, zaświtało jej w głowie, że najprawdopodobniej jedyną osobą, która kiedykolwiek tam zagląda, jest Randy Porter. To oznaczało, że dopóki byłby on u siebie, Joanna nie miałaby zbyt wielu powodów do obaw.

Mijając jego przegródkę, odetchnęła z ulgą. Siedział nad swoją klawiaturą. Joanna skrzyła w lewo i wyszła na główny korytarz. Deborah czekała już w umówionym miejscu. Jakies pięć metrów dalej znajdowały się drzwi korytarzyka prowadzącego do pomieszczenia z serwerem, na których wisiała tekturka z napisem WSTĘP WZBRONIONY.

— Mam nadzieję, że ranek minął ci równie interesująco, jak mnie — powiedziała Deborah, gdy Joanna zbliżyła się i wypiła łyk wody z podajnika.

— Nie wiem, jak ty, ale ja wynudziłam się setnie — odparła Joanna. Rozejrzała się po korytarzu, by upewnić się, że nikt nie zwraca na nie uwagi. — Nic się nie działo, ale też i nie chciałam, żeby coś się działo.

---

\*W wolnym tłumaczeniu: Gale Patrzalka (przyp. tłum.).

— Znow zostałyśmy zaproszone na kolację w Stodole, i to dwa razy — oświadczyła dumnie Deborah.

— Kto cię tym razem zapraszał?

— Po pierwsze, Spencer Wingate. I zaprasza nas obie, nie tylko mnie.

— Widziałaś się z nim?

— Jak najbardziej. Przyszedł do laboratorium, żeby przeprosić za to, że wczoraj urwał mu się film, po czym błagał o rewanż. Powiedziałam mu, że jestem zajęta, ale ty masz czas.

— Bardzo śmieszne! — oburzyła się Joanna. — Jak wyglądał?

— Uwzględniwszy wszystko, nie najgorzej — stwierdziła Deborah. — Nie wydaje mi się, żeby zbyt wiele pamiętał.

— To zrozumiałe — przyznała Joanna. — Mam nadzieję, że temat niebieskiej karty nie wypłynął w waszej rozmowie.

— W ogóle.

— Kto jeszcze do ciebie uderzał?

— Paul Saunders! Możesz sobie wyobrazić randkę z tym facetem?

— Tylko w przypływie skłonności masochistycznych — odparła Joanna. — Ale nawet przez chwilę nie uwierzę, że to zaproszenie obejmowało także i mnie. Widziałam, jak patrzył na ciebie wczoraj w swoim gabinecie.

Deborah nie zaprzeczyła. Zerknęła na obie strony korytarza, by się upewnić, że nikt nie zwraca na nie uwagi.

— Przejdźmy do rzeczy — powiedziała, zniżając głos. — Masz jakiś konkretny plan co do naszego włamania do pomieszczenia z serwerem?

— Mam — odparła Joanna. Równie ścisłym głosem przedstawiła przyjaciółce swe wnioski na temat Randy'ego Portera.

— Genialne — przyznała Deborah. — Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałam, w jaki sposób miałabym cię ubezpieczać. Pomieszczenie z serwerem nie ma tylnego wyjścia, więc nawet gdybym dała ci znać, że ktoś wchodzi, i tak nie miałabyś jak się wydostać.

— Otóż to — stwierdziła Joanna. — Teraz wystarczy, że dasz mi znać, jeśli Randy Porter opuści swoją kabinę. Kiedy tylko to zrobi, naciśnij TALK na swojej komórce, którą wcześniej ustaw na mój numer telefonu. Jeśli mój telefon zadzwoni, będę wiedziała, że muszę natychmiast zwiewać.

— Brzmi to rozsądnie — przyznała Deborah. — Spróbujemy od razu?

— Tak myślę — odparła Joanna. — Jeżeli cokolwiek nie wyjdzie, możemy spróbować ponownie w porze lunchu. Jeśli to też nie wypali, będziemy miały jeszcze jedną szansę po południu. Inaczej będziemy musiały wrócić jutro.

— Bądźmy optymistkami — oświadczyła Deborah, wystukując numer Joanny na klawiaturze swej komórki. — Nie zamierzam wkładać tej sukienki przez kolejny dzień z rzędu!



— Zajrzałam do Randy'ego Portera tuż przed naszym spotkaniem — powiedziała Joanna. — Był u siebie. Wydaje mi się, że siedział w Internecie, więc myślę, że zajmie go to na dłużej.

— Masz wszystko, co trzeba?

Joanna poklepała torebkę.

— Mam oprogramowanie, instrukcje Davida i niebieską kartę Wingate'a. Miejmy nadzieję, że karta zadziała, bo jeśli nie, znów będziemy w punkcie wyjścia.

— Powinna działać — stwierdziła Deborah. — Pójdę teraz do biura, a ty pokręć się tutaj. Jeśli Randy Porter wciąż siedzi na tyłku w swojej kabinie, zadzwonię do ciebie i odczekam dwa dzwonki. To będzie zielone światło i możesz ruszać do dzieła.

Dziewczyny krótko uściśniły sobie dłonie i Deborah żwawym krokiem ruszyła korytarzem. Przy drzwiach do biura zatrzymała się i obejrzała za siebie. Joanna, oparta o ścianę, stała z założonymi rękoma przy fontannie. Pomachały do siebie.

Deborah nie pamiętała dokładnie, gdzie w labiryncie przegródek, wypełniającym dawną salę szpitalną, mieści się kabinka Randy'ego Portera. Kiedy pospiesznie obeszała najbardziej prawdopodobny obszar, i nie znalazła jej tam, rozpoczęła bardziej systematyczne poszukiwania. Wreszcie, ku swemu zadowoleniu, spostrzegła Randy'ego Portera wciąż siedzącego przed monitorem. Nie przyglądała mu się zbyt długo, odniosła jednak wrażenie, że pochłania go jakaś gra komputerowa.

Sięgnęła do torebki i wydobyla z niej telefon komórkowy. Na wyświetlaczu znajdował się wprowadzony wcześniej numer Joanny, więc wcisnęła tylko przycisk TALK. Z komórką przy uchu odczekała dwa pełne sygnały, po czym wcisnęła END i schowała telefon z powrotem do torebki.

Kątem oka wciąż obserwując kabinę Randy'ego Portera, wróciła na główny korytarz. Nie było tu dobrego miejsca, w którym mogłaby stać, nie zwracając na siebie uwagi, zaczęła więc przechadzać się tam i z powrotem.

Po znaku od Deborah Joanna przełączyła swój telefon w tryb wibracji. Dźwięk dzwonka, choć spodziewała się go przecież, sprawił, że podskoczyła. Najwyraźniej była zdenerwowana.

Rozejrzawszy się dyskretnie po korytarzu, by upewnić się, że nikt nie patrzy, czym prędzej prześliznęła się przez drzwi z napisem WSTĘP WZBRONIONY do mieszczącego się za nimi korytarzyka. Gdy drzwi zamknęły się za nią, uświadomiła sobie, że ciężko dyszy, jak po szybkim biegu. Serce waliło jej jak szalone. Czuła lekki zawrót głowy. Sam fakt, że znajduje się w miejscu, gdzie przebywać nie ma prawa, podziałał na nią paraliżująco. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że nie nadaje się na włamywacza; czym innym było snucie planów, czym innym zaś wprowadzenie ich w życie.

Oparta plecami o drzwi, wzięła parę głębokich oddechów. Regularne wdechy i wydechy w połączeniu z krótkim uspokajającym monologiem wewnętrznym pomogły jej ukoić nerwy na tyle, by mogła działać dalej. Niepewnie ruszyła przed siebie, z początku wolno, krok za krokiem, wkrótce jednak nabrała śmiałości, kiedy już przestało jej kręcić się w głowie. Wreszcie dotarła do drzwi wewnętrznego pomieszczenia. Obejrawszy się raz jeszcze w stronę wyjścia, sięgnęła do torebki i wyciągnęła niebieską kartę magnetyczną Wingate'a. Szybkim ruchem przesunęła ją przez szczelinę czytnika. Jeśli żywiła jeszcze jakieś obawy co do tego, czy karta zadziała, szczęśliwie mechanizmu je rozproszyło. Otworzyła drzwi. Chwilę później wpadła do środka jak burza i popędziła do konsoli serwera.

Tym, co Randy'emu Porterowi podobało się w komputerach najbardziej, były gry. Mógł grać przez cały dzień i wciąż nie miał dość, gdy wieczorem wracał do domu. To było jak nałóg. Zdarzało się, że kładł się dopiero o trzeciej lub czwartej nad ranem, ponieważ w Internecie zawsze znalazł się ktoś, kto nie spał i miał ochotę na grę. Nawet wtedy Randy niechętnie odchodził od komputera i zmuszała go do tego jedynie świadomość, że w przeciwnym razie następnego dnia w pracy nie będzie się nadawał do życia.

A największą zaletą jego stanowiska w Klinice Wingate'a było to, że mógł oddawać się swej namiętności w godzinach pracy. Inaczej było na samym początku, gdy trafił tu prosto z Uniwersytetu Massachusetts. Harował wtedy po godzinach, uruchamiając lokalną sieć kliniki. Potem trzeba było zdobyć dla niej najlepsze z możliwych zabezpieczeń. To wymagało dodatkowej pracy, a nawet konsultacji ze specjalistami z zewnątrz. I wreszcie była strona internetowa: przez kilka miesięcy ją opracowywał, a potem modyfikował, aż wszyscy byli zadowoleni. Teraz jednak wszystko chodziło jak w zegarku, co oznaczało, że nie miał prawie nic do roboty, jeśli nie liczyć zdarzających się czasem defektów sprzętu lub oprogramowania. A nawet te problemy wynikały zwykle stąd, że jakiś tłumok, sam o tym nie wiedząc, robił coś niesamowicie głupiego. Oczywiście Randy nigdy nie mówił tego głośno. Był zawsze uprzejmy i udawał, że wina leży po stronie komputera.

Normalny dzień pracy rozpoczynał się dla niego przy klawiaturze we własnej kabinie. Za pomocą Windows 2000 Active Directory sprawdzał, czy wszystkie systemy działają normalnie, a wszystkie terminale są zablokowane. Z reguły zabierało mu to około piętnastu minut.

Po przerwie na kawę wracał do swojej kabinki na poranną sesję gier. Aby nie przyłapała go na tym zajęciu szefowa, Christine Parham, często przesiadał się na różne nie używane stacje robocze. W rezultacie trudno było go czasem znaleźć, choć nigdy nie miał z tego powodu najmniejszych kłopotów, gdyż wszyscy sądzili, że poszedł naprawić czyjś komputer.

10 maja o 11.11 Randy toczył walkę na śmierć i życie z przebiegłym, zręcznym przeciwnikiem o pseudonimie SCREAMER. Unreal Tournament był ostatnio jego ulubioną grą, a w tej właśnie chwili zabrnął w sytuację bez wyjścia, która musiała zakończyć się śmiercią jednego z rywali. Dłonie pociły mu się z niepokoju, ale wciąż walczył, wierząc w przewagę własnego doświadczenia i wprawy.

Nagle rozległ się brzęczyk. Randy omal nie zerwał się ze swego ergonomicznego fotela. W prawym dolnym rogu ekranu pojawiło się małe okienko, w którym zamigotały słowa: NARUSZENIE SERWERA. Zanim Randy zdążył zareagować na ten komunikat, usłyszał złowieszczy odgłos, który na powrót przyciągnął jego uwagę do głównego okna. Ku swemu zmartwieniu zobaczył tam wirtualny sufit. Sekundę później ukazała się twarz jego przeciwnika, pochylająca się nad nim z triumfalnym uśmiechem. Mózg Randy'ego nie potrzebował więcej czasu niż procesor Pentium 4, by się domyślić, że SCREAMER właśnie go zabił.

— A niech to szlag! — mruknął Randy.

Zabito go po raz pierwszy od przeszło tygodnia i był tym ogromnie zawiedziony. Z irytacją przeniósł wzrok na migające okienko, które zdekoncentrowało go w tak krytycznej chwili. Ktoś otworzył drzwi od pomieszczenia z serwerem. Randy nie lubił, żeby ktokolwiek kręcił się przy serwerze. Uważał ten pokój za swoje królestwo. Nikt nie miał powodu, żeby tam wchodzić, z wyjątkiem ekipy serwisu IBM, a w takim wypadku powinien tam być razem z nimi.

Wyłączył grę i wsunął joystick za monitor, żeby mniej rzucał się w oczy. Wreszcie wstał. Miał zamiar sprawdzić, kto, u diabła, jest w pomieszczeniu z serwerem. Ktokolwiek to był, przyczynił się do jego śmierci.

Gdy telefon komórkowy zaczął wibrować, Joannie serce skoczyło do gardła. Walczyła z lękiem od chwili, gdy przeszła przez zewnętrzne drzwi pomieszczenia z serwerem. Myliła się przy klawiaturze. Najprostsze czynności zajmowały jej więcej czasu niż zwykle, co tylko powiększało jej niepokój — i mnożyło pomyłki.

Domyśliwszy się, że dzwoniła Deborah, Joanna wiedziała, że ma tylko parę sekund na wyjście z pomieszczenia przed pojawieniem się Randy'ego Portera. Rozdygotana z nerwów, zaczęła wychodzić z systemu. Musiała jedynie pozamykać wszystkie okna, które wywołała na ekran, ale przy jej chaotycznych ruchach myszką zdawało się to trwać całą wieczność. Wreszcie ostatnie okno zniknęło, pozostawiając pusty ekran. Joanna szybko wrzuciła hakerskie oprogramowanie do torebki; nie zdążyła jeszcze włożyć CD do napędu. Gdy odezwał się telefon, siedziała przy konsoli serwera zaledwie od paru minut i była dopiero na wstępnym etapie całego procesu.

Gorączkowo porwała torebkę z blatu biurka i rzuciła się ku drzwiom. Jednak w tej samej chwili, w której je otworzyła, usłyszała chrobot przy klamce drzwi zewnętrznych. Ogarnięta paniką, puściła wewnętrzne drzwi i cofnęła się do pomieszczenia.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że jest w pułapce. Nie mając innego wyboru, rzuciła się do pionowych jednostek centralnych, z których każda miała wymiary płytkiej, czteroszufładowej szafki na akta. Skuliła się, najciaśniej jak mogła, za stojącym najdalej od drzwi urządzeniem. Trudno było nazwać to kryjówką, ale nic więcej nie mogła zrobić.

Serce waliło jej tak mocno, że była pewna, iż osoba, która nadchodzi, usłyszy jego łomot. Dosłownie pulsowało jej w uszach. Czuła, jak pocą się jej zaciśnięte w pięści dłonie, które przyciskała do policzków. Gorączkowo zastanawiała się, co powie, kiedy zostanie odkryta. Niestety, nie miała absolutnie nic do powiedzenia.

Parę chwil po opuszczeniu kabinki, w drodze do pomieszczenia z serwerem, Randy zdołał nieco ochłonąć z gniewu. Złościło go nie tyle to, że ktoś wtargnął do jego królestwa, ile fakt, że przeszkodzone mu w grze, co kosztowało go utratę życia. Nim dotarł na miejsce, bardziej zależało mu na powrocie do Unreal Tournament i podjęciu nowej walki ze SCREAMEREM niż na robieniu awantury intruzowi.

— Co u diabła? — mruknął sam do siebie, gdy ujrzał otwarte drzwi od pomieszczenia z serwerem i pusty pokój za nimi. Zerknął na drzwi zewnętrzne, które zostawił uchylone, zastanawiając się, jakim cudem ktoś, kto był w środku, zdołał się wy dostać. Potem raz jeszcze omiół wzrokiem wnętrze. Wszystko było w porządku. Spojrzał na konsolę serwera. Ona także wyglądała tak, jak ją zostawił, z monitorem wyświetlającym wygaszacz ekranu. Obrócił drzwi tam i z powrotem na zawiasach. Przyszło mu nagle do głowy, że być może po swej ostatniej wizycie nie zamknął ich dokładnie i po prostu otworzyły się same.

Wzruszył ramionami i zatrzasnął drzwi. Usłyszawszy szcęk zamka, napał na nie, próbując otworzyć. Nie ustąpiły. Z kolejnym wzruszeniem ramion odwrócił się i myśląc już tylko o powrocie do swej kabinki i do SCREAMERA, szybkim krokiem wyszedł na korytarz.

— Już dobrze, już dobrze! — powtarzała kojącym głosem Deborah. Trzymała Joannę za ramiona, próbując ją uspokoić. Dziewczyna była cała rozdygotana. Od czasu do czasu wstrząsała nią szloch. Przyjaciółki stały w laboratorium, obok okna, przy którym kilkadziesiąt minut temu Deborah rozmawiała ze Spencerem. Mare widziała, jak weszły, ale dostrzegając rozpacz Joanny i szanując ich prywatność, nie zbliżyła się do nich.

Deborah zadzwoniła na komórkę Joanny, gdy tylko spostrzegła, że głowa Randy'ego gwałtownie unosi się ponad przepierzenie. Chwilę później administrator sieci wypadł pędem z kabinki. Deborah musiała się spieszyć, gdyż Randy szedł bardzo szybko. Jej najgorsze obawy zostały potwierdzone, gdy skierował się prosto na główny korytarz i skręcił ku pomieszczeniu z serwerem. Innym zmartwieniem było to, że nie widziała Joanny, a intuicja mówiła jej, że przyjaciółka miała zbyt mało czasu, by uciec.

Kiedy Randy, nie zbaczając z drogi, podszedł do zewnętrznych drzwi pomieszczenia z serwerem i natychmiast wszedł do środka, ostatnie resztki nadziei, że kierował się gdzie indziej, zostały zniweczone. Deborah stanęła pod drzwiami, nie wiedząc, co robić. Niezdolna podjąć decyzji, nie zrobiła nic.

Mijały pełne udręki minuty. Deborah zastanawiała się, czy nie powinna wejść i próbować rozładować sytuację, jakakolwiek by ona była. Wyobrażała sobie już, jak wpada do środka, chwyta Joannę za rękę i rzuca się pędem do samochodu. Lecz nagle, ku jej najwyższemu zdumieniu, Randy Porter wynurzył się z pomieszczenia, sam i wyraźnie spokojniejszy, niż kiedy wchodził.

Deborah natychmiast pochyliła się i pociągnęła łyk wody z fontanny, by nie sprawiać wrażenia, że kręci się pod drzwiami bez żadnego celu. Randy przeszedł za nią i wyczuła, że zwolnił kroku. Nie przystanął jednak. Nim się wyprostowała, był już daleko. Odchodził korytarzem w stronę sali biurowej, ale z tułowiem skrzywionym tak, by nie tracić jej z oczu. Kiedy dostrzegł jej spojrzenie, porozumiewawczo uniósł kciuk. Dziewczyna oblała się rumieńcem, bo zaświtało jej w głowie, że pochylając się nad stosunkowo niską fontanną, wystawiła na widok publiczny sporą część tylnych partii swego ciała.

— Ja się do tego nie nadaję! — oświadczyła gniewnie Joanna w odpowiedzi na wysiłki Deborah, choć nie bardzo było wiadomo, na kogo właściwie się gniewa. Zacisnęła wargi, ale usta jej drżały, jak gdyby znów miała zacząć płakać. — Mówię poważnie!

Deborah uciszyła ją.

— Ja się do tego nie nadaję — powtórzyła Joanna, zniżając głos. — Byłam cała w nerwach. To żalosne.

— Ośmielę się być odmiennego zdania — oświadczyła Deborah. — Ostatecznie poradziłaś sobie. Nie widział cię. Wyluzuj się! Jesteś dla siebie zbyt surowa.

— Mówisz poważnie? — Joanna zaczerpnęła kilka urywanych oddechów.

— Jak najbardziej — odparła Deborah. — Każdy inny, włącznie ze mną, spartoliłby to. Ale tobie jakoś się udało i możemy spokojnie spróbować jeszcze raz.

— Ale ja tam nie wracam — oświadczyła Joanna. — Zapomnij o tym.

— Naprawdę chcesz zrezygnować po tym wszystkim, co w to włożyliśmy?

— Teraz twoja kolej — odparła Joanna. — Ty tam wejdiesz. Ja będę pilnować.

— Bardzo chętnie, gdybym tylko mogła — stwierdziła Deborah. — Problem w tym, że nie znam się na komputerach tak dobrze jak ty. I możesz mi tłumaczyć, co robić, aż język stanie ci kołkiem, a i tak gwarantuję, że wszystko spieprzę.

Joanna spojrzała na przyjaciółkę z wyrzutem.

— Przykro mi, że nie jestem komputerowcem — dodała Deborah. — Ale moim zdaniem nie powinniśmy zrezygnować. Obie chcemy się dowiedzieć, jaki los spotkał nasze komórki jajowe, a mnie interesuje teraz jeszcze jedna kwestia.

— Czekasz pewnie, aż cię zapytam, co to takiego — mruknęła Joanna.

Deborah obejrzała się na Mare, by upewnić się, że laborantka nie podsłuchuje ich rozmowy. Zniżywszy głos, opowiedziała przyjaciółce o sprzecznych opiniach na temat pochodzenia gamet, które wykorzystywano do badań. Joanna natychmiast zapomniała o swoim rozżaleniu.

— To dziwne — wykrzyknęła.

Wyraz twarzy Deborah sugerował, że nie uważa ona słowa „dziwne” za wystarczająco mocne.

— Powiedziałabym raczej: niesłychane — odparła. — Pomyśl tylko! Płacą nam dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów za pół tuzina komórek jajowych, a ja dostaję kilkaset jajeczek do zabawy. Jestem przecież zupełną amatorką, jeśli chodzi o transfer jądrowy. To więcej niż dziwne.

— W porządku, to niesłychane — zgodziła się Joanna.

— Mamy więc następny powód, żeby dobrać się do ich plików — stwierdziła Deborah. — Chcę się dowiedzieć, na czym polegają ich badania i w jaki sposób zdobywają te gamety.

Joanna pokręciła głową.

— Być może to słuszna motywacja, ale mówię ci: nie sądzę, żebym była w stanie zmusić się do wejścia tam po raz drugi.

— Ale teraz jesteśmy w lepszej sytuacji niż przedtem — oświadczyła Deborah.

— Nie rozumiem dlaczego — odparła Joanna.

— Jak mi się zdaje, pan Randy Porter wyskoczył ze swej kabinki dokładnie w chwili, kiedy otworzyłaś drzwi pomieszczenia z serwerem. Stąd wynika, że zorganizował to tak, żeby wiadomość o tym pojawiła się na jego monitorze. W każdym razie takie wyjaśnienie ma sens. To nie mógł być zbieg okoliczności.

— Być może masz rację — zgodziła się Joanna. — Ale właściwie co z tego?

— To z tego, że musimy zrobić coś więcej, niż tylko sprawdzić, czy siedzi w swej kabince — wyjaśniła Deborah. — Musimy go stamtąd wywabić i czymś zająć.

Joanna zastanowiła się nad tym, kiwając głową.

— Czyżbyś miała już jakiś plan?

— Oczywiście — odparła Deborah z przebiegłym uśmiechem. — Kiedy parę minut temu mijał mnie w korytarzu, jak pochylałam się nad fontanną, o mało nie skręcił sobie szyi. Wziąwszy to pod uwagę, byłabym wielce zaskoczona, gdyby nie udało mi się przygwoździć go w stołówce podczas lunchu i uciąć sobie z nim pogawędkę. Mam nadzieję, że potrafię zainteresować go na dłużej. Potem, kiedy skończysz pracę na serwerze, możesz zadzwonić do mnie na komórkę, żeby mnie wybawić.

Joanna ponownie skinęła głową, lecz nie była jeszcze całkiem przekonana do tego pomysłu.



— Oto jak to zrobimy — ciągnęła dalej Deborah, spostrzegając jej wahanie. — Wróć do biura i upewnij się, że Randy Porter jest w swojej kabinie. Potem idź do siebie. Wszystko jedno, czy będziesz pracować, czy nie, to nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest, żebyś zwróciła uwagę, kiedy facet wyjdzie na lunch. Wtedy zadzwoń do mnie jak najszybciej. W ten sposób może uda mi się nawet zaczepić go w drodze do stołówki, co byłoby chyba łatwiejsze, niż gdybym dotarła tam, gdy on będzie już siedział. Kiedy tylko nawiążę rozmowę i wszystko będzie w porządku, zadzwonię do ciebie. Wtedy wskoczysz z powrotem do pomieszczenia z serwerem i zrobisz, co trzeba. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że znacznie lepiej będzie zrobić to w porze lunchu. To o wiele rozsądniejsze. Kiedy skończysz, przyjdź prosto do stołówki. Uwolnisz mnie od jego towarzystwa, a przy okazji sama zjesz lunch.

— Tobie wszystko wydaje się takie proste — stwierdziła Joanna.

— Naprawdę jestem przekonana, że takie będzie — odparła Deborah. — Co o tym myślisz?

— Przypuszczam, że ma to ręce i nogi. Ale co będzie, jeśli zaczniecie rozmowę, a on ją przerwie? Dasz mi znać?

— Oczywiście, że natychmiast dam ci znać — zapewniła Deborah. — I pamiętaj! Jeśli on będzie w stołówce, będziesz miała mnóstwo czasu, żeby się wymknąć. To nie to samo, jakby siedział w swojej kabinie.

Joanna pokiwała głową.

— Poprawiło ci się samopoczucie?

— Chyba tak.

— Świetnie — stwierdziła Deborah. — W takim razie ruszajmy do akcji. Gdybyś przypadkiem nie zastała pana Portera w jego kabinie, lepiej zadzwoń do mnie. Jeśli nie uda nam się go znaleźć, może trzeba będzie zmodyfikować nasz plan.

— Dobra! — odparła Joanna, próbując dodać sobie animuszu. Krótco uściśnęła dłoń przyjaciółki, odwróciła się i odeszła.

Deborah patrzyła za nią. Zdawała sobie sprawę, że Joanna jest poważnie wytrącona z równowagi, znała też jednak jej niezwykłą odporność. Wiedziała, że kiedy sytuacja staje się trudna, na jej przyjaciółkę bez wątpienia można liczyć.

Wróciła do mikroskopu i próbowała znów zająć się pracą. Ale nadaremnie. Była zbyt podekscytowana, żeby się skupić na tak precyzyjnym zadaniu, jakim było pozbowienie oocytów jąder. Poza tym siedziała jak na szpilkach, w każdej chwili spodziewając się od Joanny wiadomości, że Randy'ego Portera nie ma w jego kabinie. Kiedy minęło pięć minut, a telefon nie zadzwonił, Deborah odsunęła się od stołu laboratoryjnego i podeszła do stanowiska Mare. Dziewczyna, wyczuwszy jej obecność, uniosła wzrok znad okularów mikroskopu.

— Mam pytanie — powiedziała Deborah. — Skąd biorą się te komórki, nad którymi pracujemy?

Marę wskazała kciukiem za siebie.

— Z inkubatora na końcu sali.

— A skąd biorą się w inkubatorze?

Mare rzuciła jej spojrzenie, którego nie dałoby się wprawdzie uznać za wrogie, ale za zbyt przyjazne też nie.

— Zadajesz wiele pytań.

— To cecha dobrze zapowiadającego się badacza — odparła Deborah. — Kiedy naukowiec przestaje zadawać pytania, to znaczy, że musi przejść na emeryturę albo rozjeździć się za inną robotą.

— Komórki przywożone są windą, która znajduje się wewnątrz inkubatora — wyjaśniła Marę. — Ale to wszystko, co wiem. Nigdy nie zachęcano mnie do pytania o to ani też nie ciekawiło mnie to zbytnio.

— Kto mógłby wiedzieć coś więcej? — zapytała Deborah.

— Myślę, że panna Finnigan.

Opierając dłonie na poręczach krzesła, Randy uniósł się powoli, by zapewnić sobie lepszy widok na salę biurową. Chciał sprawdzić, czy Christine jest w swojej kabinie, ale tak, żeby ona o tym nie wiedziała. Gdyby wyprostował się na całą wysokość, zauważyłaby go, ale jeśli wstawał powoli, mógł się zatrzymać, kiedy tylko dostrzegł czubek jej pokaźnej, kędzierzawej głowy. Bingo! Była u siebie i Randy, uspokojony, opadł na siedzenie.

Wiedząc już, że szefowa biura jest w pobliżu, zmniejszył moc głośników komputera. Choć w domu nastawiał efekty dźwiękowe na cały regulator, w biurze był realistą, tym bardziej, że Christine siedziała zaledwie parę kabinek dalej.

Następnie wyciągnął joystick. Ustawił go w stosownej pozycji i poprawił się na krześle. Jeśli miał w grze dać z siebie wszystko, musiał wygodnie siedzieć. Kiedy wszystko było już tak, jak lubił, sięgnął po myszkę, by wejść do Internetu. Nagle zamarł. Niespodziewanie przyszła mu do głowy inna myśl.

Randy zaprogramował drzwi pomieszczenia z serwerem tak, by nie tylko wysyłały mu ostrzeżenie, ilekroć zostały otwarte, ale i tak, by czytnik kart przy wejściu rejestrował tożsamość osoby, która tego dokonała.

Paroma szybkimi kliknięciami myszki wywołał odpowiednie okno. Spodziewał się, że na czele listy zobaczy własne nazwisko, które zostało zarejestrowane wczoraj, gdy poszedł sprawdzić pomieszczenie po wizycie Helen Masterson. To potwierdziłoby jego podejrzenie, że drzwi po prostu same się otworzyły, ponieważ nie zamknął ich dokładnie. Jednak ku zdumieniu Randy'ego to nie jego nazwisko widniało u góry. Listę otwierał doktor Spencer Wingate, sławetny założyciel kliniki, który zajrzał tam o 11.10 tegoż właśnie ranka.

Randy wpatrywał się w dane z mieszaniną zakłopotania i niedowierzania. Jak to możliwe, pomyślał. Ponieważ poważnie traktował swą komputerową waleczność, prowadził dokładny rejestr swych triumfów, a nawet rzadkich porażek. Zmniejszwszy bieżące okno, wywołał na ekran historię Unreal Tournament. I znalazł to, czego szukał: został zabity o 11.11.

Odetchnął głęboko. Kołysząc się na ergonomicznym krześle, wpatrywał się w ekran, podczas gdy jego mózg odtwarzał przebieg wypadków. Oceniał, że dotarcie z kabinki do pomieszczenia serwera mogło mu zająć nie więcej niż jedną, dwie minuty, co oznaczało, że przybył tam około 11.12 albo 11.13. Jeśli tak było w istocie, gdzie, u diabła, był doktor Wingate, który wszedł o 11.10? A jakby tego było mało, dlaczego zostawił nieodmknięte drzwi?

Dzieje się tu coś dziwnego, doszedł do wniosku Randy, tym bardziej że doktor Wingate był podobno na pół-emeryturze, choć krążyły obecnie plotki, że wrócił. Randy podrapał się po głowie, zastanawiając się, co robić, i czy w ogóle coś robić. Był obowiązany zgłaszać wszelkie naruszenia bezpieczeństwa doktorowi Saundersowi, ale nie był pewien, czy dotyczyło to i tej sytuacji. Skoro doktor Wingate był największą szychą w całej instytucji, jak cokolwiek, co zrobił, mogło być naruszeniem bezpieczeństwa?

Potem Randy wpadł na inny pomysł. Może powinien powiadomić tego dziwaka, Kurta Hermanna. Szef ochrony kazał mu zaprogramować komputer tak, żeby on też rejestrował każde otwarcie wszelkich drzwi odblokowywanych kartą magnetyczną. To oznaczało, że Kurt już wie, iż doktor Wingate był w pomieszczeniu z serwerem. Szef ochrony nie mógł natomiast wiedzieć, że doktor przebywał tam jedynie dwie minuty i nie zamknął za sobą drzwi.

— Och, kurde! — mruknął na głos Randy. Zamartwianie się tym wszystkim było jeszcze gorsze od pracy. W tej chwili chciał przede wszystkim na powrót połączyć się ze SCREAMEREM, tak więc pochylił się i sięgnął po myszkę.

— Panno Finnigan! — zawołała Deborah. Stała w drzwiach gabinetu szefowej laboratorium. Wcześniej pukała w futrynę, ale Megan Finnigan była zbyt zaprzątnięta pracą przy komputerze, by zwrócić na to uwagę. Głos Deborah przedarł się jednak do jej świadomości i kobieta z zaskoczonym wyrazem twarzy uniosła wzrok. Pospiesznie wyczyściła ekran.

— Wolałabym, żeby pani pukała — odezwała się.

— Pukałam — odparła Deborah.

Kobieta potrząsnęła głową, by odrzucić z twarzy dokuczliwe kosmyki.

— Przepraszam. Jestem po prostu bardzo zajęta. W czym mogę pani pomóc?

— Wspomniała pani, że mogę tu przyjść, jeśli będę miała jakieś pytania — odparła Deborah. — No więc mam pytanie.

— Słucham.

— Jestem ciekawa, skąd pochodzą komórki jajowe, z którymi pracuję. Pytałam Maureen, ale ona powiedziała, że nie wie. Chodzi mi o to, że jest ich tak wiele. Nie miałam pojęcia, że mogą być dostępne w takich ilościach.

— Dostępność komórek jajowych była od samego początku jednym z głównych czynników ograniczających nasze prace badawcze — powiedziała Megan. — Poświęciliśmy wiele czasu, by rozwiązać ten problem, a dokonanie tego było jedną z głównych zasług doktora Saundersa i doktor Donaldson na tym polu. Ale praca nie została jeszcze opublikowana, a dopóki to nie nastąpi, jest traktowana jako tajemnica służbowa. — Megan uśmiechnęła się protekcjonalnie i wykonała kolejny ze swych charakterystycznych podrzutów głową, które tak drażniły Deborah. — Jeśli popracuje pani u nas dłużej i będzie pani nadal tym zainteresowana, z pewnością podzielimy się z panią naszymi osiągnięciami.

— Nie mogę się tego doczekać — odparła Deborah. — Jeszcze jedno pytanie: od jakiego gatunku pochodzą te gamety?

Zamiast odpowiedzi Megan utkwiała w dziewczynie badawcze spojrzenie, jak gdyby próbowała odgadnąć, o co jej tak naprawdę chodzi. Przerwa była wystarczająco długa, by Deborah poczuła się niezręcznie.

— Dlaczego pani o to pyta? — zapytała wreszcie Megan.

— Jak powiedziałam, jestem po prostu ciekawa — odparła Deborah. Reakcje szefowej na jej proste pytania same w sobie były dość znaczące. Dziewczyna czuła, że nie uzyska jasnej odpowiedzi, i właściwie chciała już sobie pójść. Przeczynała, że dalsze pytania wzbudziłyby tylko niepotrzebną podejrzliwość.

— Nie jestem pewna, jaką procedurę realizuje teraz Maureen — oświadczyła Megan. — Musiałabym to sprawdzić, ale w tej chwili jestem zbyt zajęta.

— Rozumiem — powiedziała Deborah. — Dziękuję, że poświęciła mi pani tyle czasu.

— Nie ma za co — odparła Megan. Obdarzyła podwładną wymuszonym uśmiechem.

Deborah z ulgą wróciła do swego mikroskopu. Wizyta u szefowej nie była ani dobrym, ani szczególnie owocnym pomysłem. Dziewczyna wróciła do pracy, ale zdołała pozbawić jądra tylko jeden oocyt, kiedy ciekawość, rozpalona jeszcze krótką rozmową z Megan, znów wzięła nad nią górę. Sam widok masy komórek jajowych w polu mikroskopu nasuwał pytanie o ich pochodzenie, zwłaszcza jeśli były to, jak podejrzewała Deborah, komórki ludzkie.

Odsuwając się od mikroskopu, dziewczyna spojrzała na Mare. Laborantka ignorowała ją, co zresztą robiła od czasu swego starcia z Paulem Saundersem na temat tożsamości gamet. Szybki rzut oka na rozległą salę laboratoryjną przekonał Deborah, że żadna z kilkunastu pracujących tu osób również nie zwraca na nią uwagi.

Sięgnąwszy po torebkę, jak gdyby wybierała się do toalety, Deborah zsunęła się z taboretu i wyszła na główny korytarz. Przekonana, że nie będzie pracować w klinice dłużej niż ten jeden dzień, uznała, że pochodzenie komórek jajowych jest tajemnicą zbyt wielką, by ją zignorować. Nie wiedziała, czy zdołają rozwikłać, postanowiła jednak dowiedzieć się, ile się da, póki była po temu okazja.

Ruszyła korytarzem w stronę centralnej wieży, aż dotarła do ostatnich z trojga drzwi prowadzących z korytarza do laboratorium. Obejrzała się za siebie i dostrzegła w głębi sali pochyloną nad mikroskopem Mare. Po prawej stronie, tuż przy drzwiach, znajdował się wielki inkubator, do którego Mare chodziła po wypełnione gametami płytki Petriego. Deborah podeszła do szklanych drzwi, rozsunęła je i weszła do środka.

Powietrze było ciepłe i wilgotne. Potężny termometr ścienny i równie wielki higrostat wskazywały temperaturę 98,6 stopni Fahrenheita\* przy stu procentowej wilgotności. Po obu stronach wąskiego pomieszczenia ciągnęły się regały wypełnione płytkami Petriego. W głębi znajdowała się ręczna winda, w niczym nie przypominająca jednak swego pierwotnego wcielenia, kiedy to służyła do przewożenia na sale szpitalne potraw z mieszczącej się w piwnicy kuchni. Wykonana była nie z drewna, jak większość podobnych urządzeń, ale ze stali nierdzewnej, ze szklanymi drzwiami i szklanymi półkami. Jak na ręczną windę była dość duża, mniej więcej rozmiarów wysokiej komody. Miała też własne źródło ciepła i nawilżacz, utrzymujące w jej wnętrzu odpowiednią temperaturę i wilgotność.

Deborah napała na windę, żeby sprawdzić, czy zdoła przesunąć ją na tyle, by zerknąć w głąb szybu, jednak skrzynia nawet nie drgnęła. Najwyraźniej było to urządzenie dość wyrafinowane technicznie. Dziewczyna cofnęła się o krok i przyjrzała mu się uważnie. Uznała, że tylna ściana szybu musi być zarazem ścianą głównego korytarza.

Opuściwszy inkubator, wróciła na korytarz i oszacowała położenie szybu windy. Wreszcie odmierzyła krokami odległość do klatki schodowej, mieszczącej się tuż przy drzwiach pożarowych do centralnej wieży. Po starych, metalowych schodach dotarła na drugie piętro. Za drzwiami czekała na nią niespodzianka.

Choć Deborah pamiętała jak przez mgłę, że doktor Donaldson wspominała, iż potężne sędziwe gmaszysko, poza małą częścią zajmowaną przez Klinikę Wingate'a, przypomina muzeum, widok, który miała przed sobą, był dla niej kompletnym zaskoczeniem. Odniosła wrażenie, jak gdyby w latach dwudziestych obecni tu ludzie, zarówno specjalistyczny personel, jak i pacjenci, nagle stąd wyszli, zostawiając wszystko. Wzdłuż ścian ciemnego korytarza stały stare biurka, drewniane kozetki i przedpotopowe wyglądające fotele na kółkach. Pasma pajęczyn zwisały jak girlandy z wiktoriańskich żyrandoli. Nie brakowało nawet wiszących z ukosa starych, oprawionych w ramki obrazków przedstawiających scenki z życia dziewiętnastowiecznej Ameryki. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu i okruchy tynku, który odpadł z płytko sklepionego sufitu.

---

\*37 stopni Celsjusza (przyp. tłum.).



Opuszczając klatkę schodową, Deborah przesądnie zasłoniła usta i starała się nie odychać głęboko. Rozsądek mówił jej wprawdzie, że prątki gruźlicy i wszelkie inne wyziewy, które kiedyś unosiły się w tych korytarzach, dawno już wyginęły, mimo to jednak czuła się tu dość niepewnie.

Gdy ustaliła z grubsza, gdzie powinien znajdować się szyb windy, weszła w najbliższe drzwi. Bez większego zaskoczenia stwierdziła, że znajduje się w pozbawionym okien pomieszczeniu, które niegdyś służyło za przechowalnię zastawy stołowej, wyposażoną w kredensy pełne zakładowych naczyń i sztuców. Było tu nawet parę starych piecyków do podgrzewania potraw. Ich korpusy z uchylonymi drzwiczkami wyglądały w półmroku niczym potężne cielska martwych zwierząt o otwartych pyskach.

Drzwi szybu windy znajdowały się dokładnie tam, gdzie spodziewała się je znaleźć. Rozsuwały się pionowo, jak w windzie towarowej, lecz gdy Deborah pociągnęła wystrzępiony płócienny pas, stało się jasne, że wyposażono je w mechanizm zabezpieczający, który nie dopuszczał do ich otwarcia przed przybyciem windy.

Otrzeprawszy dłonie z kurzu, Deborah wycofała się na klatkę schodową i wspięła się na trzecie, najwyższe piętro. Tu sytuacja wyglądała tak samo, jak piętro niżej. Dziewczyna wróciła na schody i zeszła na parter.

Gdy tylko opuściła klatkę schodową, wystarczył jej jeden rzut oka, by stwierdzić, że komórki nie mogą stąd pochodzić. Parter był zmodernizowany jeszcze gruntowniej niż pierwsze piętro dla potrzeb medycznej działalności Kliniki Wingate'a i o tej porze dnia panował tu ożywiony ruch, nieustanna krzątanina lekarzy, pielęgniarek i pacjentek. Deborah musiała usunąć się na bok, by przepuścić zajętą kozetkę na kółkach.

Dziewczyna wycofała się z tłumu i licząc kroki, podeszła do miejsca, gdzie, jak przypuszczała, za ścianą korytarza powinien znajdować się szyb windy. Najbliższe pomieszczenie okazało się gabinetem zabiegowym. Tam, gdzie spodziewała się znaleźć drzwiczki windy, miała przed sobą płytką szafkę na bieliznę. Natychmiast stało się jasne, że na parterze nie ma do windy dostępu.

Prosta eliminacja prowadziła do wniosku, że komórki mogły pochodzić jedynie z piwnicy. Deborah wróciła na klatkę schodową. Aby dostać się do piwnicy, musiała pokonać trzy ciągi schodów zamiast dwóch, jakie oddzielały każde z wyższych pięter. Kazało jej to przypuszczać, że piwnica będzie miała wyższy sufit, okazało się jednak, że jest inaczej. Między piwnicą a parterem znajdowało się swego rodzaju półpiętro, wypełnione płataniną rur i przewodów.

Piwnica wyglądała niczym loch, oświetlony z rzadka rozmieszczonymi gołymi żarówkami. Ściany stanowił mur z odsłoniętej cegły, przechodzący w łukowate sklepienie. Podłogę pokrywały granitowe płyty. Nieprzyjemne uczucie, jakiego Deborah doznawała na drugim i trzecim piętrze, powróciło w tych mrocznych podziemiach ze zwielokrotnioną siłą. Tu także znajdowało się mnóstwo pamiątek z czasów zakładu psychia-



trycznego i sanatorium dla gruźlików, ale były one bardziej zniszczone, jak gdyby przeleżały wieki w wilgotnych, ciemnych kątach. Dziewczyna pomyślała, że gdyby w budynku uchowały się jeszcze po dziś dzień jakieś zarazki, żyłyby właśnie tutaj.

Deborah powściągnęła własną wyobraźnię i ruszyła naprzód, jak najstaranniej odmierzając krokami odległość od schodów. W odróżnieniu od pozostałych kondygnacji, piwnica nie miała głównego korytarza. Jej układ był znacznie bardziej pogmatwany, co wymagało nieco kombinowania przy szacowaniu odległości, gdy dziewczyna posuwała się zygzakowatą trasą wokół masywnych filarów nośnych.

Minąwszy sklepione przejście i przemknąwszy przez olbrzymią kuchnię z szerokimi metalowymi blatami, potężnymi piecami i zlewami ze steatytu, Deborah natknęła się na rzecz nieoczekiwaną: gładkie, nowoczesne, metalowe drzwi bez klamki, zawiasów, a nawet zamka.

Niepewnie wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła lśniącej powierzchni. Domyślała się, że jest to stal nierdzewna, co jednak dziwne, nie była ona zimna, lecz wręcz przyjemnie ciepła w dotyku. Deborah rozejrzała się w półmroku po przedpotopowym wyposażeniu kuchni, po czym znów skierowała wzrok na lśniące drzwi. Kontrast był uderzający. Przykładając ucho do ich powierzchni, mogła usłyszeć dobiegający z wnętrza szum maszyn. Nasłuchiwała przez kilka minut w nadziei, że wyłowi uchem ludzkie głosy, ale nadaremnie. Odsuwając się od drzwi, spostrzegła czytnik kart, taki sam, jaki widziała przy pomieszczeniu z serwerem. W tym momencie żałowała, że nie ma przy sobie karty Wingate'a.

Po chwili wahania i krótkiej walce wewnętrznej wyciągnęła rękę i zapukała w drzwi kostką palca. Wydały głuchy dźwięk, jak gdyby były bardzo grube. Deborah nie miała całkowitej pewności, czy chce, żeby ktokolwiek odpowiedział, ale i tak nikt tego nie zrobił. Nabrawszy śmiałości, napała na drzwi, ale te ani drgnęły. Dziewczyna opukała je wzdłuż obwodu wewnętrzzną stroną złożonej w pięść dłoni, by sprawdzić, czy zdoła zlokalizować zatrzask. Nie udało jej się.

Wzruszyła ramionami w obliczu tak nieprzekraczalnej przeszkody, odwróciła się i skierowała ku schodom. Dochodziło południe, trzeba już było wrócić na górę i czekać na telefon Joanny. Ten krótki wypad wyjaśnił niewiele, ale przynajmniej Deborah próbowała. Pomyślała, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, być może po południu uda jej się tu wrócić z kartą Wingate'a. Stalowe drzwi i to, co mogło znajdować się za nimi, wybitnie pobudziły jej ciekawość.

## Rozdział 13

10 maja 2001

12.24

Wcześniej tego dnia Joanna nauczyła się bardziej szanować pracowników biurowych wprowadzających dane do komputera. Teraz nabrała znacznie więcej szacunku dla włamywaczy. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby zarabiać na życie, robiąc coś podobnego do tego, co robiła w tej chwili. Deborah namówiła ją do powrotu do pomieszczenia z serwerem za pomocą nieodpartychnych argumentów i planu, który najwyraźniej okazał się skuteczny. Joanna siedziała przy serwerze już od przeszło dwudziestu minut i nikt jej nie niepokoił. Jej największym wrogiem była ona sama.

Paraliżujący strach, który ogarnął ją przy pierwszej wizycie, powrócił z nawiązką, gdy tylko przeszła przez zewnętrzne drzwi pomieszczenia z serwerem, i ustąpił jedynie na tyle, by mogła jako tako działać. Najgorszą częścią całej operacji było bolesne czekanie, aż hakerskie oprogramowanie wygeneruje hasło, które odblokuje klawiaturę serwera. Gdy program poszukiwał rozwiązania, Joanna zamieniła się w żalostny, roztrzęsiony kłębek nerwów, wzdrygając się co chwila z przerażenia na odgłos dźwięków, które okazywały się zupełnie niewinne lub stworzone przez jej nadmiernie pobudzoną wyobraźnię. Była kompletnie zaskoczona własną reakcją. Dotychczas żyła w błogim przekonaniu, że nawet w warunkach takiego stresu potrafi zachować zimną krew.

Kiedy dostała się do systemu, jej przerażenie ustąpiło odrobinę z tego tylko powodu, że miała wreszcie coś do roboty. Teraz głównym problemem stało się drżenie rąk, utrudniające operowanie myszką i klawiaturą.

W miarę postępów Joanna dziękowała w duchu Randy'emu Porterowi. Facet znacznie ułatwił jej pracę, nie ukrywając tego, czego szukała, zbyt głęboko wewnątrz podkatalogów. Już w pierwszym oknie, jakie wywołała na ekran, dziewczyna znalazła napęd o nazwie *Archiwum*, co brzmiało obiecująco. Rozwinięcie jego zawartości ukazało listę przejrzyste opisanych katalogów. Jeden z nich nosił nazwę *Dawczyni*. Wywoławszy z menu opcję *Właściwości*, dziewczyna stwierdziła, że dostęp do tego katalogu jest niezwykle ograniczony. Prawdę mówiąc, poza Randyem jako administratorem sieci, upoważnienie mieli jedynie Paul Saunders i Sheila Donaldson.

Upewniona, że znalazła właściwy plik, Joanna przystąpiła do dalszego działania. Aby dodać swoje nazwisko do listy upoważnionych, musiała jedynie podać swoje konto użytkownika oraz domenę. Akurat gdy miała kliknąć przycisk *Dodaj*, odgłos otwieranych gdzieś w oddali drzwi sprawił, że serce skoczyło jej do gardła, a na czole pojawiły się nowe krople potu.

Przez kilka sekund nie była w stanie poruszyć się ani nawet oddychać. W napięciu nasłuchiwała, czy nie dobiegnie jej ostrzegawczy odgłos kroków w korytarzyku przed pomieszczeniem z serwerem. Jednak nie usłyszała niczego. Wciąż jednak miała wrażenie, że ktoś za nią stoi. Powoli odwróciła się. Nie było nikogo. Fala ulgi przepłynęła przez jej żyły. Wstała i przeszła parę kroków, by zerknąć poprzez korytarzyk na zewnętrzne drzwi. Były zamknięte.

— Muszę stąd zmykać — jęknęła Joanna. Szybkim krokiem wróciła do klawiatury i drżącą ręką nacisnęła klawisz myszki, umieszczając swoje nazwisko na liście.

Możliwie najszybciej przebiegła przez okna, które wcześniej otwierała, przywracając ekran do pierwotnego stanu. Złapała torebkę i już miała uciekać, gdy nagle przypomniała sobie, że nie wyjęła z napędu dysku z hakerskim oprogramowaniem. Dygocąc bardziej niż kiedykolwiek przedtem, w chwili kiedy zaledwie sekundy dzieliły ją od sukcesu, zdołała wydobyć CD i schować go do torebki. Nareszcie mogła stąd odejść.

Zamknęła drzwi pomieszczenia z serwerem, po czym przebiegła kilka kroków dzielących ją od zewnętrznych drzwi. Niestety, nie mogła w żaden sposób sprawdzić, czy jest to odpowiedni moment na pojawienie się w głównym korytarzu. Wszystko zależało od tego, na kogo tam trafi. Mogła jedynie zaryzykować i liczyć na łut szczęścia. Jednym ruchem otworzyła drzwi, wyszła i zamknęła je za sobą. Usiłując zachować spokój, nie rozglądając się dookoła, podeszła wprost do fontanny — nie dlatego, by była spragniona, choć bez wątplenia zaschło jej w ustach. Po prostu wołała czymś się zająć niż wyglądać na złodzieja umykającego z miejsca zbrodni.

Wyprostowała się. Dodało jej otuchy, że podczas picia wody nie słyszała żadnych głosów, a gdy uniosła wzrok, odniosła wrażenie, że wybrała szczególnie dogodny moment na wyjście. Była to jedna z rzadkich chwil, kiedy korytarz był zupełnie opustoszały.

Pragnąc jak najszybciej sprawdzić, czy jej się powiodło, a przy okazji zajrzeć, choćby i bez Deborah, do katalogu, Joanna pospieszyła do swojej kabinki. Ponieważ był to środek pory lunchu, biuro, ku jej zadowoleniu, świeciło pustkami. Wpadła do swojej przegródki, rzuciła torebkę na biurko i usiadła. Odblokowała swoją stację roboczą. Ze sprawnością nieco większą niż zaprezentowaną przy serwerze weszła na dysk sieciowy i odszukała katalog dawczyń. Potwierdzając polecenie, wstrzymała oddech.

— Tak! — syknęła głośno przez zaciśnięte zęby. Widniał przed nią wykaz zawartości katalogu. Miała ochotę krzyczeć z radości, powstrzymała się jednak. I słusznie.

— Co: tak? — usłyszała nagle. Pytanie zabrzmiało dość natarczywie. — Co się dzieje?

Przerażona, że przyłapano ją na gorącym uczynku, Joanna uniosła wzrok i obróciła się w prawo. Głos brzmiał znajomo i dziewczyna, zgodnie ze swoimi obawami, ujrzała nad sobą zapadniętą twarz Gale Overlook.

— Co się stało, wygrałaś na loterii? — zapytała Gale. W jej ustach każde sformułowanie zdawało się uszczypliwe.

Joanna przełknęła ślinę. Poznała właśnie kolejną okrutną prawdę. Choć dotychczas uważała się za osobę w miarę dowcipną i nie ustępującą swym znajomym pod względem ostrości języka, zdenerwowanie i poczucie winy wywołały u niej pustkę w głowie. Zamiast słów, z jej ust wydobyły się tylko bezładne dźwięki.

— Co ty tam masz na ekranie? — zapytała Gale, za sprawą widocznej konsternacji Joanny jeszcze bardziej zaciekawiona. Przechyliła głowę, aby poprzez refleksy światła dojrzeć obraz na monitorze.

Choć Joanna na moment straciła mowę, miała dość przytomności umysłu, by zamknąć okno, pozostawiając na ekranie jedynie obraz pulpitu.

— Byłaś w Internecie? — zapytała oskarżycielsko Gale.

— Tak — odparła Joanna, nareszcie odzyskując głos. — Sprawdzalam kurs paru akcji.

— Christine by się to nie spodobało — odparła Gale. — Ona nie lubi, kiedy ludzie w godzinach pracy korzystają z Internetu w prywatnych celach.

— Dziękuję za informację — powiedziała Joanna. Wstała, uśmiechnęła się sztywno, podniosła torebkę i wyszła.

Szła szybko. Złość na własną nieostrożność i irytacja wścibstwem Gale Overlook miały ten korzystny efekt, że zogniskowały jej wybujałe lęki. W drodze do stołówki dziewczyna powoli się opanowywała. Nim dotarła do drzwi pożarowych u wejścia do wieży, uspokoiła się już na tyle, by poczuć nawet lekki głód.

Zatrzymawszy się na progu stołówki, rozejrzała się po sali w poszukiwaniu Deborah. Tym razem było tu o wiele bardziej tłoczno niż poprzedniego dnia, gdy były tu z Helen Masterson. Jej oczy napotkały Spencera Wingate'a. Natychmiast spojrzała w inną stronę. Nie była w nastroju do nawiązywania kontaktu wzrokowego z tym człowiekiem. Przy innym stoliku dostrzegła Paula Saundersa i Sheilę Donaldson, co wywołało tę samą reakcję. Wreszcie zauważyła Deborah, siedzącą z Randym Porterem przy dwuosobowym stoliku. Wydawali się głęboko pogrążeni w rozmowie.

Usiłując w miarę możliwości nie odwracać się twarzą do doktor Donaldson, Joanna ruszyła przez salę. Dopiero gdy stanęła przy stoliku, Deborah spostrzegła przyjaciółkę i uniosła wzrok.

— Cześć, Prudence, kochanie! — zawołała beztrąsko. — Pamiętasz Randy'ego Portera, prawda?

Randy uśmiechnął się nieśmiało i podał Joannie rękę, ale nie podniósł się z krzesła. Joanna nie była tym zdziwiona. Dawno już zdążyła przyzwyczaić się do faktu, że niewielu mężczyzn wychowanych powyżej linii Masona-Dixona może poszczycić się dobrą znajomością form towarzyskich.

— Randy i ja prowadziliśmy właśnie interesującą rozmowę — ciągnęła Deborah. — Nie miałam pojęcia, że świat gier komputerowych jest tak intrygujący. Najwyraźniej same nie wiedziałyśmy, co tracimy. Dobrze mówię, Randy?

— Jak najbardziej — odparł Randy. Z uśmiechem samozadowolenia rozparł się na krześle.

— I wiesz co? — zagadnęła Deborah. — Przyjdę później do twojej kabinki i pokażesz mi Unreal Tburnament. Co ty na to?

— Super! — oświadczył Randy. Kołysał się lekko w przód i w tył, jak gdyby nieustannie przytakując samemu sobie.

— Cieszę się, że mieliśmy okazję porozmawiać — dodała Deborah. — Było mi bardzo miło. — Skinęła głową i uśmiechnęła się szeroko w nadziei, że Randy pojmie aluzję. Ale nie pojął.

— Mam w samochodzie dwa zapasowe joysticki — poinformował. — Mogłybyście obie zacząć grać choćby zaraz.

— Jesteśmy ci bardzo wdzięczne — odparła Deborah, tracąc cierpliwość. — Ale akurat w tej chwili mamy z Prudence parę spraw do omówienia.

— W porządku, mnie to nie przeszkadza — oświadczył Randy. Ale nie ruszył się z miejsca.

— Chciałybyśmy porozmawiać na osobności — wyjaśniła Deborah.

— Aaa. — Randy spoglądał zdezorientowany to na jedną dziewczynę, to na drugą, w końcu jednak domyślił się, o co chodzi. Siedział jeszcze przez chwilę, miętosząc serwetkę, zanim wreszcie wstał. — No to na razie, dziewczyny.

— Na razie! — odparła Deborah.

Randy odszedł. Joanna usiadła na zwolnionym przez niego krześle.

— Jakiś mało rozgarnięty facet — zauważyła.

Deborah parsknęła drwiąco.

— A tobie się pewnie wydaje, że to ty miałaś najgorsze zadanie — jęknęła.

— Było aż tak źle?

— To kompletny maniak komputerowy — poskarżyła się Deborah. — Nie potrafi rozmawiać o niczym innym. O niczym! Ale było, minęło. — Odchrząknęła, pochyliła się i podnieconym, lecz ściszym głosem zapytała: — No więc, jak poszło? Udało ci się?

Joanna również nachyliła się do przodu. Ich twarze znalazły się zaledwie kilkanaście centymetrów od siebie.

— Zrobione.

— Fantastycznie! Gratulacje! Więc czego się dowiedziałaś?

— Na razie niczego — odparła Joanna. — Sprawdziłam tylko ze swojej stacji roboczej, że to, co zrobiłam na serwerze, zadziałało. Byłam w odpowiednim katalogu. Widziałam nawet twoje nazwisko na liście.

— Więc dlaczego niczego się nie dowiedziałaś?

— Bo przerwała mi moja wścibska sąsiadka — wyjaśniła Joanna. — Wyskakuje jak diabeł z pudełka, kiedy tylko powiem albo zrobię coś innego niż zwykle. Kiedy wróciłam, zdawało mi się, że jej nie ma, ale niestety byłam w błędzie.

Jedna z nikaraguańskich kelnerek podeszła do ich stolika i Joanna zamówiła zupę i sałatkę. Podpowiedziała jej to Deborah. Twierdziła, że tak będzie najszybciej.

— Nie mogę się doczekać, kiedy wrócimy do twojej kabinki — oświadczyła Deborah, kiedy kelnerka odeszła. — Mam teraz tylko to jedno w głowie. I sama nie wiem, czy bardziej interesuje mnie los naszych komórek jajowych, czy badania, jakie się tu prowadzi.

— Jest pewien problem — odparła Joanna. — Przede wszystkim musimy uważać na moją wścibską sąsiadkę. Może najlepiej byłoby poczekać z zaglądaniem do plików, aż ona wyjdzie ze swojej kabinki.

— Więc zróbmy to w laboratorium — zaproponowała Deborah. — Tam jest sporo wolnych komputerów, przy których nikt się nie kręci. Nie będziemy musiały się martwić, że ktoś nam zagłąda przez ramię.

— Nie możemy tego zrobić w laboratorium — odparła Joanna. — Utworzyłam dostęp tylko poprzez domenę biurową.

— Rany boskie! — jęknęła Deborah. — Dlaczego to wszystko musi być tak skomplikowane? Ale dobrze! Zrobimy to u ciebie. Myślę tylko, że trzeba będzie po prostu zignorować twoją sąsiadkę. Do diabła, mogę stanąć między nią a ekranem. Kiedy tylko skończysz jeść, idziemy i zabieramy się do dzieła.

— Jest jeszcze jeden problem — stwierdziła Joanna. — Utworzyłam dostęp jedynie do katalogu dawczyń. Na tym samym dysku były też inne katalogi, takie jak *Sprawozdania i Wyniki badań*, ale zostawiłam je w spokoju.

— Dlaczego, do cholery? — zapytała Deborah. Zmarszczyła brwi.

— Bo bałam się siedzieć tam zbyt długo — odparła Joanna.

— Rany boskie! — jęknęła Deborah. — Nie wierzę! Miałaś te pliki przed sobą, jak na dłoni. Jak mogłaś przepuścić taką okazję? — Pokręciła głową w bezbrzeżnym zdumieniu.

— Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo byłam zdenerwowana — wyjaśniła Joanna. — Cieszę się, że udało mi się zrobić cokolwiek.

— Ile czasu by to zajęło?

— Niewiele — przyznała Joanna. — Ale mówię ci, że byłam przerażona. To była trudna lekcja, ale dowiedziałam się, że nie nadaję się na przestępcę. Masz chyba świadomość, że to, co robimy, jest przestępstwem?

— Mniej więcej — odparła z roztargnieniem Deborah. Była wyraźnie rozczarowana.

— Jeśli dojdzie do najgorszego i zostaniemy przyłapane — oświadczyła Joanna — to myślę, że dopóki będziemy mogli udowodnić, że chodziło nam tylko o informacje dotyczące własnych komórek jajowych, możemy liczyć na pewną wyrozumiałość. Ale na pewno nie wtedy, gdyby nakryto nas na szperaniu w sprawozdaniach z ich badań, bez względu na wszelkie racjonalne uzasadnienia.



— W porządku, może masz rację — przyznała Deborah. — Tak czy inaczej, mam inny plan. Daj mi niebieską kartę Wingate’a!

— Po co? — Joanna spojrzała pytająco na przyjaciółkę. Znała jej skłonność do nieprzemyślanych działań.

Zanim Deborah zdążyła odpowiedzieć, pojawiło się jedzenie dla Joanny. Kelnerka postawiła talerze na stole i odeszła. Deborah znów się pochyliła i opowiedziała Joannie o swych poszukiwaniach źródła komórek jajowych wzdłuż szybu windy. Wspomniała o gładkich, wypolerowanych stalowych drzwiach, zupełnie nie pasujących do walącej się, przedpotopowej piwnicznej kuchni.

— Chcę sprawdzić, co jest za tymi drzwiami — oświadczyła na koniec.

Joanna przełknęła kęs sałatki, który miała w ustach. Rzuciła przyjaciółce zirytowane spojrzenie.

— Nie dam ci karty Wingate’a! — oświadczyła.

— Co? — wyrwało się Deborah.

Joanna syknęła, po czym rozejrzała się, by sprawdzić, czy okrzyk Deborah nie przyciągnął niepożądanego zainteresowania. Na szczęście nikt nie zwrócił na niego uwagi.

— Nie dam ci karty Wingate’a — powtórzyła niemal szeptem. — Przyszliśmy tu do wiedzieć się czegoś na temat naszych komórek jajowych. Taki był cel od samego początku. Bez względu na to, jak korci cię, żeby się przekonać, co oni tak naprawdę tutaj robią, nie możemy pozwolić sobie na ryzyko. Jeżeli te drzwi w piwnicy mają czytnik kart, tak jak drzwi od pomieszczenia z serwerem, a ty je otworzysz, całkiem możliwe, że także i w tym wypadku ktoś zostanie zaalarmowany. A coś mi mówi, że jeśli tak się stanie, to wpadniemy w poważne tarapaty.

Deborah z rozdrażnieniem spojrzała jej w oczy, stopniowo jednak jej twarz łagodniała, a oburzenie słabło. Czy podobało jej się to, czy nie, słowom Joanny nie można było odmówić słuszności. A jednak Deborah czuła się sfrustrowana. Jeszcze przed chwilą zdawało się jej, że rozpościerają się przed nią dwie równie obiecujące drogi rozwikłania tego, co uważała za ważną tajemnicę. Intuicja podpowiadała jej, że Klinika Wingate’a zaangażowana jest w działalność w najlepszym razie etycznie podejrzaną, w najgorszym zaś — sprzeczną z prawem.

Doskonale zorientowana w bieżących zagadnieniach biomedycyny Deborah miała świadomość, że zajmujące się leczeniem niepłodności placówki w rodzaju Kliniki Wingate’a działają na arenie medycznej praktycznie bez nadzoru. W istocie zdesperowani klienci podobnych klinik często błagają je wręcz o wypróbowanie nowych, niesprawdzonych metod. W takim środowisku żaden z pacjentów nie miał nic przeciwko roli królika doświadczalnego i dopóki istniała choć minimalna szansa na dziecko, beztrąsko odrzucał myśl o możliwych negatywnych konsekwencjach dla siebie samego oraz dla całego społeczeństwa. Pacjenci tacy skłonni byli też stawiać swych lekarzy na piedestale, wbijając ich tym samym w zarozumiałość oraz przekonanie, że ich działalność stoi ponad etyką, a nawet ponad prawem.

— Przepraszam, że nie zrobiłam więcej — powiedziała Joanna. — Wiem, że czujesz się zawiedziona. Jestem niedorajda, i tyle. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, naprawdę zrobiłam wszystko, co mogłam.

— Oczywiście, że tak — przyznała Deborah. Zrobiło jej się przykro, że tak ostro potraktowała przyjaciółkę, która w gruncie rzeczy dokonała dość heroicznego wyczynu. Przy całej swej fanfaronadzie szczerze powątpiewała, czy nawet dysponując odpowiednią wiedzą na temat komputerów, byłaby w stanie zrobić to, co zrobiła Joanna. Zabawianie Randy'ego było zadaniem niewdzięcznym, ale nie niebezpiecznym wyzwaniem.

— Zastanówmy się lepiej, gdzie wejdziemy do katalogu dawczyń — powiedziała Joanna, przeżuując kolejny kęs.

— Co masz na myśli? — zapytała Deborah.

— Czułabym się swobodniej, gdybyśmy zrobiły to w domu, przez modem — odparła Joanna. — Tak byłoby bezpieczniej, ale jest parę problemów.

— Na przykład?

— Jeśli w klinice zorientują się, że ściągnęłyśmy zastrzeżone pliki, będą w stanie za pośrednictwem naszego dostawcy Internetu prześledzić ich drogę aż do naszego komputera.

— To niedobrze — przyznała Deborah.

— Jest też ryzyko, że jeśli zaczekamy, dostęp, który utworzyłam, zostanie odkryty i usunięty, zanim zdążymy z niego skorzystać.

— To coś nowego — stęknęła Deborah. — Nie pomyślałam o tym. Jakie jest prawdopodobieństwo, że tak się stanie?

— Przypuszczam, że nie przerażająco wysokie — przyznała Joanna. — Randy musiałby mieć jakiś powód, żeby tego poszukać.

— Czyli powinniśmy raczej zrobić to tutaj — stwierdziła Deborah.

— Zgadzam się — odparła Joanna. — Po południu, w jakiejś dogodnej chwili. Ale myślę, że zaraz potem trzeba będzie się stąd wynieść. Jeśli Randy zauważy, że plik był ściągany, i zorientuje się, że zrobił to ktoś w sieci, odtworzy ścieżkę. A wtedy bez trudu już ją prześledzi do stacji roboczej Prudence Heatherly.

— Co oznacza, że wtedy powinno nas już tu dawno nie być — domyśliła się Deborah. — W porządku, kumam czacze! Słuchaj, skończyłaś jeść?

Joanna spojrzała na swoją do połowy zjedzoną zupę i sałatkę.

— Spiesz ci się?

— Właściwie nie — stwierdziła Deborah — ale odkąd tu jestem, wliczając w to półgodziną pogawędkę z moim nowym przyjacielem Randym, szef ochrony nie spuszcza ze mnie oka.

Joanna zaczęła się odwracać, lecz Deborah gwałtownym ruchem złapała ją za rękę.

— Nie oglądaj się!

— Dlaczego?

— Sama nie wiem — przyznała Deborah. — Ale skóra mi cierpie i nie chcę w ogóle dawać po sobie poznać, że zauważyłam, że on na mnie patrzy. Na pewno znów chodzi o tę cholerną sukienkę. Bokiem już mi wychodzi ta cała przebieranka.

— Skąd wiesz, że to szef ochrony?

— Nie wiem na pewno — przyznała Deborah. — Ale się domyślam. Pamiętasz, jak wczoraj próbowałyśmy dostać się do środka, a ciężarówki zatarasowały drogę? Dopiero kiedy on wyszedł i kazał temu gościowi w mundurze je przepuścić, sprawa ruszyła z miejsca. Kiedy wjeżdżałyśmy, stał obok Spencera. Pamiętasz go?

— Nie za bardzo — stwierdziła Joanna. — Wiesz, że patrzyłam wtedy głównie na Spencera, bo ubzdurało mi się, że przypomina mojego ojca.

— „Ubzdurało się” to dobre określenie! — Deborah zachichotała. — Ale odbiegamy od sedna sprawy. Co z twoim jedzeniem? Nie tknęłaś go od dobrych pięciu minut.

— Skończyłam! Idziemy. — Joanna rzuciła serwetkę na stół i wstała.

Poza wizytami w stołówce Kurt Hermann rzadko pojawiał się w głównym gmachu kliniki. Wolał przebywać w wartowni, albo na rozległych terenach kliniki, albo wreszcie we własnym mieszkaniu w osiedlu pracowniczym. Problem polegał na tym, że wiedział, iż w klinice dzieją się rzeczy, których nie pochwałał, jednak wojsko nauczyło go wybiórczego spojrzenia na świat. W myśl zasady „co z oczu, to z serca” nie zaglądał tam i po prostu nie zaprzętał sobie tym głowy.

Bywały jednak okazje, kiedy musiał się wybrać do głównego gmachu, a jego obecne zainteresowanie Georginą Marks było jedną z nich. Wykorzystując swoje kontakty oraz garść faktów z jej kwestionariusza osobowego, wraz z numerem rejestracyjnym samochodu, którym jeździła, rozesłał prośby o informacje na jej temat. To, co zdążyło napłynąć do tej pory, było co najmniej zastanawiające. Początkowo zamierzał podejść do niej w stołówce podczas lunchu, rozmyślił się jednak. Było oczywiste, że zastawiła sieci na szczeniaka od komputerów, w którego towarzystwie przyszła, a odprawa ze strony osoby jej pokroju była ostatnią rzeczą, jakiej Kurt by sobie życzył.

Potem sytuacja raptownie się zmieniła. Na sali pokazała się przyjaciółka Georginy i z daleka wyglądało to tak, jakby magik komputerowy ni z tego, ni z owego dostał kosza. Kurt musiał się dowiedzieć dlaczego.

— Nie ma go w jego kabinie? — zapytała Christine Parham, kierowniczka biura.

Kurt odwrócił na chwilę wzrok, by nie wybuchnąć w odpowiedzi na tak kretyńskie pytanie. Dopiero co powiedział tej babie, że nie zastał Randy’ego Portera przy biurku. Powoli przesunął piorunujące spojrzenie ku oczom Christine. Nie musiał nic mówić.

— Chce pan, żebyśmy go wezwała pagerem? — zapytała.

Kurt skinął tylko głową. Im mniej się odzywał, tym lepiej. Gdy był rozdrażniony, miał mało korzystną skłonność do mówienia ludziom, co o nich myśli, a Georgina Marks doprowadziła go właśnie do tego stanu.

Christine wysłała komunikat. Czekać na reakcję, zapytała, czy ochrona ma problemy z komputerami. Kurt pokręcił głową i spojrzął na zegarek. Poświęci na tę misję jeszcze pięć minut. Jeśli Randy'ego Portera nie uda się znaleźć w tym czasie, zostawi głupkowi polecenie, żeby zgłosił się na wartowni. Nie chciał zbyt długo pozostawać poza swoim biurem. Przy wszystkich mackach, jakie wypuścił w sprawie Georginy, i telefonach, jakich spodziewał się w odpowiedzi, wolał być na miejscu, by odebrać je osobiście.

— Ładną mamy pogodę — zauważyła Christine.

Kurt nie odpowiedział, ale natarczywy dzwonek telefonu oszczędził kobiecie dalszych prób nawiązania rozmowy. Był to Randy, który oznajmił, że zajmuje się właśnie jednym z komputerów w księgowości, ale może przyjść natychmiast, jeśli jest taka potrzeba. Christine wyjaśniła mu, że szef ochrony chce się z nim widzieć, dobrze byłoby więc, gdyby się pospieszył.

— Będę czekał przy jego stanowisku — rzucił Kurt, nim Christine odłożyła słuchawkę. Przekazała tę wiadomość Randy'emu.

Kurt skierował się ku kabinie administratora sieci. Usiadł na drugim krześle i omiół pogardliwym spojrzeniem oblepione plakatami science fiction ściany. Zauważył joystick kretyńsko wepchnięty dla niepoznaki za monitor. Pomyślał, że szczeniakowi przydałoby się parę miesięcy obozu dla rekrutów. Zalecał to zresztą wszystkim młodym ludziom, którzy tego nie przeszli.

— Witam, panie Hermann — zawołał wesoło Randy, wpadając do kabinki. Jego beztroskie zachowanie wobec ludzi pokroju Kurta maskowało nieufność, w podobny sposób mógłby zachowywać się pies w obecności nieobliczalnego, okrutnego pana. — Czyżby nawalił któryś z komputerów w ochronie? — Młodzieniec rzucił się na swój fotel przy biurku, jak gdyby była to deskorolka, po czym musiał uchwycić się blatu, by nie potoczyć się aż na ścianę.

— Komputery są w porządku — odparł Kurt. — Przyszedłem porozmawiać z panem na temat pana towarzyszy przy lunchu.

— Georginy Marks?

Kurt na chwilę odwrócił wzrok, jak poprzednio w rozmowie z Christine. Nie mógł pojąć, dlaczego wszyscy odpowiadali na jego pytania w zasadzie tymi samymi pytaniami. Doprowadzało go to do szału.

— Co chce pan o niej wiedzieć? — zapytał pogodnie Randy.

— Czy ona ostro pana podrywała?

Randy przechylił głowę z boku na bok.

— Tak sobie — powiedział. — Najbardziej na początku. To znaczy, pierwsza zaczęła rozmowę.

— Czy robiła panu propozycje?

— Co pan ma na myśli?

Kurt znów odwrócił wzrok. Męczyła go rozmowa z większością pracowników, a już szczególnie z Randym Porterem, który wyglądał i zachowywał się jak uczeń.

— „Czy robiła panu propozycje” znaczy: czy proponowała seks za pieniądze lub usługi?

Randy już wcześniej odnosił wrażenie, że szef ochrony ma nie po kolei w głowie, ale to niespodziewane pytanie pobiło wszelkie rekordy. Nie wiedział, co ma powiedzieć, bo czuł, że facet jest wściekły i napięty jak struna fortepianu nastrojona na wysokie C.

— Zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie?! — warknął Kurt.

— Dlaczego miałyby proponować mi seks? — wykrztusił Randy.

Kurt ponownie spojrzął w bok. I znów pytanie wywołało pytanie rozmówcy. Obudziło to niemiłe wspomnienie obowiązkowych pogawędek z psychiatrą, jakie musiał odbyć przed opuszczeniem armii. Odetchnął głęboko, po czym powoli i groźnie powtórzył pytanie.

— Nie! — wypalił Randy. Potem zniżył głos. — Nie było mowy o seksie. Rozmawialiśmy o grach komputerowych. Dlaczego miałyby wspominać o seksie?

— Dlatego że kobiety takie jak ona zajmują się właśnie seksem.

— Ona jest biologiem — odparł obronnym tonem Randy.

— Dziwnie się ubiera jak na biologa — zauważył drwiąco Kurt. — Czy którakolwiek z naszych pracownic wygląda tak jak ona? — Na tym etapie swego śledztwa nie był pewien, czy Georgina jest biologiem ani czy w ogóle ma na imię Georgina, ale nie wspomniał Randy'emu o swoich podejrzeniach. Nie chciał, żeby dotarły do tej kobiety i zaalarmowały ją, dopóki Kurt nie dowie się wszystkiego na jej temat. W tej chwili był przekonany, że zjawiała się w Klinice Wingate'a w jakichś sekretnych celach, a biorąc pod uwagę jej prowokujący strój, prostytutka była wysoce prawdopodobna. Przecież już na początku doszedł do tego wniosku, a poza tym wyglądało na to, że zaliczyła Spencera Wingate'a tego samego dnia, w którym spotkała go przy bramie.

— Podobało mi się, jak była ubrana — oświadczył Randy.

— Tak, nie wątpię — wycedził Kurt. — Ale dlaczego odszedł pan tak nagle? Odprawiła pana z jakiegoś powodu? Może zapytała wcześniej, czy ma pan chęć na numerek?

— Nie! — zaprotestował Randy. — Powtarzam, że nie było mowy o seksie. Gawędziliśmy sobie miło, ale potem poprosiła mnie, żebym odszedł. Przyszła jej przyjaciółka i chciały porozmawiać na osobności, więc je zostawiłem.

Kurt przyglądał się badawczo cherlawemu komputerowcowi. Przeprowadził w życiu wystarczająco wiele przesłuchań, by wyczuć, że facet mówi prawdę. Sęk w tym, że to, co powiedział, nijak nie przystawało do obecnych przekonań Kurta o nowej pracownicy. Ta kobieta stanowiła teraz jeszcze większą, nie mniejszą, zagadkę.

— Chciałbym z panem porozmawiać o pewnej sprawie — powiedział Randy, aby jak najszybciej zmienić temat. Opowiedział Kurtowi o dziwnej wizycie doktora Wingate'a w pomieszczeniu z serwerem.

Kurt słuchał, kiwając głową. Nie wiedział, co sądzić o tym zdarzeniu ani jakie podjąć w związku z nim kroki. Od dobrych paru lat podlegał Paulowi Saundersowi, nie Spencerowi Wingate'owi, a jako wojskowy nie znosił niejasności w hierarchii.

— Proszę dać mi znać, gdyby coś podobnego się powtórzyło — powiedział. — I proszę mnie poinformować, gdyby Georgina Marks, albo jej przyjaciółka, jeśli już o tym mowa, próbowały znów nawiązać z panem kontakt. Nie muszę chyba dodawać, że ta rozmowa ma pozostać tylko między nami. Czy wyrażam się jasno?

Randy czym prędzej pokiwał głową.

Kurt wstał i bez słowa opuścił kabinę.

Deborah przestała udawać, że pracuje. Klębiące się pod czaszką myśli nie pozwalały jej skupić się na zadaniu, a ponieważ już wkrótce obie z Joanną miały zamiar stąd zniknąć, wszystko to było i tak zwykłym mydleniem oczu. Przeszło godzinę już czekała na wiadomość od przyjaciółki, że jej wścibska koleżanka z sąsiedniej kabinki poszła sobie i że mogą spokojnie zajrzeć do pliku dawczyń, ale telefon milczał jak zakłęty. Najwyraźniej sąsiadka nie wybierała się nigdzie w najbliższym czasie.

Dziewczyna zaczęła bębnić palcami po blacie. Nigdy nie była szczególnie cierpliwa, a to niepotrzebne wyczekiwanie przekraczało granice jej wytrzymałości.

— Ach, kurde — mruknęła nagle pod nosem. Odsunęła się od mikroskopu, sięgnęła po torebkę i ruszyła w stronę drzwi. Wystarczająco długo już szanowała paranoidalną obawę Joanny przed jej sąsiadką. Ostatecznie jakie to miało znaczenie? Kiedy tylko dowiedzą się tego, co chciały wiedzieć, wyniosą się stąd. Poza tym Deborah mogła przecież, jak zaproponowała wcześniej, zasłonić sobą ekran, tak żeby ciekawska kobieta niczego nie podejrziała.

Nie patrząc na nielicznych mijanych po drodze pracowników laboratorium, dziewczyna ponownie wyszła na korytarz, jak gdyby wybierała się do toalety. Parę minut później była już w kabinie przyjaciółki. Joanna sumiennie pracowała.

— Gdzie siedzi Gale Overlook? — bezgłośnie, samym ruchem warg, zapytała Deborah.

Joanna wskazała na prawo. Deborah wyjrzała ponad przepierzeniem. Sąsiednia przegródka stanowiła lustrzane odbicie kabinki Joanny. Co ciekawe, była pusta.



— Nikogo tam nie ma! — oznajmiła Deborah.

Zaintrygowana Joanna również zerknęła w bok.

— A niech mnie licho — powiedziała. — Była tam jeszcze dwie minuty temu.

— Znakomicie. — Deborah z zapalem zatarła dłonie. — Więc może od razu zrobimy nasze hokus-pokus? Zobaczmy, co wiadomo o naszym potomstwie, i spadajmy stąd.

Joanna wyszła na próg kabinki i rozejrzała się w obie strony. Usatysfakcjonowana wróciła i usiadła przy klawiaturze. Zerknęła niepewnie na Deborah.

— Będę pilnować — zapewniła ją przyjaciółka. — I po tej całej męce lepiej niech ci się to uda — dodała po chwili.

Kilkoma szybkimi uderzeniami klawiszy i ruchami myszki Joanna rozwinęła pierwszą stronę katalogu dawczyń. Wśród innych nazwisk zaczynających się od początkowych liter alfabetu widniała tam Deborah Cochrane.

— Zaczniemy od ciebie — oświadczyła Joanna.

— Świetnie — zgodziła się Deborah.

Kuknięciem myszki Joanna otworzyła plik. Dziewczyny przebiegły wzrokiem dane personalne i informacje z wywiadu lekarskiego. U dołu strony znajdował się podkreślony, wytłuszczony dopisek, że dawczyni stanowczo upierała się przy znieczuleniu miejscowym.

— Najwyraźniej traktują sprawę znieczulenia dość poważnie — zauważyła Deborah.

— Skończyłaś z tą stroną? — zapytała Joanna.

— Tak, przejdźmy do ciekawszych rzeczy!

Joanna wywołała następną stronę, która okazała się zarazem ostatnia. U góry, w polu LICZBA A POBRANYCH KOMÓREK JAJOWYCH, widniało zero.

— Co, u licha? — zdumiała się Deborah. — To by wskazywało, że nie uzyskali ode mnie ani jednej komórki.

— Ale powiedzieli ci, że uzyskali?

— Oczywiście, że tak.

— To dziwne — stwierdziła Joanna. — Sprawdźmy teraz mój plik. — Wróciła do katalogu i przewijała go, dopóki nie dotarła do litery M. Odszukawszy swoje nazwisko, kliknęła myszką. Przez następnych trzydzieści sekund przedzierały się przez materiał przypominający to, co znalazły na pierwszej stronie pliku Deborah. Ale kolejna strona zgotowała im niespodziankę jeszcze większą niż zerowa liczba gamet u Deborah. Plik Joanny stwierdzał, że w tym wypadku pozyskano ich 378.

— Nie wiem, jak mam to rozumieć — oświadczyła Joanna. — Mówili o pięciu albo sześciu, nie o kilkuset.

— Co jest po każdym jajeczku? — zapytała Deborah. Czcionka była zbyt mała, by ją odczytać.

Joanna powiększyła widok. Przy każdej komórce jajowej widniało nazwisko klientki wraz z datą transferu zarodka, nazwisko Paula Saundersa oraz krótki opis rezultatu.

— Według tego wykazu każde z twoich jajeczek trafiło do innej biorczyni — zauważyła Deborah. — Nawet to jest dziwne. Sądziłam, że każda pacjentka dostaje w miarę możliwości po kilka gamet, żeby zmaksymalizować szansę przyjęcia zarodka.

— Mnie też tak się dotąd zdawało — przyznała Joanna. — Nie wiem, co myśleć o tym wszystkim. Nie dość, że tych komórek jest zbyt wiele, to jeszcze żadna z nich nie dała pozytywnego wyniku. — Przesunęła palcem wzdłuż długiej listy. Każdy wiersz kończyła adnotacja o nieprzyjęciu zarodka albo data poronienia.

— Zaczekaj! Tu się powiodło. — Deborah wskazała palcem. W pozycji trzydziestej siódmej podana była data urodzenia: 14 września 2000. Obok widniało nazwisko matki, adres i numer telefonu oraz informacja, że było to zdrowe dziecko płci męskiej.

— No cóż, dobrze, że chociaż jedno — odetchnęła z ulgą Joanna.

— Jest następne — zauważyła Deborah. — Pozycja czterdziesta ósma, z datą urodzenia pierwszy października dwutysięcznego roku. To też był zdrowy chłopiec.

— W porządku, dwa — zgodziła się Joanna. Poczuli się rażniej, dopóki nie przebrnęły przez listę do końca. Spośród wszystkich 378 komórek tylko dwie jeszcze dały wyniki pozytywne: gameta 220 i gameta 241, obie zagnieżdżone w styczniu tego roku. Przy każdej z nich znajdowała się notatka, że ciążę przebiegają prawidłowo.

— Jak to możliwe, że zagnieżdżili te dwie tak niedawno? — zdziwiła się Joanna.

— Przypuszczam, że musieli zamrozić jajeczka — odparła Deborah.

Joanna odchyliła się na oparcie krzesła i spojrzała na przyjaciółkę.

— Nie tego się spodziewałam — powiedziała.

— Otóż to — przyznała Deborah.

— Jeśli te dane są prawdziwe, prawdopodobieństwo sukcesu wynosi mniej więcej jeden do stu. To nie świadczy dobrze o moich komórkach jajowych.

— Niemożliwe, żeby uzyskali od ciebie prawie czterysta jajeczek. To musi być jakieś naukowe fałszerstwo dla Bóg wie jakich celów. Czterysta komórek jajowych to mniej więcej tyle, ile wytworzysz przez całe swoje życie!

— Mówisz, że to wszystko jest wysrane z palca?

— Tak przypuszczam — stwierdziła Deborah. — Obie wiemy, że dzieją się tu jakieś podejrzane sprawy. W takim świetle fałszowanie danych zupełnie mnie nie zaskakuje. Do diabła, to zdarza się w najlepszych instytucjach, a co dopiero w takim odizolowanym miejscu jak to. Ale powiem ci coś: teraz, kiedy mamy przed sobą cały ten bigos, jestem jeszcze bardziej rozczarowana, że nie możemy zajrzeć do ich plików z dokumentacją badań.

Joanna odwróciła się do klawiatury i zaczęła pisać.

— Co robisz? — zapytała Deborah.

— Chcę wydrukować ten plik — odparła Joanna. — Weźmiemy go i odejdziemy stąd. Jestem zdruzgotana tymi wynikami.

— Ty jesteś zdruzgotana! — oburzyła się Deborah. — Mnie spławili z zerową liczbą jajeczek. Dla ciebie byli przynajmniej na tyle uprzejmi, żeby przypisać ci kilkoro żyjących dzieci.

Joanna obejrzała się na nią. Jak się spodziewała, zobaczyła na twarzy przyjaciółki szeroki uśmiech. To jedno musiała jej przyznać: dzięki swemu figlarnemu usposobieniu Deborah w niemal każdej sytuacji potrafiła znaleźć coś zabawnego. Ona sama daleka była od żartów.

— Zauważyłam jedną rzecz — oświadczyła Deborah. — Przy żadnym z twoich jajeczek nie wspomniano o dawcy spermy.

— Przypuszczam, że byli to mężowie pacjentek — odparła Joanna. Skończyła ustawić właściwości drukowania. — Dobrze. To potrwa parę minut przy tej wielkości pliku. Jeśli jest jeszcze coś, co chciałabyś zrobić, zrób to zaraz, bo kiedy tylko będziemy miały ten wydruk, chcę stąd zniknąć.

— Jestem gotowa — odparła Deborah.

— Co za dzień — jęknął Randy. Był szczęśliwy, że uwolnił się wreszcie od Kurta Hermanna, ale niezadowolony, że w ogóle musiał odbyć tę dziwną dyskusję. Facet swym spokojnym zachowaniem, powolnymi ruchami i sposobem, w jaki cedził słowa, przypominał mu zamkniętego w klatce tygrysa. Na samo wspomnienie tej rozmowy Randy wzdrygnął się, jak gdyby przeszła go fala mdłości.

Wracał właśnie z księgowości, gdzie doprowadzał do porządku jedną ze stacji roboczych, w czym wcześniej przeszkodziło mu wezwanie na pogawędkę z szefem ochrony. Dochodziła druga po południu i Randy nie mógł się już doczekać, kiedy znów usiądzie w swej kabinie. Spotkanie z Kurtem nie było najgorszą rzeczą, która przytrafiła mu się tego dnia: najgorsza była przegrana ze SCREAMEREM i Randy marzył o rewanżu.

Wchodząc do siebie, jak zwykle sprawdził ukradkiem, czy Christine jest w pobliżu. Z zadowoleniem stwierdził, że jej nie ma, co było normalne o tej porze dnia, kiedy uczestniczyła w popołudniowych zebraniach kierowników działów. Czyli może sobie pozwolić na nieco głośniejszy dźwięk. Usiadł i wyciągnął joystick z za monitora. Następnie wprowadził hasło, by odblokować klawiaturę. W tej samej chwili zobaczył w prawym dolnym rogu ekranu ten sam cholerny komunikat, który rano przyczynił się do jego śmierci. Znów jakiś intruz wszedł do pomieszczenia z serwerem!

Waląc wściekle w klawisze, Randy wywołał odpowiednie okno. Istotnie, drzwi zostały otwarte o 12.02 i pozostały otwarte do 12.28, co oznaczało, że ktokolwiek tam wszedł, przebywał w środku przez dwadzieścia sześć minut. Randy zdawał sobie spr-

wę, że dwudziestosześciminutowa wizyta była zupełnie czymś innym niż zwykłe wzięcie głowy dla rzucenia okiem, i bardzo się tym zaniepokoił. W tak długim czasie można było naprawdę niezłe narozrabiać.

Przywołał odpowiedni folder, by poznać tożsamość intruza. Ze zdumieniem stwierdził, że ponownie był to doktor Spencer Wingate! Odchyliwszy się na oparcie fotela, wbił wzrok w nazwisko założyciela kliniki. Zastanawiał się, jak postąpić. Powiedział Kurtowi o poprzednim wypadku, ale szef ochrony wyraźnie nie przejął się tym zbytnio, choć prosił, by dać mu znać, gdyby zdarzyło się to jeszcze raz.

Randy znów pochylił się naprzód. Postanowił, że zadzwoni do szefa ochrony, ale dopiero wtedy, gdy uda mu się znaleźć jakiegokolwiek zmiany dokonane w systemie. Pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu na myśl, była zmiana uprawnień użytkowników. Paroma szybkimi uderzeniami klawiszy i ruchami myszki otworzył swoją bazę informacyjną. Parę minut później miał już odpowiedź. Doktor Wingate dodał Prudence Heatherly do listy osób upoważnionych do korzystania z katalogu *Dawczyni* na dysku archiwalnym.

Randy znów odchylił się na oparcie fotela. Zachodził w głowę, dlaczego założyciel kliniki miałby przydzielać nowej pracownicy prawo dostępu do zastrzeżonego pliku, do którego sam nie mógł wchodzić. To nie miało większego sensu, chyba że Prudence Heatherly pracowała dla niego w jakimś tajnym charakterze.

— Niewiarygodne — powiedział głośno Randy. Na swój sposób niezłe się bawił. Sytuacja przypominała nieco grę komputerową, w której starał się rozpracować strategię przeciwnika. Nie było to wprawdzie tak ekscytujące jak Unreal Tournament, ale z tym mało co przecież mogło się równać. Na dłuższą chwilę pogrążył się w rozmyślniach.

Nie wydumawszy żadnego rozsądnego wyjaśnienia, Randy sięgnął po telefon. Nie palił się do ponownej rozmowy z Kurtem, ale przynajmniej tym razem nie będzie miał z nim do czynienia osobiście. Postanowił też, że poda mu tylko fakty, swoje domysły zachowa wyłącznie dla siebie. Wystukując numer wewnętrzny, spojrział na zegar. Była dokładnie druga po południu.

## Rozdział 14

10 maja 2001

14.00

Mimo niepokojącego uczucia, że jest obserwowana, Joanna starała się zachowywać normalnie, gdy zstępowała po schodach Kliniki Wingate'a i kroczyła ścieżką w stronę chevroleta malibu. Deborah czekała już w samochodzie i nawet stąd widać było jej sylwetkę na fotelu kierowcy. Ponieważ dzień pracy nie dobiegł jeszcze końca, dziewczyny uznały, że ich ucieczka mniej będzie rzucała się w oczy, jeśli wyjdą osobno, niż gdyby wymaszerowały razem. Na razie wszystko szło dobrze. Deborah najwyraźniej przemknęła się bezpiecznie, a i jej samej również nikt nie zatrzymywał.

Przewiesiła torebkę przez prawe ramię. W lewej ręce trzymała grubą kopertę, zawierającą opasły wydruk pliku dawczyń. Musiała zmagać się z pokusą, by nie puścić się biegiem. Znow czuła się jak umykający złodziej, tyle że tym razem unosiła ze sobą łup.

Bez przygód dotarła do samochodu i najszybciej jak mogła, wgramoliła się do środka.

— Wynośmy się stąd do diabła! — oświadczyła.

— Czyż nie byłby to dobry moment, żeby samochód nie zapalił? — zażartowała Deborah, sięgając do stacyjki.

Joanna trzepnęła ją żartobliwie, dając ujście swym nerwom.

— Nawet nie wspominaj o czymś takim, wesołku! Ruszaj!

Deborah uchyliła się przed ciosem, uruchomiła silnik i wyjechała tyłem ze stanowiska.

— No i udało nam się, cokolwiek było to warte — odezwała się, wyprowadzając samochód na długi, biegnący łukiem podjazd. — Myślę, że możemy być z siebie dumne, nawet jeśli wynik okazał się tylko wielkim rozczarowaniem.

— Nie udało nam się, bo nie przejechałyśmy jeszcze bezpiecznie przez bramę — zauważyła Joanna.

— W zasadzie tak — zgodziła się Deborah. Podjechała do bramy i zatrzymała się przed białą linią.

Przez moment, nim brama rozpoczęła swój długi, powolny obrót, Joanna wstrzymała oddech.

Chwilę później Deborah wprowadziła samochód w tunel pod wartownią i wyjechała na otwartą przestrzeń.

Joanna wyraźnie się odprężyła, co nie uszło uwagi jej przyjaciółki.

— Naprawdę się bałaś? — zapytała Deborah.

— Bałam się przez cały dzień — przyznała dziewczyna. Otworzyła kopertę i wydobyla opasły wydruk.

Skręcając w Pierce Street w stronę Bookford, Deborah zerknęła na nią.

— Cóż to, przyjemna lektura na drogę powrotną?

— Mam pewien pomysł, wiesz? — odparła Joanna. — I to całkiem niezły, jak sama przyznasz. — Zaczęła wertować strony, starając się przy tym nie pomieszać ich kolejności. Minęło kilka minut.

— Wtajemniczysz mnie, czy masz zamiar zachować ten wspaniały pomysł dla siebie? — zapytała w końcu Deborah. Milczenie przyjaciółki działało jej trochę na nerwy.

Joanna uśmiechnęła się w duchu. Uświadomiła sobie, że nie kończąc swej myśli, mimowolnie dała Deborah próbkę jej własnego irytującego sposobu mówienia. Napawając się zemstą, wstrzymała się z odpowiedzią, dopóki nie wydobyła odpowiednich stron i nie odłożyła reszty pliku na tylne siedzenie.

— Voilà! — powiedziała, unosząc kartki, by pokazać je przyjaciółce.

Deborah oderwała wzrok od drogi na wystarczająco długo, by zorientować się, że Joanna trzyma strony zawierające dane dwójki dzieci, które rzekomo urodziły się z jej komórek jajowych.

— W porządku, widzę, co tam masz. Więc na czym polega ten świetny pomysł?

— Te dzieci mają teraz jakieś siedem, osiem miesięcy — odparła Joanna. — Jeżeli w ogóle istnieją.

— Tak, no i co z tego?

— Mamy tu nazwiska, adresy i numery telefonów — wyjaśniła Joanna. — Proponuję, żebyśmy zadzwoniły do tych ludzi i, jeśli się zgodzą, złożyły im wizytę.

Deborah zerknęła na nią z kompletnym niedowierzaniem.

— Żartujesz — powiedziała. — Powiedz mi, że żartujesz.

— Nie żartuję — oświadczyła Joanna. — Sama wspomniałaś, że ta lista jest pewnie sfałszowana. Sprawdźmy to. Przynajmniej jedna z tych rodzin mieszka tu, w Bookford.

Deborah zjechała na pobocze. Były już niedaleko biblioteki publicznej na rogu Pierce i Main Street. Zatrzymała samochód i odwróciła się do przyjaciółki.

— Nie chcę cię rozczarować, ale nie wydaje mi się, żeby nachodzenie tych ludzi było dobrym pomysłem. Telefon, w porządku, ale nie wizyta.

— Najpierw zadzwonimy — zgodziła się Joanna. — Ale jeśli te dzieci istnieją, chcę je zobaczyć.

— Tego nigdy nie planowałyśmy — oświadczyła Deborah. — Miałyśmy tylko się dowiedzieć, czy w ogóle urodziły się jakieś dzieci. Nigdy nie było mowy o odwiedzinach. To nie jest zdrowe, poza tym nie sądzę, żeby sami rodzice byli tym zachwyceni.



— Nie zamierzam im mówić, że jestem dawczynią — zapewniła ją Joanna. — Jeśli właśnie o to się martwisz.

— Martwię się o ciebie — odparła Deborah. — Wiedzieć, że dziecko istnieje, to jedna rzecz. Zobaczyć je na własne oczy, to coś zupełnie innego. Uważam, że nie powinnaś stawiać się w takiej sytuacji. To się skończy urazem emocjonalnym.

— Nie skończy się żadnym urazem — oświadczyła Joanna. — Dobrze mi to zrobi. Będę się czuć o wiele lepiej.

— Tak powiedział narkoman, kiedy sięgał po pierwszą dawkę heroiny — zauważyła Deborah. — Jeśli te dzieci istnieją i ty je zobaczysz, będziesz chciała oglądać je częściej, a to nie jest uczciwe wobec nikogo.

— Nie przekonasz mnie — odparła Joanna. Wyjęła z torebki telefon komórkowy i wystukała numer państwa Sard. Czekając na połączenie, zerknęła na przyjaciółkę. Sygnał dzwonka wskazywał, że numer nie był zmyślony.

— Halo, czy to pani Sard? — zapytała, usłyszawszy kobiecy głos w słuchawce.

— Tak, kto mówi?

— Tu Prudence Heatherly z Kliniki Wingate'a — odparła Joanna. — Chciałam się dowiedzieć, jak się miewa dziecko.

— Jason ma się znakomicie — oświadczyła pani Sard. — Jesteśmy bardzo przejęci. Właśnie zaczyna raczkować.

Joanna demonstracyjnie uniosła brwi na użytek Deborah.

— Już zaczyna raczkować! To wspaniale! Wie pani, dzwonię dlatego, że chcielibyśmy przyjrzeć się rozwojowi chłopca. Czy mogłybyśmy z jeszcze jedną osobą z kliniki wpaść do pani na chwilę?

— Oczywiście! — odparła pani Sard. — Gdyby nie wasza ciężka praca, nie mielibyśmy naszego maleństwa. On jest dla nas wielką radością. Tak długo marzyliśmy o dziecku. Kiedy chciałyby panie wpaść?

— Może za jakieś pół godziny, jeśli to pani odpowiada?

— Znakomicie. Jason właśnie obudził się z popołudniowej drzemki, więc powinien być w dobrym nastroju. Ma pani adres?

— Tak, ale proszę mi powiedzieć, jak tam dojechać.

Dojazd okazał się bardzo prosty. Wystarczyło tylko skręcić w lewo na Main Street, wjechać do miasteczka, po czym skręcić w pierwszą uliczkę na lewo za apteką RiteSmart. Dom państwa Sard był budynkiem w stylu lat sześćdziesiątych, o nieregularnej bryle, z fasadą licowaną wykuszającą się już imitacją cegły. Drzwi i ramy okienne pokrywała łuszcząca się warstwa farby. Z tym żalonym obrazem kłóciła się nowiutka huśtawka dziecięca, która lśniła w popołudniowym słońcu obok skromnego domku.

Deborah zjechała na podjazd za wiekowym formem. Zauważyła huśtawkę.

— Nowa huśtawka dla sześciomiesięcznego dzieciaka! Oto gorliwy tatuś, nie ma co — zawołała.

— Ta kobieta mówiła, że długo marzyli o dziecku.

— Nie wygląda to na dom ludzi dysponujących sumami, jakich żąda Klinika Wingate'a.

Joanna skinęła głową i stwierdziła:

— Ciekawe, skąd wzięli pieniądze. Niepłodność potrafi skłonić ludzi do desperackich kroków. Często zastawiają dom albo po prostu pożyczają pieniądze, ale patrząc na ten dom, odnoszę wrażenie, że ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie mogło tu wchodzić w rachubę.

— Co oznacza, że prawdopodobnie nie zostało im zbyt wiele pieniędzy na wydatki związane z wychowaniem dziecka. Jesteś pewna, że chcesz przez to przejść? To znaczy, tam w środku może być dość nieprzyjemnie. Osobiście proponuję, żebyśmy od razu zawróciły i odjechały. Nikomu nie stanie się krzywda.

— Chcę zobaczyć to dziecko — odparła Joanna. — Uwierz mi! Zniosę to dobrze.

Otworzyła drzwi i wysiadła z wozu. Deborah zrobiła to samo. Dziewczyny ruszyły alejką do wejścia. Deborah, na swych wysokich obcasach, musiała niezwykle ostrożnie stawiać kroki na popękanej betonowej nawierzchni. Jednak i tak wysunęła stopę z buta i musiała się pochylić, by uwolnić go ze szczeliny.

— Bądź tak dobra i zegnij kolana — powiedziała Joanna. — Teraz już wiem, dlaczego Randy gapił się na ciebie wtedy przy fontannie.

— Twoja zazdrość nie zna granic — odcięła się Deborah.

Dziewczyny wspięły się po schodkach na ganek.

— Jesteś na to gotowa? — zapytała Deborah z palcem na przycisku dzwonka.

— Naciśnij ten cholerny dzwonek! — odparła Joanna. — Robisz z tego taką aferę!

Deborah wdusiła przycisk. Poprzez drzwi dał się słyszeć dźwięk jak gdyby wygrywanej melodyjki.

— To miły akcent — zauważyła z przekąsem Deborah.

— Nie bądź tak krytycznie nastawiona! — skarciła ją Joanna.

Drzwi otworzyły się i przez brudną szybę drzwi burzowych przyjaciółki dostrzegły dość tęgą kobietę w podomce, trzymającą na rękach dziecko z szopą ciemnych włosów. Gdy także drzwi burzowe zostały otwarte i obie postacie ukazały im się w całej okazałości, dziewczynom ze zgrozy zaparło dech w piersiach. Deborah zrobiła krok w tył i zachwiała się na swych wysokich obcasach. Upadłaby, gdyby w porę nie złapała się poręczą.

Paul Saunders miał na głowie ważniejsze sprawy niż spotkanie z Kurtem Hermannem. Musiał nawet odłożyć sekcję urodzonych przez maciorę noworodków, którą miał zamiar wykonać z Gregiem Lynchem w prosektorium na farmie. Ale Kurt oświadczył, że muszą porozmawiać natychmiast, i Paul niechętnie ustąpił, tym bardziej

że szef ochrony nalegał, by spotkali się z dala od obcych uszu, w wartowni. Paul wiedział, że to oznacza kłopoty, ale nie przejmował się tym. Wierzył w zdolności i dyskrecję Kurta, za które płacono mu ciężkie pieniądze... potwornie ciężkie pieniądze!

Kiedy zbliżył się do przysadzistej budowli, pomyślał o swej ostatniej wizycie w jej murach. Było to dobrze ponad rok temu, gdy zdarzył się ten nieszczęsny wypadek podczas zabiegu. Pamiętał jeszcze, jak sprawnie i z jaką zimną krwią Kurt opanował wtedy sytuację, i to wspomnienie również było jednym ze źródeł obecnego spokoju Paula.

Przy drzwiach strząsnął błoto, które przykleiło mu się do butów podczas spaceru przez wilgotny trawnik, wciąż jeszcze dochodzący do siebie po śnieżnej zimie. Paul wszedł do środka i zastał szefa ochrony siedzącego przy biurku w ascetycznie urządzonej gabinecie. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Mamy poważny problem — oświadczył Kurt ze zwykłym opanowaniem. Opierał łokcie na blacie biurka, splatając w powietrzu dłonie. Dla podkreślenia swych słów wy-celowwał w Paula spiczaste palce wskazujące, ale poza tym nie było w jego postawie żadnego śladu wzburzenia ani paniki.

— Słucham — odparł Paul.

— Wczoraj przyjęto do pracy dwie nowe osoby — powiedział Kurt. — Niejaką Georginę Marks i Prudence Heatherly. Zakładam, że rozmawiał pan z nimi, jak to ma pan w zwyczaju.

— Oczywiście — przyznał Paul. Oczywiście wyobraźni zobaczył przed sobą Georginę i jej krągłe ciało.

— Przeprowadziłem małe śledztwo. One nie są osobami, za które się podają.

— Co to znaczy?

— Użyły fałszywych nazwisk — wyjaśnił Kurt. — Georgina Marks i Prudence Heatherly istotnie były mieszkankami Bostonu, ale obie od niedawna nie żyją.

Paul przełknął ślinę. Nagle zaschło mu w ustach.

— Kim one są? — zapytał. Odchrząknął. — Czy coś już wiadomo?

— Znamy nazwisko jednej z nich — odparł Kurt. — To Deborah Cochrane. Samochód, którym jeżdżą, jest zarejestrowany na nią. Drugie nazwisko jest jak na razie nieznanne, ale to się wkrótce zmieni. Adres, który podały, jest fałszywy, ale mamy prawdziwy adres, przynajmniej jeśli chodzi o Deborah Cochrane, a przypuszczam, że okaże się on właściwy dla nich obu.

— Gratuluję szybkiego działania — powiedział Paul.

— Wydaje mi się, że gratulacje są na razie przedwczesne — stwierdził Kurt. — Jest coś jeszcze.

— Słucham więc — odparł Paul. Poruszył się niespokojnie. Przez chwilę przeraził się, że Kurt, przy wszystkich swych zdolnościach, mógł dowiedzieć się również o jego niedanej próbie umówienia się z rzekomą Georgina na kolację.

— Randy Porter odkrył, że kobiecie podającej się za Prudence Heatherly udało się otworzyć i wydrukować jeden z pańskich zastrzeżonych plików. To plik o nazwie *Dawczynię*.

— Dobry Boże! — wyrwało się Paulowi. — Jak to możliwe? Ten komputerowy palant zapewniał mnie, że moje pliki są bezpieczne.

— Nie znam się na komputerach tak, jak powinienem — przyznał Kurt. — Ale Randy dał mi do zrozumienia, że pomógł jej w tym doktor Wingate, którego, jak sądzę, uwiodła.

Paul o mało nie spadł z krzesła. Wiedział, że Spencer jest niezadowolony, ale tego było już za wiele.

— W jaki sposób jej pomógł?

— Dodał jej nazwisko do listy użytkowników — odparł Kurt. — Musiałem nieomal siłą wyciągać z Randy'ego tę informację, ale tak właśnie powiedział.

— W porządku — warknął Paul, czując, jak policzki nabiegają mu krwią. — Porozmawiam ze Spencerem i wysłucham, co ma na ten temat do powiedzenia, chociaż być może tu też będę potrzebował pana pomocy. Pan niech tymczasem zajmie się dziewczynami i załatwi sprawę tak sumiennie jak wtedy, gdy mieliśmy ten niefortunny zgon na stole operacyjnym, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Nie życzę sobie, żeby te dziewczyny wydostały się stąd o własnych siłach, a najlepiej, żeby nie wydostały się stąd w ogóle. I chcę mieć ten wydruk! — Przy ostatnich słowach praktycznie wrzeszczał.

— Niestety, dziewczyn już tu nie ma — powiedział Kurt, zachowując spokój mimo wzrastającego podniecenia Paula. — Gdy tylko dowiedziałem się o tym wszystkim, próbowałem je odnaleźć i zatrzymać. Najwyraźniej natychmiast po zrobieniu wydruku opuściły klinikę.

— Niech pan je znajdzie i pozbędzie się ich! — warknął Paul, przy każdym słowie dźgając w jego stronę palcem. — Nie chcę wiedzieć, jak pan to zrobi, po prostu proszę to zrobić! I niech pan to zrobi tak, żeby żadne podejrzenia nie padły na klinikę. Musimy opanować sytuację!

— To się rozumie samo przez się — odparł Kurt. — A ponieważ zdążyłem już przemyśleć trochę całą tę sprawę, z przyjemnością stwierdzam, że moim zdaniem nie będzie to nastroczać większych trudności. Po pierwsze, mamy adres, co oznacza, że łatwo możemy dotrzeć do tych kobiet. Po drugie, one z pewnością wiedzą, że to, co zrobiły, jest przestępstwem, co oznacza, że przypuszczalnie nie rozpowiadały na prawo i lewo o swoich planach. Poza tym przynajmniej jedna z nich była tu dawczynią, co wskazuje raczej na motyw osobiste niż jakąś kruczatę społeczną. Wszystko to oznacza, że choć nastąpiło poważne naruszenie bezpieczeństwa, sytuacja jest do opanowania, jeśli tylko będziemy działać szybko.

— W takim razie niech pan działa szybko! — wrzasnął Paul. — Chcę, żeby do wieczoru sprawa została załatwiona. Te kobiety mogą narobić nam poważnych kłopotów.

— Podjąłem już przygotowania do wyjazdu do Bostonu — odparł Kurt. Wstał, upewniając się przy tym, by Paul dostrzegł automatyczny pistolet Glocka, wyciągnięty ze środkowej szuflady biurka. W zamierzeniu miało to podkreślić wagę, jaką szef ochrony przywiązywał do tej sytuacji. Ale reakcja Paula była inna, niż oczekiwał. Zamiast udawać, że niczego nie widział, Paul zapytał, czy nie znalazłby się gdzieś jeszcze jeden pistolet, żeby mógł go pożyczyć sobie na wieczór. Kurt z radością wyświadczył mu tę przysługę. Miał nadzieję, że Paul rozwiąże problem Spencera Wingate'a na własną rękę. Przecież fatalnie by było mieć dwóch potencjalnych przełożonych, którzy żyją ze sobą w niezgodzie.

Joanna wciąż jeszcze nie mogła ochłonąć po wstrząsie, jakiego doznała na progu tego domu, i miała wrażenie, że Deborah czuje się podobnie. Pani Sard zaprosiła je do salonu i uparła się, że poczęstuje je kawą. Ale Joanna nawet nie tknęła filiżanki. Dom był tak brudny, że nie miała odwagi. Na kanapie, tuż obok miejsca, gdzie siedziała, rozsmarowane były resztki czegoś, co wyglądało na tygodniowy jogurt. Wszędzie dookoła walały się zabawki i brudne ubrania. Powietrze przesycił zapach zanieczyszczonych pieluch. Kuchnia, którą Joanna dostrzegła w przelocie, zavalona była stertami nie umytych naczyń.

Pani Sard trajkotała bez przerwy, głównie na temat dziecka, które niemal przez cały czas trzymało się jej kurczowo niczym młody torbacznik. Widać było, że ta nieoczekiwana wizyta sprawiła jej przyjemność, co kazało Joannie się domyślać, że była spragniona towarzystwa.

— Więc dziecko rozwija się zdrowo? — wtrąciła Deborah, gdy kobieta umilkła na chwilę, by zaczerpnąć oddech.

— Zupełnie zdrowo — przyznała pani Sard. — Chociaż niedawno powiedziano nam, że ma lekkie upośledzenie słuchu pochodzenia odbiorczego.

Joanna nie miała pojęcia, czym jest upośledzenie słuchu pochodzenia odbiorczego, i choć przez całą wizytę nie odezwała się słowem, zdobyła się, by o to zapytać.

— To głuchota spowodowana uszkodzeniem nerwu słuchowego — wyjaśniła Deborah.

Dziewczyna skinęła głową, ale wątpliwości pozostały. Jednak nie drążyła tego dalej. Spojrzała na swoje dłonie. Drżały. Szybko położyła jedną na drugiej. To wyraźnie pomogło. W tej chwili chciała już tylko opuścić to miejsce.

— Co jeszcze mogę wam powiedzieć o moim słoneczku? — zamyśliła się pani Sard. Z dumą odczepiła od siebie uwieszone jej ramienia małeństwo i zaczęła je podrzucać na kolanie.

Joanna była zdania, że chłopczyk jest uroczy, jak każde dziecko, ale byłby jeszcze bardziej uroczy, gdyby był czystszy. Śpioszki, w które był ubrany, były poplamione z przodu, włoski miał brudne, a do policzka przywarła mu grudka wyschniętych płatków zbożowych.

— Cóż, chyba dowiedzieliśmy się już wszystkiego, czego nam było trzeba — stwierdziła Deborah. Wstała i Joanna z ulgą czym prędzej poszła w jej ślady.

— Może jeszcze trochę kawy? — zapytała pani Sard z nutą desperacji w głosie.

— Myślę, że nadużyliśmy już pani gościnności — odparła Deborah.

Kobieta próbowała protestować, ale Deborah była nieugięta. Chcąc nie chcąc, pani Sard odprowadziła dziewczyny do wyjścia i przystanęła na ganku, kiedy odchodziły ścieżką. Gdy dotarły do samochodu, jedynie Deborah obejrzała się za siebie. Pani Sard machała rączką dziecka na pożegnanie.

— Wynośmy się stąd — jęknęła Joanna, gdy obie wsiadły i zatrzasnęły drzwi. Świadomie starała się nie patrzeć na dziecko.

— Robię, co mogę — odparła Deborah. Uruchomiła samochód i wycofała się z podjazdu.

Przez kilka minut jechały bez słowa. Były szczęśliwe, że wydostały się z tego domu.

— Jestem przerażona — odezwała się wreszcie Joanna, przerywając ciszę.

— Chyba każdy tak by zareagował — przyznała Deborah.

— Najbardziej niesamowite jest to, że ta kobieta zachowywała się tak, jak gdyby nie miała o niczym pojęcia — stwierdziła Joanna.

— Być może nie ma. A jeśli nawet, to prawdopodobnie tak długo czekała na dziecko, że jest jej wszystko jedno. Niepłodne pary bywają naprawdę zdesperowane.

— Od razu się domyśliłaś? — zapytała Joanna.

— Oczywiście — odparła Deborah. — O mało nie spadłam z tego cholernego ganku.

— Po czym to poznałaś?

— Po wszystkim — stwierdziła Deborah. — Ale gdybym miała wskazać jakąś konkretną cechę, to chyba ten biały kosmyk nad czołem. To dość wyraziste, zwłaszcza u sześciomiesięcznego dziecka.

— Zauważyłaś jego oczy? — Joanna wzdrygnęła się, jakby przeszedł ją dreszcz.

— Jasne — odparła Deborah. — Podobne, tylko jeszcze bardziej różniące się kolorami, miał pies husky jednego z moich wujków.

— Najbardziej gnębi mnie w tym wszystkim myśl, że ten najprawdopodobniej pierwszy ludzki klon musiał powstać z jednej z moich komórek jajowych.

— Rozumiem, co czujesz — odparła Deborah. — Ale muszę przyznać, że mnie najbardziej gnębi to, kto to zrobił i kogo skłonował. Paul Saunders nie jest człowiekiem, którego świat potrzebowałby w wielu egzemplarzach. Klonowanie samego siebie ozna-



cza, że jest jeszcze bardziej egocentryczny, zarozumiały i arogancki, niż sądziłam, choć mogę się założyć, że on sam utrzymywałby, że zrobił to dla nauki, albo dla ludzkości, albo dla jakichś innych dziwacznych powodów.

— Dobrze chociaż, że to dziecko nie ma w sobie nic ze mnie — stwierdziła Joanna. W tej chwili obchodził ją jedynie osobisty aspekt tego wstrząsającego odkrycia.

— Przykro mi to mówić, ale nie jest to do końca prawda — oświadczyła Deborah. — Komórka jajowa dostarcza mitochondrialnego DNA. Dziecko ma twoje mitochondria.

— Nie będę nawet pytać, co to są mitochondria — odparła Joanna. — Nie chcę tego wiedzieć, bo wolę wierzyć, że nie ma w tym dziecku niczego, co pochodziłoby ode mnie.

— Tak czy inaczej, teraz jest już jasne, dlaczego wskaźnik skuteczności przy twoich komórkach jajowych był tak niski. Takie właśnie rezultaty daje klonowanie przez transfer jądrowy. Trzeba przyznać, że i tak radzą sobie lepiej niż ekipa, która sklonowała owcę Dolly. O ile wiem, tamci musieli wykonać jakieś dwieście prób, żeby uzyskać jeden wynik pozytywny. U ciebie są cztery wyniki pozytywne na niecałe trzysta prób.

— To miał być żart? — zapytała Joanna. — Jeśli tak, wcale nie uważam go za śmieszny.

— Mówię poważnie — odparła Deborah. — Oni najwyraźniej znają się na rzeczy. Ich statystyka jest przeszło dwa razy lepsza.

— Ani myślę padać przed nimi z tego powodu na kolana — oświadczyła Joanna. — Niedobrze mi się robi od całej tej sprawy. Czuję się tak fatalnie, że żałuję, że w ogóle tam poszłam.

— Nie będę ci przypominać, że cię przestrzegałam — docięła jej Deborah. — Nie jestem aż tak okrutna.

Joanna, mimo przygnębienia, uśmiechnęła się. Niezależnie od okoliczności przyjaciółka w zadziwiający sposób zawsze potrafiła poprawić jej humor.

— Ale mam inną propozycję, jeżeli tylko czujesz się na siłach — dodała Deborah.

— Aż boję się pytać, o co chodzi.

— Myślę, że powinniśmy odwiedzić drugie dziecko, żeby się przekonać, czy nasze obawy są słuszne.

Przez chwilę jechały w milczeniu. Joanna zastanawiała się nad propozycją.

— To już niczego nie pogorszy — oznajmiła wreszcie Deborah. — Największy wstrząs mamy już za sobą. Może po tej wizycie łatwiej nam będzie zdecydować, co zrobić z tym wszystkim. Jak dotąd, usilnie unikałyśmy tej kwestii.

Joanna skinęła głową. Co do tego jej przyjaciółka miała zupełną rację. Nie dość, że nie przedyskutowały, co zamierzają robić dalej, to jeszcze sama Joanna celowo starała się nawet o tym nie myśleć. Pomijając przekazanie sprawy mediom, które niewątpliwie

nie pozwoliłyby im zachować anonimowości, komu mogły powiedzieć o swoim odkryciu? Problem polegał na tym, że uzyskały te informacje nielegalnie. Joanna nie znała się zbyt dobrze na przepisach prawnych, wiedziała jednak, że uzyskanie dowodów za pomocą przestępstwa zmniejsza ich użyteczność. Poza tym nie miała nawet pojęcia, czy klonowanie ludzi przez prywatną klinikę było sprzeczne z prawem stanu Massachusetts.

— W porządku — odezwała się nagle. — Zobaczmy to drugie dziecko. Ale jeśli ono wygląda tak samo, nie wchodźmy do środka. — Sięgnęła po drugą kartkę i wyciągnęła komórkę.

Nazwisko drugiego dziecka brzmiało Webster, a Websterowie mieszkali w niewielkiej miejscowości pomiędzy Bookford a Bostonem. Przez dłuższą chwilę nikt nie odbierał telefonu i po pięciu dzwonekch Joanna już miała zamiar się rozłączyć, gdy w słuchawce odezwał się zdyszany żeński głos.

Rozmowa z panią Webster potoczyła się niemal podobnie, jak z panią Sard, jeśli nie liczyć wspomnianego zdyszania. Kobieta wyjaśniła, że biegła do telefonu, ponieważ wyciągnęła akurat Stuarta z kąpieli. Co ważniejsze, zgodziła się na wizytę i dokładnie objaśniła dziewczynom drogę.

— Przynajmniej dziecko będzie czyste — skwitowała Joanna, odkładając komórkę.

Pół godziny później dziewczyny wjechały na podjazd przed budynkiem, który stanowił zupełne przeciwieństwo domu Sardów. Dom Websterów był nieomal pałacem z cegły, w kolonialnym stylu, z potężnymi kominami strzelającymi w górę jak chwasty w ogrodzie. Dziewczyny omiotły wzrokiem budynek i starannie utrzymane otoczenie. Trawnik ozdabiały obsypane kwiatami magnolie i derenie.

— Muszę powiedzieć, że doktor Saunders niezbyt konsekwentnie dobiera sobie przyrodnych rodziców — zauważyła Deborah. — To znaczy, jeżeli to dziecko również jest klonem.

— Chodź! — ponagliła ją Joanna. — Chcę mieć to już za sobą.

Dziewczyny z pewnym wahaniem ruszyły ścieżką wyłożoną płytami chodnikowymi. Żadna z nich nie była do końca pewna, czy ma ochotę odwiedzić ten dom, obie jednak czuły się do tego zobowiązane. Joanna nacisnęła dzwonek.

I znów zarówno ona, jak i Deborah, natychmiast rozpoznały w dziecku klon Paula Saundersa. Chłopczyk wyglądał identycznie jak dziecko Sardów. Miał taki sam biały kosmyk nad czołem, tak samo różnobarwne tęczęwki i taki sam nos o szerokiej podstawie.

Pani Webster okazała się równie życzliwa jak pani Sard, choć nie tak spragniona towarzystwa. Zaprosiła dziewczyny do środka, one jednak podziękowały i stanowczo obstawały przy pozostaniu na werandzie.

Joanna zdążyła już ochłonąć z początkowego wstrząsu, była więc w stanie brać większy udział w krótkiej rozmowie z panią Webster niż podczas wizyty u pani Sard. Poza tym widok zadbanego dziecka w otoczeniu bardziej sprzyjającym jego rozwojowi spra-

wiał, że cała sytuacja wydawała się znośniejsza. Z ciekawości zapytała, czy chłopczyk nie ma problemów ze słuchem. Okazało się, że istotnie ma wadę słuchu, najwyraźniej identyczną jak dziecko Sardów.

Dziewczyny opuściły dom Websterów w milczeniu, pogrążone w myślach. Dopiero gdy znalazły się na autostradzie nr 2 i ruszyły z pełną prędkością, Deborah przerwała wreszcie ciszę:

— Nie zamierzam wałkować tej kwestii w nieskończoność, ale teraz sama rozumiesz, dlaczego byłam rozczarowana, że nie możemy się dostać do plików z dokumentacją eksperymentów kliniki. Intuicja mówi mi, że oni tam robią naprawdę straszne rzeczy i że to klonowanie, na które się natknęliśmy, to tylko wierzchołek góry lodowej. Znając arogancję doktora Saundersa, sądzę, że można się spodziewać wszystkiego.

— Klonowanie ludzi już jest wystarczająco straszne.

— Nie wydaje mi się, żeby samo w sobie wystarczyło, by zaprowadzić Saundersa i spółkę za kratki — odparła Deborah. — Prawdę mówiąc, gdyby do mediów przedostała się wiadomość, że Klinika Wingate'a oferuje klonowanie, bezpłodne pary zaczęłyby pewnie pchać się do nich drzwiami i oknami.

— Co mogę powiedzieć? — mruknęła Joanna. — Mówiłam ci już, że zrobiłam wszystko, co tylko byłam w stanie zrobić.

— Nie mam do ciebie pretensji.

— Ależ masz!

— W porządku, może trochę. Jestem po prostu niezadowolona.

Znów umilkły. Słychać było tylko mruczenie silnika. W oddali, na horyzoncie, zamaczała sylwetka Bostonu.

— Zaczekaj! — wypaliła zniecierpliwiona Deborah, aż Joanna podskoczyła na siedzeniu.

— Przez tę historię z klonowaniem zapomnieliśmy o jajeczkach!

— O czym ty mówisz? — zdumiała się Joanna.

— O tych setkach komórek jajowych, które podobno od ciebie uzyskali — wyjaśniła Deborah. — To przecież niemożliwe, chyba że... — Urwała i z przerażeniem na twarzy zapatrzyła się przed siebie.

— Chyba że co? — zapytała ostro Joanna. W obecnych okolicznościach stary nawyk przyjaciółki wydał jej się szczególnie irytujący.

— Zajrzyj do wydruku — rzuciła szybko Deborah — i zobacz, czy jest więcej dawczyń, od których pobrano kilkaset jajeczek.

Joanna, mamrocząc pod nosem, sięgnęła na tylne siedzenie i ze stęknieniem położyła sobie ciężki plik na kolanach. Zaczęła przeglądać go od początku, ale nie musiała długo szukać.

— Jest ich całe mnóstwo. Mam tu nawet jedną jeszcze bardziej imponującą. Anna Alvarez oddała jakoby cztery tysiące dwieście pięć!

— Chyba żartujesz!

— Nie, naprawdę — odparła Joanna. — Tu jest następna rekordzistka: Marta Arriga. I jeszcze jedna: Maria Artiavia.

— Nazwiska są jakby hiszpańskie.

— Rzeczywiście — zgodziła się Joanna. — A ta jest jeszcze bardziej niesamowita: Mercedes Avila. Osiem tysięcy siedemset dwadzieścia jeden!

— Zerknij, czy każde z tych jajeczek trafiło do innej klientki, tak jak w twoim wypadku.

Joanna odwróciła stronę i przebiegła palcem wzdłuż kolumny.

— Wygląda na to, że tak.

— W takim razie wszystkie miały prawdopodobnie być klonami — stwierdziła Deborah. — Przy wszystkich jest nazwisko Paula Saundersa?

— Na ogół — przyznała Joanna. — Chociaż gdzieś tam jest wymieniona Sheila Donaldson.

— Powinam się była domyślić — odparła Deborah. — Czyli ta dwójka pracuje razem. Ale zaraz! Przejrzyj listę i zobacz, czy wszędzie tam jest tyle hiszpańskich nazwisk, czy to tylko przy A tak się złożyło?

Joanna przez kilka minut wertowała stronicę.

— Tak, wydaje się, że jest ich dość sporo i że wszystkie oddały po parę tysięcy komórek.

— Zastanawiam się, czy nie tu właśnie kryje się rozwiązanie zagadki Nikaraguanek — powiedziała Deborah. Wzdrygnęła się.

— Jak to?

— Najwięcej komórek jajowych znajduje się w jajnikach w okresie życia płodowego. Gdzieś czytałam, że na pewnym etapie rozwoju żeński płód ma ich niemal siedem czy osiem milionów, podczas gdy u noworodka jest ich już tylko milion, a w początkach okresu dojrzewania zostają zaledwie trzy czy cztery tysiące. Jakiś wypaczony umysł w rodzaju Paula Saundersa czy Sheili Donaldson mógłby uznać żeński płód za prawdziwą kopalnię złota.

— Nie podoba mi się to, co sugerujesz — oświadczyła Joanna.

— Mnie też nie — przyznała Deborah. — Ale niestety to dość prawdopodobne. Możliwe, że wszczepiają tym Nikaraguancom zarodki, a potem dokonują aborcji w dwudziestym tygodniu ciąży tylko dla uzyskania gamet.

Joanna odwróciła wzrok i zapatrzyła się w krajobraz za oknem. Ogarnęła ją fala odrazy. To, co mówiła Deborah, ze wszystkimi tego konsekwencjami dla roli kobiety i brakiem poszanowania dla ludzkiego życia, było równie przerażające jak klonowanie. Z trudem zdusiła kotłujące się w niej emocje. Przyłapała się na tym, że żałuje, iż w ogóle zetknęła się z Kliniką Wingate'a. Świadomość, że dostarczyła im własnych komórek jajowych, sprawiała, że czuła się niemal współwinna.

— Jeśli rzeczywiście tak się sprawy mają, to cały problem polega na tym, że to jest legalne. Ujawnienie, że coś takiego się dzieje w klinice niepłodności, może wywołać skandal, ale skoro kobiety nie były do niczego zmuszane, trudno byłoby cokolwiek tu zdiagnozować.

— Samo płacenie im jest formą przymusu! — warknęła Joanna. — To ubogie kobiety z biednego, zacofanego kraju!

— Rany, uspokój się! Dyskutujemy tylko.

— Nie uspokoję się! — wrzasnęła Joanna. — I co miałaś na myśli, kiedy zaczęłaś coś mówić na temat moich jajeczek? Nie znoszę, kiedy tak urywasz w pół zdania!

— Ach, racja. Przepraszam — odparła Deborah. — Przez te Nikaraguanki z wrażenia zapomniałam o najważniejszym. Potrafię sobie wyobrazić tylko jeden sposób na uzyskanie od ciebie takiej ilości komórek jajowych. Wycięcie całego jajnika.

Joanna drgnęła, jak gdyby wymierzono jej policzek. Musiała potrząsnąć głową, by ponownie skupić myśli. Drżącym głosem poprosiła przyjaciółkę, żeby powtórzyła. Być może się przesłyszała.

Deborah zerknęła na nią, na chwilę odrywając wzrok od drogi. Po brzmieniu jej głosu poznała, że Joanna jest bliska załamania.

— Po prostu głośno myślałam — uspokoiła ją. — Nie przejmuj się aż tak bardzo.

— Mam prawo się przejmować, skoro sugerujesz, że wycięli mi jajnik — oświadczyła powoli Joanna, na pozór całkowicie opanowana.

— No to znajdź inne wytłumaczenie tej liczby jajeczek — ucięła Deborah. — Urządźmy burzę mózgow dla zrekompensowania skąpych danych.

Joanna wzięła się w garść i podjęła wyzwanie. Niestety, cała jej wiedza na temat technik rozmnażania pochodziła z lekcji biologii na poziomie szkoły średniej oraz dyskusji toczonych w dziewczęcej szatni. Mimo szczerych chęci nie była w stanie niczego wymyślić.

— Największa, o jakiej słyszałam, liczba komórek jajowych uzyskana dzięki stymulacji hormonalnej to około dwudziestu — stwierdziła Deborah. — Pozyskanie setek może, moim zdaniem, wskazywać na jakąś hodowlę tkanki jajnikowej.

— Czy można hodować tkankę jajnikową? — zapytała Joanna.

— Nie mam zielonego pojęcia. — Deborah wzruszyła ramionami. — Studiowałam biologię molekularną, nie biologię komórki. Ale brzmi to rozsądnie.

— Jeżeli naprawdę wycięli mi jeden jajnik — zaczęła Joanna — jaki będzie to miało na mnie wpływ?

— Zastanówmy się. — Deborah zmarszczyła twarz, udając głębokie zamyślenie. — Ponieważ produkcja estrogenu zmniejsza się o połowę, względny poziom testosteronu wytwarzanego w nadnerczach zostanie podwojony. To oznacza, że najprawdopodobniej wyrośnie ci broda, stracisz piersi i wyłysiesz.

Joanna spojrzała na przyjaciółkę ze zgrozą.

— Żartowałam! — zawołała Deborah. — Czemu się nie śmiejesz?

— Przykro mi, ale nie uważam tego za zabawne.

— Prawda jest taka, że efekt byłby prawdopodobnie bardzo niewielki albo w ogóle żaden — stwierdziła Deborah. — Być może byłabyś statystycznie odrobinę mniej płodna, skoro komórki jajowe produkowałby już tylko jeden jajnik, ale nawet tego nie jestem pewna.

— Tak czy inaczej, to okropne stracić w ten sposób jajnik — powiedziała Joanna, niezbyt uspokojona. — To jak gwałt, albo jeszcze gorzej.

— W zupełności się z tobą zgadzam — przyznała Deborah.

— Dlaczego zrobili to tylko mnie, a tobie nie?

— To kolejne dobre pytanie — stwierdziła Deborah. — Osobiście podejrzewam, że dlatego, że ja się nie zgodziłam na znieczulenie ogólne. Do takiego zabiegu potrzebny byłby im co najmniej laparoskop, a nie tylko igła wprowadzana pod kontrolą ultrasonografii.

Joanna na chwilę zamknęła oczy. Wymyślała sobie w duchu za swoje tchórzostwo. Powinna była pójść za radą przyjaciółki.

— Wiesz, coś mi przyszło do głowy — odezwała się Deborah.

Joanna nie zareagowała. Obiecała sobie, że nie będzie pytać.

Jechały w milczeniu przez niemal dwie minuty.

— Nie jesteś ciekawa? — zapytała Deborah.

— Nie, chyba że sama mi powiesz.

— Gdybyśmy mogli udowodnić, że wycięli ci jajnik, miałybyśmy na nich haka. Nie twierdzą, że istotnie go wycięli, ale jeśli to zrobili, mogłybyśmy postawić im realny zarzut. To znaczy, usunięcie jajnika bez twojej zgody jest, formalnie rzecz biorąc, naruszeniem nietykalności osobistej, czyli przestępstwem.

— No dobrze, ale jak to udowodnić? — zapytała bez entuzjazmu Joanna. — Co trzeba by zrobić? Rozkroić mnie i zajrzeć do środka? Dziękuję, ale nie reflektuję!

— Nie sądzę, żeby trzeba cię było kroić — uspokoiła ją Deborah. — USG powinno wystarczyć. Proponuję, żebyś zadzwoniła do Carltona, naświetliła mu sprawę na tyle, na ile uznasz to za stosowne, i powiedziała mu, że musisz sprawdzić, czy nie brakuje ci jednego jajnika.

— To zakrawa na ironię, że właśnie ty każesz mi dzwonić do Carltona — zauważyła Joanna.

— Nie każę ci przecież za niego wychodzić, na miłość boską — oburzyła się Deborah.

— Po prostu skorzystaj z faktu, że facet jest lekarzem. Lekarze znają się nawzajem. To jak bractwo. Jestem pewna, że mógłby załatwić ci badanie.

— Jestem w kraju już od trzech dni i jeszcze się do niego nie odezwałam — powiedziała Joanna. — Głupio mi tak ni stąd, ni zowąd dzwonić do niego i prosić o przysługę.



— Och, proszę! — jęknęła Deborah. — Znów te twoje houstonkie przesady. Ile razy muszę ci przypominać, że możemy wykorzystywać mężczyzn tak samo, jak oni wykorzystują nas? Tym razem, zamiast wykorzystywać faceta dla przyjemności, załatwiasz sobie za jego pośrednictwem USG. Wielka sprawa!

Joanna zamyśliła się. Próbowwała wyobrazić sobie przebieg rozmowy z Carltonem. Z jej punktu widzenia nie było to wcale tak łatwe, jak sugerowała Deborah. A jednak chciała wiedzieć, czy podejrzenia przyjaciółki są słuszne. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej dręczyła ją ta kwestia.

— W porządku! — powiedziała wreszcie. Sięgnęła po komórkę. — Zadzwoń do niego.

— Grzeczna dziewczynka — odparła Deborah.

## Rozdział 15

10 maja 2001

18.30

Louisburg Square położony był na stoku Beacon Hill, gdzie docierało się, jadąc ulicą Mount Vernon i skręcając w lewo w górną lub dolną jezdnię placu. Plac miał kształt wydłużonego prostokąta, otoczonego przez kolekcję szeregowych ceglanych domków, zazwyczaj z wystającymi gankami, o wielkich, zaopatrzonych w okiennice oknach. Środek placu zajmował spłacheć anemicznej, zdeptanej trawy, ogrodzony wysoką, groźnie wyglądającą żelazną kratą i ocieniony koronami starych wiązów, które jakimś cudem uchowały się przed holenderską chorobą. Na obu końcach znajdowały się rzadkie kępy krzewów ze sterzącym pośrodku samotnym zwietrzałym posągiem.

Kurt, mimo swej nieznajomości Bostonu z jednej strony i płataniny jednokierunkowych ulic na Beacon Hill z drugiej, odnalazł plac bez większych kłopotów. Ale parkowanie było już inną sprawą. Parking na placu miał dyskretne oznaczenie PRYWATNY, z ostrzeżeniem, że ktokolwiek naruszy zakaz, zostanie odholowany. Kurt nie chciał, by go odholowano. Przyjechał tu jedną z nie oznakowanych, czarnych ochroniarskich furgonetek Kliniki Wingate'a, z zamykaną komorą z tyłu. W komorze znajdowały się różne drobiazgi, których mógł potrzebować podczas tej wyprawy, jak również mnóstwo miejsca dla opornych pasażerów.

Nie miał sprecyzowanego planu. Wiedział tylko, że na koniec zawiezie dziewczynę z powrotem do kliniki. Pomyślał, że najpierw je znajdzie, a potem będzie improwizował. Na razie wciąż jeszcze rozpoznawał teren. Po raz trzeci przejeżdżał przez plac. Przy pierwszym okrążeniu zlokalizował budynek. Był to pierwszy dom z prawej u szczytu wzgórza. Przystanął tam na tyle długo, by zauważyć, że liczy sobie cztery piętra, z dodatkową kondygnacją na mansardzie. Czy pod budynkiem była piwnica, tego nie mógł stwierdzić. Do drzwi frontowych prowadziło pięć schodków. Przypuszczał, że z tyłu znajduje się drugie wejście, ale widok zasłaniał mu ceglany murek.

Przy drugim okrążeniu zwrócił uwagę na natężenie ruchu w okolicy. Prowadzono tu sporo remontów, po placu kręciło się więc mnóstwo robotników i pojazdów budowlanych. Na trawniku za ogrodzeniem bawiło się kilkoro dzieci w wieku od czterech do jedenastu, może dwunastu lat. Na ławeczkach siedziały piastunki, gawędząc ze sobą lub obserwując swoich podopiecznych.

Teraz, przy trzecim okrążeniu, Kurt zaczął się rozglądać za miejscem do parkowania. Większość robotników budowlanych już odjechała, na placu zrobiło się więc luźniej. Uznał, że najlepiej postawić furgonetkę przy wylocie od strony Mount Vernon, ignorując zakaz — ostatecznie pojazdy budowlane nie zostały odholowane — i jeszcze raz okrążywszy kwartał, podjechał do ogrodzenia. Kiedy zwrócił głowę w prawo, dostrzegł interesujący go budynek jak na dłoni.

W tej chwili martwiło go tylko to, że jak dotąd nie zauważył nigdzie chevroleta malibu. W drodze do Bostonu nauczył się numeru rejestracyjnego na pamięć, nie obawiał się więc, że pomyli ten samochód z innym podobnym pojazdem. Przypuszczał, że natknie się na niego w pobliżu placu lub że dostrzeże go w którejś z sąsiednich uliczek. Ale tak się nie stało.

Mimo napływającej do żył adrenaliny zachowywał zewnętrzny spokój. Wiedział z doświadczenia, że niebezpiecznie było poddawać się podnieceniu podczas takich misji. Należało działać powoli i metodycznie, aby uniknąć błędów. Jednocześnie Kurt musiał być czujny jak wąż zwinięty w kłębek, gotowy do uderzenia, gdy tylko nadarzy się okazja.

Sięgając za siebie, wyciągnął przytroczonego na plecach glocka i jeszcze raz sprawdził magazynek. Usatysfakcjonowany, schował pistolet z powrotem do kabury. Następnie pomacał przypięty pasami do łydki nóż. W prawej kieszeni spodni miał kilka par lateksowych rękawiczek, w lewej czapkę narciarską. W prawej kieszeni kurtki spoczywała kolekcja narzędzi do otwierania zamków, z którymi ćwiczył, dopóki nie nabrał biegłości; w lewej znajdowało się kilka automatycznych strzykawek ze silnym środkiem uspokajającym.

Pół godziny później Kurt uznał wreszcie, że nadszedł odpowiedni moment. Natężenie ruchu na placu zmniejszyło się, lecz jeszcze nie na tyle, by rzucał się w oczy jako obcy. Wysiadł z furgonetki i zamknął ją. Omiótłszy teren ostatnim, niedbałym spojrzeniem, skierował się ku bramie.

Z kluczykami od samochodu w dłoni wspiął się po schodkach do wejścia. Trzymając je, jak gdyby miał problem z otwarciem zamka, zaczął dłubać wytrychem. Zabrało mu to więcej czasu, niż się spodziewał, ale w końcu bębenek ustąpił. Nie obejrząwszy się za siebie, Kurt pchnął drzwi i wszedł do środka.

Drzwi zamknęły się za nim, tłumiąc wrzaski bawiącej się na skwerku dzieciarni. Kurt niespiesznie schował narzędzia i ruszył w górę po schodach. Z tabliczki przy dzwonku domofonu dowiedział się, że Deborah Cochrane i Joanna Meissner mieszkają na trzecim piętrze. Domyślał się, że Joanna Meissner to Prudence Heatherly, ale musiał się co do tego upewnić.

Z każdym zakrętem schodów jego podniecenie rosło. Uwielbiał podobne akcje. Oczyma wyobraźni widział Georginę Marks, ubraną w swą obrzydliwą, prowokującą sukienkę. Oczywiście Kurt chciał dostać tę dziewczynę żywą, by zabrać ją do swej willi w osiedlu pracowniczym kliniki.

Wchodząc na podest trzeciego piętra, naciągnął rękawiczki. Potem sięgnął za siebie i ujął prawą ręką glocka, nie wyjmując go jednak z kabury. Uniósł lewą dłoń i miał już zapukać do drzwi, gdy z parteru dobiegł go odgłos otwieranej bramy. Nie wpadł w panikę, jak mogłoby się zdarzyć komuś mniej doświadczonemu. Spokojnie podszedł do balustrady i spojrzał w dół. Sądził, że mogą to być dziewczyny, ale nie. Był to samotny mężczyzna, wspinający się mozolnie po schodach po dniu spędzonym w biurze. Kurt widział tylko jego ujmującą raz po raz poręcz rękę.

Przygotował się na ewentualną konfrontację. Zamierzał ruszyć w dół, jak gdyby do wyjścia, gdy tylko intruz zacznie się wspinać na trzecie piętro. Jednak fortel okazał się zbyt techniczny. Mężczyzna zatrzymał się na pierwszym piętrze, otworzył kluczem drzwi i zniknął. Korytarz znów pogrążył się w martwej ciszy.

Kurt wrócił do drzwi mieszkania. Zapukał, wystarczająco głośno, by usłyszano to w środku, lecz nie aż tak głośno, by zaniepokoić innych lokatorów. Począł, ale gdy nikt nie odpowiedział, a on nie dosłyszał żadnych odgłosów z wnętrza, przystąpił do pracy wytrychem. Jak się spodziewał, drzwi do mieszkania były większym wyzwaniem niż brama wejściowa budynku, głównie dlatego, że zabezpieczały je dwa zamki: zwykły z klamką i dodatkowy wpuszczany.

Standardowy zamek otworzył się łatwo, ale wpuszczany wymagał cierpliwości. Wreszcie jednak i on ustąpił. W mgnieniu oka Kurt znalazł się po drugiej stronie drzwi i zamknął je za sobą. Z szybkością zadającą kłam jego dotychczasowym powolnym i rozważnym ruchom przemknął przez mieszkanie, by upewnić się, że jest puste. Nie chciał nikomu dać szansy wezwania pomocy. Dla pewności sprawdził każdy pokój i każdą szafę. Zajrzał nawet pod łóżka.

Przekonawszy się, że jest sam, rozejrzał się za wyjściem awaryjnym. Była to drabinka przeciwpożarowa, biegnąca zygzakiem na tyłach budynku, na którą wychodziło się oknem sypialni od podwórza. Przechodząc przez pokój, Kurt dostrzegł zdjęcie, przedstawiające chłopaka i dziewczynę. Dziewczyna, mimo dłuższych włosów, wyglądała wystarczająco podobnie do Prudence Heatherly, by upewnić go, że kobiety, które ścigał, są współlokatorkami i że Prudence Heatherly w rzeczywistości nazywa się Joanna Meissner.

Opuściwszy sypialnię, przeszedł przez przedpokój do salonu. Przetrzęsł biurko w poszukiwaniu jakichkolwiek dokumentów, mogących mieć związek z Kliniką Wingate'a. Nie znalazł nic takiego, natknął się jednak na pewne materiały, dotyczące używanych przez dziewczyny przybranych nazwisk. Starannie złożył je w czworo i wsunął do kieszeni.

Szperając dalej, natrafił na zdjęcie Georginy. Wolał myśleć o niej jako o Georginie niż jako Deborah. Na fotografii Georgina obejmowała ramieniem starszą kobietę, zapewne matkę. Zaskoczyło go, jak inaczej wyglądała z ciemnymi włosami i w skromnym ubraniu. Jej lubieżna transformacja była bez wątpienia dziełem szatana.

Odłożył zdjęcie i wysunął górną szufladę komody. Wyciągnął stamtąd parę jedwabnych, koronkowych majtek. Mimo lateksowych rękawiczek, które tłumiliły wrażenia dotykowe, bielizna miała w sobie coś podniecającego.

Kurt opuścił drugą sypialnię i jeszcze raz przeszedł przez salon, by zajrzeć do kuchni. Otworzył lodówkę i z rozczarowaniem omiótł wzrokiem wnętrze. Liczył na butelkę zimnego piwa i fakt, że jej tam nie znalazł, strasznie go zirytował.

Wróciwszy do salonu, wyjął glocka z kabury na plecach i położył na podłodze. Usiadł na kanapie i spojrzął na zegarek. Było już dobrze po siódmej. Zastanawiał się, jak długo będzie musiał czekać na powrót Georginy i Prudence.

— To się nazywa zespół Waardenburga — oświadczył Carlton. Pokiwał głową, jak gdyby przytakując samemu sobie, po czym odchylił się na oparcie krzesła z wyrazem dumy na młodzieńczej twarzy. Siedział wraz z dziewczynami przy laminowanym stole w barze w podziemiach szpitala MGH, gdzie zaprowadził je na małą kolację, ponieważ żadne z nich od południa nie miało nic w ustach. Akurat tego wieczoru miał dyżur, uprzedził je więc, że w każdej chwili może zostać wezwany do nagłego wypadku.

— Co to jest, na miłość boską, zespół Waardenburga? — zapytała ze zniecierpliwieniem Joanna. Odpowiedź Carltona wskazywała, że nie słuchał on jej zbyt uważnie. Dopiero co opisała mu wstrząs, jakiego doznały z Deborah, odkrywając dwójkę sklonowanych dzieci.

— Zespół Waardenburga to wada rozwojowa — wyjaśnił Carlton. — Przejawia się białym kosmykiem nad czołem, wrodzonym upośledzeniem słuchu pochodzenia odbiorczego, przemieszczeniem kąta szpary powiekowej i różnobarwnością tęczęwek.

Joanna zerknęła na Deborah. Przyjaciółka przewróciła oczami na znak, że pomyślała to samo. Chłopak zachowywał się, jakby żył na innej planecie.

— Słuchaj, Carlton! — powiedziała Joanna, usiłując zachować spokój. — To nie jest obchód lekarski, jaki mi kiedyś opisywałeś. Nie stawiamy ci stopni, więc nie musisz wylewać z siebie całej swojej wiedzy. Ważny jest las, nie drzewo.

— Sądziłem, że zainteresuje cię, na co cierpi ten wasz doktor — odparł Carlton. — To dziedziczne zaburzenie migracji komórek słuchowych z grzebienia nerwowego. Nic dziwnego, że pojawiło się u tych sklonowanych dzieci. Jego naturalne potomstwo też by to miało.

— Chcesz powiedzieć, że te dzieci nie są klonami? — zapytała Joanna.

— Nie, przypuszczam, że istotnie są klonami — przyznał Carlton. — Przy przemieszaniu materiału genetycznego, jakie miałyby miejsce w normalnie zapłodnionej komórce jajowej, poszczególne geny, nawet te dominujące, dochodziłyby do głosu w różnym stopniu. Dzieci nie wyglądałyby dokładnie tak samo. Te same cechy występowałyby u nich w różnym natężeniu.

— Umyślnie starasz się ściemniać? — zapytała ostro Joanna.

— Nie, staram się pomóc.

— Ale koniec końców uważasz, że te dzieci są klonami, prawda? — wtrąciła się Deborah.

— Zdecydowanie, sądząc z waszego opisu — odparł Carlton.

— Nie jesteś wstrząśnięty? — zdumiała się Joanna. — Nie mówimy o muszkach owocowych ani nawet o owcach. Mówimy o klonowaniu istot ludzkich.

— Prawdę mówiąc, nie jestem tym specjalnie zaskoczony — przyznał Carlton. Znowu pochylił się do przodu. — Według mnie było to tylko kwestią czasu. Kiedy sklonowano Dolly, byłem przekonany, że prędzej czy później zostaną podjęte próby klonowania ludzi i że nastąpi to właśnie w tego rodzaju środowisku, jakie opisałyście: w prywatnej, nie związanej z żadną placówką naukową klinice niepłodności. Odkąd opublikowano informacje o Dolly, wielu specjalistów od niepłodności, zwłaszcza tych o bardziej ekscentrycznych poglądach, dyskutuje na temat klonowania i odgraża się, że tego dokona.

— Nie mogę uwierzyć, że ty to mówisz — stwierdziła Joanna.

Zanim Carlton zdążył odpowiedzieć, włączył się jego pager. Spojrzawszy na wyświetlacz, odsunął z impetem krzesło.

— Przepraszam, ale muszę zadzwonić. Zaraz wracam!

Dziewczyny przyglądały się, jak lawiruje wśród pustych stolików ku jednemu z wiszących na ścianie telefonów.

— Twoja analogia z lasem i drzewami była wyjątkowo trafna — zauważyła Deborah.

Joanna skinęła głową.

— Jak sam przyznał, siedzi tu zupełnie oderwany od świata — stwierdziła. — Nic dziwnego, że skoro ma głowę zapchaną takimi bzdurami jak zespół Waardenburga, nie ma ochoty się zastanawiać, co dzieje się wokół niego, ani rozmyślać o etyce. Klonowanie nie zrobiło na nim wrażenia.

— Nie przejął się specjalnie nawet sprawą Nikaraguanek — dodała Deborah. — Zresztą twoim problemem też nie, jeśli już o tym mowa.

Joanna niechętnie zgodziła się z przyjaciółką. Nie wyglądało na to, żeby Carlton jej współczuł. Gdy tylko przybyły na miejsce, w trosce o jego uczucia nie omieszkała go przeprosić za to, że nie zadzwoniła do niego przez trzy dni, odkąd była w Bostonie, i choć łaskawie wybaczył jej ten brak kontaktu, wciąż jeszcze czuła się niezręcznie, prosząc go o przysługę. Jednak obojętność, z jaką Carlton na wszystko zareagował, szybko uwolniła ją od wyrzutów sumienia.

Joanna i Deborah uznały, że najlepiej będzie, jeśli przedstawią Carltonowi całą historię, zaczynając od oddania komórek jajowych. Słuchał uważnie, nie przerywając ani słowem, dopóki dziewczyny nie doszły do miejsca, w którym pod przybranymi nazwiskami i w przebraniach zatrudniły się w Klinice Wingate'a.



— Zaczekajcie chwilę! — odezwał się wtedy. Spojrzał na Deborah. — Czy to dlatego rozjaśniłaś włosy i ubrałaś się w tę obłądną, kusą sukienkę?

— Nie sądziłam, że to zauważyłeś — odparła Deborah, na co chłopak zareagował stłumionym rechotem, jak gdyby zauważenie tego było czymś oczywistym.

W tym momencie Joanna zapytała go, co sądzi o jej przebraniu.

— O jakim przebraniu? — zapytał ku jej zmartwieniu.

Jedyną częścią całej historii, która naprawdę wzbudziła jego zainteresowanie, była zagadka komórek jajowych. Kiedy usłyszał o liczbie pozyskiwanych gamet, podobnie jak Deborah doszedł do wniosku, że Klinika Wingate'a opracowała skuteczną technikę hodowli tkanek jajnikowych i nauczyła się przyspieszać rozwój skrajnie niedojrzałych oocytów. Jak oświadczył, takie dokonanie byłoby fascynującym osiągnięciem naukowym.

Kiedy dziewczyny wyjaśniły, że przyszły załatwić Joannie badanie USG, gdyż podejrzewają, że pozbawiono ją jednego z jajników, Carlton zgodził się im pomóc w miarę swoich możliwości i wykonał parę telefonów. Obojętność, z jaką odniósł się do sprawy, zaskoczyła dziewczyny.

— Mam nadzieję, że się nie obrazisz — odezwała się Deborah, gdy obie przyglądały się, jak Carlton rozmawia przez telefon. — Ale teraz jeszcze bardziej niż przedtem cieszę się, że nie jesteś już zaręczona z tym facetem.

— Nie widzę powodu do obrazy — zapewniła ją Joanna.

Carlton zakończył rozmowę, odwiesił słuchawkę i ruszył z powrotem. Z daleka już pokazał im uniesiony kciuk.

— Droga wolna! — oświadczył, zbliżywszy się do stolika. Nie usiadł. — Dzwoniła jedna ze stażystek z radiologii. Załatwiła nam USG.

— Kiedy? — zapytała Deborah.

— W tej chwili! — odparł Carlton. — Wszystko już czeka.

Dziewczyny wstały i zaczęły zbierać swoje rzeczy.

— Nigdy nie miałam USG — powiedziała Joanna. — Czy to będzie przykre? Chyba nie muszę wam przypominać, że nie znoszę igieł.

— Nie musisz się obawiać — zapewnił ją Carlton. — Żadne igły nie wchodzi w grę. Najbardziej nieprzyjemny jest żel, ale tylko dlatego, że trochę się rozpaćkuje. Na szczęście rozpuszcza się w wodzie.

Wcisnęli się do windy i wjechali na oddział radiologii. Carlton wysiadł, przytrzymał dziewczynom drzwi i ręką wskazał kierunek. Klucząc wijącym się jak labirynt korytarzem, dotarli do gabinetu USG. Poczekalnia świeciła pustkami. Sprzątaczką szorowała podłogę elektryczną szczotką.

— Może zaczekam tu, na zewnątrz? — zapytała Deborah.

— Nie, w żadnym razie — odparł Carlton. — Im więcej, tym weselej.

Ominąwszy puste biurko recepcjonistki, zaprowadził dziewczyny na korytarzyk z szeregiem ciągnących się po obu stronach drzwi. Każde z nich otwierały się na osobną, pustą i ciemną salkę z aparaturą USG. Tylko z jednego z pomieszczeń, przy końcu korytarza, wylewała się smuga światła i tam właśnie skierował się Carlton.

Na ich widok siedząca w gabinecie kobieta w krótkim, białym fartuchu wstała i przedstawiła się, nim zdążył to zrobić Carlton. Nazywała się Shirley Oaks. Włosy miała obcięte na pazia, dość podobne do włosów Joanny pod względem i stylu, i koloru. W przeciwieństwie do Carltona współczuła dziewczynie z powodu jej obaw i powiedziała jej o tym.

Joanna podziękowała, zerknęła jednak niespokojnie na Carltona. Prosiła go o jak największą dyskrecję.

— Nie opowiedziałem całej historii — stwierdził na swoją obronę Carlton. — Ale musiałem wyjaśnić, czego szukamy.

— Nawet nie chcę znać całej historii — oświadczyła Shirley. Poklepała zapraszająco kozetkę, którą przykryła świeżym papierem z rolki. — Musimy załatwić się z tym szybko — dodała. — W kolejce czeka już następna pacjentka, a poza tym w każdej chwili mogą zostać wezwana do nagłego wypadku.

Joanna zaczęła wspinać się na kozetkę, ale Shirley ją powstrzymała.

— Byłoby lepiej, gdybyś zdjęła spódnicę i rozpięła bluzkę.

— Jasne — odparła Joanna.

— Zaczekam na zewnątrz, żeby was nie krępować — powiedział Carlton.

— Jeśli o mnie chodzi, możesz spokojnie zostać — stwierdziła Joanna, zsuwając spódnicę i odkładając ją w nadstawione ręce Deborah. — Wszystko to już widziałeś.

Ułożyła się na kozetce. Shirley odsłoniła jej brzuch, odgarniając na boki poły bluzki i odsuwając nieco w dół majtki. Poniżej pępka ledwie odznaczały się trzy niewielkie ślady po laparoskopii.

— Czy to są normalne blizny po laparoskopii? — zwróciła się Shirley do Carltona, sięgając po żel.

Chłopak nachylił się, by przyrzeć się dokładnie.

— Jak najbardziej. Są zwykłych rozmiarów i zagoiły się prawidłowo.

— Czy można było wydobyc jajnik przez tak niewielkie nacięcie? — zapytała Shirley.

— Z pewnością — odparł Carlton. — Młoda, zdrowa skóra, taka jak u Joanny, jest zdumiewająco elastyczna. Nie byłoby z tym żadnego problemu.

— Skończmy już z tym — jęknęła Joanna.

— Oczywiście — zgodziła się Shirley. Wycisnęła na nagi brzuch dziewczyny sporą grudkę żelu.

— Auuu! Zimne! — krzyknęła Joanna.

— Ach, przepraszam — powiedziała Shirley. — Zapomniałam, że zwykle to podgrzewamy. Ściślej biorąc, robią to pielęgniarki.

Naciskając pedał, wyłączyła światła, po czym przyłożyła głowicę do brzucha Joanny. Monitor na wysięgniku ustawiony był tak, że wszyscy, z Joanną włącznie, mogli widzieć obraz.

— W porządku, zaczynamy! — odezwała się sama do siebie Shirley. — Tu jest macica. Wygląda dobrze i najzupełniej normalnie.

Zarówno Joanna, jak i Deborah nie mogły się nadziwić, jak można cokolwiek rozróżnić w tej gmatwaninie białych linii na ciemnym tle.

— Teraz przesuniemy się w bok — mówiła dalej Shirley. — Widzimy więzadła, jajowody i jest! Mamy lewy jajnik.

— Widzę go — potwierdził Carlton. — Wygląda normalnie.

— Zupełnie normalnie — przyznała Shirley. — Teraz wrócimy do macicy. Dobrze! Teraz na prawo.

Joanna wciąż wpatrywała się w ekran, w nadziei, że zobaczy coś, co uda jej się rozpoznać, ale prawdę mówiąc, niewiele wiedziała o swych wewnętrznych organach i nawet nie chciała wiedzieć, dopóki wszystko funkcjonowało normalnie.

Shirley wodziła w kółko głowicą aparatu po prawej stronie podbrzusza dziewczyny. Potem zaczęła naciskać ją coraz mocniej, aż stało się to nieprzyjemne.

— Au! — jęknęła Joanna. — Boli!

— Jeszcze tylko sekundę — powiedziała Shirley. Wreszcie odłożyła głowicę, wyprostowała się i spojrzała na Carltona. — Cóż, na ile mogę stwierdzić, prawego jajnika nie ma.

— Może jest cofnięty albo coś w tym rodzaju? — podsunął Carlton.

— Nie ma go — powtórzyła Shirley. — Daję za to głowę.

— Mogę już wstać? — zapytała Joanna.

— Och, oczywiście — powiedziała Shirley. Podała jej kilka papierowych chusteczek do wytarcia żelu z brzucha i pomogła jej doprowadzić się do porządku.

Joanna zsunęła się z kozetki i zapięła bluzkę.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że Joanna od początku miała tylko jeden jajnik? — zapytała Deborah.

— To niezłe pytanie — przyznał Carlton. Wzruszył ramionami. — Nie mam pojęcia.

— Zadzwoń do kogoś z ginekologii — podsunęła Shirley. — Oni powinni wiedzieć.

— Dobry pomysł — odparł Carlton.

— Gdybyście jeszcze mnie potrzebowali, przekręć do mnie — powiedziała Shirley. — Muszę już iść.

Cała trójka podziękowała jej za pomoc. Joanna odebrała spódnicę od Deborah i strzepnęła fałdy.

— Kiedy będziecie gotowe, przyjdźcie do recepcji — powiedział Carlton. — Idę zadzwonić stamtąd na ginekologię. — Wyszedł i zniknął w głębi korytarza.

— Cóż, potwierdziły się nasze najgorsze obawy — stwierdziła Deborah. Przytrzymała przyjaciółkę za ramię, gdy ta nakładała spódnicę.

Teraz kiedy zostały same, Joanna nagle się rozkleiła. Do oczu napłynęły jej łzy. Otarła je grzbietem dłoni.

— Sama nie wiem, dlaczego płaczę — powiedziała z nerwowym śmiechem. — Myślę, że to dlatego, że byłam bardzo zżyta z tym jajnikiem, a nie wiedziałam nawet, że mnie opuścił.

— Cieszę się, że potrafisz znaleźć w tym coś zabawnego! — Deborah uśmiechnęła się.

— Jestem tak zmęczona, że łatwiej jest mi się śmiać niż płakać.

— A ja jestem wściekła! — oświadczyła Deborah. — Bezcelność Paula Saundersa i Sheili Donaldson oraz całej tej spółki przechodzi wszelkie granice. — Wyliczając na palcach, mówiła dalej: — Pomyśl tylko, co oni robią: po pierwsze, kradną jajniki nic nie podejrzewającym kobietom; po drugie, na masową skalę klonują samych siebie; po trzecie, zapładniają ubogie Nikaraguanki i wywołują u nich poronienia, by uzyskać komórki jajowe. A to jest tylko to, co zdołałyśmy odkryć! Musimy coś z tym zrobić.

Joanna poprawiła na sobie spódnicę i bluzkę, po czym włożyła buty.

— Ja wiem, co mam zamiar zrobić. Mam zamiar wrócić do domu i pójść do łóżka. Po dziesięciu albo jedenastu godzinach snu być może będę w stanie wymyślić, jak potraktować tę instytucję.

— A wiesz, co moim zdaniem powinniśmy zrobić? — zapytała Deborah.

Joanna sięgnęła po torebkę. Nie była w nastroju, by podejmować grę przyjaciółki. Bez słowa wyszła na korytarz.

Deborah ruszyła za nią.

— Powiem ci, nawet jeśli nie masz ochoty tego słuchać. Myślę, że powinniśmy wrócić dziś w nocy do Kliniki Wingate'a i zobaczyć, co jest w tym pomieszczeniu z game-tami. Niewykluczone, że zdobyłybyśmy tam jakieś obciążające dowody. Do diabła, być może udałoby się nam nawet znaleźć twój jajnik! A gdyby to nie wypaliło, mogłybyśmy wrócić do serwera i zdobyć pliki z dokumentacją badawczą. O tej porze nie będziemy musiały już walczyć z Randym Porterem.

Joanna przystanęła i odwróciła się.

— To najbardziej szalony pomysł, jaki w życiu słyszałam — oświadczyła. — Dlaczego, na Boga, miałybyśmy tam wracać dzisiaj w nocy?!

— Dlatego że możemy!

— Jesteś chyba tak samo zmęczona jak ja. Ale odpowiedź!

— Wciąż mamy nasze karty magnetyczne — wyjaśniła Deborah. — Wyszliśmy dzisiaj przed czasem i jestem pewna, że to zauważono, więc już tam nie pracujemy. Ale znając biurokrację, karty prawdopodobnie wciąż jeszcze działają. Od jutra się to zmieni, ale byłabym straszliwie zaskoczona, gdyby nie zadziałały dziś w nocy. I wciąż mamy kartę Spencera, a ona też zostanie w końcu unieważniona. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli nie pójdziemy tam teraz, prawdopodobnie nie będziemy już miały okazji. Pozostało nam tylko to wąskie okienko, które musimy wykorzystać.

— Chyba masz rację — odparła ze znużeniem Joanna. — Ale obie jesteśmy zbyt zmęczone. — Odwróciła się i ruszyła dalej korytarzem.

Deborah podążyła za nią jak cień, starając się ją przekonać, że spoczywa na nich moralny obowiązek. Kiedy dotarły do poczekalni, wciąż się spierały. Carlton, który rozmawiał przez telefon, musiał je uciszyć, by móc usłyszeć głos w słuchawce.

— O co się kłóćcie? — zapytał, gdy skończył rozmowę.

Dziewczyny mierzyły się wzrokiem.

— Ona mnie namawia, żebyśmy wróciły dziś w nocy do Kliniki Wingate'a — wyjaśniła Joanna. — Chce się włamać do, jak to nazywa, sali gamet i namawia mnie, żebym wykradła ich pliki z dokumentacją badawczą.

— Chcecie usłyszeć moje zdanie? — zapytał Carlton.

— To zależy — odparła Deborah. — Jesteś za czy przeciw?

— Przeciw.

— W takim razie nie chcemy go słyszeć — oświadczyła Deborah.

— Ja chcę — powiedziała Joanna.

— Uważam, że nie powinniście łamać prawa w większym stopniu, niż już to zrobiliście — stwierdził Carlton. — I tak macie szczęście, że uszło wam to na sucho. Niech przejmą to zawodowcy. Zwróćcie się do władz!

— Na przykład do kogo? — zapytała wyzywająco Deborah. — Na policję w Bookford? Myślisz, że zechcą narobić sobie kłopotów? Do FBI? Nie posiadamy dowodów, że działalność kliniki ma charakter międzystanowy, co uzasadniałoby wydanie nakazu rewizji, a jestem pewna, że Saunders i Donaldson zapewnili sobie plany awaryjne na wypadek śledztwa. Władze medyczne? One jak zwykle nie kiwną nawet palcem. Kliniki niepłodności są poza obszarem ich zainteresowań.

— Czego dowiedziałaś się od ginekologów? — zapytała Joanna.

— Wrodzony brak jednego jajnika jest rzadkim zjawiskiem — odparł Carlton. — Lekarka powiedziała, że nigdy nie widziała czegoś takiego, nie słyszała o tym ani nie czytała, ale sądzi, że mogłoby się to zdarzyć.

— Oni ukradli twój cholerny jajnik! — wypaliła Deborah. — To jasne jak słońce. Do diabła, to raczej ty powinnaś mnie namawiać, żeby tam wrócić, a nie odwrotnie.

— Najwyraźniej ja mam więcej oleju w głowie niż ty.

W tym momencie włączył się pager Carltona. W opustoszałej poczekalni sygnał zabrzmiał głośniejszy niż w podziemnym barze. Chłopak natychmiast oddzwonił.

— Uważam, że nie powinniśmy marnować okazji — upierała się Deborah.

— W porządku, zaraz schodzę! — powiedział Carlton. Odłożył słuchawkę. — Przepraszam, że przerywam zabawę, ale wzywają mnie do nagłego wypadku. Był karambol na Storrow Drive i karetki są już w drodze.

Odprowadził dziewczyny do windy. Joanna i Deborah w dalszym ciągu się spierały, zniżywszy głos do szeptu ze względu na pozostałych pasażerów. Nie przestały się kłócić, nawet gdy zmierzały głównym korytarzem do wyjścia.

— Tutaj was zostawię — przerwał im Carlton, wskazując drzwi oddziału nagłych wypadków. Odwrócił się do Joanny. — Miło było cię widzieć. I przykro mi z powodu tego jajnika.

— Dziękuję, że załatwiłeś mi USG — odparła dziewczyna.

— Cieszę się, że mogłem ci pomóc. Zadzwoń do ciebie później.

— Będę czekać — powiedziała Joanna. Uśmiechnęła się i on również się uśmiechnął. Nieśmiało pomachał na pożegnanie i zniknął za wahadłowymi drzwiami.

Deborah udała, że wkłada sobie palec do gardła, żeby wymiotować.

— Och, proszę! — zaprotestowała Joanna. — On nie jest taki zły.

— I kto to mówi? — odparowała Deborah. — „Przykro mi z powodu tego jajnika”! Co za bezmyślna, nieczuła uwaga! Zupełnie jakbyś straciła ulubionego żółwia, a nie część swojej kobiecości.

Dziewczyny wyszły z budynku i skierowały się w stronę wielopoziomowego szpitalnego parkingu. Wieczór zmienił się w noc i uliczne latarnie już się pozapałyły. W oddali słychać było syreny zbliżających się karetek pogotowia.

— Lekarze codziennie oglądają tragedie bardziej przejmujące niż utrata jajnika — zauważyła Joanna. — On nie patrzy na to w taki sam sposób, jak ty czy ja. Poza tym sama stwierdziłaś, że ten brak nie przyniesie mi większej szkody.

— Ale byłaś jego narzeczoną — stwierdziła Deborah. — Nie jesteś dla niego jedną z wielu pacjentek. Ale wiesz co? Zapomnijmy o tym. Carlton to twój problem, nie mój. Wróćmy do sprawy zasadniczej. Mam zamiar pojechać dziś w nocy do kliniki bez względu na to, czy zechcesz jechać ze mną, czy nie. Nie jestem w stanie włamać się do ich komputera, ale mogę dostać się do tej sali gamet, i jeśli są tam jakieś obciążające do wody, zamierzam je znaleźć.

— Nie pojedziesz tam sama! — oświadczyła stanowczo Joanna.

— Och, czyżby? — zapytała wyniośle Deborah. — Co zrobisz, wypuścisz mi powietrze z opon czy zamkniesz mnie w mojej sypialni? Bo będziesz musiała zrobić jedno albo drugie.

— Nie mogę uwierzyć, że tak poważnie traktujesz ten swój głupi, idiotyczny, kretyński pomysł.



— Ach... — parsknęła drwiąco Deborah. — Widzę, że dostrzegasz moje oddanie sprawie! Jestem pod wrażeniem. Cóż za przenikliwość!

Zdawszy sobie sprawę ze swego rozdrażnienia i przybierającej na sile ostrości uwag, dziewczyny umilkły. Bez słowa wspięły się na odpowiednie piętro szpitalnego parkingu, odszukały swój samochód, wsiadły do środka i odjechały.

Dopiero gdy znalazły się na Mount Vernon Street i otworzył się przed nimi widok na Louisburg Square, Joanna przerwała milczenie.

— Może pójdziemy na kompromis? — powiedziała. — Co ty na to?

— Słucham — odparła Deborah.

— Pójdę z tobą, ale zajrzemy tylko do sali gamet czy czymkolwiek jest to pomieszczenie.

— A jeśli tam nie będzie odpowiednich dowodów na to, czym się zajmują?

— Wtedy trudno, wracamy z niczym.

— Dlaczego nie miałybyśmy jeszcze raz wejść na serwer, skoro już i tak tam będziemy?

— Dlatego że, jak przypuszczam, Randy Porter wprowadził już zmiany w systemie, co oznaczałoby, że powrót do pomieszczenia z serwerem byłby wielkim, a mało opłacalnym ryzykiem. Jeśli wykrył, że włamałam się do zastrzeżonych plików i domyślił się, że zrobiłam to poprzez konsolę serwera, na pewno zabezpieczył ją dokładniej. Wątpię, żeby udało mi się wejść do systemu.

— Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej?

— Bo uważam, że ponowna wyprawa tam to idiotyzm, i tyle — oświadczyła Joanna.

— Ale nie puszczę cię samej, nawet jeśli jest to idiotyczne, tak samo jak ty nie pozwoliłaś mi samej zatrudnić się w klinice. No więc jak, zgoda?

— W porządku, zgoda — odparła Deborah, uważnie wjeżdżając w stanowisko parkingowe na końcu placu. Zakłęła pod nosem. Prześwit był tak wąski, że wiedziała, iż będą miały kłopoty z wydostaniem się z samochodu. Wszystko przez czarną furgonetkę, która zaparkowała na ich zwykłym miejscu.

— Nie dam rady wysiąść — stwierdziła Joanna, przyglądając się sąsiedniemu pojazdowi dziesięć centymetrów od ich wozu.

— Tego się obawiałam — przyznała Deborah. Oglądając się przez ramię, wycofała samochód, by wypuścić przyjaciółkę. Potem znów wprowadziła wóz w wąską szczelinę, lecz tym razem ustawiła go jeszcze bliżej pojazdu od strony pasażera. Otworzywszy drzwi, na ile pozwoliła jej ta cholerna czarna furgonetka, zdołała precyzyjnie się na wewnątrz.

## Rozdział 16

10 maja 2001

21.48

Na widok znajomo wyglądającego samochodu, zbliżającego się od strony Mount Vernon Street, Kurt poczuł, jak napływa mu do żył nowa dawka adrenaliny.

W miarę upływu czasu nabierał coraz większych obaw, że pomylił się, sądząc, iż dziewczyny po wyjściu z kliniki wrócą prosto do domu. O wpół do dziesiątej był już zaniepokojony do tego stopnia, że zaczął krążyć nerwowo po pokoju, co było zachowaniem obcym jego tak wyćwiczonej naturze. Gdyby był w stanie czytać, oczekiwanie byłoby łatwiejsze do zniesienia, ale nie odważył się zapalić światła. Koniec końców Kurt mógł jedynie wyglądać oknem na oświetlony gazowymi latarniami plac, zastanawiając się, co oznacza nieobecność dziewczyn i jak długo powinien czekać, nim wcieli w życie inny plan. Tkwił przy oknie zaledwie od pięciu minut, kiedy dostrzegł nagle sylwetkę chevroleta malibu. Wkrótce samochód zjechał na parking i zatrzymał się tuż obok jego furgonetki.

Już od pierwszej chwili Kurt był niemal pewien, że są to poszukiwane przez niego dziewczyny, a wszelkie wątpliwości zniknęły, gdy samochód wycofał się, by wypuścić pasażerkę, nim wjechał z powrotem w wąski prześwit. Dziewczyną, która wysiadła, była Prudence Heatherly, ta skromna. Przez krótką chwilę Kurt wyraźnie widział jej twarz w poświacie stojącej na rogu ulicy, niemal tuż pod nim, gazowej latarni. Potem zobaczył, jak Georgina przeciska się między swym wozem a furgonetką. Jedna z jej piersi wysunęła się przy tym z dekoltu. Kurt dostrzegł, jak dziewczyna się śmieje, poprawiając sukienkę.

— Dziwka! — mruknął z obrzydzeniem. Już wkrótce pokaże tej bezwstydnicy, do czego prowadzi taka sprośność. Nie przyznał jednak sam przed sobą, że ów przelotny widok skrawka jej ciała podniecił go seksualnie.

Miał już odejść od okna, by ostatecznie przygotować się na przybycie dziewczyn, gdy jego uwagę znów przyciągnęła rozgrywająca się w dole scena. Zamiast ruszyć do wejścia, dziewczyny wdały się w dyskusję, która szybko przybrała na sile. Nawet z tak wysoka, oddzielony szybą od ulicy, mógł dosłyszeć strzępy ich rozmowy. Zdecydowanie była to kłótnia.

Zaintrygowany tym nieoczekiwanym obrotem wypadków, Kurt przycisnął nos do szyby, by lepiej ogarnąć wzrokiem scenę. Georgina zrobiła już parę kroków w stronę domu, Prudence jednak pozostała przy samochodzie, raz po raz wskazując na niego dłonią.

Nagle Georgina wyrzuciła w górę ręce i wróciła do wozu. Mozoląc się nie mniej niż przy wysiadaniu, na powrót usiadła za kierownicą. Z rosnącym niepokojem Kurt przyglądał się, jak samochód wyjeżdża z parkingu. Jęknął w duchu, kiedy Prudence wsiadła do środka. Gdy pojazd oddalił się ulicą Mount Vernon, zaklął siarczyście.

Znów zaczął przechadzać się po pokoju. Misja, która z pozoru zdawała się tak prosta, okazała się niespodziewanie skomplikowana, a teraz wręcz groziła wymknięciem się z rąk. Dokąd te dziewczyny się wybierały niemal o dziesiątej w nocy? Przyszło mu do głowy, że może pojechały na kolację, ale odrzucił ten pomysł, gdyż doszedł do wniosku, że to między innymi właśnie kolacja zatrzymała je tak długo poza domem. I kiedy wrócą? I czy wrócą same? Ostatnie pytanie było szczególnie niepokojące.

Minuty płynęły, a zagadka pozostała nie rozwiązana. Kurt wrócił do okna. Jeśli nie liczyć kilku przechodniów z psami, ulica była zupełnie pusta. Po chevrolecie malibu nie było nawet śladu.

Sięgnął po telefon komórkowy. Choć czuł się niezręcznie, nie mogąc zameldować o powodzeniu akcji, uznał, że powinien naświetlić obecną sytuację dowódcy. Paul Saunders odpowiedział przy drugim sygnale.

— Czy może pan rozmawiać swobodnie? — zapytał Kurt.

— Na tyle, na ile to możliwe przy rozmowie przez komórkę.

— Rozumiem! — odparł Kurt. — Jestem w mieszkaniu klientek. Wróciły na krótko parę chwil temu, ale nie weszły do domu i odjechały w nieznanym kierunku.

Paul milczał przez chwilę, wreszcie przemówił:

— Czy trudno było się dostać do mieszkania klientek?

— Nie — oznajmił Kurt.

— W takim razie niech pan wraca — oświadczył Paul. — Dziewczynami może pan się zająć później. W tej chwili problemem jest Spencer. Potrzebuję pana pomocy.

— Zaraz tam będę — odparł Kurt, nie bez rozczarowania. Oznaczało to, że zabawa z Georginą nieco się odwlecze.

Zanim opuścił mieszkanie, rozejrzał się za zapasowym kompletem kluczy. Przy powtórnej wizycie zaoszczędzi sobie kłopotu z zamkami.

— Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie pozwoliłaś mi wejść na górę, żeby się przebrać — narzekała Deborah. — To zajęłoby mi tylko pięć minut. — Dziewczyny stały między regałami czynnego całego sklepu sieci CVS, bardziej przypominającego mały supermarket niż drogerię. Lekarstwa i kosmetyki stanowiły tylko drobną część asortymentu, który sięgał od artykułów samochodowych po przemysłowe środki czyszczące.

— Aha, jasne, pięć minut! — prychnęła Joanna. — Kiedy ostatni raz zabrało ci to mniej niż pół godziny? A jest już po dziesiątej. Jeżeli mamy wracać do kliniki, zróbmy to jak najszybciej.

— Ale nie mam ochoty potykać się w tych szpilkach, kiedy będziemy tam myszkować.

— No to włóż tenisówki — odparła Joanna. — Sama przyznałaś, że w bagażniku masz swój strój gimnastyczny.

— Mam włożyć tenisówki do minisukienki?

— Nie idziemy na pokaz mody! Przestań, Deborah! Masz już wszystko, co chciałaś kupić? Jeśli tak, ruszajmy w drogę.

— Chyba wszystko — przyznała Deborah. Trzymała dwie latarki, kilka baterii i jednorazowy aparat fotograficzny. — Pomóż mi! Czego jeszcze możemy potrzebować? Nic nie przychodzi mi na myśl.

— Jeśli sprzedają zdrowy rozsądek, być może powinniśmy wykupić cały zapas.

— Ale śmieszne — oburzyła się Deborah. — Nieznośna jesteś, wiesz? Dobra, chodźmy.

Przy kasie sięgnęła jeszcze po paczkę gumy do żucia i kilka batoników. Parę chwil później znów były już w drodze.

Wyczerpane półgodziną kłótnią, prawie nie odzywały się do siebie. Przy braku ruchu jazda do Bookford zajęła im o połowę mniej czasu niż zwykle. Miasteczko wyglądało na opustoszałe. Jedynymi ludźmi, jakich widziały na Main Street, były dwie pary przed pizzerią. Drugą oznaką życia była iluminacja nad boiskiem dziecięcego klubu baseballowego za budynkiem władz miejskich.

— Mam nieomal nadzieję, że nasze karty już nie działają — oświadczyła Joanna, gdy zbliżały się do zakrętu.

— Ale pesymizm — zakpiła Deborah.

Podjechały do wartowni, równie ciemnej i niegościnniej jak poprzedniej nocy.

— Której karty użyjemy? — zapytała Joanna. — Jednej z naszych czy Spencera?

— Spróbuję mojej — odparła Deborah. Podjechała do słupka i przesunęła kartę przez czytnik. Brama otworzyła się natychmiast. — Tak jak myślałam: żadnego problemu. Co za ironia, nigdy bym nie przypuszczała, że będę kiedyś chwalić opieszałość biurokracji.

Joanna nie podzielała jej entuzjazmu. Gdy znalazły się już na terenie kliniki i samochód wjechał na żwirowy podjazd, obejrzała się za siebie. Z dziwnym ukłuciem w sercu dostrzegła zatraskującą się bramę. Zostały teraz zamknięte w środku i Joanna nie mogła pozbyć się przeczucia, że popełniają wielki błąd.

Sygnal telefonu komórkowego wyrwał Kurta z zamyślenia. Szef ochrony odruchowo szarpnął kierownicą furgonetki i przez krótką chwilę niezbornie starał się wrócić na swój pas. Jechał na północny zachód autostradą nr 2 z prędkością niemal stu trzydziestu kilometrów na godzinę i zbliżał się już do zjazdu na Bookford.

Odzyskawszy panowanie nad pojazdem, zaczął gmerać w kieszeni kurtki, żeby wydobyc natarczywie brzęczący telefon. Gorączkowo rozpiął pas bezpieczeństwa. Dopiero teraz udało mu się wyjąć komórkę i odebrać połączenie.

— Mamy kontakt — usłyszał.

Rozpoznał ten głos. Był to Bruno Debianco, jego prawa ręka, pełniący funkcję strażnika na wieczornej zmianie. Służył w oddziałach specjalnych w tym samym czasie co Kurt i podobnie jak on został zwolniony w niezbyt zaszczytnych okolicznościach.

— Słucham — odparł Kurt.

— Chevrolet malibu z dwiema dziewczynami właśnie przejechał przez bramę.

Dreszcz podniecenia przebiegł mu po plecach. Lekkie zniechęcenie, które zaczął odczuwać, kiedy otrzymał polecenie powrotu do kliniki, ulotniło się w mgnieniu oka. Skoro miał dziewczyny na własnym terenie, praktycznie trzymał je już w garści.

— Słyszysz mnie? — zapytał Bruno, nie doczekawszy się natychmiastowej odpowiedzi.

— Słyszę — odparł rzeczowo Kurt, by ukryć swe podniecenie. — Śledź je, ale nie nawiązuj kontaktu. Sam chcę mieć tę przyjemność. Czy wyrażam się jasno?

— Tak jest — odparł Bruno.

— Z jednym zastrzeżeniem — dodał Kurt po namyśle. — Gdyby próbowały spotkać się z Wingate'em, zatrzymaj je i nie dopuść do tego. Zrozumiano?

— Jak najbardziej — stwierdził Bruno.

— Powinienem być na miejscu za jakieś dwadzieścia minut — dorzucił Kurt.

— Zrozumiałem — odparł Bruno.

Kurt rozłączył się. Na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech. Wieczór, który zaczął się tak obiecująco, ale zawiódł pokładane w nim nadzieje, teraz znów nabierał rumieńców. Było pewne jak amen w pacierzu, że nim upłynie godzina, obie dziewczyny znajdą się w prowizorycznej celi, którą zbudował w piwnicy swojej willi, w pełni zdane na jego łaskę i niełaskę.

Trzymając jedną ręką kierownicę, drugą wywołał numer Paula Saundersa.

— Dobre nowiny — oświadczył, gdy tylko lekarz odebrał telefon. — Dziewczyny wróciły do bazy z własnej woli.

— Znakomicie! — powiedział Paul. — Dobra robota!

— Dziękuję — odparł Kurt. Nie miał nic przeciwko przypisaniu sobie zasługi, skoro Paul był skłonny mu ją przyznać.

— Niech pan zajmie się dziewczynami, a potem zabierzemy się do Wingate'a — dodał Paul. — Proszę zadzwonić do mnie, kiedy pan skończy!

— Tak jest — odparł Kurt. Niczym pies Pawłowa o mało co odruchowo nie zasalutował.

— Tego się nie spodziewałam — oświadczyła Deborah.

— Ja nie wiedziałam nawet, czego się spodziewać — odparła Joanna.

Dziewczyny siedziały w samochodzie na parkingu Kliniki Wingate'a. Pojazd, z wciąż pracującym silnikiem, stał zwrócony w stronę południowego krańca budynku. Parking położony był od wschodniej strony gmachu, co zapewniało widok na jego tylną elewację. Wszystkie okna pierwszego piętra na tyłach skrzydła jarzyły się światłem.

— Całe laboratorium jest oświetlone — powiedziała Deborah. — Sądziłam, że o tej porze to miejsce będzie zupełnie opustoszałe. Ciekawe, czy pracują przez całą dobę.

— To całkiem możliwe — stwierdziła Joanna. — Jeśli dzieją się tu rzeczy, które chcieliby ukryć, rozsądek nakazuje zajmować się nimi, kiedy po klinice nie kręci się tłum pacjentek.

— Racja — przyznała Deborah.

— No to, co robimy?

Zanim Deborah zdążyła odpowiedzieć, obie dostrzegły u wylotu podjazdu światła nadjeżdżającego samochodu. Zadrżały.

— O rany — jęknęła Deborah. — Mamy towarzystwo!

— Co robić? — zapytała nerwowo Joanna.

— Po pierwsze, zachować spokój! — oświadczyła Deborah. — Moim zdaniem nie powinniśmy na razie robić nic, tylko skulić się i udawać, że nas nie ma.

Bruno zauważył samochód dziewczyn, nim jeszcze był w stanie rozpoznać, że istotnie jest to chevrolet malibu. Stał zaparkowany naprzeciwko wejścia do kliniki. Uwagę ochroniarza zwróciło to, że choć przednie światła były wyłączone, światła stopu wciąż się paliły. Ktoś siedział w samochodzie z nogą na hamulcu.

Gdy czarna ochroniarska furgonetka Brunona zbliżyła się do parkingu i chevrolet znalazł się w zasięgu jej reflektorów, mężczyzna wyraźnie dostrzegł czubki dwóch głów na przednich siedzeniach. Nie zatrzymał się ani nawet nie zwolnił. Przejechał przez parking i jechał dalej, jak gdyby zmierzał w stronę osiedla dla pracowników.

Gdy znalazł się poza zasięgiem wzroku, zjechał na skraj drogi, zgasił światła, wyłączył silnik i wyskoczył na zewnątrz. Ubrany na czarno, jak Kurt, był niewidoczny w ciemnościach. Pobiegł z powrotem drogą, po czym przemknął skrajem parkingu. Parę chwil później miał już przed sobą chevroleta malibu i zauważył, że dziewczyny wciąż z niego nie wysiadły.

— Jestem roztrzęsiona — przyznała Joanna. — Może po prostu odjedziemy? Sama przyznałaś, że nie spodziewałaś się, że o tej porze będzie się tu jeszcze pracowało. Jeśli tam wejdziemy, na pewno natkniemy się na kogoś. Co wtedy powiemy?



— Uspokój się! — ucięła ostro Deborah. — To ty się upierałaś, żeby iść ze mną. To była tylko przejeżdżająca furgonetka. Nie zatrzymała się. Nawet nie zwolniła. Wszystko jest cacy.

— Nie jest cacy — odparła Joanna. — Teraz dokładamy do naszej listy wykroczeń wtargnięcie na cudzy teren. Myślę, że powinniśmy odjechać.

— Nie odjadę, dopóki nie zdobędę jakichś konkretnych dowodów dotyczących ich działalności — oświadczyła Deborah. — Ty, jeśli chcesz, możesz zostać w samochodzie, ale ja wchodzę. Tylko najpierw zmienię buty.

Otworzyła drzwi i wysiadła w rześkie nocne powietrze. Podeszła do bagażnika, wyjęła tenisówki i wróciła do środka.

— Właśnie widziałam kogoś w jednym z okien na pierwszym piętrze — powiedziała nerwowo Joanna.

— Wielka mi rzecz — prychnęła Deborah. Włożyła tenisówki i zawiązała sznurowadła. — Głupio to będzie wyglądało z tą krótką sukienką, ale kogo to obchodzi?

— Nie wierzę, że nie boisz się natknąć na jakichś pracowników — stwierdziła Joanna.

— Dość tego! — warknęła Deborah. — Idziesz czy nie?

— Idę — odparła niechętnie Joanna.

— Jak sądzisz, co powinniśmy ze sobą zabrać?

— Im mniej, tym lepiej — odparła Joanna. — Zważywszy, że być może będziemy musiały uciekać. Myślę też, że dobrze by było obrócić samochód w drugą stronę, żebyśmy mogły w razie czego natychmiast ruszyć ku bramie.

— Niezły pomysł — przyznała Deborah.

Ponownie uruchomiła samochód, zawróciła i tyłem wjechała z powrotem na stanowisko.

— Zadowolona?

— Powiedzieć, że jestem zadowolona, byłoby grubą przesadą.

— Weźmy tylko karty magnetyczne, latarki i aparat fotograficzny — zaproponowała Deborah.

— Świetnie — odparła Joanna.

Deborah sięgnęła za siebie i podniosła z tylnego siedzenia torbę z drogerii. Podała Joannie jedną z latarek, a drugą, wraz z jednorazowym aparatem, zatrzymała dla siebie.

— Gotowa?

— Chyba tak — odparła Joanna bez entuzjazmu.

— Zaczekaj chwilę. Wpadłam na pewien pomysł.

Joanna przewróciła oczami. Jeśli Deborah w tych warunkach oczekiwała, że ona będzie zgadywać, co jej chodzi po głowie, musiała być szalona.

— Nie chcesz wiedzieć, co wymyśliłam?

— Nie, chyba że proponujesz stąd odjechać.

Deborah spojrzała na nią z gniewem i oznajmiła:

— Nic podobnego, cwaniaczko! Kiedy byliśmy tu pierwszy raz, na zabiegu, zostawiłyśmy płaszcze w szatni. A tam wisiały długie lekarskie fartuchy. Myślę, że powinnyśmy je sobie pożyczyć. W ten sposób będziemy wyglądać bardziej profesjonalnie, zwłaszcza ja w tej kusej sukience.

Dziewczyny wysiadły wreszcie z samochodu i przebiegły do wejścia. Były trochę zaskoczone, gdy okazało się, że do otwarcia drzwi potrzebna jest karta magnetyczna, ale podobnie jak przy bramie nie miały z tym żadnego problemu. Rozległy hol wejściowy był ciemny i opustoszały. Przyjaciółki dały nura do szatni i gdy tylko zamknęły za sobą drzwi, zapaliły światło.

Pamięć nie zawiodła Deborah. Istotnie znajdowało się tu mnóstwo białych lekarskich fartuchów, choć niewiele w małych rozmiarach. Szukały przez kilka minut, nim udało im się znaleźć dwa odpowiednie. W kieszeniach ukryły karty magnetyczne, latarki i aparat fotograficzny. Tak wyposażone zgasiły światło i ponownie wynurzyły się w holu.

— Będę szła za tobą — szepnęła Joanna.

Deborah skinęła głową. Obeszła puste biurko recepcjonistki i ruszyła pogrążonym w mroku korytarzem, mijając z lewej strony przebieralnię dla pacjentek, gdzie półtora roku wcześniej wkładały przed zabiegiem szpitalne narzutki. Jej celem była najbliższa klatka schodowa. Dotarli tam, nikogo nie napotykając. Jedyнным dźwiękiem, jaki słyszały, był odgłos ich własnych kroków.

Na schodach obie odetchnęły z ulgą. Wydawało się tu bezpieczniej niż na otwartej przestrzeni korytarza, w każdym razie dopóki nie zeszły po trzech rzędach schodów i nie otworzyły drzwi pożarowych do mrocznej, wilgotnej piwnicy.

— Nie ma światła! — zauważyła Deborah. — Dobrze, że jesteśmy przygotowane. — Wyjęła swoją latarkę i włączyła ją.

Joanna zrobiła to samo. Gdy skierowała snop światła w przypominający mauzoleum korytarz piwnicy, gwałtownie wciągnęła powietrze.

— O co chodzi? — zapytała Deborah.

— Mój Boże! Spójrz na te wszystkie rupiecie! To niesamowite! — odparła Joanna. Omiotła światłem składowisko zepsutych drewnianych foteli na kółkach, powyginanych basenów i połamanych szpitalnych mebli. Staroświecki przenośny aparat rentgenowski z baniastą głowicą wylaniał się z ciemności niczym rekwizyt ze starego filmu o Frankensteinie.

— Nie wspominałam ci o tym? — zapytała Deborah.

— Nie! — warknęła ze złością Joanna.

— Nie denerwuj się — uspokoiła ją Deborah. — Wygląda na to, że cała reszta budynku jest zawalona najróżniejszymi kłopotami z czasów, kiedy był tutaj zakład psychiatryczny i sanatorium dla gruźlików.

— Wygląda to upiornie — jęknęła Joanna. — Mogłaś mnie chociaż uprzedzić.

— Przepraszam — odparła Deborah. — Ale doktor Donaldson mówiła nam o tym, kiedy byliśmy tu po raz pierwszy. Powiedziała, że to miejsce przypomina muzeum. Pamiętasz?

— Nie!

— Trudno. Tak czy inaczej chodźmy. To tylko kupa śmieci. — Deborah ruszyła na północ. Niemal natychmiast korytarz skręcił w prawo, po czym znowu się wygiął. Po obu stronach otwierały się mniejsze, łukowato sklepione przejścia.

— Wiesz, dokąd idziesz? — zapytała Joanna. Dreptała tuż za przyjaciółką.

— Nie za bardzo — przyznała Deborah. — Zeszliśmy inną klatką schodową niż ja dzisiaj rano. Ale wiem, że idziemy w dobrym kierunku.

— Dlaczego dałam się w to wciągnąć? — mruknęła Joanna. Nagle wydała stłumiony okrzyk.

Deborah odwróciła się na pięcie i skierowała latarkę w twarz przyjaciółki. Joanna odwróciła wzrok i zasłoniła się dłonią przed światłem.

— Nie świeć mi tym w oczy!

— Co się stało, do diabła? — wycedziła Deborah przez zaciśnięte zęby, gdy tylko przekonała się, że Joanna jest cała i zdrowa.

— Szczur! — wykrztusiła Joanna. — Widziałam olbrzymiego szczura z czerwonymi oczami, tam za tym starym biurkiem.

— Jezu, Joanna! — jęknęła Deborah. — Weź się w garść! To ma być tajna akcja. Próbujemy działać niepostrzeżenie!

— Przepraszam. Ta graciarnia działa mi na nerwy. Nic na to nie poradzę.

— W każdym razie uspokój się. Wystraszyłaś mnie niemal na śmierć. — Deborah ruszyła dalej, ale zdążyła zrobić ledwie kilka kroków, gdy przyjaciółka szarpnęła ją za ramię.

— Co znowu? — warknęła Deborah.

— Usłyszałam coś za nami — odparła Joanna. Poświeciła latarką w głąb korytarza. Spodziewała się znów zobaczyć szczura, ale nie dostrzegła nic oprócz rupieci. Po raz pierwszy zwróciła wzrok w górę, ku płataninie rur i przewodów.

— Spędzimy tu całą noc, jeśli będziesz się tak zachowywać — zauważyła Deborah.

— W porządku! — burknęła w odpowiedzi Joanna.

Po dalszych pięciu minutach wędrowni krętym korytarzem dziewczyny natknęły się na wielki, staroświecki mikser kuchenny, zamontowany na stojaku na kółkach. Urządzenie pokrywała warstwa kurzu. Z misy miksera wystawały rozmaite przybory kuchenne. Pokrywa była odchylona do tyłu i ubijaki sterczały pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

— Musimy być już blisko — stwierdziła Deborah. — Drzwi, których szukam, były na końcu kuchni, a kuchnia jest już chyba niedaleko.

Za następnym zakrętem okazało się, że miała rację. Wkrótce dziewczyny znalazły się w starej kuchni. Przyświecając sobie latarką, Joanna zaglądała w głąb rozdziawionych, zakopconych pieców i wielkich steatytowych zlewów. Światło igrało w górze na wiszących ponad blatem, poczerniałych i wyszczerbionych garnkach i patelniach.

— Są — oświadczyła Deborah, wskazując przed siebie. Lśniące, stalowe drzwi wyraźnie odcinały się od mrocznego, obskurnego otoczenia. Ich wypolerowana powierzchnia odbijała większą część światła jej latarki.

— Miałaś rację, kiedy mówiłaś, że nie pasują do otoczenia — stwierdziła Joanna.

Podeszły bliżej. Deborah, jak poprzednio, przyłożyła ucho do drzwi.

— Te same odgłosy, co przedtem — powiedziała. Poleciała przyjaciółce dotknąć dłońią powierzchni.

— Ciepłe — zauważyła Joanna. Podała Deborah niebieską kartę Spencera Wingate'a.

— Muszą mieć około trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza — orzekła Deborah. Wzięła kartę, ale nie przesunęła jej przez czytnik.

— To co, wchodzimy, czy nie? — zapytała wreszcie Joanna.

Deborah wciąż wpatrywała się w drzwi.

— Oczywiście, że wchodzimy — odparła. — Próbuję tylko przygotować się na to, co tam znajdziemy. — Zaczerpnąwszy głęboki oddech dla dodania sobie animuszu, przesunęła kartę przez szczelinę czytnika. Przez chwilę nic się nie działo, potem dał się słyszeć odgłos uciekającego powietrza, jak gdyby po drugiej stronie panowało nieco wyższe ciśnienie. Grube, masywne drzwi zaczęły powoli cofać się w głąb ściany.

## Rozdział 17

10 maja 2001

23.05

Klnąc pod nosem po uderzeniu golenią o niewidoczny metalowy przedmiot, Bruno kuśtykał w ciemnościach korytarzem. Dla orientacji wodził palcami po ceglanym murze. Starał się nie przewracać leżących na podłodze rupieci, lecz okazało się to niemożliwe i ochroniarz krzywił się, ilekroć się z czymś zderzał, nie tyle z bólu, ile ze względu na hałas, jaki wywoływał. Gdy tylko wyczuł pod palcami narożnik, wsunął się za załomek muru. Dopiero wtedy odważył się spojrzeć tam, skąd przyszedł. W oddali stalowe drzwi działu hodowli zatrzęsnęły się nagle sto razy szybciej, niż się wcześniej otworzyły. Lecz w tym ułamku sekundy zdołał dostrzec sylwetki dwóch dziewczyn, stojących w zalanym światłem pomieszczeniu.

Szybko wyciągnął latarkę, włączył ją i wetknął sobie między zęby, by uwolnić rękę. Skierował wiązkę nie w głąb korytarza, ale na ścianę niszy, w której się schronił. Nie chciał, żeby dziewczyny zauważyły światło, gdyby przypadkiem otworzyły drzwi. Z trudem wydobył z kieszeni telefon komórkowy. W pośpiechu przejrzał spis telefonów, szukając numeru działu hodowli. Gdy tylko numer pojawił się na ekranie, naciśnął przycisk rozmowy.

Choć w piwnicy odbiór nie był najlepszy, poprzez zakłócenia Bruno usłyszał sygnał dzwonka.

— No już, odbieraj! — warknął niecierpliwie.

Wreszcie odezwał się głos:

— Cindy Drexler, dział hodowli.

— Tu Bruno Debianco. Czy pani mnie słyszy?

— Nie za dobrze — przyznała Cindy.

— Wie pani, kim jestem?

— Oczywiście — odparła Cindy. — Pracuje pan w ochronie.

— To proszę słuchać! — oświadczył Bruno, tak głośno, jak mógł w tych warunkach.

— Do działu hodowli dostały się właśnie dwie dziewczyny. Jak zdobyły kartę magnetyczną, nie mam pojęcia. Widzi je pani?

Na chwilę zapadła cisza.

— Jeszcze nie — odezwała się wreszcie Cindy. — Ale jestem dość daleko od wejścia.

— To ważne — ciągnął Bruno. — Niech je pani czymś zajmie przez piętnaście, może dwadzieścia minut. Proszę coś wymyślić! Może pani mówić im wszystko, co zechcą wiedzieć, ale proszę zatrzymać je tam za wszelką cenę. Czy to jest jasne?

— Chyba tak — odparła Cindy. — Mam powiedzieć im wszystko?

— Wszystko, cokolwiek — to nie ma znaczenia — powiedział Bruno. — Proszę tylko zadbać, żeby nie nabrały podejrzeń. Kurt Hermann jest już w drodze i osobiście dokona aresztowania. Te dziewczyny wtargnęły na teren kliniki bez upoważnienia.

— Zrobię, co w mojej mocy — odparła Cindy.

— O więcej nie proszę — oświadczył Bruno. — Będziemy u pani natychmiast po jego przybyciu.

Rozłączył się, po czym jednym klawiszem wywołał numer Kurta. Tym razem rozmowie towarzyszyło jeszcze więcej zakłóceń.

— Słyszysz mnie? — zapytał Bruno.

— Tak sobie — odparł Kurt. — Co się dzieje?

— Jestem przed drzwiami działu hodowli, w piwnicy kliniki — powiedział Bruno. — Dziewczyny dostały się tam za pomocą karty. Zadzwoiłem do laborantki i powiedziałem, żeby zatrzymała je w środku. Przechwycisz je bez problemu.

— Widziały cię?

— Nie, nic nie podejrzewają.

— Świetnie! Właśnie wjeżdżam do Bookford. Będę za dziesięć, góra piętnaście minut. Masz ze sobą kajdanki?

— Nie — odparł Bruno.

— Więc przynieś z wartowni! — rozkazał Kurt. — I czekaj na mnie przy bramie. Razem pójdziemy po te dziewczyny.

— Tak jest — padła odpowiedź.

Przez kilka minut Joanna i Deborah stały jak wryte i rozglądały się dookoła. Biorąc pod uwagę ultranowoczesne drzwi, przez które właśnie przeszły, obie spodziewały się, że wkroczą do futurystycznego świata podziemnego. Tymczasem przed nimi rozciągał się taki sam jak po tamtej stronie drzwi labirynt ceglanych sal, oddzielonych od siebie identycznymi łukowato sklepieniami przejściami. Tę część piwnic odróżniało jednak jasne światło, które spływało z rzędów nowo zainstalowanych świetlówek, temperatura powietrza i wyposażenie. Zamiast szpitalnych i kuchennych rupieci, salę, w której się znajdowały, oraz inne pomieszczenia, które mogły stąd dojrzeć, wypełniał nowoczesny sprzęt laboratoryjny, głównie w postaci potężnych inkubatorów, załadowanych po brzegi naczynkami z hodowlami tkanek. Większość inkubatorów była na kółkach.

— Spodziewałam się czegoś bardziej efektownego — odezwała się Joanna.

— Ja też — przyznała Deborah. — Laboratorium na górze robi o wiele większe wrażenie.



— Gorąco jak w tropikach. Jaka tu może być temperatura?

— Bliska temperatury ciała — odparła Deborah. Odwróciła się z powrotem ku stalowym drzwiom. Na ścianie po ich prawej stronie zamontowana była laminowana skrzynka z lekko wystającą czerwoną płytką pośrodku. Na płytce wielkimi literami wypisano słowa: OTWARTE/ZAMKNIĘTE.

— Zanim ruszymy w trasę, chcę się upewnić, że będziemy mogły stąd wyjść — powiedziała. — Te drzwi zatrzęsły się w takim tempie, że wolę sprawdzić, czy znów się otworzą. — Nacisnęła czerwoną płytkę.

Drzwi rozsunęły się tak samo jak poprzednio. Potem, gdy dziewczyna jeszcze raz nacisnęła płytkę, zamknęły się w mgnieniu oka, a cisza, z jaką się to odbyło, była równie imponująca jak szybkość.

Deborah miała właśnie coś powiedzieć na ten temat, gdy Joanna gorączkowo chwyciła ją za ramię.

— Mamy towarzystwo! — szepnęła nerwowo.

Podążając za wzrokiem przyjaciółki, Deborah gwałtownie obróciła głowę. W jednym ze sklepionych przejść stała uśmiechnięta kobieta w średnim wieku, o wąskiej, mocno opalonej twarzy, na której wyraźnie rysowały się kurze łapki i liczne zmarszczki od śmiechu. Ubrana była w bardzo lekki, biały bawełniany strój. Włosy ukryte miała pod czepkiem z tego samego materiału. Opuszczona maseczka chirurgiczna zwisała jej na piersi.

— Witajcie w dziale hodowli! — odezwała się. — Nazywam się Cindy Drexler. A wy?

Joanna i Deborah spojrzały po sobie z konsternacją i przerażeniem.

— Jesteśmy nowymi pracownicami — wyjąkała wreszcie Deborah.

— To wspaniale — odparła Cindy. Podeszła z wyciągniętą dłonią i uściśniła im ręce. — A jak się nazywacie? — powtórzyła, patrząc na Joannę, z którą właśnie się witała.

Dziewczyna zająknęła się, niezdolna zdecydować, czy powinna przedstawić się prawdziwym, czy przybranym imieniem.

— Prudence — wypaliła wreszcie, przypomniawszy sobie, że są tu bezprawnie.

— Georgina — rzuciła za jej przykładem Deborah.

— Miło mi was poznać — oświadczyła Cindy. — Chciałybyście pewnie się rozejrzeć?

Dziewczyny znów ukradkiem wymieniły spojrzenia, tym razem nie spanikowane, lecz mile zaskoczone.

— Bardzo chętnie — odparła Deborah. — Te drzwi tak nas zafascynowały, że musieliśmy zobaczyć, co jest w środku. — Nieśmiałym gestem wskazała stalowe wrota.

— Nie jestem przyzwyczajona do oprowadzania wycieczek — przyznała Cindy, śmiejąc się z zażenowaniem — ale postaram się zrobić to jak najlepiej. Tu, w tym pomieszczeniu, które, nawiasem mówiąc, służyło niegdyś za spiżarnię zakładu Cabota, mamy

przygotowane na jutro komórki jajowe do transferu jądrowego. Pojadą na górę, do laboratorium, ręczną windą, która jest tuż za rogiem. Te komórki znajdują się w inkubatorach z czerwonymi etykietkami. Używamy tu kodów barwnych. Inkubatory z niebieskimi etykietkami zawierają komórki po fuzji, które czekają na przewiezienie do sali zarodków.

— Jakie to komórki? — zapytała Deborah. — To znaczy, jakiego gatunku?

— Ludzkie, oczywiście — odparła Cindy.

— Wszystkie?

— Tak, zwierzęcymi gametami zajmujemy się w pracowni na farmie.

— Skąd bierzecie aż tyle ludzkich gamet? — zainteresowała się Deborah.

— Uzyskujemy je w tak zwanej sali narządów — wyjaśniła Cindy.

— Możemy zobaczyć? — zapytała Deborah.

— Oczywiście — zgodziła się Cindy. — Chodźmy!

Wskazała sklepione przejście, z którego przed chwilą wyszła, i gestem zaprosiła dziewczyny, by szły za nią.

— Co za szczęście, że na nią trafiłyśmy — szepnęła Deborah, nachylając się do przyjaciółki. — To idzie aż zbyt łatwo.

— Masz rację! — odszepnęła Joanna. — To idzie zbyt łatwo. Ona jest zbyt uczynna. Nie podoba mi się to. Gdyby to ode mnie zależało, już by nas tu nie było!

— Och, na Boga — jęknęła Deborah. — Musisz być zawsze taka cyniczna? Korzystajmy z okazji, odkryjmy, co się da, a potem rozstańmy się z nią.

Minąwszy kilka pomieszczeń o zawartości i rozmiarach podobnych do pierwszej sali, cała trójka dotarła do znacznie przestronniejszego wnętrza. Ścianę za rzędem inkubatorów pokrywało przeszło pięćdziesięcioro starych, drewnianych drzwi, każde o wymiarach mniej więcej metr na metr, z ciężkimi zasuwami, jak przy drzwiach chłodni w rzeźni. Deborah przystanąła niepewnie.

— Przepraszam, Cindy. — Wskazała na nadgryzione zębem czasu drzwi. — Czy to jest to, co mi się wydaje?

Cindy zatrzymała się w drodze do następnego, jeszcze większego pomieszczenia. Podążyła wzrokiem za palcem Deborah.

— Masz na myśli te stare lodówki?

— Czy to nie jest czasem dawna kostnica? — zapytała dziewczyna.

— Istotnie — przyznała Cindy. Zawróciła i nie bez trudu odsunęła na bok jeden z potężnych inkubatorów, odsłaniając drzwi. Otworzywszy jedno z nich, wysunęła ze środka zaopatrzoną w kółka, poplamioną drewnianą tacę. — Ciekawe, prawda? Łód łądowano od drugiej strony. Nie chciałabym tutaj być, kiedy przypadkiem zabrakłoby im lodu. Wyobrażacie to sobie? — Roześmiała się w wymuszony sposób.

Dziewczyny spojrzały po sobie. Joanna wzruszyła ramionami.

— Idźmy już dalej — zaproponowała.

— Może chcecie zobaczyć resztę kostnicy? — ciągnęła Cindy. — Stara sala sekcyjna z trybunami zachowała się w nienaruszonym stanie. W dziewiętnastym wieku musiała na tym odludziu dostarczać czegoś w rodzaju rozrywki. — Znów się roześmiała, tym razem raczej fałszywie niż nerwowo. — W tamtych czasach podróż powozem do Bostonu zajmowała cały dzień, a personel po pracy nie miał tu zbyt wiele do roboty. Chodźcie, pokażę wam.

Ruszyła w kierunku przeciwnym do tego, w którym prowadziła je poprzednio. Deborah podążyła za nią, daremnie próbując przyciągnąć jej uwagę. Joanna powlokła się za nimi, aby nie pozostać w tyle.

— Cindy! — zawołała Deborah, przyspieszając kroku. — Wolałybyśmy raczej zobaczyć salę narządów!

Nie słysząc, czy też po prostu ignorując Deborah, Cindy szła dalej i dotarła wreszcie do obitych skórą podwójnych drzwi z małymi, owalnymi okienkami. Otworzywszy pchnięciem jedno skrzydło, nachyliła się w ciemność i włączyła światło. Rozległo się głucho buczenie i po chwili salę zalał blask umieszczonych wysoko pod sufitem, potężnych, staroświeckich lamp. Ich przypominające kotły czasze niczym reflektory kierowały strumienie światła na stary, metalowy stół sekcyjny.

Joanna zajrzała do środka spoza pleców Deborah i gwałtownie wciągnęła powietrze. Całe wnętrze, z piętrzącymi się w mroku trybunami dla widzów, jeszcze wyraźniej przywiodło jej na myśl makabryczny obraz przedstawiający lekcję anatomii niż owa sala operacyjna, w której odbywał się jej zabieg.

— Bardzo interesujące — stwierdziła Deborah z sarkastyczną nutą w głosie, zapuszcivszy żurawia do sali. — Ale jeśli nie macz nic przeciwko temu, o wiele bardziej wolałybyśmy obejrzeć salę narządów.

— Może macie ochotę pobawić się starymi narzędziami do sekcji? — podsunęła Cindy. — Żartowaliśmy sobie kiedyś z kolegami, że wysłemy je do Hollywood jako rekwizyty do jakiegoś horroru.

— Chodźmy do sali narządów — oświadczyła stanowczo Joanna.

— Dobrze — ustąpiła Cindy. Wyłączyła światło i znowu ruszyła korytarzem. Spojrzała na zegarek. Deborah nie zwróciła na to uwagi, Joanna jednak dostrzegła ów gest. Na ile mogła stwierdzić, kobieta zrobiła to już po raz trzeci. Deborah była akurat zajęta czym innym. Oglądała się za siebie.

— Czy do sali narządów nie idzie się w przeciwną stronę? — zawołała do Cindy, która zdążyła już wyprzedzić ją o kilkanaście kroków.

— Możemy się do niej dostać także i tamtą drogą — odparła kobieta przez ramię. — Ale ta trasa jest krótsza.

Dopędziwszy ją, Deborah spostrzegła w głębi korytarza parę poziomo zorientowanych drzwi, przypominających te, które zamykały szyb ręcznej windy, jednak znacznie większych, o rozmiarach wjazdu do małego garażu. Gdy cała trójka je mijała, Deborah zapytała, co to takiego.

— To stara winda towarowa — odparła Cindy i przystanęła. — Używano jej do zwożenia zwłok z górnych pięter.

— Urocze — zauważyła Joanna. — Chodźmy dalej!

— Prawdę mówiąc, bardzo się nam przydała — oświadczyła Cindy. Z uznaniem postukała w drzwi zgiętym palcem. — Zwoziliśmy nią tu na dół większość sprzętu. Chciałybyście zobaczyć, jak działa?

— Wolałybyśmy zobaczyć salę narządów — odparła Joanna. — Myślę, że wiemy, jak działa winda towarowa.

— Dobrze — powtórzyła Cindy.

Minąwszy sześciometrowej długości wąski, sklepiony korytarz, który, jak wyjaśniła Cindy, przecinał fundament wspierający pseudowłoską wieżę, dziewczyny znalazły się nagle na progu największego pomieszczenia, jakie widziały w całym podziemnym kompleksie. Miało co najmniej trzydzieści metrów długości i piętnaście szerokości. W środku, niczym ustawione rzędami akwaria, piętrzyły się okazałe zbiorniki z pleksiglasu, mniej więcej dwumetrowej długości, metrowej głębokości i sześćdziesięciocentymetrowej szerokości. W każdym znajdowało się kilka zatopionych w cieczy szklanych kul około trzydziestocentymetrowej średnicy. Z wierzchołka każdej kuli wystawała płatanina rurek i przewodów elektrycznych. Na powierzchni cieczy unosiła się zwarta warstwa drobnych szklanych kulek.

Przez chwilę dziewczyny tylko przyglądały się temu bez słowa. Choć i tu ściany stanowiła odsłonięta cegła, ten obraz bardziej przypominał to, czego oczekiwały, kiedy przechodziły przez stalowe drzwi. Nawet sufit, dzięki nieobecności rur i przewodów, znajdował się tu wyżej niż w innych pomieszczeniach. Światło, mniej intensywne niż gdzie indziej, zawierało wyraźną domieszkę ultrafioletu.

Podczas gdy Deborah jak urzeczona wpatrywała się w zbiorniki, Joanna spostrzegła, że Cindy znów zerknęła na zegarek. Ta ciągle powtarzana czynność dziwnie kłóciła się z okazywaną im gościnnością. Jeśli laborantka istotnie tak martwiła się o czas, dlaczego poświęcała im go aż tyle? Było to pytanie, na które Joanna nie umiała znaleźć odpowiedzi, ale które niepokoiło ją coraz bardziej.

— Co to właściwie jest? — zapytała Deborah.

— To sala narządów — powiedziała Cindy. — Te zbiorniki zawierają wodę o stałej temperaturze. Unoszące się na powierzchni kuleczki mają za zadanie zapobiec parowaniu cieczy. Większe kule zawierają jajniki.

— Zatem — zaczęła Deborah — utrzymujecie przy życiu całe jajniki, zapewne dzięki perfuzji i tak dalej.

— Mniej więcej tak to wygląda — przyznała Cindy. — Poprzez odpowiednie dawko-  
wanie tlenu, pożywek i stymulacji hormonalnej odtwarzamy warunki normalnie panu-  
jące wewnątrz ciała. Oczywiście ważne jest też usuwanie produktów przemiany mate-  
rii. Tak czy inaczej, jeśli tylko robimy to prawidłowo, jajniki nieprzerwanie wytwarzają  
dojrzałe oocyty.

— Można przyjrzeć się im z bliska? — zapytała Deborah.

— Jak najbardziej. — Cindy wykonała zapraszający gest.

Deborah przeszła między dwoma rzędami zbiorników i zatrzymała się, by zajrzeć  
do jednej z kul. Zamknięty w niej jajnik był wielkości mniej więcej spłaszczonego orze-  
cha włoskiego, z nierówną, ospowatą niczym księżyc powierzchnią. Od głównych na-  
czyń krwionośnych odchodziły delikatne rurki doprowadzające substancje odżywcze.  
Niewielki organ najeżony był przewodami rozmaitych czujników.

— Mamy też bardziej tradycyjne hodowle oogoniów — dodała Cindy. — Mogę je  
wam pokazać, jeśli chcecie.

— Niektóre z tych kul zawierają dwa jajniki zamiast jednego — zauważyła  
Deborah.

— To prawda, ale na ogół, jak widzicie, jest tylko jeden. Więc jak, idziemy do sali  
oogoniów?

— Co to oznacza, kiedy są dwa jajniki? — zainteresowała się Joanna.

— To działka doktor Donaldson — odparła Cindy. — Ja jestem tylko szeregowym  
pracownikiem. Moja rola sprowadza się do doglądania hodowli.

Dziewczyny wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Znając się od tak dawna, po-  
trafiły z grubsza odgadnąć nawzajem swoje myśli.

— Widzę, że każda kula ma swój symbol alfanumeryczny — odezwała się Joanna.  
— Czy to oznacza, że znacie pochodzenie każdego jajnika?

Po raz pierwszy podczas ich wizyty Cindy wyglądała na wyraźnie zaniepokojoną  
pytaniem. Chrząknęła, zakaszła i jeszcze raz próbowała sprowadzić rozmowę na ho-  
dowlę oogoniów, ale Joanna była nieugięta.

— Mamy pewne pojęcie o pochodzeniu jajników — przyznała w końcu laborantka.

— Co znaczy „pewne”? — nie dawała za wygraną Joanna. — Gdybym podała nazwi-  
sko dawczyni jajnika, mogłabyś go zlokalizować?

— Na to wygląda — odparła wymijająco Cindy. Zerknęła na zegarek i przestąpiła  
z nogi na nogę.

— Interesuje mnie nazwisko Joanna Meissner — oświadczyła Joanna.

— Joanna Meissner — powtórzyła Cindy. Rozejrzała się dookoła, jakby była zdezo-  
rientowana. — Potrzebny byłby komputer.

— Jest tuż za tobą — zauważyła Joanna.

— Ach, rzeczywiście! — wykrzyknęła Cindy, udając zaskoczenie. Odwróciła się, odblokowała hasłem klawiaturę, po czym wpisała nazwisko Joanny. Komputer wyświetlił odpowiedź: JM699. Cindy zanotowała kod na skrawku papieru i skierowała się ku zbiornikom. Dziewczyny ruszyły za nią. Dwa rzędy dalej laborantka zatrzymała się i wskazała palcem zbiornik w dolnym rzędzie. Na powierzchni jednej z kul widniał zapisany niezmazywalnym markerem kod JM699.

Dziewczyny wpatrywały się w maleńki organ. Był wyraźnie bardziej ospowaty niż ten, który oglądały poprzednio, i Joanna zainteresowała się, co jest tego przyczyną.

— To jeden z naszych starszych egzemplarzy — wyjaśniła Cindy. — Zbliża się do kresu swej użyteczności.

— Sprawdźmy jeszcze jedno nazwisko — powiedziała Deborah. — Kristin Overmeyer.

— Dobrze — odparła spokojnie Cindy, jak gdyby pogodzona już z sytuacją. Wracając do stacji roboczej, odzyskała poprzednią swobodę. Bez wahania wpisała podane nazwisko, a komputer natychmiast wyświetlił kod: KO432. — Tędy — powiedziała, przywołując skinieniem dziewczyny. Okrążywszy pomieszczenie, skręciła między pierwsze rzędy zbiorników.

Joanna zatrzymała przyjaciółkę i szepnęła:

— Wiem, o co ci chodzi. Świetny pomysł!

Deborah skinęła tylko głową.

— Jest tutaj — oświadczyła niemal z dumą Cindy, zatrzymując się przy zbiorniku. Wskazała środkową kulę. — KO432. To podwójny preparat.

— Ciekawe — odezwała się Deborah, rzuciwszy okiem na zawartość kuli. — Ma niższy numer niż poprzedni, ale wygląda na młodszy. Jak to możliwe?

Cindy wpatrywała się w dwa jajniki. Widać było, że znów jest zakłopotana. Mamrotała coś przez chwilę.

— Nie mam pojęcia — powiedziała wreszcie. — Być może ma to coś wspólnego ze sposobem, w jaki są pobierane, ale naprawdę nie wiem. Jestem pewna, że doktor Donaldson byłaby w stanie to wyjaśnić.

— Mam jeszcze jedno nazwisko — powiedziała Deborah. — Rebecca Corey.

— Naprawdę nie macie ochoty zobaczyć hodowli oogoniów? — zapytała Cindy. — Naszym zdaniem to właśnie jest dziedzina, w której dokonaliśmy największych postępów. Dzięki hodowlom oogoniów utrzymywanie przy życiu całych jajników już wkrótce stanie się przeżytkiem.

— Jeszcze tylko to jedno nazwisko — obiecała Deborah. — Potem pójdziemy obejrzeć oogonia.

Cindy raz jeszcze zerknęła na zegarek i wróciła do komputera. Odczytawszy kod, poprowadziła dziewczyny do zbiornika sąsiadującego z tym, który zawierał jajniki Kristin Overmeyer i wskazała odpowiednią kulę. To również był preparat podwójny.



Joanna i Deborah przyglądały się zamkniętym w szklanej bańce organom, także wyglądającym na młodsze od jajnika Joanny. Obie zadrżały, uświadamiając sobie, że patrzą na jajniki dziewczyny, która podobno zaginęła wraz z Kristin Overmeyer po zabraniu autostopowicza.

— Sala oogoniów jest tuż obok — powiedziała Cindy. — Może tam przejdziemy?

Dziewczyny jednocześnie oderwały wzrok od jajników i spojrzały po sobie. Zgroza odbijająca się w ich oczach w jednej chwili uzmysłowiła im, że obie myślą o tym samym. Odkryły o wiele więcej, niż się spodziewały, a były to rzeczy potworne i przerażające.

— Myślę, że zabrałyśmy ci już zbyt wiele czasu — odparła Joanna, rzucając Cindy nieszczerzy uśmiech.

— To prawda — zawtórowała jej Deborah. — To wszystko było bardzo ciekawe, ale na nas już czas. Wskaż nam tylko kierunek do wyjścia i zejdziemy ci z głowy.

— Mam mnóstwo czasu — zaprotestowała szybko Cindy. — To żaden problem, naprawdę! Cieszę się, że mogę na chwilę oderwać się od zajęć. Myślę, że zanim pójdziecie, powinniście obejrzeć wszystko, co tu mamy. Chodźcie! Pokażę wam hodowle oogoniów. — Wyciągnęła rękę, by ująć Deborah za ramię, ale dziewczyna oswobodziła się.

— Chcemy już iść — powtórzyła z naciskiem.

— Straciecie to, co najważniejsze — odparła Cindy. — Nalegam!

— To sobie nalegaj! — wypaliła Deborah. — My stąd idziemy!

— Same trafimy do wyjścia — dodała Joanna. Ruszyła z powrotem drogą, którą przyszły. Choć z wcześniejszych słów Cindy wynikało, że może to nie być najkrótsza trasa, nie dbała o to. Będzie przynajmniej rozpoznawać znajome punkty orientacyjne.

— Nie mogę pozwolić, żebyście kręciły się tu samopas — oświadczyła Cindy. — To wbrew przepisom. — Chwyciła Joannę za rękę, mocniej, niż zrobiła to przedtem z Deborah, i zmusiła ją do zatrzymania.

Joanna spojrzała na dłoń laborantki, zaciśniętą na swym ramieniu.

— Wychodzimy — powiedziała stanowczo. — Puść mnie!

— Nie mogę zostawić was tutaj bez opieki — oznajmiła Cindy.

— No to zaprowadź nas do wyjścia! — warknęła Deborah. Wyzwoliła Joannę z uścisku i pchnęła laborantkę, aż ta zatoczyła się na jeden ze zbiorników z pleksiglasu. Lekki wstrząs spowodował włączenie alarmu. Na panelu kontrolnym zbiornika zaczęła migać czerwona lampka.

Kiedy Cindy sięgnęła do przycisku, by wyłączyć alarm, dziewczyny rzuciły się do ucieczki. Biegły tak szybko, jak tylko pozwalała na to wąska przestrzeń między rzędami zbiorników. Gdy wydostały się poza zbiorniki, lepsza kondycja Deborah wzięła górę i dziewczyna wyprzedziła Joannę, nawołując ją do szybszego biegu. Za sobą słyszały głos Cindy, która krzyczała, żeby się zatrzymały.

— Wiedziałam, że nie powinnyśmy być tu wchodzić! — wysapała Joanna, starając się dotrzymać kroku Deborah.

— Zamknij się i biegnij!

Przebiegły przez sklepiony tunel, minęły starą windę towarową, pograżoną w mroku salę sekcijną i ciąg pomieszczeń z inkubatorami. Nagle Deborah przystanęła. Joanna z trudem tylko uniknęła zderzenia.

— Którędy teraz? — zapytała Deborah.

— Myślę, że tędy — odparła Joanna, wskazując szereg sklepionych przejść, ciągnących się na południe.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — mruknęła Deborah. Słyszały, że zbliża się Cindy, wołając je po imieniu, ale pogłos uniemożliwiał im określenie kierunku. Sekundę później laborantka wpadła na nie w pełnym pędzie, wybiegłszy zza zakrętu. Uczepiła się z całej siły ich ubrań.

— Rany boskie, kobieto! — wrzasnęła Deborah. Energicznie wyrwała się z uścisku, co sprawiło tylko, że Cindy obiema rękami uchwyciła się Joanny. Deborah jednym ruchem znalazła się za nią i obejmując ją wokół klatki piersiowej, odciągnęła od przyjaciółki. Lekkim obrotem ciała powaliła Cindy na podłogę. Padając, laborantka uderzyła o jeden z inkubatorów. Ze środka dobiegł charakterystyczny, choć stłumiony odgłos tłuczonego szkła.

Nie sprawdzając, jak Cindy zniosła uderzenie, Deborah złapała przyjaciółkę za rękę i rzuciła się pędem we wskazanym przez Joannę kierunku. Minawszy kilka łuków, dziewczyny dostrzegły ku swej uldze lśniące, stalowe drzwi. Deborah jak najszybciej do nich podbiegła i niecierpliwie klepnęła uruchamiający je przycisk. Drzwi zaczęły swój mozolny ruch w lewo. Dziewczyny obejrzały się niespokojnie przez ramię, by sprawdzić, czy Cindy ich nie goni, i istotnie ujrzały jej sylwetkę w głębi korytarza. Odwróciwszy się z powrotem ku drzwiom, Deborah na próżno próbowała przyspieszyć ich ruch siłą mięśni. Gdy tylko szczelina była dość szeroka, by się przez nią przecisnąć, zagoniła Joannę do otworu, sama przygotowując się na nowe starcie z Cindy.

— Och, nie! — krzyknęła Joanna, cofając się od drzwi.

Deborah, która na chwilę odwróciła się, aby sprawdzić, jak daleko jest Cindy, okręciła się na pięcie, żeby się przekonać, co wywołało ów okrzyk. To, co dostrzegła ponad ramieniem Joanny, wyrwało także i z jej ust krzyk przerażenia. Dwóch potężnie zbudowanych, ubranych w czerń, złowieszczo uśmiechniętych mężczyzn szło ku nim przez zdemolowaną, lecz tym razem rześcicie oświetloną kuchnię, każdy z kajdankami w jednej dłoni i pistoletem w drugiej. Kiedy kroczący na czele blondyn spostrzegł otwierające się drzwi i ukazujące się za nimi sylwetki dziewczyn, puścił się biegiem. Deborah rozpoznała go. To on wpatrywał się w nią na stołówce. Szef ochrony we własnej osobie.

## Rozdział 18

10 maja 2001

23.24

Deborah instynktownie raz jeszcze uderzyła dłonią przycisk. Ciężkie, stalowe drzwi zatrasnęły się mężczyznom tuż przed nosem. W tej samej chwili Cindy rzuciła się na nią od tyłu, objęła ją za szyję i spróbowała odciągnąć od drzwi. Dziewczyna opierała się, nie odrywając ręki od przycisku.

— Zabierz ode mnie tego wyjca! — wrzasnęła Deborah.

Cindy krzyczała, żeby otworzyć drzwi.

Odginając każdy palec z osobna, Joanna wyzwoliła przyjaciółkę z uścisku i odepchnęła Cindy. Kobieta zatoczyła się w tył, szybko jednak odzyskała równowagę i znów rzuciła się na Deborah.

— Joanna, przytrzymaj ten cholerny przycisk — krzyknęła dziewczyna, jedną ręką opędzając się przed napastniczką.

Gdy tylko Joanna położyła dłoń na płytce, Deborah zajęła się upartą laborantką. Choć nie uderzyła nikogo od czasu, gdy jako piątoklasistka zdzieliła w łeb pewnego nieznośnego kolegę, teraz zamachnęła się i wymierzyła Cindy cios w lewy policzek. Po czterech latach gry w uczelnianej drużynie lacrosse była przeciwnikiem zdecydowanie silniejszym i groźniejszym niż w piątej klasie i jej cios ogłuszył laborantkę. Kobieta umilkła i znieruchomiała. Jak na zwolnionym filmie osunęła się na kolana i padła twarzą do ziemi niczym topniejący rozek lodów.

Deborah krzyknęła, przez chwilę potrząsając obolałą dłonią. W końcu opanowała się, chwyciła najbliższy inkubator i przyciągnęła go do drzwi. Joanna natychmiast zrozumiała, o co chodzi. Wolną ręką pomogła ustawić skrzynię tak, by dociskała swym ciężarem przycisk. To właśnie, jak się domyślały, nie pozwalało otworzyć się drzwiom. Aby mieć pewność, że inkubator się nie odsunie, dziewczyny oparły się o niego.

— Jaki masz plan? — szepnęła nerwowo Joanna.

— Jediną drogą na zewnątrz jest winda ręczna albo towarowa! Jak uważasz?

— Winda towarowa! — odparła Joanna. — Wiemy dokładnie, gdzie jest, i wiemy, że się zmieścimy.

Parę kroków od nich Cindy niepewnie uniosła się na łokciu. Oczy wirowały jej nieprzytomnie, jak u boksera, który otrzymał zbyt wiele ciosów.

— Dobra! — oświadczyła Deborah, zerknąwszy ostatni raz na laborantkę, która właśnie z wysiłkiem podnosiła się na nogi. — Idziemy!

Obie jednocześnie puściły inkubator i rzuciły się pędem przez labirynt sal. Skręciwszy pechowo w niewłaściwym miejscu, znalazły się nagle w ślepych zaułku. Musiały zawrócić, by znowu dostać się na właściwą drogę. Z tyłu dobiegł je nie dający pomylić się z niczym innym odgłos zderzających się ze sobą inkubatorów. Po chwili w korytarzu rozbrzmiały gardłowe okrzyki mężczyzn.

— Niechaj niebo ma nas w opiece, jeśli ta winda jest niesprawna — wysapała w biegu Deborah.

Minęły ostatni zakręt, przebiegły obok sali sekcyjnej i dosłownie zderzyły się z drzwiami od windy. Z poziomej szczeliny na wysokości piersi wystawał gruby płócienny pas. Deborah chwyciła go pierwsza, ale Joanna chwilę potem jej pomogła. Pod ich połączonym ciężarem drzwi ustąpiły. Dolna połowa opadła w dół, a górna się uniosła. Kiedy szczelina wystarczająco się rozszerzyła, dziewczyny wgramoliły się do środka.

Sama winda okazała się solidną drucianą klatką o wymiarach dwa i pół na dwa i pół metra. Na prawo, na wysokości piersi, znajdował się pulpit sterowniczy z sześcioma przyciskami. Podłoga wykonana była z surowych desek. W górze widać było liny nośne, niknące w ciemnościach szybu. Jedynym oświetleniem była smuga wpadająca z korytarza przez otwarte drzwi. Gdzieś niedaleko słychać już było coraz głośniejszy tupot biegnących nóg.

— Zamykamy! — wrzasnęła Deborah, chwytając płócienny pas przytwierdzony do wewnętrznej krawędzi górnej części drzwi.

Joanna poszła za jej przykładem. Jeszcze raz swym połączonym ciężarem dziewczyny zdołały wprawić masywne drzwi w ruch. Najpierw powoli, stopniowo jednak coraz szybciej, obie połowy zaczęły sunąć ku sobie, lecz zanim zdążyły zamknąć się do końca, mężczyźni pojawili się przy windzie. Jeden z nich wsunął dłoń w zwięzającą się szczelinę, chwycił fałdy fartucha Deborah i szarpnął je na zewnątrz dokładnie w chwili, gdy drzwi się domknęły i pograżyły dziewczyny w ciemności. Wciąż ściskając kurczowo płócienny pas, Deborah poczuła, że jest brutalnie wleczona w stronę drzwi.

— Naciśnij coś! — wychrypiała do przyjaciółki, wieszając się na pasie całym swym ciężarem. Czuła, jak ktoś z drugiej strony próbuje otworzyć drzwi, ale by tego dokonać, musiałby podnieść także i ją samą.

Macając wkoło jak ślepiec, Joanna zaczęła szukać pulpitu kontrolnego, który dostrzegła w przelocie, nim zamykające się drzwi odcięły dopływ światła.

— Pospiesz się! Niech to diabli! — wrzasnęła Deborah. Poczowała, że unosi się ponad podłogę.

Joanna gorączkowo obmacywała coraz większy obszar drucianej klatki. W końcu jej dłoń uderzyła o krawędź skrzynki. Dziewczyna wcisnęła na oślep pierwszy przycisk, na jaki natrafiły jej palce.

Niespodziewanie rozległ się piskliwy, rozdzierający uszy zgrzyt, coś jak wrzask torturowanych kurczaków, i sędziwa winda, kolebiąc się, zaczęła sunąć w górę.

Deborah wypuściła wreszcie pas. Opadając na kolana i wykręcając ciało, zdołała wyszarpnąć ręce z rękawów fartucha, wciąż zakleszczonego w zamkniętych drzwiach windy. Sekundę później wyczuła, że fartuch, wśród mrozącego krew w żyłach chrzęstu i odgłosu rozdieranego materiału, znika w wąskiej szczelinie między podłogą wznoszącej się windy a kamienną ścianą szybu.

— Co to było, na Boga? — zapytała Joanna, ciężko dysząc.

Deborah wzdrygnęła się w ciemnościach. Wiedziała, że ten chrzęst mogłoby wydać jej ciało, gdyby w porę nie uwolniła się z fartucha. Ona także z trudem łapała oddech.

— To była moja latarka i kluczyki od samochodu, zmiażdżone w kieszeni fartucha.

— Straciłyśmy kluczyki? — jęknęła Joanna.

— To w tej chwili nasze najmniejsze zmartwienie — wymamrotała Deborah. — Bogu dzięki, że ta winda jest sprawna. Ci faceci niemal nas dopadli. O mało co byłoby po nas.

Joanna włączyła latarkę i skierowała światło na skrzynkę sterowniczą. Przycisk, który wcisnęła, odpowiadał drugiemu piętru.

— Co robimy? — zapytała nerwowo. — Jedziemy na drugie piętro. Spróbujemy to zmienić?

— Trzeba przyznać, że nie jest to winda szybkobieżna — mruknęła Deborah. — Drugie piętro będzie na pewno lepsze niż parter, a może nawet i pierwsze piętro. Nie chcę znowu wpaść na tych facetów.

— Słusznie — przyznała Joanna. Jej oddech powoli się wyrównywał. Zadrzała nagle. — Teraz mamy dowód, że ci z kliniki są zdolni do morderstwa, a oni najprawdopodobniej zdają sobie z tego sprawę. Ta dziwka Cindy spodziewała się ochroniarzy przez cały czas, kiedy tam byliśmy. To dlatego była dla nas tak miła. Powinnyśmy były podejrzewać, że coś jest nie tak, kiedy tylko zaproponowała nam wycieczkę. Co nas zaćmiło?

— Teraz łatwo jest tak mówić — odparła Deborah, nadal dysząc. — Miałymy złudzenia, że gwałcą tu etykę, ale nie przykazania. Morderstwo dla komórek jajowych to zupełnie inna sprawa.

— Musimy się stąd wydostać!

— Prawda — przyznała Deborah. — Ale bez kluczyków nigdzie nie pojedziemy, przynajmniej nie własnym samochodem. Myślę, że najmądrzejsze, co możemy zrobić, to dostać się do telefonu na parterze albo na pierwszym piętrze.

— Problem w tym, że tego się prawdopodobnie po nas spodziewają — stwierdziła Joanna. — W każdym razie ja bym się tego spodziewała na ich miejscu. Co powiesz na to, żebyśmy się na jakiś czas ukryły i spokojnie zastanowiły, co robić dalej?

— Może powinniśmy przeczekać do rana — podesunęła Deborah. — Przypuszczam, że tylko nieliczna garstka tutejszych pracowników wie, co naprawdę się tu dzieje, a gdyby wiedzieli, byłiby tak samo przerażeni jak my. Mogłybyśmy zwrócić się do kogoś o pomoc.

— Obawiam się, że ci ludzie nie spoczną, dopóki nie dopadną nas jeszcze tej nocy. Musimy się stąd wydostać.

— Ale jak? Oni mieli broń, do diaska!

— Dlatego właśnie musimy znaleźć sobie kryjówkę. Musimy pomyśleć. Nie możemy działać pochopnie.

— Jedynym plusem jest to, że to gmaszysko jest takie wielkie i zagracone — stwierdziła Deborah. — Musi tu być mnóstwo miejsc, w których mogłybyśmy bezpiecznie zaszyć się na jakiś czas. Jeśli tylko nie wezwą całej armii pomocników, dokładne przeszukanie wszystkiego zajmie im prawie całą noc.

— Otóż to — przytaknęła Joanna. — Przypuszczam, że na początku przebiegną tylko cały budynek i dopiero gdy nie da to rezultatów, zaczną przetrząsać go gruntownie. Do tej pory będziemy musiały stąd zniknąć, bo inaczej wpadniemy w ich ręce.

Deborah pokręciła głową, westchnęła i powiedziała niepewnie:

— Przepraszam, że nas tutaj sprowadziłam. To wszystko przeze mnie.

— Nie mamy teraz czasu na wzajemne obwinianie się — odparła Joanna. — I dla pamięci: ty mnie tu sprowadziłaś. Przyszłam tu z własnej woli.

— Dzięki — wymamrotała Deborah.

Joanna wyłączyła latarkę.

— Myślę, że powinniśmy przyzwyczać wzrok do ciemności. Nie możemy kręcić się po budynku z zapalonym światłem.

— Masz rację — mruknęła Deborah, usiłując wziąć się w garść.

Parę minut później winda wydała ostatni przenikliwy pisk i zatrzymała się. Zapadła cisza. Dziewczyny rzuciły się do drzwi. Najszybciej jak mogły otworzyły je, tylko po to, by stanąć przed nieprzeniknioną ścianą ciemności.

— Nie ma rady. Muszę zapalić latarkę — stwierdziła Joanna. Trzask wyłącznika zabrzmiał dziwnie głośno w głuchej ciszy. Dziewczyna pośpiesznie omiotła snopem światła małe, pozbawione okien pomieszczenie. Był to przedsionek windy. Naprzeciwko znajdowały się szerokie, dwuskrzydłowe drzwi.

— Oni szybko się zorientują, że winda jest na drugim piętrze — powiedziała Deborah. — Więc niedługo tu będą. Poszukajmy schodów i wejdźmy na samą górę. Tam powinniśmy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będziemy mogły się ukryć, dopóki nie namyślimy się, co robić.

— Zgoda!



Deborah pociągnęła skrzydło drzwi i Joanna wysliznęła się na korytarz. Szybko poświeciła latarką w obie strony. Choć wiedziała już teraz o gratach zapelniających pomieszczenia dawnego szpitala, to, co ujrzała, i tak ją zaskoczyło. Nie spodziewała się zobaczyć oprawionych w ramki reprodukcji na ścianach ani wózka na pranie z poskładanymi prześcieradłami na półkach.

— Można by sądzić, że odbyły się ćwiczenia przeciwpożarowe, wszyscy wybiegli i już więcej nie wrócili — stwierdziła.

— Tam jest strzałka — zauważyła Deborah, wskazując na południe. — To pewnie klatka schodowa. Chodźmy!

Joanna osłoniła latarkę ręką, ograniczając strugę światła do minimum, na tyle tylko, by mogły bez przeszkód posuwać się wśród kozetek, wózków dostawczych i starych foteli na kółkach. Szły szybko. Gdy dotarły do klatki schodowej, Deborah uchyliła drzwi. Nasłuchiwały przez chwilę. Panowała zupełna cisza.

— Chodź! — ponagliła przyjaciółkę Deborah.

Dziewczyny wbiegły na schody, natychmiast jednak zwolniły tempo. Ich kroki na metalowych stopniach dudniły w zamkniętej przestrzeni jak grzmot.

Dotarły zaledwie na półpiętro, gdy nagle zastygły w bezruchu. Gdzieś na dole gwałtownie otworzyły się drzwi, z hukiem uderzając o ścianę. Joanna przytomnie zgasiła latarkę.

Zaraz potem rozległ się łoskot obutych stóp na metalowych stopniach, a ściany klatki schodowej rozjaśniła migocząca poświata. Jeden z mężczyzn wbiegał po schodach z latarką w dłoni.

Gdy odgłosy i światło raptownie przybrały na sile, dziewczyny cofnęły się i przywarły do nagiej, ceglanej ściany. W tej samej chwili jeden z mężczyzn w czerni pojawił się na podeście drugiego piętra, nie więcej niż sześć metrów od nich. Był tak blisko, że wyraźnie słyszały jego ciężki oddech. Na szczęście nie spojrział w górę. Nie zatrzymując się, wypadł na korytarz i popędził ku windzie.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Joanna i Deborah ponownie podjęły wspinaczkę. Zbyt przerażone, by zapalić światło, posuwały się wolno po omacku, walcząc z ogarniającą je na nowo paniką. Podest trzeciego piętra był szczególnie trudny do przebycia po ciemku z powodu zapelniających go stosów pustych kartonowych pudeł.

Na korytarzu Joanna znów włączyła latarkę. Osłoniła ją dłonią i dziewczyny skierowały się na północ, idąc tak szybko, jak tylko pozwalał im zagracony korytarz. Instynktownie czuły, że im dalej znajdują się od części budynku zajmowanej przez Klinikę Wingate'a, tym bardziej będą bezpieczne. Pamiętając o mężczyźnie szukającym ich piętro niżej, starały się możliwie jak najciszej stawiać kroki na wiekowej drewnianej podłodze.

Dotarły do drzwi pożarowych, bez słowa przecięły wieżę i wynurzyły się w północnym skrzydle budynku. Jeśli nie liczyć sporadycznego skrzypienia podłogi, szły w zupełnej ciszy, każda trawiona własnymi lękami.

Pomieszczenia północnego skrzydła były lustrzanym odbiciem tych po przeciwnej stronie gmachu, tak jak tam ciągnęły się rzędami po obu stronach korytarza. Każda sala mieściła od dwudziestu do trzydziestu łóżek i była oddzielona od sąsiedniej niewielką komórką. Większość łóżek miała jedynie gołe materace, choć niektóre zaścielały też zżarte przez mole koce.

— Masz jakiś pomysł, gdzie powinniśmy się schować? — szepnęła nerwowo Joanna.

— Jeszcze nie — odparła Deborah. — Myślę, że mogłybyśmy się zamknąć w szafie któregoś z tych składzików, ale to byłoby chyba zbyt łatwe.

— Nie mamy wiele czasu.

— Obawiam się, że masz rację — przyznała Deborah. Poprosiła przyjaciółkę, by poświęciła latarką w głąb komórki między dwiema ostatnimi salami w północno-zachodnim narożniku budynku. W przeciwieństwie do pozostałych, w większości służących za magazyny, tutaj urządzono mały gabinet zabiegowy, z żelaznym stołem do badań i umywalką. Naprzeciwko wejścia znajdowała się wielka, przeszklona szafka na instrumenty. Za kolejnymi drzwiami dziewczyny znalazły mały składzik na bieliznę i materiały opatrunkowe. Stał tam potężny, staroświecki sterylizator.

Deborah szybko podeszła do sterylizatora i podczas gdy Joanna przyświecała jej latarką, szarpnęła drzwiczki. Opierały się z początku, w końcu jednak wolno się otworzyły, skrzypiąc na zawiasach.

— Co ty na to? — zapytała.

Sterylizator miał niecały metr średnicy i około półtora metra głębokości. Joanna skierowała światło do wnętrza. Na metalowej kracie piętrzyły się stosy stalowych puszek.

— Nawet gdybyśmy wyjęły to wszystko, zmieściłaby się tu tylko jedna z nas — stwierdziła. — A i tak byłoby ciasno.

— Chyba masz rację — przyznała Deborah. Zostawiwszy sterylizator w spokoju, szybkim krokiem podeszła do drzwi łączących komórkę z ostatnią salą. Joanna pospieszyła za nią ze światłem, wciąż przesłaniając szybką dłonią. Kiedy Deborah otworzyła drzwi, wyłączyła latarkę. Przez okna sączył się do wnętrza skąpy blask księżyca, który oświetlał co większe przedmioty.

Sala miała tę samą wielkość i wystrój, co pozostałe, odróżniała się od nich jednak obecnością długiego na metr osiemdziesiąt cylindra, spoczywającego poziomo na mniej więcej metrowej wysokości stojaku w miejscu jednego z łóżek, ustawionych rzędem wzdłuż przeciwległej ściany.

— Oto coś dla nas — oświadczyła Deborah.

— Co?

— Ten cylinder — wyjaśniła, wskazując niezwykle przedmiot. — Kiedyś o tym czytałam. To się nazywało „żelazne płuco” i umieszczano w tym ludzi, którzy nie mogli samodzielnie oddychać, na przykład pacjentów z chorobą Heine-Medina w latach pięćdziesiątych.

Dziewczyny szybkim krokiem podeszły do staroświeckiego urządzenia. W półmroku najpierw wydawało się jasnoszare, z bliska stwierdziły jednak, że w rzeczywistości jest żółte. Wzdłuż boków ciągnęły się rzędy małych, okrągłych wzierników z szybkami. Od strony sali cylinder zakończony był czarnym, gumowym kołnierzem, który miał tworzyć uszczelkę przylegającą do głowy pacjenta. Tuż nad kołnierzem znajdowało się małe, ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni lustro. Pod kołnierzem umieszczono podpórkę na głowę pacjenta.

Gdy Deborah mocowała się z przednią pokrywą aparatu, Joanna nerwowo rozejrzała się dookoła. Martwiła ją każda upływająca sekunda. Potrzebowały kryjówki i to im prędzej, tym lepiej.

Otwierana pokrywa zaskrzypiała, nie tak głośno jednak, jak drzwiczki sterylizatora.

— Poświeć do środka — powiedziała Deborah.

— Deborah, nie mamy czasu na zabawę — upomniała ją Joanna.

— Poświeć do środka! — powtórzyła dziewczyna.

Ledwie Joanna zdążyła wypełnić polecenie, w oddali rozległ się łomot uderzających o ścianę drzwi pożarowych. Chwilę później na korytarzu zamigotało światło.

— O Boże! — jęknęła Joanna. Wyłączyła latarkę.

— Cóż, to będzie musiało wystarczyć — stwierdziła Deborah. — Chowamy się tutaj. — Chwyła stojące między łózkami krzesło i przysunęła je do otworu żelaznego płuca. Ujęła Joannę za ramię. — Szybko! Ty pierwsza, nogami do przodu!

Docierające z korytarza przez otwarte drzwi światło przybierało na mocy.

— Szybko! — powtórzyła Deborah.

Niechętnie, lecz ze świadomością, że nie ma innego wyboru, Joanna wspięła się na krzesło. Trzymając się górnej krawędzi cylindra, włożyła jedną nogę do środka. Z pomocą przyjaciółki, która podtrzymała ją od tyłu, udało jej się wprowadzić i drugą. Wreszcie cała wsunęła się do komory.

Deborah złapała krzesło i odstawiła je z powrotem na miejsce.

— Dokąd idziesz? — szepnęła Joanna, gdy przyjaciółka zniknęła z jej pola widzenia.

Deborah nie odpowiedziała, ale niemal natychmiast zjawiała się z powrotem.

— Muszę poradzić sobie bez krzesła — wyjaśniła. — To byłaby zbyt wyraźna wskazówka.

Używając poprzeczki zamontowanej między przednimi nogami żelaznego płuca jako pierwszego stopnia, dziewczyna uniosła się na tyle, że jej piersi znalazły się powyżej górnej krawędzi urządzenia. Znalazła wąskie oparcie dla stopy na spawie łączącym podpórkę z korpusem, dźwignęła się i oparła ciałem o górną część cylindra. Obróciwszy się, zdołała wprowadzić stopy do otworu. Potem jednak znalazła się w kłopotcie. Choć Joanna próbowała przytrzymać ją za nogi, dziewczyna nie mogła znaleźć sposobu, by wsunąć do środka resztę swego ciała, nie spadając przy tym na podłogę.

— To nic nie da — stwierdziła wreszcie Deborah. Obróciła się i zeskoczyła na podłogę.

— Musisz się pospieszyć — upomniała ją ochryplym szeptem przyjaciółka. Światło na korytarzu stawało się z każdą chwilą jaśniejsze, a teraz dołączyły do niego głosy. Mężczyźni zbliżali się już do końca skrzydła.

Deborah wcisnęła się głową naprzód do wnętrza aparatu, tak głęboko, jak tylko była w stanie.

— Chwyć mnie i ciągnij — poprosiła Joannę w przyływie desperacji.

Szarpiąc się i wijąc, zdołała wreszcie z pomocą przyjaciółki wcisnąć się do środka, choć otarła sobie przy tym skórę z ud i łydek o przednią krawędź metalowego cylindra. Podparła się rękoma i wczołgała jak najgłębiej. Z powodu ciasnoty dziewczyny ułożyły się w końcu na boku, przyciśnięte jedna do drugiej „na waleta”.

— Spróbuj zamknąć drzwiczki, na ile ci się uda — szepnęła Deborah z głębin aparatu.

Joanna wyciągnęła rękę, chwyciła gumowy kołnierz i przyciągnęła go ku sobie. Drzwiczki powoli zaczęły się zamykać, ale gdy zaskrzypiały, od razu je puściła. Był już najwyższy czas. Wiązka światła latarki wnikała do pomieszczenia i omiotła je dookoła. Przez krótką chwilę poprzez trzy wzierniki na boku zwróconym w stronę drzwi oświetliła wnętrze żelaznego płuca. Potem opadła w dół i łukiem przesunęła się pod łózkami, przeszukując najciemniejsze kąty.

Dziewczyny odruchowo wstrzymały oddech. Jeden z mężczyzn szybkim krokiem przemierzył środek sali, nie raz, lecz dwa razy przechodząc niespełna kilka metrów od na wpół otwartego żelaznego płuca. Pochylił się i kołysał latarką z boku na bok, oświetlając spodnie części łóżek, ze szczególnym uwzględnieniem wezglówi i stolików nocnych.

— Widzisz coś? — zawołał nagle.

Dziewczyny drgnęły z przerażenia.

Z sali po drugiej stronie korytarza drugi mężczyzna odpowiedział przecząco.

Strażnik wszedł do łączącej sale komórki. Słychać było, jak klnąc, głośno trzaska drzwiczkami szafek. Deborah wciąż widziała przez wziernik migotanie jego latarki, do póki nie przeszedł przez gabinet zabiegowy do następnej sali.

Niemal jednocześnie dziewczyny wypuściły powietrze z płuc i wzięły głęboki oddech. Dla Deborah nie był on zbyt świeży.

— Niewiele brakowało — szepnęła Joanna.

— Tak jak mówiłaś, najwyraźniej przeczesują budynek — stwierdziła Deborah.

— Zostańmy jeszcze przez chwilę tutaj, na wypadek gdyby facet wrócił — powiedziała Joanna. — I lepiej zacznijmy się zastanawiać, jak się stąd wydostać.

Czas włókł się niemiłosiernie, zwłaszcza dla Deborah, która wklinowana w denko wąskiego cylindra zaprojektowanego na jedną osobę, zaczęła doświadczać klaustrofobii. Jej położenie wybitnie nie sprzyjało myśleniu. Ostra woń starego materaca i wszechobecny kurz drażniły zmysły. Kilka razy jedynie wysiłkiem woli zdołała powstrzymać się od kichnięcia. W końcu zaczęła się pocić i dusić z braku powietrza.

Po niemal pół godzinie stwierdziła, że nie wytrzyma tego dłużej.

— Słyszałaś coś albo widziałaś jakieś światła? — zapytała.

— Widzę tylko jakieś migotanie za oknami — odparła Joanna. — Na zewnątrz jest jakieś światło, którego wcześniej nie było.

— A w środku?

— Nic a nic.

— Muszę stąd wyjść — stwierdziła Deborah. — Otwórz pokrywę i postaraj się nie narobić przy tym hałasu.

Joanna popchnęła drzwiczki. Otworzyły się niemal na oścież, nawet nie skrzypnąwszy.

— Wychodzę — oświadczyła Deborah. — Jeśli położę rękę gdzieś, gdzie nie powinienam, z góry przepraszam.

Wijąc się i postępując, dziewczyna wygramoliła się z aparatu. Omiotła wzrokiem salę i dostrzegła przy tym, że istotnie, jak wspomniała Joanna, blask za oknami przybrał na sile. Otarła czoło wierzchem dłoni i przeciągnęła palcami po wilgotnych, sięgających ramion włosach. Była spocona i wyczerpana, zdawała sobie jednak sprawę, że noc jest jeszcze młoda i że czekać jej będzie jeszcze niejedna ciężka próba. Oczywiście widziała zwieńczone drutem kolczastym ogrodzenie i zdawała sobie sprawę, że nawet jeśli zdołają wymknąć się z budynku, opuszczenie terenu kliniki wcale nie będzie łatwe.

— Mogę dostać to krzesło? — odezwała się Joanna.

— Och, przepraszam. — Deborah otrząsnęła się z zamyślenia. Przysunęła krzesło do wylotu cylindra.

— Wymyśliłaś, jak się stąd wydostać? — zapytała Joanna, kiedy wyszła z komory.

— Nie — przyznała Deborah. — Byłam tak ściśnięta w tej rurze, że nie mogłam myśleć. A ty?

— Mam pewien pomysł — odparła Joanna. — Mogłybyśmy się wymknąć przez kotłownię.

— Jak?

— Skoro wytwarzają tam ciepło do ogrzewania tego budynku, ono musi się tu jakoś dostawać — wyjaśniła Joanna. — Musi być tunel.

— Masz rację! — stwierdziła Deborah.

— Zwróciłam uwagę, że pulpit sterowniczy w windzie miał sześć przycisków — dodała Joanna. — Nie zastanawiałam się nad tym, dopóki nie zaczęłam myśleć o tym tunelu. Ten budynek musi mieć drugą piwnicę. Może tam właśnie powinniśmy się skierować. Im dłużej się zastanawiam nad próbą dotarcia do telefonu w klinice, tym bardziej ryzykowne mi się to wydaje.

— Ale nie widziałam żadnego zejścia do dolnej piwnicy — odparła Deborah. — Nie było go ani na klatce schodowej, z której korzystałyśmy teraz, ani na tej klatce, którą schodziłam dziś po południu.

— Skorzystajmy z windy — zaproponowała Joanna.

— Nie możemy — sprzeciwiła się Deborah. — Robi zbyt wiele hałasu.

— Nie mówię o samej windzie — wyjaśniła Joanna. — Zazwyczaj w szybach windy jest drabina. Nie wiem po co. Być może dla obsługi.

— Skąd o tym wiesz? — zapytała Deborah. Była pod wrażeniem.

— To dzięki Carltonowi — odparła Joanna. — On uwielbia bzdurne filmy akcji i od czasu do czasu musiałam oglądać je razem z nim. Jest tam mnóstwo scen w szybach wind.

— Nie zawadzi spróbować — stwierdziła Deborah. — Myślisz, że odczekaliśmy już wystarczająco długo?

— Pewności mieć nie można, ale ponieważ nie możemy zostać tu na całą noc, prędzej czy później i tak musimy to zrobić. Wyrzucę na korytarz.

— Świetnie — powiedziała Deborah. — Ja sprawdzę, co to za nowe światło za oknami.

Podczas gdy Joanna ostrożnie skierowała się ku sklepienemu przejściu prowadzącemu na korytarz, Deborah przeszła na drugą stronę sali. Zgięta wpół, by nie dostrzeżono jej z dworu, przysunęła się do jednego z okien. Powoli wystawiła głowę nad parapet. Światło pochodziło z wycelowanych w budynek reflektorów samochodowych. Choć samochody stały dość daleko na trawniku, dziewczyna szybko pochyliła głowę, aby nie ryzykować wykrycia. Mignęły jej zarysowane wyraźnie w świetle sylwetki kilku umundurowanych strażników. Mieli ze sobą wielkie psy na smyczy. Mężczyźni w czerni wezwali posiłki.

Deborah szybko dołączyła do Joanny, która czekała na nią u wyjścia z sali, i powiedziała jej o swoim odkryciu.

— Niedobrze z tymi psami — oświadczyła ponuro Joanna. — Ci ludzie naprawdę biorą to poważnie.



— Chyba nie miałyśmy co do tego wątpliwości — zauważyła Deborah.

— To oznacza też, że podziemny tunel stał się naszą jedyną szansą — dodała Joanna. Zamierzała jeszcze powiedzieć przyjaciółce, że główny korytarz jest pusty, gdy dochodzący z zewnątrz ryk sprawił, że słowa uwięzły jej w gardle.

## Rozdział 19

11 maja 2001

0.37

— Joanno Meissner i Deborah Cochrane! — Wzmocniony przez tubę głos odbił się echem od ściany budynku. — Nie ma sensu przedłużać tej zabawy w chowanego. Nie zmuszajcie nas, żebyśmy weszli do budynku z psami, a zrobimy to, jeśli nie wyjdziecie z własnej woli. Policja z Bookford jest już w drodze. Powtarzam! Natychmiast wyjdźcie przed budynek!

— To tyle, jeśli chodzi o nasze starannie przygotowane pseudonimy — zauważyła Deborah.

— Gdybym sądziła, że naprawdę przekażą nas policji, wyszłabym stąd w mgnieniu oka.

— Nikomu nas nie przekażą — odparła Deborah.

— Otóż to — przytaknęła Joanna. — Chodź! Sprawdźmy tę windę towarową, zanim nerwy odmówią mi posłuszeństwa.

Obznajomione już nieco z budynkiem, dziewczyny wróciły na tę samą klatkę schodową, którą wcześniej dostały się na trzecie piętro. Z początku próbowały schodzić bez światła, szybko jednak uświadomiły sobie, że ryzyko strącenia ze schodów jakichś nie dostrzeżonych w ciemnościach rupieci jest większe niż ryzyko stwarzane przez osłoniętą latarkę. Wyłączyły ją przed wejściem na korytarz drugiego piętra. Tu ponownie dobiegł je wykrzyczany przez tubę komunikat.

W przedsionku windy znów zmuszone były włączyć światło. Winda, z na wpeł otwartymi drzwiami, wyglądała dokładnie tak, jak ją zostawiły. Joanna poświeciła latarką do środka. Poprzez tylną ścianę drucianej klatki widać było drabinę, zamocowaną do cegieł szybu.

— Miałaś rację z tą drabiną — przyznała Deborah. — Ale jak się tam dostać?

Joanna przesunęła snop światła w bok. Na ścianie kabiny znajdowało się kilka szczebli, prowadzących do klapy w suficie.

— Musimy jedynie wejść na dach — oświadczyła.

— I to wszystko? — zapytała drwiąco Deborah. — Skąd się w tobie wzięła nagle ta hucpa?

— Udaję, że jestem tobą — odparła Joanna. — Więc bierzmy się do rzeczy, zanim znowu stanę się sobą.

Deborah kpiąco prychnęła.

Dziewczyny wsunęły się do kabiny przez na wpół otwarte drzwi. Joanna trzymała latarkę, a Deborah wspięła się po szczeblach pod sufit. Trzymając się najwyższego drążka, uniosła klapę. Pokrywa odchyliła się o dziewięćdziesiąt stopni, uderzyła o blokadę i znieruchomiła.

Deborah odebrała latarkę od przyjaciółki, położyła ją na dachu windy, po czym wyprostowała się na całą długość. Gdy wstała, kabina zakołysała się lekko, zmuszając ją do złapania się lin nośnych pokrytych gęstym jak wazelina smarem. Chwilę później z otworu wynurzyła się Joanna. Zamiast wstać, pozostała jednak na czworakach.

Prześwit między drabiną a tylną ścianą kabiny wynosił zaledwie trzydzieści centymetrów.

— I co ty na to? — zapytała Deborah.

— Myślę, że trzeba spróbować — odparła Joanna. Skierowała latarkę w głąb szybu. Światło nie było dość silne, by dosięgnąć dna. Drabina niknęła w mroku.

— Ty pierwsza — oświadczyła Deborah. — I ty bierzesz latarkę.

— Nie będę w stanie złazić się z latarką w ręce.

— Wiem — przyznała Deborah. — Ale ty masz kieszeń, a ja nie.

— W porządku — odparła z rezygnacją Joanna. Przyzwyczaiła się już, że w takich sytuacjach jak ta Deborah obejmuje przywództwo. Wyłączyła światło, pograżając je w zupełnych ciemnościach. Schowała latarkę do kieszeni, po czym wymacała drabinę. Musiała stoczyć ze sobą ciężką walkę, by zmusić się do porzucenia względnego bezpieczeństwa windy, tym bardziej, że przy przechodzeniu kabina lekko zachybotła. Kurczowo zacisnąwszy obie dłonie na szczeblu, Joanna próbowała nie myśleć o tym, że znajduje się na pionowej drabinie, cztery piętra ponad czeluścią.

— Wszystko w porządku? — szepnęła Deborah w ciemności, gdy nie usłyszała żadnego poruszenia.

— To jest straszne — odparła Joanna.

— Jesteś na drabinie?

— Tak. Ale boję się ruszyć.

— Musisz!

Joanna opuściła stopę na następny szczebel, potem dostawiła drugą nogę. Znacznie trudniejsze okazało się oderwanie rąk. Wreszcie jednak zdołała jedną przełożyć, po czym powtórzyła ten sam ruch drugą. Z początku wolno, stopniowo jednak nabierając pewności, przeciskała się między drabiną a windą. Szczupłość miejsca dodatkowo utrudniała schodzenie.

— Możesz poświecić mi trochę, żebyś widziała, gdzie jest drabina? — zapytała z góry Deborah.

— Nie mogę — odparła Joanna. — Muszę trzymać się szczebli.

Deborah mruknęła parę niewybrednych słów, sięgając na oślep jedną ręką, z drugą wciąż zaciśniętą na zatłuszczonej linie. Ale drabina była zbyt daleko. Ostatecznie musiała za przykładem Joanny opaść na czworaki i podczołgać się na skraj kabiny. W końcu wymacała drabinę, uchwyciła się szczebli i ruszyła w dół za przyjaciółką.

Schodziły wolno, zwłaszcza Joanna. Choć jej ruchy stały się bardziej pewne, nowych obaw dostarczyły jej wyczuwalne dotykami ślady korozji na szczeblach. Zaczęła się niepokoić, czy któryś z osłabionych przez rdzę drążków nie pęknie pod jej ciężarem. Zanim opuściła się na dany szczebel, kopała go, by upewnić się co do jego solidności.

Ciemności działały na jej korzyść, zwłaszcza odkąd minęła kabinę windy. Niewidoczna dla oczu wysokość stawała się problemem abstrakcyjnym, nie rzeczywistym.

Kiedy Deborah dogoniła przyjaciółkę, musiała zwolnić tempo.

Schodziły już od piętnastu minut. Wreszcie Deborah nie wytrzymała.

— Widzisz dno? — zapytała szeptem. Ramiona omdlewały jej już i podejrzewała, że przyjaciółka musi być równie wykończona.

— Chyba żartujesz — odparła Joanna. — Nie widzę nawet własnego nosa.

— Może powinnaś poświecić latarką. Mogłabyś zahaczyć się ramieniem o szczebel.

— Myślę, że powinnam po prostu schodzić, dopóki nie wymacam stopą dna — stwierdziła Joanna.

— Chcesz odpocząć?

— Wolę się nie zatrzymywać.

Minęło jeszcze dziesięć minut, nim wyciągnięta stopa Joanny dotknęła zasłanego śmieciami dna. Dziewczyna cofnęła nogę.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała. — Zaczekaj! — Zahaczywszy ramię o szczebel, jak podpowiedziała jej przyjaciółka, wyciągnęła z kieszeni latarkę i poświeciła w dół. Dno szybu pokrywała warstwa śmieci, jak gdyby przez całe lata używano go jako wysypisko.

— Możesz stwierdzić, czy rzeczywiście jesteśmy w dolnej piwnicy? — zapytała Deborah.

— Nie mogę — odparła Joanna. — Chodź na dół. Zobaczymy, czy uda nam się otworzyć drzwi.

Odgarnęła stopą nieco śmieci u podstawy drabiny i stanęła na dnie. Przesłaniając latarkę dłonią, zaczęła, aż Deborah pokona resztę drogi.

— Rany, zimno tutaj — zauważyła Deborah, pocierając ramiona, gdy tylko zeszała z drabiny. — To zdecydowanie wygląda na dolną piwnicę.

Dziewczyny ruszyły ku drzwiom, ostrożnie stąpając wśród śmieci. Był to głównie papier, szmaty i rozmaite kawałki drewna, tu i ówdzie trafiała się też jakaś puszcza. Podczas gdy Joanna trzymała latarkę, Deborah wsunęła palce między górną i dolną część drzwi. Choć napierała z całych sił, nie otworzyły się.

Joanna położyła latarkę na podłodze i przyłączyła się do jej wysiłków. Drzwi nawet nie drgnęły.

— Nic z tego — stwierdziła smętnie.

Deborah podniosła latarkę i cofnęła się o krok. Powiodła światłem po obwodzie drzwi. Tuż ponad miejscem, w którym schodziły się obie połówki, wystawało ze ściany ramię dźwigni sprężynowej.

— Tu jest nasz problem — oświadczyła. — Nie widziałam zbyt wielu filmów akcji, ale to musi być blokada, mechanizm zabezpieczający przed otwarciem drzwi, kiedy nie ma za nimi kabiny.

— To znaczy? — zapytała Joanna.

— To znaczy, że jedna z nas musi ściągnąć ją w dół, a druga otworzy wtedy drzwi.

— Ty jesteś wyższa — stwierdziła Joanna. — Zajmij się blokadą, ja wezmę się do drzwi.

Chwilę później udało jej się rozsunać je odrobinę, musiała jednak naprzeć na dolną połówkę całym swym ciężarem, by otworzyły się całkowicie. Deborah omiotła światłem znajdującą się za nimi przestrzeń.

— No i rzeczywiście jesteśmy w dolnej piwnicy — stwierdziła Joanna. Całą kondygnację wypełniały krzyżujące się łuki nośne, wśród których biegła gmatwanina ceramicznych rur kanalizacyjnych i żeliwnych, pokrytych izolacją przewodów cieplnych. Nie było tu żadnych drzwi ani oddzielnych pomieszczeń. Ściany, podobnie jak w górnej piwnicy, pokrywały cegły, ale sklepienia były bardziej płaskie, a filary grubsze.

Od windy towarowej odchodził nakryty wyższym niż gdzie indziej sklepieniem korytarz, który przecinał się z podobnym korytarzem, ciągnącym się wzdłuż osi budynku. Umieszczone pod sklepieniem żarówki łączył niedbale zawieszony goły przewód, światło było jednak wyłączone.

Dziewczyny zatrzymały się na krzyżówce i poświeciły latarką w obie strony. I tu, i tu dostrzegły studium perspektywy, z procesją łuków ciągnącą się w mrok tak daleko, jak tylko sięgało skąpe światło.

— Którędy teraz? — zapytała Joanna.

— Ja byłabym za tym, żeby pójść w lewo — stwierdziła Deborah. — W ten sposób trafimy do wieży, a to jest centrum budynku.

— Ale jeśli pójdziemy na prawo, będziemy zbliżać się do kotłowni — odparła Joanna. — Kotłownia jest na południowy wschód od nas. — Wyciągnęła rękę pod kątem czterdziestu pięciu stopni od osi głównego korytarza.

— Jak zdecydujemy? — zapytała Deborah, spoglądając to w jedną stronę, to w drugą.

— Poświeć na podłogę — powiedziała Joanna. Ukłękła. Podłoga w pasażu prowadzącym od windy, jak również w głównym korytarzu, wybrukowana była ceramicznymi płytkami, podczas gdy reszta piwnicy była wyłożona tą samą cegłą, co ściany

i sklepiony sufit. — Wszystko wskazuje na to, że więcej ludzi kierowało się na prawo — stwierdziła po chwili dziewczyna. — Płytki w tej części korytarza są o wiele bardziej zużyte, co nie tylko sugerowałoby, że tunel wiedzie w tamtym kierunku, ale też że doprowadzanie ciepła było tylko jednym z jego zastosowań.

— Rany boskie — mruknęła Deborah, spoglądając w dół. — Chyba masz rację. Czy to kolejna sztuczka, której nauczyłaś się z tych filmów akcji Carltona?

— Nie, to po prostu zdrowy rozsądek.

— Dziękuję pięknie — odparła cierpko Deborah.

Dziewczyny ruszyły w prawo. Deborah oświetlała im drogę latarką. Odgłos ich kroków odbijał się echem od sklepienia.

— Tu jest jak w katakumbach — zauważyła Joanna.

— Może nie powinnam o to pytać, ale co miałaś na myśli, mówiąc, że tunel mógł być używany do czegoś więcej niż tylko do doprowadzania ciepła?

— Przyszło mi na myśl, że prawdopodobnie właśnie tędy przewożono zwłoki z kostnicy do krematorium.

— Uroczy pomysł — skwitowała Deborah.

— Ojej — jęknęła nagle Joanna. — Może ucieszyliśmy się zbyt wcześnie. Wygląda na to, że nasz wydeptany korytarz właśnie się kończy.

Jakieś dziewięć metrów przed nimi snop światła padał na gładką ceglana ścianę.

— Wszystko w porządku — stwierdziła Deborah po paru krokach. — Szlak po prostu skręca w lewo. — Po dotarciu do ściany dziewczyny spostrzegły, że sklepiony korytarz nie tylko zakręca gwałtownie w lewo wokół filaru, ale także zaczyna dość stromo opadać. Do korytarza dołączyła potężna, otulona warstwą izolacji rura.

— Dzięki twoim wywodom myślę, że jesteśmy w drodze do kotłowni — powiedziała Deborah, kiedy ruszyły w dół. — Teraz musimy tylko mieć nadzieję, że baterie wytrzymają.

— Rany boskie! — wykrzyknęła Joanna. — Nawet nie mów o czymś takim!

Przerażone perspektywą błąkania się w tych lochach w zupełnej ciemności, dziewczyny przyspieszyły niemal do biegu. Po kilkuset metrach tunel wyrównał poziom. Zrobiło się znacznie bardziej wilgotno. Tu i tam pojawiły się kałuże. Ze sklepienia zwiślały drobne stalaktyty.

— Czuję się, jakbyśmy byli w połowie drogi do Bostonu — powiedziała Deborah. — Czy nie jesteśmy już czasem na miejscu?

— Ta kotłownia była dalej, niż się wydawało — zaoponowała Joanna.

Zadyszane dziewczyny pędziły dalej w milczeniu, pełne nie wypowiedzianych obaw, co zastaną na końcu tunelu. Zamknięte, solidne drzwi oznaczałyby katastrofę i zmusiłyby je do powrotu tą samą drogą, którą przyszły.



— Widzę coś przed nami — odezwała się Deborah. W biegu wyciągnęła latarkę na odległość ramienia. Parę chwil później dziewczyny nieoczekiwanie znalazły się na rozdrożu. Korytarz i przewód cieplny rozwidłały się.

Przystanąły, drapiąc się w głowę. Deborah poświeciła latarką w głąb obu tuneli. Wydawały się identyczne. Wszystkie trzy schodziły się mniej więcej pod tym samym kątem stu dwudziestu stopni.

— Tego się nie spodziewałam — powiedziała nerwowo Joanna.

Deborah skierowała wiązkę światła na narożnik między tunelem, którym przyszły, i lewym odgałęzieniem. Na wysokości piersi znajdował się osadzony w cegle granitowy kamień węgielny. Nadgarstkiem starła warstwę pleśni, pokrywającej wyryte litery.

— W porządku — oświadczyła z nowym entuzjazmem. — Jedna zagadka rozwiązana: lewy tunel prowadzi na farmę i do kwater mieszkalnych, co oznacza, że ten drugi musi iść do kotłowni.

— No jasne — przytaknęła Joanna. — Teraz widzę, że rura prowadząca do kotłowni ma zdecydowanie większą średnicę.

— Zaczekaj chwilę. — Deborah wyciągnęła rękę i powstrzymała przyjaciółkę, która ruszyła już w stronę kotłowni. — Skoro mamy wybór, może powinniśmy się zastanowić, co byłoby lepsze. Zakładając, że z obu tuneli można wyjść na powierzchnię, myślę, że...

— Nie sugeruj nawet, że na końcu może nie być wyjścia — warknęła Joanna.

— Dobrze już, dobrze — uspokoiła ją Deborah. — Pomyślmy, gdzie lepiej będzie się znaleźć: w kotłowni czy na farmie. Teraz gdy jesteśmy już poza gmachem, problem polega na tym, żeby wydostać się za ogrodzenie. Może farma byłaby najlepszym rozwiązaniem. Przypuszczam, że podobne ciężarówki dostawcze, jak widziałyśmy wczoraj, bywają tam regularnie.

— Zdawało mi się, że już ustaliłyśmy, że musimy się stąd wynieść jeszcze tej nocy — zauważyła Joanna.

— Tak byłoby najlepiej, ale musimy mieć jakiś awaryjny plan na wypadek, gdyby się nam nie powiodło.

— Wciąż uważam, że jeśli nie wydostaniemy się dziś w nocy, będzie po nas.

— Masz jakieś pomysły?

— Wziąwszy pod uwagę ogrodzenie z drutem kolczastym, sądzę, że jedyna droga prowadzi przez bramę. Gdyby udało się nam zdobyć jakiś pojazd, zwłaszcza ciężarówkę, może mogłybyśmy po prostu staranować bramę i wyjechać.

— Hmm, to jest myśl — przyznała Deborah. — A gdzie mamy największe szanse zdobycia pojazdu, i to z kluczami?

— Przypuszczam, że na farmie — odparła Joanna. — Ale to tylko przypuszczenie.

— Ja podejrzewam to samo — stwierdziła Deborah. — Zajrzyjmy na farmę, przynajmniej na początek.

Podjąwszy decyzję, dziewczyny skrzyły ku farmie. Szły szybko, starając się omijać coraz liczniejsze kałuże. Po zaledwie stu metrach tunel znów się rozdzielił. Kolejny granitowy narożnik wskazywał drogę na prawo do farmy i na lewo do kwater mieszkalnych. Dziewczyny ruszyły prawym odgałęzieniem.

— Ten drogowskaz do kwater mieszkalnych przypomniał mi o Spencerze — odezwała się Joanna. — Może powinniśmy się zastanowić, czy nie zwrócić się do niego o pomoc.

Deborah nagle się zatrzymała. Skierowała latarkę ku ziemi i spojrzała na przyjaciółkę. Oczy Joanny niknęły w głębokich cieniach.

— Proponujesz, żebyśmy poszły do Spencera Wingate'a?

— Tak — odparła Joanna. — Przejdziemy do jego willi, którą w końcu trochę już znamy, i powiemy mu, co tu odkryłyśmy. Powiemy mu też, że ochroniarze próbują nas schwytąć i być może dołączyć do swej kolekcji jajników.

Deborah parsknęła pogardliwym śmiechem i stwierdziła:

— Widzę, że trzymają się ciebie marne żarty.

— W tej chwili tylko tak mogą rozwiązać nasz problem.

— Na podstawie tej kłótni między nim a Saundersem uważasz, że Spencer nam pomoże?

— Tak, i na podstawie jego reakcji na twoje pytanie o Nikaraguanki — odparła Joanna. — Obie jesteśmy przekonane, że Spencer nie wie tak naprawdę, co się tu dzieje. Jeśli jest normalną istotą ludzką, będzie tym przerażony tak samo, jak ty czy ja.

— To tylko założenie, a ryzyko byłoby ogromne — stwierdziła Deborah.

— Już i tak sporo zaryzykowałyśmy, w ogóle tutaj przychodząc — zauważyła Joanna.

Deborah skinęła głową i zapatrzyła się w mrok. Joanna miała rację. Zaryzykowały już więcej, niż początkowo zamierzały. Ale czy to usprawiedliwiało narażanie się na nieodwracalne ryzyko oddania się w ręce Spencera Wingate'a?

— Chodźmy na farmę — powiedziała wreszcie. — Pomysł ze Spencerem zatrzymamy w rezerwie. W tej chwili znalezienie jakiejś dużej ciężarówki, która wywozłaby nas stąd, wydaje mi się najlepszym rozwiązaniem. Zgadzasz się?

— Zgadzam się — odparła Joanna. — Uważam tylko, że powinniśmy rozważyć wszystkie możliwości.

Ku uldze dziewczyn tunel zakończył się na terenie farmy tak samo, jak wyszedł z głównego gmachu kliniki. Bez żadnych przeszkód po drodze doprowadził je do piwnic, gdzie przewód cieplny rozdzielił się na szereg odgałęzień, które zniknęły w sufi-

cie. Ta również, tak jak w głównym gmachu, korytarz, stanowiący przedłużenie tune-  
lu, prowadził do windy towarowej. Ale dziewczyny nie próbowały dostać się do windy.  
Szukały schodów. Znalazły je tuż za szybem.

Przed drzwiami u szczytu schodów zatrzymały się. Deborah nasłuchiwała przez  
chwile. Jedynym odgłosem był cichy pomruk odległej maszynarii. Zgasiwszy latarkę,  
powoli uchyliła drzwi. Zapach, który wdarł się przez szparę, natychmiast zdradził, że  
dotarły do chlewu. Panowały tu spokój i cisza.

Deborah otworzyła drzwi na tyle, by wetknąć głowę do środka. Wnętrze zalane było  
nikłym światłem pochodzącym z gołych żarówek, z rzadka rozmieszczonych pod opie-  
rającym się na słupach i wyłożonym belkami sufitem. Przez całą długość pomieszcze-  
nia ciągnęły się w trzech rzędach przegrody dla zwierząt. Na lewo znajdowało się kil-  
koro zamkniętych drzwi. Środek zajmowały potężne stopy kartonowych pudeł, bel siana  
i worków z paszą.

— I co? — szepnęła stojąca kilka stopni niżej Joanna. — Widzisz coś?

— W przegrodach jest mnóstwo zwierząt — odparła Deborah. — Ale ani śladu ludzi,  
przynajmniej na razie.

Otworzyła drzwi i wyszła na zasłaną sianem podłogę z surowych desek. Kilka zwie-  
rząt wyczuło jej obecność i chrząknęło, podrywając na nogi pozostałe. Joanna dołączyła  
do przyjaciółki i obie rozejrzały się uważnie po otoczeniu.

— Jak na razie, jest niezłe — stwierdziła Deborah. — Jeśli nawet mają nocną zmia-  
nę, chyba śpią.

— Ale smród — zauważyła Joanna. — Nie wiem, jak ktokolwiek może pracować  
w takich warunkach.

— Założę się, że to świnię — odparła Deborah. Zorientowała się, że patrzy przez całą  
długość pomieszczenia w okrągłe oczy wielkiej, różowo-białej maciory. Świnia zdawała  
się przyglądać jej z wielkim zainteresowaniem.

— Ktoś mi mówił, że świnię są czyste — zaprotestowała Joanna.

— Są czyste, jeśli trzyma się je w czystości — odparła Deborah. — Ale wcale im nie  
przeszkadza, że są brudne, a ich ekskrementy to paskudna rzecz.

— Czy widzisz to co ja, na ścianie za tobą? — zapytała Joanna z palcem wycelowa-  
nym w dostrzeżony właśnie obiekt.

Deborah obejrzała się przez ramię i jej twarz się rozjaśniła.

— Telefon! — zawołała.

Dziewczyny rzuciły się do aparatu. Deborah dopadła go pierwsza i przyłożyła słu-  
chawkę do ucha. Joanna przyglądała się jej z nadzieją w oczach, ale dziewczyna z wy-  
razem rozczarowania na twarzy uderzyła kilkakrotnie w widelki, a wreszcie odwiesiła  
słuchawkę.

— Nic z tego! Odcięli telefony.

— To było do przewidzenia — odparła Joanna.

— To prawda — przyznała Deborah.

— Poszukajmy ciężarówki — zdecydowała Joanna.

Zostawiwszy drzwi na klatkę schodową lekko uchylone, przyjaciółki ominęły sterty paszy i siana i skierowały się do najbliższych drzwi. Deborah otworzyła je i poświeciła latarką do środka.

— Ja nie mogę! — wykrzyknęła.

— Co tam jest? — zapytała Joanna, zaglądając jej przez ramię.

— Jeszcze jedno laboratorium — odparła ze zdumieniem Deborah. Nie spodziewała się tego, a raptowne przejście od chlewu do supertechnologii przyprawiło ją o zawrót głowy. Laboratorium nie było aż tak ogromne, jak to w głównym gmachu kliniki, ale wydawało się niemal równie dobrze wyposażone.

Weszła do środka. Joanna podążyła za nią. Deborah przesuwiała wiązkę światła od przyrządu do przyrządu, wyławiając z mroku sekwenatory DNA, mikroskop skaninowy i syntezatory polipeptydów. Zgromadzony tu sprzęt był marzeniem każdego biologa molekularnego.

— Miałśmy znaleźć ciężarówkę — upomniała ją Joanna.

— Zaraz — odparła Deborah. Podeszła do inkubatora i przyjrzała się wypełniającym go płytkom Petriego. Niczym nie różniły się od tych, z którymi pracowała rano w głównym laboratorium, doszła więc do wniosku, że i tutaj wykonuje się transfery jądrowe. Potem światło latarki padło na szklaną taflę, oddzielającą laboratorium od sąsiedniego pomieszczenia.

Dziewczyna skierowała się w tamtą stronę. Joanna ruszyła za nią, aby nie pozostać w ciemności.

— Deborah! — zawołała ostro. — Tracimy czas.

— Wiem — odparła Deborah. — Ale za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że mam ogólny obraz tego, co się tu dzieje, okazuje się, że robią o wiele więcej. Nie spodziewałam się znaleźć na farmie drugiego laboratorium, a już na pewno nie tak dobrze wyposażonego.

— Zostawmy to zawodowcom — powiedziała błagalnie Joanna. — Mamy już wystarczająco wiele dowodów, by uzasadnić nakaz rewizji. Teraz chodzi o to, żeby się stąd wydostać.

Deborah dla uniknięcia refleksów przytknęła latarkę do szyby i zajrzała do znajdującego się za nią pomieszczenia.

— A tu jest następna niespodzianka. To wygląda na normalną salę sekcijną, taką jak dla ludzi, ale z bardzo małym stołem. Po co, na miłość boską, jest im to potrzebne w chlewie?

— Chodź! — ponagliła ją z rosnącym rozdrażnieniem Joanna.

— Zaczekaj, muszę to obejrzeć — odparła Deborah. — Tylko chwileczkę. Tam jest chłodnia, taka jak w kostnicy.

Joanna przewróciła z gniewem oczami, gdy przyjaciółka wcisnęła się do sali sekcyjnej. Obserwowała przez szybę, jak Deborah podchodzi do chłodni i otwiera drzwiczki. Jeśli nie liczyć dochodzącego przez szklaną ściankę światła latarki Deborah, otaczały ją zupełne ciemności. Obejrzała się za siebie na drzwi, którymi tu weszły, przez chwilę zastanawiając się, czy nie wybrać się na poszukiwania ciężarówki na własną rękę, uznała jednak, że bez latarki byłoby to głupotą.

Zrzedząc pod nosem, wsunęła się do ciasnej sali sekcyjnej, by wezwać przyjaciółkę do opamiętania, szybko jednak o tym zapomniała. Deborah wyciągnęła właśnie tacę z komory chłodni i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jej zawartość. Joanna nie mogła dostrzec, co to takiego, po drzeniu światła poznała jednak, że dziewczyna dygoce.

— Co tam masz? — zapytała.

— Chodź i zobacz! — odparła Deborah łamiącym się głosem.

— Może lepiej po prostu mi powiedz — zaproponowała Joanna. — Pamiętaj, że ja nie jestem biologiem.

— Musisz to zobaczyć — powtórzyła Deborah. — Nie potrafię ci tego opisać.

Joanna nerwowo przełknęła ślinę. Zaczepnęła oddech, podeszła do przyjaciółki i spojrzała na tacę.

— Och! — jęknęła. Jej usta mimo woli ułożyły się w grymas obrzydzenia. Miała przed sobą pięcioro noworodków z rozdętymi pępowinami i niezwykle gęstym, ciemnym meszkiem. Ich twarze były płaskie i szerokie, a oczy drobne. Nosy były ledwie zarysowanymi wypukłościami z pionowo zorientowanymi otworami nozdrzy. Rączki i nóżki zakończone były wiosłowatymi wyrostkami z maleńkimi palcami. Główki pokrywała burza czarnych włosów z małym, ale wyraźnie odcinającym się białym kosmykiem.

— Następne klony Paula Saundersa — prychnęła drwiąco.

— Niestety — przyznała Deborah. — Ale w nowym wydaniu. Odnoszę wrażenie, że te jego badania nad komórkami macierzystymi polegają na klonowaniu własnych komórek w świńskich oocytach i hodowaniu zarodków w macicy świni.

Joanna uchwyciła się ramienia przyjaciółki. Przez chwilę poczuła, jak miękłą jej kolana. Deborah miała rację co do Kliniki Wingate'a. To nowe odkrycie wskazywało, że Paul Saunders i jego zespół dawno już przekroczyli wszelkie rozsądne, czy nawet wyobraźalne, granice etyki. Taki egotyzm i taka intelektualna zarozumiałość po prostu nie mieściły jej się w głowie.

Deborah na powrót wsunęła tacę do chłodni i zatrzasnęła drzwiczki.

— Poszukajmy tej cholernej ciężarówki! — jęknęła.

Ze wzburzeniem, które zastąpiło wstrząs wywołany dokonaniem odkryciem, dziewczyny wycofały się z powrotem do chlewu. Gdy tylko wynurzyły się z laboratorium, ich obecność znów wywołała poruszenie wśród zwierząt. Poprzednio obudziły się głównie świnie w przegrodach przy drzwiach od klatki schodowej. Teraz niepokój był bardziej powszechny, objął nawet krowy, których ryk włączył się w narastający harmider.

Dziewczyny szły od drzwi do drzwi, aż natrafiły na korytarz prowadzący do pomieszczenia, które, jak uznały, mogło być garażem. Okazało się jednak czymś więcej. W świetle dwóch czerwonych lampek wskazujących wyjście przekonały się, że mają przed sobą hangar. W mroku majaczył skąpany w rubinowej poświacie turboodrzu-towy śmigłowiec Aerospatial.

— To byłoby rozwiązanie, gdybyśmy tylko umiały nim latać — stwierdziła Deborah. Stała przez chwilę, wpatrując się tęsknym wzrokiem w maszynę.

— Chodź — ponagliła ją Joanna. — Myślę, że garaż powinien być gdzieś obok.

Okazało się, że miała rację. Za następnymi drzwiami ich oczom ukazał się ciągnik i wywrotka. Dziewczyny skierowały się do ciężarówki.

— Niech tu będą kluczyki! — modliła się głośno Deborah, kiedy wspinała się na stopień i otwierała drzwi kabiny. Balansując ciałem, dostała się do środka. Joanna trzymała latarkę, a palce Deborah gorączkowo szukały kluczyków. Dziewczyna przesunęła dłoń po kolumnie kierownicy, potem wzdłuż tablicy rozdzielczej. Wymacała stacyjkę, kluczyków jednak nie było. — Cholera! — zaklęła, uderzając dłoń w kierownicę. — Pewnie mogłybyśmy odpalić to z drutu, gdybyśmy tylko wiedziały jak. — Spojrzała w dół na przyjaciółkę.

— Nie patrz na mnie — odparła Joanna. — Nie umiem tego, naprawdę!

— Wróćmy do tego biura, które widziałyśmy w chlewie — zaproponowała Deborah. — Może tam są kluczyki.

Wygramoliła się z ciężarówki. Dziewczyny wycofały się z powrotem na korytarz. Przechodząc przez hangar, jeszcze raz obrzuciły helikopter tęsknym spojrzeniem.

Kiedy weszły do chlewu, zwierzęta zaczęły robić jeszcze więcej hałasu.

— Pewnie im się wydaje, że to pora karmienia — zauważyła Deborah.

Dziewczyny były już przy drzwiach biura, gdy dobiegł je nie dający się pomylić z niczym innym odgłos nadjeżdżającego pojazdu. Gdy samochód wykręcał na miejsce postojowe przed budynkiem, przez okienka w drzwiach mignęły przez chwilę światła jego reflektorów.

— Och, nie! Będziemy miały towarzystwo! — jęknęła ochryłym szeptem Deborah.

— Wracajmy na schody! — krzyknęła Joanna.

Dziewczyny rzuciły się pędem ku schodom, ale do nich nie dotarły. Za ledwie sześć metrów dzieliło je od celu, gdy drzwi chlewu otworzyły się gwałtownie i przybysz wpadł do środka, z miejsca zapalając wszystkie światła. Nie pozostało im nic innego,



jak tylko dać nura za kartony, bele siana i worki z paszą. Przykucnęły tam, gdy mężczyzna robił obchód. Słyszały, jak przemawia do zwierząt, pytając je między innymi, czemu wszystkie się obudziły.

— Myślisz, że powinnyśmy spróbować dostać się na schody? — zapytała Deborah, kiedy odgłosy zdawały się wskazywać, że mężczyzna jest dość daleko od ich kryjówki.

— Nie, chyba że dokładnie zobaczysz, gdzie on jest i co robi.

Deborah powoli uniosła się na tyle, by objąć wzrokiem rzędy przegród. Mężczyzny nie było nigdzie widać, chociaż słyszała, jak rozmawia z jednym ze zwierząt. Potem wyprostował się nagle. Dziewczyna natychmiast schyliła głowę.

— Jest jednak bliżej, niż myślałam — powiedziała.

— W takim razie lepiej zostańmy tutaj — odparła Joanna.

— Mogłybyśmy przykryć się trochę tym sianem.

— Myślę, że lepiej będzie nie ruszać się i siedzieć cicho — stwierdziła Joanna.

— Wszystko powinno być dobrze, o ile tylko nie podejdziesz, żeby wziąć coś z tej sterty.

— Jeśli ruszy w stronę biura, możemy być w kłopotcie.

— Będziemy musiały tylko przesuwać się wokół tych kartonów — odparła Joanna.

— To nie powinno być takie trudne, a kiedy już będzie w środku, mogłybyśmy przemknąć się na schody.

Deborah skinęła głową, wcale jednak nie trafiło jej to do przekonania. Była to jedna z tych rzeczy, które wyglądały na łatwe, ale prawdopodobnie byłyby trudne do wykonania.

Nagle z zewnątrz dobiegł je odgłos następnego pojazdu. Wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Jedna osoba sprawiła im już dość kłopotu. Każda następna mogła oznaczać katastrofę.

Nowo przybyły wszedł i z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi. Dziewczyny skuliły się ze strachu, gdy ryknął na całe gardło, wymieniając nazwisko Grega Lyncha.

— Hej, ciszej! — odezwał się Greg spomiędzy przegród. — Zwierzęta już i tak są niespokojne.

— Przepraszam — odparł nowo przybyły. — Ale sytuacja jest wyjątkowa.

— Doprawdy?

— Szukamy dwóch młodych kobiet. Dostały się do kliniki pod przybranymi nazwiskami, wykradły zastrzeżone pliki komputerowe i włamały się do sali jajeczek. Teraz są gdzieś na naszym terenie.

— Nikogo nie widziałem — odparł Greg. — A chlew był zamknięty.

— Co pan tu robi o tej porze w nocy?

— Jedna z macior jest bliska rozwiązania. Usłyszałem przez system kontrolny, że zwierzęta robią się niespokojne. Pomyślałem, że może ona właśnie zaczyna rodzić, ale nie.

— Gdyby zobaczył pan te kobiety, kiedy będzie pan wracał do siebie, proszę zawiadomić ochronę — powiedział drugi mężczyzna. — Na początku były w głównym gmachu, ale przeszukaliśmy go. Uciekły, ale nie przechodziły przez bramę, więc muszą się gdzieś ukrywać.

— Powodzenia.

— Złapiemy je. Skierowaliśmy do poszukiwań całą ekipę ochrony, włącznie z wszystkimi psami. Tak przy okazji: wszystkie telefony przewodowe są odłączone, dopóki nie schwytamy tych kobiet. Nie chcemy, żeby gdzieś zadzwoniły i narobiły nam kłopotów.

— Nie ma problemu — odparł Greg. — Mam ze sobą komórkę.

Mężczyźni pożegnali się. Dziewczyny usłyszały, jak drzwi stodoły otwierają się, po czym z trzaskiem zamykają.

— Sytuacja wygląda coraz gorzej — szepnęła Deborah. — Najwyraźniej przeczesują teren.

— Niepokoją mnie te psy — stwierdziła Joanna.

— Mnie też — odparła Deborah. — Aż dziw, że nie pomyśleli o tunelu.

— Nie wiemy, czy nie pomyśleli.

— To prawda — przyznała Deborah. — Ale wydaje mi się, że ten facet, który właśnie wyszedł, wspomniałby o tym. Być może jedyna droga do dolnej piwnicy w głównym gmachu prowadzi przez windę towarową, a im nigdy nie przyszłoby do głowy, że będziemy na tyle głupie, by schodzić w dół po drabinie.

— Odważymy się tam wrócić?

— Jeżeli wypuścili na nas psy, nie mamy chyba innego wyboru.

Piętnaście minut później Greg głośno ziewnął i westchnął. Potem odezwał się, jak gdyby miał do czynienia z gromadką dzieci:

— W porządku, ludziska. Dosyć! Uspokójcie się, żebym nie musiał już tu wracać.

To powiedziawszy, zaczął cicho pogwizdywać. Dziewczyny zauważyły, że gwizdanie przybiera na sile i Deborah zaryzykowała szybki rzut oka.

— Idzie do biura — szepnęła gorączkowo.

Zgodnie z wcześniejszą propozycją Joanny, dziewczyny zaczęły czołgać się wokół sterty, starając się mieć ją między sobą a Gregiem. Jak przewidywała Deborah, był to manewr dość ryzykowny, gdyż musiały przesuwac się na wycucie. Mężczyzna kierował się w zasadzie w ich stronę.

Gdy tylko dał się słyszeć odgłos zamykających się drzwi biura, Deborah wystawiła głowę.

— W porządku — szepnęła, stwierdziwszy, że droga jest wolna. Dziewczyny rzuciły się pędem ku schodom.

Dopiero gdy Joanna zamknęła drzwi, Deborah włączyła latarkę. Bez słowa zeszyły po stopniach. Na dole Joanna gestem zatrzymała przyjaciółkę. Obie były lekko zdyszane z napięcia i wysiłku.

— Musimy zdecydować, co robimy dalej — powiedziała cicho.

— Myślałam, że idziemy do kotłowni.

— Ja głosuję za tym, żeby pójść do Spencera Wingate'a — oświadczyła Joanna.  
— W ciężarówce na farmie nie było kluczyków. Jeśli nawet w kotłowni jest jakaś ciężarówka, szansa, że znajdziemy do niej kluczyki, jest niewielka. W gruncie rzeczy, zdrowy rozsądek mówi, że ich tam nie będzie, a za każdym razem, kiedy wystawiamy głowę nad ziemię, ryzykujemy, że zostaniemy schwytane. Myślę, że pora zaryzykować z Wingate'em.

Deborah niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. Przygryzając policzek, zamyśliła się nad propozycją przyjaciółki. Nie znosiła podejmowania decyzji, które nie zostawiały żadnych dróg odwrotu. Jeśli Spencer Wingate był w sojuszu z obecnym kierownictwem kliniki, ona i Joanna będą zgubione. Koniec, kropka. A jednak ich sytuacja była rozpaczliwa już od chwili, gdy wytropiono je w sali gamet, a teraz stawała się wręcz tragiczna.

— W porządku! — powiedziała nagle. — Zdajmy się na łaskę Spencera Wingate'a. Raz kozie śmierć.

— Jesteś pewna? Nie chcę mieć wrażenia, że to ja cię do tego namówiłam.

— Nie jestem pewna niczego poza tym, że wciąż działam z własnej i nieprzymuszonej woli. — Wyciągnęła rękę i Joanna bez wahania przybiła piątkę. — Ruszajmy — dodała Deborah z krzywym uśmiechem.

Dziewczyny wróciły do tunelu pełne nie wypowiedzianych obaw, że lada moment wpadną na swoich prześladowców. Dotarły jednak do odgałęzienia prowadzącego do kwater mieszkalnych bez problemów, jeśli nie liczyć tego, że światło latarki zaczęło wyraźnie przygasać.

Około stu metrów dalej natrafiły na kolejne rozwidlenie. Tu jednak nie było żadnego drogowskazu na narożniku.

— A niech to! — syknęła Deborah. Poświeciła gasnącym światłem w oba tunele.  
— Masz jakiś pomysł?

— Moim zdaniem powinnyśmy pójść w lewo. Wiemy, że między willami a farmą jest osiedle, więc prawy tunel musi prowadzić właśnie tam.

Deborah spojrzała na przyjaciółkę z zaskoczeniem.

— Znów mnie zadziwiasz — stwierdziła. — Skąd w tobie ta zaradność?

— Z mojego tradycyjnego houstońskiego wychowania, które tak bezwstydnie wyśmiewałaś.

— No pewnie! — prychnęła Deborah.

Po dalszych pięciu minutach marszu dziewczyny dotarły do szeregu następujących po sobie rozgałęzień.

— Przypuszczam, że te tunele odchodzą do poszczególnych domów — stwierdziła Deborah.

— Mnie też się tak wydaje — przytaknęła Joanna.

— Potrafisz zgadnąć, który z nich jest właściwy?

— Nie — przyznała Joanna. — Ale może nie byłoby głupie sprawdzić je po kolei.

Pierwsza piwnica, do której zajrzały po otwarciu zwykłych płycinowych drzwi, z całą pewnością nie należała do Spencera, gdyż wyraźnie była odnawiana. Obie dziewczyny dobrze pamiętały piwnicę Spencera ze swej wyprawy po wino. Wycofały się i weszły do następnego tunelu. Ten kończył się prostymi drzwiami z nie heblowanych dębowych desek.

— To wygląda bardziej obiecująco — stwierdziła Deborah. Potrząsnęła latarką, by wzmocnić przygasający strumień światła. Musiała powtarzać to raz po raz już od pięciu minut.

Podawała latarkę Joannie i popchnęła drzwi. Zazgrzytały tępo o granitowy próg. Dopiero gdy uniosła je odrobinę, otworzyły się niemal bezgłośnie. Odebrała latarkę i potrząsnąwszy nią, skierowała słabnącą wiązkę w głąb piwnicy. W bladym świetle dostrzegła drzwi piwniczki z winem i wiszącą przy nich, wciąż otwartą kłódkę.

— To tutaj — oświadczyła. — Do dzieła!

Lawirując ostrożnie wśród błotnistych kałuż, dziewczyny dotarły do schodów. Deborah pierwsza ruszyła pod górę. U szczytu schodów zawahała się. Pod drzwiami widać było kreskę światła.

— Teraz chyba będziemy musiały improwizować — szepnęła.

— Nie mamy wyboru — odparła Joanna. — Nie wiemy nawet, czy on nie śpi. Która może być teraz godzina?

— Nie mam pojęcia — przyznała Deborah. — Przypuszczam, że koło pierwszej.

— Cóż, światło się świeci. To chyba oznacza, że Spencer jest jeszcze na nogach. Spróbujmy tylko za bardzo go nie wystraszyć. On może mieć alarm, który włączy, jeśli go zaskoczymy.

— Racja.

Deborah przez chwilę nasłuchiwała przez drzwi, wreszcie ostrożnie nacisnęła klamkę i lekko je uchyliła. Kiedy nic się nie wydarzyło, powoli popychała je dalej, ukazując stopniowo coraz większy fragment kuchni.

— Słyszę muzykę klasyczną — odezwała się Joanna.

— Ja też — odparła Deborah.

Dziewczyny wsunęły się do pogrążonej w mroku kuchni. Światło, które widziały pod drzwiami piwnicy, pochodziło z żyrandola w jadalni. Najciszej jak mogły, przeszły przez korytarz w stronę salonu, skąd dobiegała muzyka. Przed nimi otwierał się widok na przedpokój. Jak zauważyły, figurki kawalerzystów, które Spencer poprzedniego wieczoru strącił po pijanemu ze stolika, zostały starannie ustawione z powrotem.

Dziewczyny zamierzały wkroczyć do salonu, który znajdował się na lewo od korytarza i w którym spodziewały się znaleźć Spencera. Zupełnie przypadkiem idąca tuż za Deborah Joanna zerknęła w prawo, w głąb mijanego właśnie ciemnego korytarzyka, prowadzącego do gabinetu. Tam, w kałuży światła z biurkowej lampki, siedział przy biurku Spencer Wingate. Zwrócony tyłem do dziewczyn, z uwagą przeglądał jakieś szkice.

Joanna klepnęła przyjaciółkę w ramię. Gdy Deborah się odwróciła, nerwowo wskazała palcem zgarbioną postać doktora.

Deborah spojrzała na Joannę.

— Co robimy? — zapytała samym ruchem warg.

Joanna wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, po chwili jednak przyszło jej do głowy, że najlepiej będzie po prostu zawołać. Dotknęła dłonią ust, po czym wskazała na Spencera.

Deborah skinęła głową. Odchrząknęła.

— Doktorze Wingate! — zawołała, lecz jej głos zabrzmiał niepewnie i utonął bez śladu w płynącej z salonu kantacie Dziewiątej symfonii Beethovena.

— Doktorze Wingate! — powtórzyła Joanna, bardziej zdecydowanie i na tyle głośno, by móc konkurować z muzyką.

Spencer drgnął i błyskawicznie odwrócił głowę. Jego opalona twarz zbladła. Zerwał się na nogi tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się z trzaskiem.

— Nie chciałyśmy pana przestraszyć — zawołała szybko Deborah. — Chciałybyśmy porozmawiać.

Spencer momentalnie doszedł do siebie. Rozpoznawszy dziewczyny, uśmiechnął się z ulgą. Pochylił się po krzesło i gestem zaprosił je do środka.

Dziewczyny ruszyły korytarzem. Obie bacznie obserwowały reakcje Spencera. Jak na razie, wszystko wyglądało dobrze. Początkowy strach przerodził się w zaskoczenie, zabarwione radością. Czekaając na nie, doktor przyglądał swe posrebrzone siwizną włosy i poprawił na sobie aksamitną bonżurkę. Ale gdy tylko wkroczyły w krąg światła, na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie.

— Co wam się stało? — zapytał. Nim dziewczyny zdążyły odpowiedzieć, dodał: — Jak się tu dostałyście?

Joanna zaczęła wyjaśniać, jak weszły do willi przez piwnicę, a Deborah rozpoczęła skrótową relację z całego wieczoru.

Spencer uniósł dłoń.

— Zaczekajcie! Nie obie naraz. Ale przede wszystkim, czy mogę coś dla was zrobić? Wyglądacie okropnie.

Po raz pierwszy odkąd rozpoczęły się ich kłopoty, dziewczyny przyjrzały się sobie. Deborah wyglądała gorzej. Jej krótka sukienka była podarta i postrzępiona, a uda i łydki

podrapane o krawędź żelaznego płuca. Zgubiła gdzieś jeden ze swych wiszących kolczyków, a z małego serduszka na szyi odpadły wszystkie diamenty. Dłonie miała czarne od smaru pokrywającego linę windy, a jej włosy były jedną zmierzwioną masą.

Joanna wciąż miała na sobie fartuch lekarski, który w znacznym stopniu ochronił jej ubranie. Ale ów fartuch był już tylko brudną szmatą, do czego wydatnie przyczyniło się pełzanie plackiem po podłodze chlewu. Z kieszeni wystawało kilka źdźbeł siana.

Dziewczyny wymieniły jedno ze swych porozumiewawczych spojrzeń. Ich wygląd, w połączeniu z rozładowanym nagle niepokojem, wywołał niespodziewany napad śmiechu. Przez chwilę nie mogły dojść do siebie. Nawet Spencer przyłapał się na tym, że się uśmiecha.

— Szkoda, że nie wiem nawet, z czego się śmiejecie — powiedział.

— Ze wszystkiego naraz — wykrztusiła Deborah. — Ale chyba głównie z napięcia.

— Ja myślę, że przede wszystkim z ulgi — dodała Joanna. — Miałymy nadzieję, że pana zastaniemy, ale nie byliśmy pewne, czy będziemy mile widziane.

— Miło mi, że przyszliście — odparł Spencer. — Co mogę dla was zrobić?

— Skoro pan pyta, przydałby mi się koc — powiedziała Deborah. — Zimno mi.

— Może gorącą kawę? — zaproponował Spencer. — Zaraz przygotuję. Nawet coś mocniejszego, gdyby pani chciała. I mogę dać pani jakiś sweter albo bluzę.

— Właściwie wolałybyśmy jak najszybciej przejść do rozmowy — oświadczyła Joanna. — Sprawa jest dosyć pilna. — Znów wybuchnęła nerwowym śmiechem.

— Ten koc mi wystarczy — dodała Deborah. Podniosła kraciatą narzutę z aksamitnej kanapy i narzuciła ją sobie na ramiona.

— No cóż, usiądźcie — powiedział Spencer. Wskazał gestem kanapę.

Dziewczyny zajęły miejsca. Spencer przysunął sobie krzesło od biurka i usiadł naprzeciw nich.

— Więc co to za pilna sprawa? — zapytał. Pochylił się naprzód, spoglądając to na jedną dziewczynę, to na drugą.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

— Ty chcesz mówić czy wolisz, żebym ja to zrobiła? — zapytała Deborah.

— Wszystko mi jedno — odparła Joanna. — To naprawdę nie ma znaczenia.

— Mnie też jest wszystko jedno — przyznała Deborah.

— Z drugiej strony, ty masz większe pojęcie o biologii niż ja — stwierdziła Joanna.

— To prawda, ale ty możesz lepiej wyjaśnić sprawy komputerowe.

— Zaraz, zaraz, zaraz — przerwał im Spencer, unosząc ramiona. — Nie ma znaczenia, która z was będzie mówić. Niech któraś wreszcie zacznie.

Deborah wskazała na siebie. Joanna skinęła głową.

— W porządku — oświadczyła Deborah. Spojrzała Spencerowi w oczy. — Czy pamięta pan, jak wczoraj wieczorem pytałam pana o ciężarne Nikaraguanke?



— Pamiętam — odparł Spencer. Roześmiał się nieśmiało. — Być może nie pamiętam wiele więcej z całego wieczoru, ale to utkwiło mi w pamięci.

— No więc wydaje nam się, że wiemy już, dlaczego one są w ciąży — powiedziała Deborah. — Przypuszczamy, że one dostarczają komórek jajowych.

Twarz Spencera zachmurzyła się.

— Są w ciąży, żeby dostarczać komórek jajowych? — zapytał doktor. — Musi mi to pani wyjaśnić.

Deborah wzięła głęboki oddech i przedstawiła swoje przypuszczenia. Potem oświadczyła, iż jest pewna, że Klinika Wingate'a zdobywa komórki jajowe w jeszcze mniej etyczny, a nawet nielegalny sposób. Opowiedziała o usuwaniu, bez zgody zainteresowanych, całych jajników Bogu ducha winnym kobietom, które sądziły, że oddają jedynie kilka jajeczek. Wreszcie stwierdziła, że przynajmniej dwie kobiety zostały zamordowane, ponieważ pobrano od nich oba jajniki, a ich samych nikt nigdy więcej nie widział.

Usta Spencera otworzyły się powoli podczas monologu Deborah. Gdy skończyła, odchylił się na oparcie krzesła, wyraźnie przerażony tym, co usłyszał.

— Jak się dowiedziałyście tego wszystkiego? — zapytał ochrypłym głosem. Zaschło mu w gardle. Zanim którakolwiek z dziewczyn zdążyła odpowiedzieć, dodał: — Muszę się napić. Napijcie się ze mną?

Obie pokręciły przecząco głowami.

Spencer wstał na miękkich nogach i podszedł do ukrytego w ścianie barku. Otworzył go i nalał sobie szkockiej. Wychylił część duszkiem, zanim wrócił na krzesło. Dziewczyny obserwowały go z napiętą uwagą. Dostrzegły drżenie dłoni, w której trzymał szklanekę.

— Przykro nam, że musiałyśmy powiedzieć panu to wszystko — odezwała się Joanna. — Jako założyciel kliniki, która ma nieść pomoc niepłodnym parom, musi pan być wstrząśnięty, słysząc, co się tu dzieje.

— „Wstrząśnięty” to za mało powiedziane — odparł Spencer. — Musicie zrozumieć, że ta klinika była dla mnie ukoronowaniem pracy całego życia.

— Niestety, jest jeszcze więcej spraw, o których powinien pan wiedzieć — oświadczyła Deborah. Zaczęła opisywać klonowanie i wyjaśniła, jak i tu wykorzystywano nieświadome niczego kobiety. Potem opowiedziała ze wszystkimi szczegółami o rozwijających się w macicach świń embrionach, które dopiero co odkryły na farmie. Wreszcie umilkła.

Dziewczyny obserwowały Spencera. Był wyraźnie oszołomiony. Raz po raz przeciągał palcami po włosach. Przez chwilę nie był w stanie patrzeć im w oczy. Jednym haustem dokończył resztkę swojej szkockiej i skrzywił się.

— Doceniam to, że przyszłyście z tym do mnie — wykrztusił wreszcie. — Dziękuję wam.

— Nasze motywy nie były całkiem altruistyczne — przyznała Joanna. — Potrzebujemy pana pomocy.

Spencer uniósł wzrok i spojrzał na nią uważnie.

— Co mogę dla was zrobić? — zapytał.

— Może pan nas stąd wydostać — odparła Joanna. — Jesteśmy poszukiwane przez ekipę ochrony. Ścigają nas, odkąd dostałyśmy się do sali gamet. Dobrze zdają sobie sprawę, co wiemy.

— Chcecie, żebym wywiózł was z terenu kliniki — domyślił się Spencer.

— Właśnie — przytaknęła Joanna. — Musimy wydostać się za bramę.

— To nie będzie trudne — stwierdził Spencer. — Wyjedziemy bentleyem.

— Nie wiem, czy rozumie pan, jak bardzo zależy im na schwytaniu nas — wtrąciła Deborah. — Sytuacja jest bardzo poważna. Oni nie mogą nas zobaczyć. Jestem pewna, że zatrzymaliby nawet pana, gdyby coś podejrzewali.

— Przypuszczam, że ma pani rację — przyznał Spencer. — Żeby mieć pewność, że wszystko pójdzie gładko, możecie wcisnąć się do bagażnika. Nie będzie wam tam wygodnie, jak by na to nie patrzeć, ale nie potrwa to dłużej, niż jakieś pięć, góra dziesięć minut.

Joanna spojrzała na przyjaciółkę. Deborah skinęła głową.

— Zawsze chciałam przejechać się bentleyem. Mogę zgodzić się nawet na bagażnik.

Joanna przewróciła oczami. Nie mogła zrozumieć ochoty Deborah do żartów w takiej chwili.

— Myślę, że zniosę jazdę w bagażniku — oznajmiła. — Prawdę mówiąc, w tych okolicznościach będę się tam nawet czuła bezpieczniej.

— Kiedy chcecie to zrobić? — zapytał Spencer. — Myślę, że im szybciej, tym lepiej. Wszyscy tu wiedzą, że czasem zdarza mi się wyjechać gdzieś późno, ale po drugiej w nocy mogłoby się to wydać podejrzanym.

— Moim zdaniem jak najprędzej — odparła Joanna.

— Ja jestem już gotowa — dodała Deborah.

— Ruszajmy — oświadczył Spencer. Klepnął się w uda i wstał z krzesła.

Wszyscy troje przeszli z powrotem do kuchni, gdzie Spencer podniósł z blatu kluczyki od samochodu, po czym skierował się do garażu. Otworzył kluczem bagażnik bentleya. Dziewczyny były zaskoczone jego małymi rozmiarami.

— To z powodu miejsca na składany dach — wyjaśnił Spencer.

Deborah podrapała się po głowie i stwierdziła:

— Myślę, że będziemy musiały się wcisnąć „na łyżeczkę”.

— Ty jesteś większa, więc wchodzisz pierwsza — powiedziała Joanna.

— Dziękuję bardzo — odparła Deborah. Wsunęła się głową naprzód i obróciła na bok. Joanna zrobiła to samo, wciskając się w wolną przestrzeń. Spencer powoli zamknął pokrywę, żeby upewnić się, że nie będzie problemów z wystającymi rękami i kolanami, po czym znów ją podniósł.

— To nawet wygodniejsze niż żelazne płuco — zauważyła Deborah.

— Jakie żelazne płuco? — zdziwił się Spencer.

— To całkiem inna historia — odparła Deborah. — Na razie zakończmy ten rozdział.

— W porządku, ruszajmy! — oświadczył Spencer. — Teraz bez paniki. Zatrzymam się i wypuszczę was, kiedy tylko będzie to możliwe. W porządku?

— Do dzieła! — odparła wesoło Deborah, starając się robić dobrą minę do złej gry.

Pokrywa bagażnika opadła z głuchym stukiem i szcęknięciem sugerującym kosztowny zamek. Dziewczyny znów znalazły się w ciemnościach. Następnym odgłosem, jaki usłyszały, był zgrzyt odsuwających się drzwi garażu, a chwilę później pomruk uruchamianego silnika samochodu.

— Szkoda, że wcześniej nie pomyślałyśmy o tym, żeby przyjść do Spencera — stwierdziła Deborah. — Mogłybyśmy zaoszczędzić sobie sporo kłopotów.

Dziewczyny poczuły, jak samochód wycofuje się z garażu, zawraca, po czym zjeżdża podjazdem na główną alejkę.

— To mało godny sposób na opuszczenie tego miejsca — zauważyła Joanna.

— W każdym razie wyjeżdżamy stąd.

— Było mi trochę żal naszego doktora — przyznała Joanna po dłuższej chwili.

— To prawda, że był kompletnie zaskoczony naszymi rewelacjami.

Jechały w milczeniu przez dalszych kilka minut, usiłując odgadnąć, gdzie teraz są. Wreszcie poczuły, że samochód zatrzymuje się z wciąż pracującym silnikiem.

— Musimy być przy bramie — domyśliła się Deborah.

— Cicho! — skarciła ją Joanna.

Pokrywa bagażnika była tak szczelna, że dziewczyny nic nie słyszały, dopóki silnik znów nie przyspieszył obrotów, a nawet wtedy była to raczej wibracja niż hałas. Chwilę później wyczuły, że samochód wjechał na żwir. Po paru minutach zatrzymał się znowu, ale tym razem silnik został wyłączony.

— Mógłby odjechać trochę dalej od wartowni — skrzywiła się Joanna.

— Właśnie to samo sobie pomyślałam — przyznała Deborah. — Ale, do diabła, skoro jesteśmy już za bramą, równie dobrze możemy pojechać dalej z fasonem.

Usłyszały znajomy szcęk kluczyka w zamku i pokrywa bagażnika odskoczyła w górę. Dziewczyny uniosły wzrok i zamarły ze zgrozy. Spencera nigdzie nie było widać. Nad sobą ujrzwały szyderczo uśmiechnięte twarze szefa ochrony Kliniki Wingate'a i jego giermka.

## EPILOG

11 maja 2001

9.35

Spencer wyjrzał przez okno swego gabinetu na rozległy, zielony trawnik. W dali widać było iglicę kościoła w Bookford i garstkę kominów sterczących ponad korony okrytych pąkami drzew. Był to przyjemny widok i do pewnego stopnia ukoił jego wzburzone emocje. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz był tak roztrzęsiony. Na domiar złego od przeszło dwudziestu czterech godzin nie zmrużył oka i wciąż jeszcze dochodził do siebie po swej niedawnej alkoholowej rozpuście.

Odchrząknął i powiedział:

— Martwi mnie nie tyle to, co te dziewczyny wiedziały, ile w jaki sposób to odkryły. — Odwrócił się od okna i spojrzał na Paula Saundersa i Sheilę Donaldson, którzy spokojnie siedzieli w fotelach przed jego biurkiem. — Zwaliło mnie z nóg, kiedy te dwie dziewczyny zjawiły się w moim domu, zwłaszcza że podobno wysłaliście za nimi małą armię. Jeśli to nie zakrawa na niekompetencję, to nie wiem już, co zasługuje na tę nazwę. Ale co więcej, jeśli one we dwie zdołały w ciągu jednego dnia odkryć wszystko, co tu robicie, ktoś inny też może tego dokonać.

— Spencer, uspokój się — powiedział z naciskiem Paul. — Wszystko jest pod kontrolą.

— „Pod kontrolą” — powtórzył Spencer z przekąsem. — Jeśli tak wygląda kontrola, nie chcę nawet sobie wyobrażać, jak musiałby wyglądać brak kontroli. — Wrócił do biurka i opadł ciężko na fotel.

— Całkowicie się ze sobą zgadzamy — oświadczył spokojnie Paul. — Wiemy, że musimy dokładnie się dowiedzieć, w jaki sposób te dziewczyny zdołały odkryć to, co odkryły.

— Wiedziały o hodowaniu ludzkich klonów w macicach świń — powiedział Spencer. — Ty nie powiedziałeś mi o tym zeszłej nocy. Tak w ogóle, o co w tym chodzi, na Boga?

— Chodzi o to, żeby uniezależnić nas od pomocy Nikaraguanek — odparł Paul. — Kiedy tylko doprowadzimy tę technikę do perfekcji, będzie to, nie licząc hodowli oogoniów, nasze główne źródło nowych komórek jajowych.

— No dobrze. Jak, u diabła, one się o tym dowiedziały?! — ryknął Spencer.

— Odkryjemy to — odparł Paul. — Wierz mi.

— Skąd ta pewność? — zapytał ostro Spencer. — Kurt Hermann i jego matoly przesłuchują te dziewczyny w wartowni od trzeciej nad ranem, a ty sam przyznałeś pięć minut temu, że nic się nie dowiedzieli.

— Pozwolę sobie zaprzeczyć — wtrąciła się Sheila. — To ja prowadziłam do tej pory przesłuchanie, nie Kurt, i nie jest prawdą, że niczego się nie dowiedzieliśmy.

— Ty rozmawiałas z tymi dziewczynami? — zapytał Spencer.

— Oczywiście — przyznała Sheila. — Wydałam specjalne polecenie, żeby mnie wezwano, gdy tylko zostaną zatrzymane. Jak próbujemy cię przekonać, jesteśmy nie mniej od ciebie zainteresowani odkryciem ich metod. I robimy postępy. Dowiedzieliśmy się na przykład, że to twoja karta magnetyczna zapewniła im dostęp zarówno do pomieszczenia z serwerem, jak i do działu hodowli.

— Ach, rozumiem — wycedził Spencer, mierząc wściekłym wzrokiem dwójkę swych rzekomych podwładnych. — Tak więc to ja jestem winien tej katastrofy.

— Szukanie winnych absolutnie nie jest naszym zamiarem — oświadczył Paul.

— Jak na sześć godzin, to niezbyt wiele — zauważył Spencer.

— To niezwykle inteligentne dziewczyny — wyjaśniła Sheila. — Zdają sobie sprawę ze znaczenia informacji, jakimi dysponują. Nie są łatwymi przeciwnikami w żadnym znaczeniu tego słowa, ale jestem cierpliwa.

— Stosujemy metodę „dobry gliniarz, zły gliniarz” — dodał Paul.

— Otóż to — przytaknęła Sheila. — Oczywiście, ja jestem dobrym gliniarzem. Kiedy my tu rozmawiamy, do akcji wkracza Kurt. On jest złym gliniarzem. Po naszym spotkaniu wróć na dół i zainterweniuj. Jestem pewna, że najpóźniej do południa wyciągniemy z nich wszystko, czego nam trzeba.

— Kiedy już będziemy mieli te informacje — oświadczył Paul — dokonamy odpowiednich zmian. Jeśli chodzi o komputery, już teraz wprowadziliśmy nowe zabezpieczenia. Od tej chwili dostęp do pomieszczenia z serwerem będzie miał jedynie Randy Porter.

— Powinniśmy traktować całą tę niefortunną historię jako pouczające doświadczenie — powiedziała Sheila.

— Właśnie! — zawtórował Paul. — I powinniśmy potraktować ją jako kolejny argument za przeniesieniem całej kliniki, laboratoriów i reszty, za granicę, o czym dyskutowaliśmy wczoraj wieczorem. Przy okazji, Spencer, co myślisz o planach Ośrodka Bahamskiego, które dałem ci wczoraj do przejrzania?

— Wyglądają nieźle — przyznał niechętnie Spencer.

— A jak ci się widzi sam pomysł przeniesienia kliniki za granicę?

— Muszę przyznać, że mi się podoba — odparł Spencer. — Miło byłoby móc działać swobodniej, nawet jeśli te wszystkie przepisy, z którymi musieliśmy liczyć się tutaj, nie były aż tak uciążliwe. — Pokiwał głową. — Wróćmy do dziewczyn. Co się z nimi stanie po przesłuchaniu?

— Nie wiem — odparł Paul.

— Co znaczy „nie wiem”? — zapytał ostro Spencer, czując, jak znów narasta w nim gniew.

— Nie chcę wiedzieć — wyjaśnił Paul. — Takie problemy zostawiam Kurtowi Hermannowi. Za to właśnie mu płacimy.

— Zostawiasz problem Kurtowi Hermannowi, a jednak zatrzymujesz jajniki — zardrwił Spencer. — To właśnie chcesz mi powiedzieć?

— Pobieranie jajników było błędem, który popełnialiśmy w przeszłości — wtrąciła Sheila. — Nie ma wątpliwości, że nie powinniśmy byli tego robić. Teraz zdajemy sobie z tego sprawę. To się już nie powtórzy. Jako wyjaśnienie dodam, że miało to miejsce w okresie, gdy zmagaliśmy się z krytycznym niedoborem gamet.

— Niedoborem, z którym już się uporaliśmy — dodał Paul. — Dzięki pomocy Nikaraguanek oraz postępowi, jakiego dokonaliśmy w technice hodowli oogoniów, dysponujemy teraz niemal nieograniczonym źródłem komórek jajowych. Do diabła, mogliśmy pewnie zaspokoić potrzeby w zakresie klonowania dla całego kraju.

— Czyżbyście próbowali mnie przekonać, że nie jesteście zaniepokojeni tym incydentem? — zapytał Spencer.

Paul i Sheila wymienili spojrzenia.

— Oczywiście traktujemy go poważnie — zaczęła Sheila. — Jak już wspomnieliśmy, było to pouczające doświadczenie. Ale sytuacja została opanowana, tak samo jak wtedy, gdy mieliśmy ten nieszczęśliwy wypadek podczas zabiegu. Poradzilibyśmy sobie, nawet gdyby cała historia z tymi wścibskimi dziewczynami nie zakończyła się tak pomyślnie.

— Słuchaj, Spencer — odezwał się Paul. Pochylił się do przodu i zatarł dłonie, po czym uniósł je w pojednawczym geście. — Jak powiedziałem podczas naszej wczorajszej rozmowy, przy obecnym stanie badań siedzimy na prawdziwej kopalni złota. Z tym, czego nauczyliśmy się z naszych prac nad klonowaniem na temat hodowania komórek macierzystych, będziemy liderami biotechnologii dwudziestego pierwszego wieku. Klonowanie i komórki macierzyste zrewolucjonizują medycynę, a my będziemy na czele.

— W twoich oczach to wszystko wygląda tak różowo — zauważył Spencer.

— Właśnie! Ja sam dokładnie tak to określam — przytaknął Paul. — Różowo! Superróżowo!

Kłamka u drzwi gabinetu głośno szcęknęła. Wszyscy troje odwrócili się z zaskoczeniem. W drzwiach ukazała się twarz sekretarki.

— O co chodzi, Gladys? — zapytał Spencer. — Powiedziałem, że nie wolno nam przeszkadzać.

— Jest tu pan Hermann — odparła nieśmiało sekretarka. — Twierdzi, że musi rozmawiać z panem Saundersem. Mówi, że to pilne.



Paul wstał. Na jego twarzy odmalowało się nieme pytanie. Przeprosił i wyszedł z gabinetu w ślad za skołowaną sekretarką. Jedno spojrzenie na Kurta wystarczyło, by opuściła go cała nonszalancja i opanowanie, jakie dotąd starannie utrzymywał.

— Mamy poważny problem — oświadczył Kurt, wyraźnie przejęty.

— Dlaczego jest pan zdyszany?

— Biegłem całą drogę od wartowni.

Paul gwałtownie otworzył drzwi swego gabinetu i gestem zaprosił Kurta do środka. Wszedł za nim i zamknął za sobą drzwi.

— Słucham — powiedział.

— W wartowni jest prokurator federalny — jednym tchem wyrzucił z siebie Kurt.

— Powoli! — polecił Paul. — Co on tu robi?

— Ma nakaz rewizji i razem z paroma funkcjonariuszami policji federalnej przetrząsają wartownię. Poza tym domagają się wpuszczenia na teren.

— Jak, u diabła, zdobył nakaz rewizji? — Paul był oszołomiony.

— Pytałem. Wygląda na to, że na podstawie skargi lekarza o nazwisku Carlton Williams.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Jego ojciec jest jakąś grubą rybą w Teksasie, z powiązaniem z Departamentem Sprawiedliwości. Sęk w tym, że ten Carlton Williams wie, że te dziewczyny były tu zeszłej nocy i nie wróciły do domu.

— Cholera! — warknął Paul. — Gdzie one są teraz?

— Ciągle jeszcze w piwnicy wartowni.

— Czy oni je znaleźli?

— Nie wiem. Przybiegłem tutaj, kiedy tylko udało mi się od nich na chwilę uwolnić. Grożą, że jeśli nie będziemy współpracować, sprowadzą brygadę specjalną.

— Grozić sobie mogą — odparł Paul, odzyskując nieco równowagę. — W każdym razie nie zabrali jej ze sobą. To daje nam dobre pół godziny, jeśli nie więcej. Ogłóśmy alarm czerwony. Pan pójdzie do Randy'ego Portera. Niech rzuci wszystko na zipy i wyczyści wszystkie twarde dyski. Potem pójdzie pan razem z nim do hangaru i uruchomi helikopter. Ja przyjadę tam z doktorem Wingate'em i doktor Donaldson, kiedy tylko poszatkujemy wszystkie papiery i zniszczymy hodowle. Wszystko jasne?

— Tak jest! — odparł Kurt. Zasalutował, pędem wypadł z gabinetu i pobiegł co sił w nogach w stronę drzwi pożarowych.

Paul obserwował go, dopóki szef ochrony nie zniknął. Następnie zaczerpnął kilka głębokich oddechów, by jeszcze bardziej się uspokoić. Gdy uznał, że wystarczająco już odzyskał panowanie nad sobą, wrócił do gabinetu Spencera. Wingate i Sheila spojrzeli na niego wyczekująco, kiedy tylko ukazał się w drzwiach.

— Cóż — odezwał się Paul. — Wygląda na to, że przenosimy się za granicę szybciej, niż się spodziewaliśmy...

## SPIS TREŚCI

PROLOG	5
Rozdział 1	11
Rozdział 2	24
Rozdział 3	36
Rozdział 4	46
Rozdział 5	55
Rozdział 6	64
Rozdział 7	74
Rozdział 8	85
Rozdział 9	96
Rozdział 10	110
Rozdział 11	128
Rozdział 12	141
Rozdział 13	156
Rozdział 14	171
Rozdział 15	186
Rozdział 16	198
Rozdział 17	207
Rozdział 18	217
Rozdział 19	228
EPILOG	248